

RAYMOND QUENEAU

# PSIA TRAWKA

przełożyła Hanna Igalson-Tygielska

NOWY KANON

Cet ouvrage a bénéficié du soutien des Programmes d'aide à la publication de l'Institut Français

Książkę wydano dzięki dofinansowaniu Institut Français w ramach programów wsparcia wydawniczego

Tytuł oryginału: *Le Chiendent*

Copyright © Éditions Gallimard, 1933

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXIV

Copyright © for the Polish translation by Hanna Igalson-Tygielska, MMXIV

Przedmowa: Copyright © Anna Wasilewska, MMXIV

Wydanie I

Warszawa

*Dla Yanine*

## PSIA TRAWKA, CZYLI PIES I ZĄB

Z kalendarium życia i twórczości Raymonda Queneau można wywnioskować, że debiutancka *Psia trawka* (*Le Chiendent*) ukazała się w roku śmierci Raymonda Roussela (1933), w rok po wydaniu *Podróży do kresu nocy* Céline'a, w trzy lata po zerwaniu Queneau z surrealizmem Bretona i w cztery po lekturze *Ulisses*a Joyce'a. Ten dobór nazwisk nie jest przypadkowy, wyznacza kluczowe punkty odniesienia dla pisarza, który wypracował sobie własną oryginalną retorykę i poetykę.

Biografia Queneau (1903–1976), jednego z tych pisarzy, którzy „nie dostali Nobla”, nie obfituje w ekscytujące wydarzenia, jak choćby obfitują w nie życiorysy Céline’a, Geneta czy Cendrarsa. Jeśli nie liczyć rozdziału burzliwej przynależności do grupy Bretona i dwuletniej służby wojskowej w Algierii (w pułku żuawów) i w Maroku, gdzie pracował jako urzędnik pocztowy, jest biografią uporządkowaną i w pewnym sensie jednostajną. Fascynujące są nie tyle koleje losu Queneau, ile jego intelektualno-artystyczna ewolucja. Urodził się w Hawrze 21 lutego w skromnej rodzinie kupiecko-urzędniczej, pisać zaczął jeszcze w szkole i już w wieku piętnastu lat zniszczył cztery kilogramy własnych rękopisów. Po maturze humanistycznej w Caen zapisał się na Sorbonę, gdzie studiował filozofię, socjologię i psychologię. W roku 1924 poznał Michela Leirisa, Philippe’a Soupaulta, potem André Bretona i Louisa Aragona. W trzydzieści cztery lata później napisze: „Surrealizm interesował mnie nie tyle z punktu widzenia literatury, ile jako sposób życia. To był bunt absolutny. W tamtym okresie nie zamierzałem zostać pisarzem. Dla mnie surrealizm był wszystkim”. Interesował się także matematyką, religią i psychoanalizą. Namiętnie grywał w szachy i brał udział w turniejach szachowych. Początkowo zarabiał na życie jako urzędnik, nauczyciel i dziennikarz. Sprzedawał też restauracjom papierowe obrusy. Odbył siedmioletnią psychoanalizę u pani Lowskiej, siostry Szestowa. Chodził na wykłady Alexandre’a Kojève’a poświęcone interpretacji Hegla oraz na wykłady Henri-Charlesa Puecha o gnozie i manicheizmie, współpracował z pismem „Critique sociale” Borisa Souvarine’a. W 1938 wszedł do komitetu lektorów Gallimarda jako lektor literatury anglojęzycznej, w 1954 został dyrektorem Encyklopedii Plejady. Prowadził też program literacki w radiu. Rozgłos, a potem sławę i niezależność finansową przyniosły mu *Ćwiczenia*

*stylistyczne*<sup>1</sup> (1947, *Exercices de style*) i *Zazi w metrze*<sup>2</sup> (1959, *Zazie dans le métro*). W latach pięćdziesiątych uczestniczył w artystycznym życiu Saint-Germain des Près, jego piosenki śpiewała Juliette Gréco. Został też członkiem Kolegium Patafizyki (1950), członkiem Akademii Goncourtów, Francuskiego Towarzystwa Matematycznego (Société Mathématique de France), członkiem Centre National de Cinématographie – by wymienić tylko wybrane pola jego działalności. W roku 1960 powołał wraz z matematykiem François le Lionnais’em Ouvroir de Littérature Potentielle (OuLiPo, Warsztat Literatury Potencjalnej), jako Podkomisję Kolegium Patafizyki. Był człowiekiem instytucją, uczestniczył niemal we wszystkich ówczesnych debatach artystyczno-intelektualnych, ale jako pisarz podążał własną drogą, nie dołączając ani do egzystencjalizmu, ani do fali nowej powieści.

Doświadczeniem dla niego fundamentalnym była odbyta w roku 1932 podróż do Grecji. Na statku płynącym do Aten odkrył, że istnieje w języku francuskim podwójność analogiczna do tej, jaka charakteryzuje grecki, w którym język uczony, literacki (*kathareusa*) dzieli przepaść od języka mówionego, niskiego (*demotiki*). Uświadomił sobie, że można w tworzeniu literatury wykorzystać napięcie istniejące pomiędzy tymi dwoma rejestrami.

---

<sup>1</sup> Raymond Queneau, *Ćwiczenia stylistyczne*, przeł. Jan Gondowicz, Świat Literacki, Warszawa 2005.

<sup>2</sup> Raymond Queneau, *Zazi w metrze*, przeł. Maryna Ochab, PIW, Warszawa 2005.

Podróż do Grecji pozwoliła mu również ostatecznie wyzwolić się od surrealizmu, który niewątpliwie wywarł ogromny wpływ na jego twórczość. Miał za sobą trudne doświadczenia z okresu przynależności do grupy, wiele wycierpiał w wewnętrznych walkach i ciągłych rozgrywkach wykluczania i przyjmowania. Opisz je później w dwóch wyraźnie autobiograficznych powieściach *Les Derniers jours* (1936, *Ostatnie dni*) i *Odile* (1937). A także w artykule „Philosophes et voyous” (1951, Filozofowie i łobuzy), opublikowanym częściowo w „Les Temps Modernes” i włączonym w roku 1986 do tomu dzienników, *Journal 1939–1940*, w którym oskarża surrealistów o stosowanie terroru, nazywając ich *nazis* (faszyści, naziści).

Wypracował swoją poetykę w opozycji do surrealistów, ustawiając się na drugim biegunie tej samej osi. A zatem już nie przypadek, inspiracja, nieświadomość i automatyczny zapis, lecz rygor, konstrukcja i eksperymentalny zamysł. Toteż wszystkie jego utwory podlegają formalnym, choć niewidocznym rygorom. Zarówno debiutancka *Psia trawka*, jak i późniejsza, tak zwana trylogia mądrości: *Pierrot mon ami* (1942), *Loin de Rueil* (1949, Daleko od Rueil), *Dimanche de la vie* (1952, Niedziela życia)<sup>3</sup>. Nie mówiąc już o *Zazi w metrze*, *Dzielałach zebranych Sally Mary*<sup>4</sup> (1962, *Les Oeuvres complètes de Sally Mara*) czy *Fleurs bleus* (1965, Niebieskie kwiatki). Niemal wszystkie utwory Queneau są wyrazem pasji do eksperymentowania, próbą zasilenia języka literackiego strukturami i ortografią mowy potocznej. Również utwory poetyckie, między innymi wierszowana opowieść *Chêne et chien* (1937, Dąb i pies), napisany aleksandrynem traktat filozoficzny *Petite Cosmogonie portative* (1950, Mała kosmogonia kieszonkowa)<sup>5</sup> oraz *Sto tysięcy miliardów wierszy*<sup>6</sup> (1961, *Cent mille milliards de poèmes*), podlegają ścisłym prawom kombinatoryki.

---

<sup>3</sup> Obszerne fragmenty trzech powieści w przekładach Anny Wasilewskiej, Andrzeja Siemka i Hanny Igalson-Tygielskiej zostały opublikowane w monograficznym numerze „Literatury na Świecie” poświęconym Queneau (6/2000). *Pierrot mon ami* ukazała się w wydaniu książkowym w PIW-ie (2002).

<sup>4</sup> Raymond Queneau, *Dziela zebrane Sally Mary*, przeł. Anna Wasilewska, Hanna Tygielska, Jan Gondowicz, *ibidem*.

<sup>5</sup> Raymond Queneau, *Mała kosmogonia kieszonkowa. Pieśń pierwsza*, przeł. Jan Gondowicz, „Literatura na Świecie” (nr 6/2000).

<sup>6</sup> Raymond Queneau, *Sto tysięcy miliardów wierszy*, przeł. Jan Gondowicz, korporacja ha!art, Kraków 2008.



Queneau utworzył podstawy oulipijskie z pozycji nie teoretyka, lecz praktyka, który większość dokonań ma już za sobą. O inspiracji zaś mawiał: „prawdziwy pisarz nigdy nie ulega inspiracji, jest nieustannie zainspirowany”. Ten stan gotowości mają mu zapewnić gotowe struktury literackie. Zarówno te, które istniały w dawnych tekstach, jak i te potencjalne, które można wynaleźć dzięki zastosowaniu serii arbitralnie przyjętych rygorów. Prace OuLiPo zmierzały w dwóch kierunkach: analizy – wynajdywania i badania tekstów, zwanych plagiatami przez antycypację, czyli dzieł autorów, którzy tworzyli utwory oulipijskie, zanim jeszcze powstało OuLiPo, oraz syntezy – wynajdywania nowych struktur. „Szczury, budujące labirynt, z którego mają się następnie wydostać” – tak brzmi oulipijska dewiza. I żadnej ideologii, żadnych dogmatów, żadnych sporów światopoglądowych.

Większości utworów Queneau można przyznać status plagiatów przez antycypację. *Le Chiendent* jest, co swego czasu dostrzegła francuska krytyka, uwerturą do tego dzieła, uwerturą, w której pojawiają się już wątki i motywy obecne w dalszych powieściach. Upodobanie do budowania groteskowych podmiejskich epepei podszytych smutkiem i melancholią, do przeciętnych postaci zanurzonych w codzienności, do pseudokryminalnych intryg, do lęku przed wojną, idzie w parze z całą siecią ukrytych odniesień do filozofii, mitologii, historii idei, psychoanalizy.

Ustawiając się w opozycji do surrealistów, Queneau nie zamierzał jednak poprzestać na czystej negacji. „Wielka czystka surrealistów pozostawiła za sobą wiele trupów, których nie wolno wskrzeszać”. Trzeba wyjść poza negację, wznowić swego rodzaju akademizm, ale nie popaść w jego wytarte koleiny. Dlatego tak wielkie wrażenie zrobiła na Queneau lektura Joyce’a, Faulknera, a także Poego. O Joysie pisał jako o „pisarzu klasycznym”, u którego „wszystko jest zaprogramowane, zarówno całość, jak i epizody, ale nic nie ujawnia wewnętrznego rygoru”. Zasady swojej metody pisarskiej zawarł w tekstach zebranych potem w tomie *Le Voyage en Grèce* (1973, Podróż do Grecji). Stąd też pochodzi słynny cytat o cebuli: „Arcydzieło porównać można do pewnej bulwy, jedni zadowalają się zdjęciem wierzchniej łupiny, inni, mniej liczni, zdejmują warstwę po warstwie – słowem, arcydzieło przypomina cebulę”.

*Psią trawkę* pisał Queneau od lipca do listopada w Atenach i na Cykladach. Cała ta fantasmagoryczna opowiadka zbudowana jest wokół poszukiwania skarbu. Mechanizmem napędzającym intrygę *Le Chiendent*, powieści o ludzkiej głupocie, jakby replice *Bouvarda i Pécucheta* (warto nawiasem wtrącić, że Queneau w roku 1947 napisał wstęp do tej powieści Flauberta), jest zabawa w głuchy telefon. Podszuchana rozmowa prowadzi do językowego nieporozumienia. Każda próba przytoczenia cudzych słów powoduje ich deformację, każda instancja narracyjna dodaje coś od siebie, zniekształca wypowiedź zgodnie z własnymi pragnieniami lub lękami. Rozmowę Piotra Wielkiego i Étienne’a podsłuchiwał Clovis, nieletni siostrzeniec pani Cloche, akuszerki trudniącej się także aborcją, intrygantki i megiery, coś przekręcił, coś dorzucił i dał impuls do polowania na domniemany skarb, ukryty jakoby za niebieskimi drzwiami tandeciarza bez grosza, ojca Taupe’a. Tę burleskową intrygę, przyprawioną kilkoma trupami, kończy wybuch wojny, apokalipsa i zwycięstwo królowej Etrusków, którą okazuje się nikt inny jak Sydonia Belhôtel, wdowa Cloche.

Genezę swojej powieści, która początkowo przeszła prawie bez echa, przyćmiona przez *Podróż do kresu nocy* Céline'a, ujawniał Queneau stopniowo, zacierając tropy w kolejnych autokomentarzach. W roku 1937 napisał, że urzeczony perspektywą wymyślenia transkrypcji fonetycznej, w której każdej głosce odpowiadałaby jedna litera, początkowo zamierzał przełożyć na „neofrancuski” jakiś traktat filozoficzny. Ponieważ zabrał ze sobą *Rozprawę o metodzie*, postanowił przeprowadzić ten eksperyment na traktacie Kartezjusza. Pomysł ten szybko zarzucił i zamiast rozprawy napisał powieść. W roku 1950 potwierdził tę genezę, ale dodał, jak wielki wpływ wywarli niego Joyce i Faulkner. Przyznał też, że jeden z rozdziałów jest zarysem *Parmenidesa*, dialogu Platona. „Dodam, że w powieści jest też rozdział streszczający *Parmenidesa*, jest nim dialog Saturnina i Narcense'a o bycie i niebycie”. Wreszcie w 1969 zamieścił w „Nouvelle Revue Française” krótki tekst „Errata”, korygujący wcześniejsze wyznania. Początek *Le Chiendent* wiele zawdzięcza nie tyle rozprawie Kartezjusza, ile książce Johna-Williama Dunne'a *An experiment with time* (1929, Eksperyment z czasem), opublikowanej potem we francuskim przekładzie (1948) pod tytułem *Le temps des rêves* (Czas snów). Postać obserwatora została zapożyczona od obserwatora Dunne'a. Queneau zastanawia się, jakie powody kazały mu początkowo utrzymywać, że *Psia trawka* jest przekładem na neofrancuski *Rozprawy o metodzie*. (Niewątpliwie jednak przemiana płaskiej sylwetki Étienne'a w trójwymiarową postać człowieka, „który myśli”, jest wręcz ilustracją kartezjańskiej maksymy *Cogito ergo sum*). W tej samej „Erracie”, zamieszczonej później w tomie *Voyage en Grèce*, wyznał: „Zapewne sądziłem, że potrafię przewidzieć upadek francuskiego języka pisanego (...) utknąłem, i to wszystko. To był błąd”.

Nie należy jednak dobrodusznie sądzić, że neofrancuski Queneau jest stenogramem zasłyszanych ulicznych dialogów. To język zainspirowany mową potoczną, ale będący jej gruntownym przetworzeniem, rekonstrukcją, rezultatem ogromnej pracy nad składnią, nad stylem. Obaj, Céline i Queneau, choć tak odmienni, mieli świadomość, że zapis literacki nie polega na dosłownym spisaniu słów z taśmy magnetofonu. Obaj, każdy na swój sposób, deformowali język mówiony, przesuwając akcenty, umiejętnie przyprawiając wypowiedź szczyptami argot lub języka potocznego. Nikt nie przełknąłby zupy z samych przypraw i pieprzu, mawiał Céline. Praca pisarza jest poniekąd zajęciem iluzjonisty, który musi uciec się do sztuczek, żeby dać widzom wiarygodne złudzenie. Ulubioną metaforą Céline'a jest patyk zanurzony w wodzie. Trzeba go wpraw nałamać, żeby po zanurzeniu nadal wydawał się prosty.

Praca nad składnią nie wzięła się z inspiracji mową ulicy, mówi Jacques Jouet<sup>7</sup>. Wzięła się z niezmiernie uczonej rozprawy o języku z roku 1923 *Le langage, introduction linguistique à l'histoire* (Mowa, wstęp lingwistyczny do historii) Josepha Vendryèsa, który pracował nad zwrotami języka mówionego. Język Queneau to niezwykle intelektualna odmiana francuskiego mówionego. Może dlatego jego powieści tak dobrze znoszą upływ czasu.

---

<sup>7</sup> Anna Wasilewska, *Od Potockiego do Pereca. Pięć rozmów o literaturze francuskiej*, słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2009.

Do arsenału użytych środków należą również homonimy, kalambury i gry słowne. Stąd „Théo rit”, czyli „Theo zaśmiał się”, można też usłyszeć jako *théorie* (teoria). W przekładzie Hanny Tygielskiej-Igalson: Theo-rety-zuje. Saturnin, ogarnięty twórczą niemocą, zapisuje na kartce jedno zdanie *l'ouazo sang vola*, zamiast *l'oiseau s'en vola*, czyli „ptak odleciał”, ale wprowadza zarazem homonim *sang* (krew) i *vola* od *voler* (kraść) Nie mówiąc już o tym, że identycznie wymawia się *sans* (bez). W polskim przekładzie: „Tór Kafka ule ciała”. Znamię transkrypcji fonetycznej nosi między innymi zapis nazwy miasteczka, w którym mieszka Étienne Marcel z rodziną, Obonne. Próżno szukać na mapie takiej miejscowości. Istnieje natomiast Eaubonne.

Praca nad językiem jest wsparta pracą nad strukturą. Czytelnik nie musi dostrzec całej misternej konstrukcji, rusztowania, które pisarz wznosił, a następnie je usunął. Nie dostrzegła go również krytyka. Queneau dosyć wcześnie zaczął odkrywać karty. Niemal wszystkie prace krytyczne przytaczają dziś cytaty z tekstu zamieszczonego w piśmie „Volontés” (1937): „Nadałem formę i rytm temu, co pisałem. Wyznaczyłem sobie reguły równie ścisłe jak reguły sonetu. Postaci nie pojawiają się i nie znikają przypadkiem [...] *Le Chiendent* składa się z 91 (7x13) podrozdziałów. Sumą liczby 91 jest 1, cyfra zarazem śmierci istot, jak i powrotu do życia, powrotu, który ówczasie postrzegałem jako nierozstrzygalne trwanie nieszczęścia wyzbytego nadziei. W tamtym czasie uznawałem 13 za liczbę pomyślną, ponieważ wykluczała szczęście. Co do 7, uważam ją za numeryczne wyobrażenie samego siebie, ponieważ moje nazwisko i oba imiona składają się z siedmiu liter, a ja urodziłem się 21 lutego (3x7). Upodobanie do cyfrowego kodu i do matematyki („Matematyka to jedyna prawdziwa nauka”) pozwala zatem na autobiograficzny kamuflaż. Jego efektem jest choćby tytuł. Słowo *le chiendent* (*perz*) składa się z dwóch słów: *chien* (pies) i *dent* (ząb). Queneau upatrywał pochodzenia swojego nazwiska zarówno od słowa *quenot* (pies), jak i *quenotte* (ząb). Polski przekład szczęśliwie zachowuje w tytule psa, no i psia trawka jest też chwastem.

Nic nie jest zatem pozostawione przypadkowi w tej pozornie niewinnej opowieści, podyktowanej, zdawałoby się, jedynie kaprysem wyobraźni, całkowicie spontanicznej i anarchicznej. Nic, ponieważ, literatura powinna podlegać ścisłym regułom, gdyż tylko formalne rygory zapewniają jej wolność. „Klasyk, który pisze tragedię i przestrzega pewnych reguł, ma więcej swobody niż poeta, który pisuje wszystko, co przychodzi mu do głowy, pozostając niewolnikiem reguł sobie nieznanym”.

Ten powrót do klasycyzmu wspiera Queneau matematyką i retoryką. „Pisanie prozy nie powinno się zbyt różnić od pisania wierszy w tym sensie, że ma podlegać równie arbitralnym, ściśle przestrzeganyemu regułom, jak na przykład sonet”. Claude Simonnet, pierwszy egzegeta *Le Chiendent*, w swojej książce *Queneau déchiffré* (1962) odkrył między innymi, że istnieje w powieści sieć wewnętrznych powiązań i odpowiedniości wątków. Przytacza też słowa Queneau z tomu tekstów krytycznych *Bâtons, chiffres et lettres* (1950, Kreski, cyfry i litery): „Można rymować sytuacje i postaci, tak jak rymuje się słowa”. I tak śmierć psa Jupitera rymuje się ze śmiercią Narcense’a; listy otwierane przez Saturnina rymują się z listami, które odklejają Bébé Toutout i Théo; niedokończona willa w Obonne z frytkarnią w Blagny, oba przybytki spotyka zresztą w finale ten sam los i przemiana w burdel. Upodobanie do ścisłych reguł zakłada swego rodzaju powrót do klasycznej koncepcji literatury, do ukończonej formy, do harmonii i doskonałości. Powieść-poemat „przybiera kształt otoczaka, kryształu, kwiatu lub owocu”, pisze Queneau w odniesieniu do Flauberta. *Le Chiendent* jest, jak mówi Simonnet, echem flaubertowskiego marzenia o napisaniu książki „o niczym”, która nie zamierza odtwarzać rzeczywistości i pozostaje wierna arbitralnym regułom gry, wspierając się jedynie na sobie wewnętrzną siłą stylu. Dzieło nie jest uwarunkowane światem zewnętrznym, ponieważ nie jest tworem naturalnym, lecz całkowicie sztucznym.

Takie rozumienie literatury jest pokrewne literackiemu modelowi innego pisarza i ekscentryka, Raymonda Roussela. Zaraz po śmierci Roussela Queneau napisał w jednym z tekstów włączonych później do *Voyage en Grèce*. „Roussel tworzy światy z werwą nieznaną nawet Panu Bogu, z niewzruszoną wyobraźnią, jednoczącą szaleństwo matematyki z rozsądkiem poezji”. Metoda Roussela polegała na wynalezieniu dwóch zdań, które różniłyby się jednym słowem, i na wygrywaniu podwójnego znaczenia rzeczowników. Na przykład opowiadanie *Chiquenaude* rozpoczyna zdanie: *Les vers de la doublure dans la pièce Forban talon rouge* (Wersy dublera w sztuce Pirat czerwonoپیęty), kończy zaś: *Les vers de la doublure du fort pantalon rouge* (Robaki z podszewki jaskrawoczerwonych spodni).

Również powieść Queneau ma strukturę kolistą, zaczyna ją i kończy to samo zdanie, tyle że wyzbyte homonimicznych igraszek. Koło jest bowiem figurą doskonałości, a zarazem wiecznego powrotu. Tę pozornie błąhą, ludyczną fantasmagorię czyta się gładko, lekko i przyjemnie, ponieważ, pisze Simonnet, istotne jest to, żeby po lekturze *Le Chiendent* można było mówić o Parmenidesie, o cogito, o fenomenologii egzystencjalnej, o teologii gnostycznej, ale równie ważne jest, aby można było nie mówić o tym wcale.

*Anna Wasilewska*



**PSIA TRAWKA**

Zarysowała się sylwetka człowieka; jednocześnie tysiące. Były ich tysiące. Przed chwilą otworzył oczy; na zatłoczonych ulicach roilo się, mrowili się ludzie, którzy cały dzień pracowali. Wspomniana sylwetka oderwała się od muru ogromnej, przytłaczającej budowli, która była Bankiem. Oddzielona od muru sylwetka miotła się bezładnie, popychana przez inne kształty bez wyraźnych cech indywidualnych, rzucała to tu, to tam nie tyle za sprawą swego własnego niepokoju, ile zespołowej trwogi tysięcy sąsiadów. Bezład był jednak tylko pozorny; w rzeczywistości najkrótszą drogą wiódł od roboty ku snowi, od bólu do nudy, od cierpienia do śmierci.

Tamten ponownie zamknął na chwilę oczy, a kiedy je otworzył, sylwetka zniknęła, wchłonięta przez metro. Fala ciszy, a potem znowu „L’Intran” i jego wieczorni kamraci zaczęli się wydzierać na bulwarze.

Od lat chwila ta powtarzała się niezmienną, codziennie, z wyjątkiem sobót, niedziel i dni świątecznych. On nie miał z tym wszystkim nic wspólnego. Nie pracował, ale przyzwyczyił się przychodzić tutaj między piątą a ósmą i tkwić nieruchomo. Nieraz wyciągał rękę i coś chwycił; tego dnia pewną sylwetkę.

Sylwetka przyjeżdżała do Obonne. Żona przygotowała już posiłek; ona też pracowała w biurze. Zastępca szefa co rusz dopadał ją w jakimś kącie, szef tak samo. Zaledwie się wyrwała z ich rąk, wpadała w łapy metra. Ledwo tam skończyła pracować, już pracowała tutaj. W kręgu lampy drzemał potomek, czekając na karmę. Sylwetka też czekała, żeby się napchać, z puchącymi nogami, jedną ręką zwieszoną między kolanami, drugą wczepioną w poręcz krzesła w obawie, że ucieknie. Czytał „Gazetę”. To znaczy nie czytał gazety. Wbijał wzrok w literę n w słowie Ministerstwo. Będzie go tak wbijał aż do zupy. A po kawałku sera i pajdzie chleba zapatrzy się w literę i. Chłopak nie czekał na ser, dawał nogę i zupełnie nieprzytomny zasypiał jak dziecko w fontannach polucji. Kobieta zmyła naczynia i odrobiła inne prace domowe. Z wybiciem dziesiątej całe trio chrapało.

\*

Nazajutrz na jego miejscu, na jego zwykłym miejscu siedziała kobieta. Stwierdził fakt i pomyślał, wszyscy tacy sami. Za pierwszym razem, kiedy wszedł do tej kawiarni, uciekał przed deszczem i nie przebierał, zajął jedyne wolne miejsce. Od tamtej pory zawsze zajmował ten sam stolik. Przez chwilę myślał o życiu francuskiej kawiarni; nie zagłębiając się jednak w rozważania etnograficzne, usiadł gdzie popadło, na nieznanym miejscu, zapatrzył się w marmurowe żyłki, wypił pernoda. W porze fajrantu sylwetka znowu oderwała się od muru zwalistej budowli zwanej Biurem Rachunkowym.

– Masz paszport? – zapytał młody człowiek cichym głosem.

Kobieta, bardzo młoda, mrugnęła okiem. Uszczęśliwiona czekającą ją podróżą. Uśmiechała się, trzymając dłoń na kolanie wytwornego młodzieńca; drugą ręką skubała krokodylową skórę staromodnej torebki, stale się uśmiechając. Patrzyła w oczy tamtemu, a on popijał wodę mineralną.

Zauważył zupełnie mimochodem, że ma zdarte buty; sąsiad też i dalej tak samo; ujrzał nagle cywilizację zdartych butów, kulturę ściętych obcasów, symfonię zamszu i cielejącej skóry sprowadzoną do słabego pisku papierowych obrusów restauracji dla ubogich. Sylwetka poruszyła się w rytmie znanym z poprzedniego dnia, sprawnie poszukując najkrótszej drogi od monumentalnej bramy Biura Rachunkowego do skrzypiącej furtki podmiejskiego domu.

Sylwetka miała willę; wybudowała ją sobie albo raczej zaczęła ją sobie budować; z braku pieniędzy nie ukończono pierwszego piętra. Willa częściowo wyglądała jak po bombardowaniu, co już wyszło z mody. Nastolatek w okresie dojrzewania, wsparty na łokciach, wkuwał na pamięć pamiętne bitwy; żona wróciła wcześniej i przystępowała już do prac domowych; rutyna.

Spojrzenie przeniosło się ze zdartego buta na sylwetkę; stały bywalec z zadowoleniem stwierdził, że ją rozpoznał. W końcu spośród tysięcy doskonale obojętnych osobników udało mu się wyłuskać jednego. Dlaczego właśnie tego? Najszybciej mknął w stronę metra? Miał osobliwie wytartą marynarkę? Dziwacznie obsmyczone włosy? Bo przecież nie ścięte obcasy. Co w takim razie? Może okaże się jutro? Sylwetka została wessana przez mrok i znikła.

Oczywiście pojawiła się znowu przy skrzypiącej furtce niewykończonego domu. Nie można powiedzieć, że się zmaterializowała; jej dwuwymiarowość nie zasługiwała na tak prostackie określenie. Chociaż i tak zawsze w końcu wychynęła zimą z błota, latem z kurzu dokładnie naprzeciw zamka w drzwiach, za sprawą wielorakich przypadków. Kot mruczał, ocierał się o byle jak pomalowaną siatkę, gdzie czerwień minii ujawniała się plackami. Kot, szczęśliwy, że pan wrócił, ocierał się o minię. Miły mały kotek. Starannie zamknięto drzwi. Chłopczyk zatrzasnął książkę pełną bitew. I połknęli kolację.

Po posiłku kobieta trochę odpoczęła. Chłopczyk umknął, spłoszony i radosny, unosząc z sobą egzemplarz „Sourire” pożyczony od kumpla. Sylwetka spojrzała na drzemiącego kota. Kobieta skończyła krzątanie i kiedy była dziesiąta, najmłodszy z całej trójki jeszcze nie spał.

\*

W południe trzeba iść coś przekąsić, ale niezbyt daleko, bo robota i trzeba pędem wracać; i też niezbyt drogo, rzecz jasna. Zdumiewającym ruchem sieci zagarnięto ławicę istot ludzkich do tego lokalu, gdzie karmi się je w zamian za gotówkę. Sylwetka też tu jest; zagarnięto i ją. Spożywa: okazałą zjełczałą sardynkę, kawałeczek suchego po brzegach jak drewno mięsa, a kiedy nastaje rozkoszny moment skosztowania smażonego banana, subtelny sąsiad obok zasiada do dorsza. Sylwetka dobrze to знаła: codziennie ten sam numer. Facio złowiony pierwszym zarzuceniem sieci śpiesznie pałaszował przydziałowy ochłap, a na jego miejsce szybciotko wstawiano subtelnego amatora ryb, który dotarłszy do jogurtu lub suszonych owoców, pomstował, kiedy jakiś maruder zaczynał sobie wpychać do otworu gębowego flaki i to za pomocą widelca, którym poprzedniego dnia wydłubano żółtka z dwóch starych jaj, o czym świadczyło pożółkłe złoto jego zębów. Około drugiej w pustej, cuchnącej jeszcze restauracji kilka tłustych kelnerek wycierało sobie pachy.

Około trzeciej sylwetka wydmuchała nos; około czwartej splunęła; około piątej wykonała pożegnalny ukłon; około piątej pięćdziesiąt słyszała już skrzyknięcie furtki zdekapitowanego domku.

O szóstej tamten, punktualny, siedział już przy swoim stoliku w kawiarni. Tego dnia jego sąsiad z prawej, ciężko sapiąc, w przerwach popijał żółtawą ciecz prosto z małej butelki; pan z lewej drapał się dyskretnie po genitaliach, studiując wyniki gonitw. Na południowym zachodzie jakaś parka parkowała nad cytrynowką. Na południowo-południowym zachodzie samotna pani; na południowo-południowym wschodzie druga samotna pani. Na południowym wschodzie zupełnie wyjątkowo pusty stolik. W zenicie chmura; w nadirze pet.

O szóstej sylwetka się wyodrębniła. Ucieszył się nierozważnie. Dobrze ją sobie przyuważył. Któregoś dnia pójdzie za nią dla zabawy. W tej samej chwili z niepokojem spostrzegł, że sylwetka, zamiast skierować się prosto do metra, nagle zboczyła i zatrzymała się przed witryną kapelusznika, żeby popatrzeć na dwie kaczuszki pluszczące się w nieprzemakalnym kapeluszu napełnionym wodą dla zademonstrowania swej głównej zalety. Niesubordynacja sylwetki natychmiast poskutkowała zmianą, która bynajmniej nie uszła obserwatorowi; zyskała na konsystencji, stała się bytem płaskim. Modyfikacja jej struktury została zresztą zauważona przez ludzi mających zwyczaj jechać tym samym pociągiem, w tym samym wagonie, w tym samym przedziale. Atmosfera zrobiła się ciężka, kiedy wraz ze zbawczym gwizdkiem drzwi się otwarły i w ostatniej chwili miejsce obok tego w rogu po prawej, z biegiem pociągu, zostało zajęte. Coś się zmieniło.

W lewym kącie przystąpiono do partyjki manili. Były oficer, obecnie przedstawiciel firmy winiarskiej, hałaśliwie rozwinął gazetę; naprzeciwko drobna panienska kontynuowała robótkę zaczęta w czasie Wielkanocy. Vis-à-vis istoty płaskiej drzemało; bardzo jednak aktywnie; śliniło się, od czasu do czasu powstrzymując ślinę, a fioletowy język, jaki przy tym ukazywało, sugerował, że jego właściciel musi ssać pióro lub cierpi na jakąś okropną chorobę, bronchodrę lub wietrzną fioletówkę. Atrybut wisielca nie zwracał uwagi. Z jego prawej strony emerytowany oficer przygryzał usta, czytając o polityce; w oczach miał bitewny dym; widać było, że szykuje się wojna. On też wzbudzał strach. Fioletowy język ocknął się z drzemki i rozwinął dziennik „La Croix”. Jedno po drugim nastąpiły dwa ważne wydarzenia: drobna panienska skaleczyła się w palec zapięciem torebki i bardzo ją zabolalo; w drugim kącie gracze zaczęli się wydzierać: „As pik, król kier, karo, trzeba być idiotą, żeby tak grać”. „Mów pan za siebie. Przy grze w karty trzeba uważać, a jak się nie umie grać, to się nie gra, jak można grać z kimś takim”.

Grać, grać, grać, grać. A panienska dalej chlipie i ssie paluszek. Niedoszły generał podnosi oczy znad patriotycznej lektury i próbuje zabrać głos. Czytelnik „La Croix” okrągłymi oczami wpatruje się w muchę, gazeta zwisa mu na udach. Uwaga! Jęzor znowu się wyłania. A tamci dalej swoje. „Przez pańską głupotę stracę forszę. Nic pan nie kapuje... Panie, panie, pszepana”.

Słowa wypowiedziano z przydechem, niczym tytuł szlachecki, w zastępstwie policzków, których nie ośmielano się rozdawać w obawie, że można je otrzymać z powrotem. I dalej to samo, bez przerwy. I dalej to samo, do następnej stacji. Dwadzieścia minut. Bytowi płaskiemu zebrało się na płacz. Czuł się odpowiedzialny za żalosne zakłócenie zwyczajów tego przedziału. Z powodu małych kaczuszek i nieprzemakalnego kapelusza.

Na pierwszej stacji dwaj gracze wysiedli, straszliwie pomstując i wytrzeszczając gały jak zające wypłoszone z kapusty. Panienka, ssąc palec, wysiadła również. Wojskowy w cywilu rozsiadł się wygodnie i zaczął dłubać w zębach paznokciem wskazującego palca, a chrześcijanin popadł w lekturę artykułu na temat zbawienia małych Chińczyków. Po tej stronie niby było lepiej, ale gracze nie przestawali dyskutować, a ich podniesione głosy wwiercały się w bębniaki bytu płaskiego, który właśnie spostrzegł, że jednego z nich zna. Mieszkali w tym samym hoteliku w Pornic. Ten zbieg okoliczności całkiem odmienił bieg jego myśli i już miał się pogrążyć w uroczym marzeniu o kąpieli w morzu, wakacje się zbliżały, za trzy tygodnie dwadzieścia osiem dni urlopu, kiedy przedstawiciel firmy winiarskiej, oświadczając, że jest duszno, opuścił szybę. Gracz z Pornic nie lubił przeciągów. Zaprotestował. Tamten się zaparł. I znowu „pszepana”, „pszepana, mówię przecież”, „ależ pszepana”, zaczęły fruwać z jednego krańca przedziału na drugi, celna, dobrze naoliwiona broń i marne lepkie kulki rzucone przez czytelnika „La Croix” jak zgniłe jaja. Sytuacja się zaogniła, można rzec; niczym chłopcy, co wkładają kamienie do śniegowej kuli, tak ci panowie wtykali do swoich „pszepanów” perfidne aluzje, przepastne szyderstwa, szpiczaste zaczepki i lali kubły pomyj wszelkiej złośliwości. Do rękoczynów jednak nie doszło. Byt płaski znowu poczuł, że to wszystko wina kaczuszek i nieprzemakalnego kapelusza, a ponieważ następny przystanek przerwał dyskusję i wszystkie kluski w gębie plus katolik przedwcześnie wysiedli, byt płaski, zostawszy sam, zadał sobie z niepokojem pytanie: dlaczego? I tak sobie powtarzał „dlaczego, dlaczego” w rytm pociągu. Na następnej stacji wysiadł.

Po nieuniknionej przepychance przy wyjściu skierował się do swego domostwa, przeskakując kałuże i potracając kamienie ściętym czubkiem półbuta. Po dwudziestu minutach uciążliwego marszu stanął przed skrzypiącą furtką. Kota nie było. Zamknął furtkę i przebył cztery stopnie podestu.



Teraz jest w jadalni. Wszystko wydaje się na swoim miejscu. Chłopiec o podkrążonych oczach powoli zamyka *Obronę Sokratesa*, gdzie schował zdjęcie, które woli kontemplować w samotności. Unosi czyste czoło, ciężkie od rozmaitych sprośności. Żona wnosi zupę.

Uważa, że on jakoś dziwnie wygląda.

– Jakoś dziwnie wyglądasz, jakiś tam – mówi do niego.

Rzeczywiście jakoś dziwnie się czuje.

– Tak, jakoś dziwnie się czuję, jakaś tam – odparł.

Chłopiec w pośpiechu pochłania zupę. Stuk, stuk łyżką o dno talerza. Byt płaski zbiera odwagę w dwie ręce, dwie ręce, które czuje na końcu ramion; zbiera się na odwagę, czyli ją wytwarza. Z nagłym wysiłkiem zaczyna:

– Wyobraź sobie, że dzisiaj zatrzymałem się przed sklepem kapeluszniaka, tym na lewo, jak się wychodzi z Banku. Na wystawie leży coś bardzo ciekawego. Nieprzemakalny kapelusz.

Chłopiec czekający na dalszy ciąg (posiłku) słucha uważnie.

– Nalali do środka wody, żeby udowodnić, to znaczy pokazać, że jest nieprzemakalny, włożyli dwie kacuszki.

Rodzina na chwilę się skupia. Żona pyta:

– Dwie kacuszki?

Byt płaski potwierdza, zmieszany:

– Tak, dwie małe kacuszki, z gumy.

Ogarnia go złość; ta głupia historia zawsze źle się kończy; co za dziwaczny pomysł, żeby spojrzeć na tę witrynę. A do tego mały otwiera usta i oświadcza:

– Leżą tam co najmniej od dwóch lat.

Płaski tato nie wie, co powiedzieć. Podają kluski. To znaczy kobieta podaje. Dziś wieczór nie ma mięsa. Potem bez wstępu mówi, że sąsiad zabił im kota. Kto, nie wiadomo.

Gdzie on teraz jest?

Trupa zabrała stara matka Tyran. Jest bardzo biedna; chciała mieć skórkę. Znalazła go pod murem kawiarni Hipolita. Z kulą w głowie.

Płaski nie zamierza tego puścić płazem, nikt nie będzie zabijał mu kota; zaciętrzewia się jak pszepanowie w pociągu. Potem znowu opada. Zaraz położy się spać. Dziwnie się czuje. Tej nocy będzie się kochał z żoną. Chłopczyk natomiast powstrzyma się od polucji, jutro klasówka z matematyki, a jak to robi wieczorem, zawsze nazajutrz ma pecha.

\*

Obserwator coś tam pitrasi; sam jeszcze nie bardzo wie co. Ale się przygotowuje; albo będzie dalej studiował wyłuskiwanie tamtego z tłumu, bo tak to nazywa, albo poszuka sobie jakiegoś innego przypadku, równie bez znaczenia i pożytku. Po rozpatrzeniu rozmaitych opcji wybiera peryoda i sylwetkę. Bystro i na wskroś świadomie spoglądając na wszystkie mijane osoby, kieruje się na stanowisko. Po drodze spotyka brata, którego od dawna nie widział; mówi, że bardzo się śpieszy, jest bardzo zajęty i wyznacza mu spotkanie o północy. Wreszcie osiąga jeden ze swoich celów: jego miejsce jest wolne; astmatyk zajął sąsiedni stolik. Bardziej na południe młodzieniec od paszportu, markotny, tkwi samotnie. W nadirze pet, w zenicie prążkowana tkanina, bo troskliwy właściciel przygotowuje klientom prysznic z perfidnych kropli, które za sprawą owej pozornej osłony spadną im prosto za kołnierze.

Burza się ociąga; byt płaski również, bo dokładnie tego dnia ma nadgodzinę. Wreszcie pojedyncze krople spadają na asfalt. Obserwator, zawiedziony wyjściem o szóstej, trwa na posterunku. Cztery, pięć, sześć kropli wody. Ludzie, chroniąc czupryny, unoszą nochale. Opis burzy w Paryżu. Latem. Jedni spłoszeni ruszają galopem; inni stawiają kołnierze kurtek; z czym wyglądają dość zadziornie. Zaczyna cuchnąć błotem. Wiele osób rozsądnie szuka, gdzie by się schronić; kiedy już leje jak z cebra, widać tylko czarne grona przyczepione do bram domów, niczym małże oblepiające słupy mola. Kawiarnie tłuką kasę. Siódma. Dojdzie do spóźnień na tramwaje, autobusy i pociągi, dania się przypalą, spotkania nie odbędą. Kilka pretensjonalnych grzmotów pozoruje burzę. Ludzie uczenie głoszą, że się zapowiadało, że teraz powietrze się oczyści i że taki deszczyk od czasu do czasu dobrze robi, i że to nie potrwa długo.

Obserwator dopuszcza do siebie puste słowa, z których nic nie wynika prócz prawdy; stwierdza z goryczą, że podobne banały doskonale pasują do rzeczywistości. Obecna rzeczywistość dokładnie tyle właśnie potrzebuje. A sylwetka wcale nie wychodzi. A jednak: dostrzega ją na podeście przed Bankiem, cierpliwie czeka, aż deszcz ustanie: zresztą to już nie sylwetka, tylko byt płaski. Podskakuje; deszcz ustaje; byt płaski zaczyna biec w stronę metra.

Obserwator wstaje, wychodzi, nie płacąc (przecież wróci), i podąża za obserwowanym. A ten schodzi do metra. Już jest na samym dole schodów, zaraz przejdzie przez bramkę. Na szczęście tamten ma bilety. Nadjeżdża pociąg. Tłum się tłoczy! Byt płaski jest tam, w drugim wagonie drugiej klasy; obserwator też; pierwszy przed drzwiami z prawej, drugi przed wejściowymi.

Jaka dziwna zmiana, myśli ten drugi; ale nie trzeba mu się tak przyglądać. Ciekawe, na której stacji wysiądzie. Tłum napiera; Saint-Denis; zaraz przesiadka.

Nowe przegrupowanie i Dworzec Północny. Do jakiego pociągu wsiądziesz, do osobowego czy do przyśpieszonego? Do tego o 19.31 czy do tego o 19.40? Trzeba łokciem walnąć w brzuch zawalidrogę; rozdeptać pantofelki pewnej uroczej młodej damie, w przeciwnym razie przepuścisz przyśpieszony, a jak się będziesz przyglądać tej kobiecie, to i osobowy umknie ci sprzed nosa. Byt płaski spóźnia się tylko na przyśpieszony; osobowy stale na niego czeka. Dopada go. Tutaj żadnej rutyny, całkiem inne postacie, podróżni z siódmej to zupełnie inny świat niż ci z szóstej, do których przynależy. Nie zna ani małego wąsacza w słomkowym kapeluszu w ząbki, jakby chciał ugryźć zwalistego sąsiada drzemiącego z otwartą gębą, ani dwóch dziewczątek pograżonych w lekturze powieści w obrazkach, ani mamusi z malcem wpatrzonym w dwie muchy spółkujące na zadrapanym kolanie, bo się wywalił jak długi na ruchomych schodach na placu Pigalle, to ci dopiero było, ani jasnowłosego młodzieńca wpatzonego w krajobraz przesuwający się za oknem. Chyba widział już tego młodego człowieka w metrze, ale nie jest pewien. Z rozpaczą myśli o swoim zamordowanym kocie. Wylicza w myślach wszystkie dowody uczucia, jakimi zwierzątko go obdarzało. Przecież codziennie pod wieczór czekało na niego na murku obok furtki. I jakiś bydlak je zabił. Wyobraża sobie trupka, koci zewłok, matkę Tyran ściągającą skórę. Byt płaski jest oburzony, jest zdecydowanie przeciw. Co oświadcza sobie bez ogródek.

Traci dotychczasową kanciastość cynowego żołnierzyka, jego kontury mięknią. Łagodnie pęcznieje. Dojrzewa. Obserwator widzi to wyraźnie, ale nie dostrzega żadnej zewnętrznej przyczyny. Naprzeciwno ma teraz istotę o pewnej konsystencji. Z ciekawością spostrzega, że ta istota zdolna do zaistnienia ma rysy lekko spięte. Co się z nią dzieje? Naprawdę wyborna sylwetka.

Malec szepcze coś do matki; wszyscy wiedzą, o co chodzi. Wąsaty człowieczek nawiązuje dialog z sąsiadem; oświadcza z namysłem, że burza wisiała w powietrzu i że znacznie się przyczyniła do oczyszczenia atmosfery. Słuchacz przytakuje. Potem za sprawą atmosferycznych skojarzeń zaczyna mówić o podróżach w rejonie stratosfery.

Pomiędzy dwiema stacjami, bez słowa wyjaśnienia, metro zwalnia, a potem staje. Z okien gwałtownie wychylają się głowy; te po prawej muszą pod groźbą dekapitacji natychmiast schować się z powrotem do skorupy, bo nadjeżdża pociąg w przeciwnym kierunku; z ograniczoną prędkością zresztą. Pewnie jakiś wypadek. Spóźnienie może wynieść nie wiadomo ile. Wiadomość wprowadza do przedziału pewne zamieszanie. Malec korzysta i wysiada zrobić siusiu. Wąsaty traci słuchacza, który na dobre zapada w sen.

\*

Narcense i Potice idą za kobietą. Jest to zresztą główne zajęcie Potice'a, który kolekcjonuje zdobycze. Jak na człowieka zgodnego i przyjaznego przystało, nie gardzi swoimi bliźnimi i nie dręczy ich zbytnim zainteresowaniem. Nie znosi wielkich wydarzeń mogących zakłócić jego działania. Teraźniejszość wydaje mu się równie dobra lub lepsza niż przeszłość; nie ma o tym pojęcia, nie zastanawia się nad tym. Nie oplakuje dalszej przyszłości. Kolekcjonuje kobiety.

Narcense jest artystą; nie jest malarzem ani poetą, ani architektem, ani aktorem, ani rzeźbiarzem, jest muzykiem, a dokładniej gra na saksofonie; do tego w nocnych lokalach. W chwili obecnej jest zresztą na bruku i próbuje w miarę swych możliwości zarobić na życie, ale mu się nie udaje. Zaczyna się niepokoić. Tego dnia, około czwartej, spotkał swojego starego przyjaciela Potice'a i ten pociągnął go za kobietą, którą wybrał spośród tysiąca innych; widział ją tylko z tyłu; twarz jest niepewna. Ryzyko. Godzina piąta. Narcense i Potice są prawdziwymi paryżanami. Za kobietami chadzają o piątej.

Wspomniana pani idzie szybko, energicznym krokiem. Teraz wsiada do tramwaju. Do ósemki. Kierunek: Dworzec Wschodni. Narcense i Potice biegną za tramwajem. Auta suną za nimi. W tramwaju pani siada z zamyśloną miną. Zatopiona w myślach, na nikogo ani na nic nie patrzy, nikim ani niczym się nie interesuje. Po prostu siedzi, na kolanach trzyma paczki. Nie tyle ładna, ile piękna; Narcense i Potice patrzą na nią z podziwem.

Na pętli, równie energicznie, kieruje się w stronę Dworca Północnego. Po drodze coś kupuje. Potice próbuje nawiązać rozmowę, ale próba kończy się niepowodzeniem.

Przed Dworcem Północnym dali się wyprzedzić. Rozdziela ich potok samochodów. Pani gotowa zniknąć. Zaczynają przeklinać. Czy to aby odpowiednia pora? Przyspieszają, dają nura między bagażowe wózki i autobusy, uskoczyli raz, drugi. Pani mignęła na peronie 31, wypatrzył ją Narcense. Rusza biegiem, ustala linię, bierze odpowiedni bilet (Potice został z tyłu); stoi na peronie i wypatruje w przedziałach. W tym komplet, w tym też i w tym. Ona jest tam. W kącie zostało jeszcze trochę miejsca. Wskakuje lekko zadyszany. Kobieta patrzy przed siebie niewidzącym wzrokiem. Wygląda na bardzo zmęczoną. Narcense zastanawia się, co się stało z Potice'em. Spogląda przez okno, ale nikogo nie widzi. Pociąg rusza. Pani wysiada w Obonne. Narcense też. Na ulicy jest dużo ludzi. Narcense boi się ryzykować. Niby podchodzi, ale się cofa. Tak czy inaczej, pod furtkę niewielkiego domu dociera sam. Kręci się trochę, patrzy na dom, niedokończony albo częściowo już rozebrany. Bardzo mu się podoba. Taka piękna kobieta musi mieszkać w oryginalnej budowli. W tym czasie piękna kobieta, bardzo zmęczona, obiera cebulę.

Narcense nie opuszcza posterunku, drepcze w miejscu, nie wie, co robić. Na szczęście konkretne wydarzenie zewnętrzne podsuwa mu wyjście. Spada ulewny deszcz. Rusza zatem biegiem w stronę najbliższego schronienia. Jakieś bistro.

Wyglądam dzisiaj jak królik, myśli. Uganiać się cały dzień. Królik, co gra na małym bębenku. Jaka piękna kobieta! Co za figura! Rozbiera ją, z roztargnieniem zamawiając likier kawowy, i właśnie zamierza ukąsić ją w pierś, nie w lewą, tylko w prawą, kiedy od sąsiedniego stolika dobiega go jakiś głos.

– W Szanghaju jest największy bar na świecie... Znam wszystkie burdele w Valparaiso... Kiedyś płynąłem na parowcu przewożącym trupy Chińczyków... Za pierwszym razem, miałem szesnaście lat, zaciągnąłem się do Australii. W Sydney o mało mnie nie zabił taki wielki Szwed, który... Wsadzili mnie na trzy lata o zaostrozonym rygorze. Jakoś wylazłem... Za miesiąc znowu płynę na Pacyfik. W Valparaiso mam taką kobitkę...

Narcense wydobywa się na jawę i patrzy; osobnik jest zupełnie nijaki, ale ma marynarską bluzę i czapkę ze skórzanym daszkiem. Trzech miejscowych młodzieńców siedzi obok i słucha jego opowieści. Na zewnątrz wciąż pada. Właściciel bistra głośno wyciera nos, przeciera cynkowy blat i ma ochotę coś powiedzieć. Inne stoliki są puste, tylko jeden w głębi jest zajęty przez jakiegoś smutasa. Marynarz nie przestaje nadawać. Potem uznaje za stosowne włączyć szafę grającą.

Narcense, skołowany, zostawia na stoliku drobne i wychodzi.

\*

Dzieciak był fałszywy i samotny. Bywał prymusem, ale nieraz nie wahał się spać na ostatnie miejsce, jeśli zmuszały go do tego pewne niepokoje. Taty nie miał nigdy; zginął na wojnie, słyszał, ale dobrze wiedział, że jest z nieprawego łoża. Jego matka w poczuciu winy pracowała, żeby go wychować. Potem wyszła za bardzo młodego człowieka i pracowała dalej. Chłopak wszystko to wiedział; nikt nic mu nie mówił, ale powoli, sumiennie odtworzył sobie całą tę historię. Zresztą wcale go nie obchodziła.

Z wyjątkiem rozkoszy, jakim się oddawał w samotności, pochłaniających znaczną część jego wolnego czasu, niczego specjalnie nie lubił, niczego nie zbierał, czytał mało.

Tego wieczora siedział jak zwykle i uczył się, czekając na powrót ojczyma, który właśnie tego wieczora się spóźniał. Zdumiewające. Matka chodziła w tę i z powrotem, z jadalni do kuchni i tak dalej. „Dlaczego twój ojciec nie wraca, jak to możliwe? Musiało się coś stać. Już od godziny nie słyszałam pociągu”. Zupełnie się tym nie przejmował. Próbował zapamiętać, że odcięta jest pionowa, a rzędna pozioma. Nie mógł się tego nauczyć. Constant się boczy, bo mu nie oddał fotki Marleny Dietrich. Iść tak sobie samemu na *Błękitnego anioła*. Ta myśl podnieca go niemożliwie. Wie, że na początku wszystko dzieje się w szkole i uczniowie pokazują sobie zdjęcie; ta kobieta śpiewa i stale jest rozebrana, powiedzieli mu takim tonem, że, no, przechodzi ludzkie pojęcie.

– Na pewno coś się stało. Może byś poszedł na dworzec? Pewnie jakiś wypadek.



Szybko wstaje. W ogródku bierze głęboki oddech. Wilgotno i ciepło. Ziemia jest mokra. Trochę się świeci. Księżyc w trzeciej kwadrze. Przygląda mu się i przypomina sobie, że kiedy był mały, myślał, że to odcięta głowa jakiegoś olbrzyma. To wspomnienie go peszy. Robi dwa kroki w ciemności. Nedorzeczne, ale trochę się boi. Nagle za ogrodzeniem dostrzega mężczyznę. Nieruchomieje w mroku; powoli zaczyna odróżniać kształty. Tak, jakiś mężczyzna; głowę, można powiedzieć, wsunął między pręty ogrodzenia; niesamowite, jeszcze gotów je rozsunąć czołem; oczy błyszczą mu strasznie, usta ma na wpół otwarte. Jakby coś nim potrząsało. Chłopak z ukrycia widzi go bardzo dobrze; nie może oderwać oczu! Furtka trzeszczy i trzeszczy pod naporem rozpaczliwie samotnego ciała. Mężczyzna głęboko wzdycha, a potem zawzięcie przeklina ścisłym głosem: „cholera jasna, cholera jasna”, jakby odmawiał niekończącą się litanie. Chłopca nagle ogarnia ochota, żeby tak policzyć, ile razy tamten powtórzył słowo cholera; myśl jednak przychodzi za późno, tak jak w nocy, kiedy się chce policzyć uderzenia zegara, ale nie wiadomo, kiedy się rozpoczęły. „Cholera jasna, cholera jasna”. Teraz mówi już zupełnie głośno, jakby w transie, potrząsa prętami furki, uderza w nią rytmicznie całym ciałem. Nagle z jego szeroko otwartych ust wydobywa się przeciągły jęk „jasnaaaaa” i opada mu głowa. Przez kilka chwil stoi nieruchomo z głową na prętach siatki, strącając czołem trochę łuszczącej się farby. Potem nagle odchodzi.

Chłopak nie wie, co myśleć. Biegnie do furki, widzi, jak facet znika w mroku. Otwiera furtkę. Dobrze odgadł. Furtka jest poplamiona. No tak, z tego miejsca wyraźnie widać wnętrze kuchni, matka siedzi, pilnuje, żeby się nie przypaliło. Nie ma na to sposobu. Chłopiec widzi, że matka jest bardzo piękna. Potem przypomina sobie, gdzie miał iść. Biegnie na dworzec. W tej samej chwili nadjeżdża pociąg. Z trzygodzinnym opóźnieniem. Ojciec na pewno jest w środku. Nagle zaczyna się śmiać. „A jak tatuś zobaczy tę furtkę?”

Po telefonie do brata, że wybiera się na kilka dni na wieś i dlatego ich spotkanie dziś w nocy o północy jest nieaktualne, obserwator głodny jak wilk usiadł przy marmurowym stoliku lepkiem od tłuszczu, na który rzucono łyżkę, widelec, szklanekę, nóż, solniczkę, chyba niczego nie zapomniałem, nóż, solniczka, łyżka, widelec, szklanka, ach! i niewyszczerbiony talerz. Mimo późnej pory podobnie wyposażono sąsiedni stół i jego posiadacz śmiało sobie nań poczynił. Wymiótł wszystko do czysta, podniósł nos znad talerza i prychnął, patrząc na klienta:

– Strasznie dzisiaj późno, ale towarzystwo! – Klient z roztargnieniem oglądał zdjęcie parowca na pierwszej stronie gazety. – To ci dopiero katastrofa – wykrzyknął żarłok, nie zwracając się do nikogo w szczególności. – Przypomina mi, jak zatonała Clytemnestre w zatoce pod Singapurem. Dopiero się działo! Pasażerowie się rozdeptywali, żeby wsiąść do łodzi ratunkowych. Kapitan stał z rewolwerem w ręce i, pif, paf!, strzelał do mężczyzn, co się próbowali wdrzeć do łodzi przed kobietami. Tak, pszepana, pif-paf, prosto w łeb!

– Ale cham – mruknął do siebie obserwator.

Marynarza na chwilę zatkało, ale potem odzyskał werwę:

– Co prawda, to prawda, straszny był z niego cham. Pewnego dnia dał mi, za przeproszeniem, po gębie. A takiego Le Touchea zawsze kopał, za przeproszeniem, w dupę. – I po pięciu minutach: – W Szanghaju jest największy na świecie bar... Znam wszystkie burdele w Valparaiso...

Nie dane mu jest dotrzeć do swojej kobitki w Chile, bo w tej właśnie chwili wszedł jakiś mężczyzna i zażądał kolacji. Zdarzenie to sprawia, że w knajpce zapada cisza. Nowo przybyły wyglądał dziwnie. Jego pokryte błotem buty świadczyły, że długo się błąkał po działkach. Na czole przeciętym dawną blizną miał plamę od rdzy. Opadł na krzesło. Właściciel położył przed nim przybory do jedzenia i nowo przybyły zaczął skrobać czubkiem noża blat stolika. Zgrzytało.

– Pszepana – mówi marynarz – zęby mnie od tego bolą.

Nowy gość przestał bez słowa. Patron spojrział na marynarza, znacząco zmrużył oko. Zaskoczyło to obserwatora, który zapytał ściszym głosem:

– Zna go pan?

– Nie, ale tak mi chodzi po głowie, że nie byłby zadowolony, gdyby go zapytać, co robi. Przyszedł tutaj po południu. Nie było go z godzinę. A teraz zjawił się znowu i jakoś dziwnie wygląda. Jakby co, mógłbym chyba zawiadomić policję.

Jeszcze jeden, co chce mieć zdjęcie w gazecie za friko. Właściciel dalej wymieniał znaczące spojrzenia z marynarzem, który w zadumie dłubał w uzębieniu własnym scyzorykiem. Obserwatora ogarnęło bezbrzeżne obrzydzenie. Tamten niczego nie dostrzegął.

Mężczyzna wstał, podszedł do tamtego i powiedział:

– Piotr Wielki.

– Proszę bardzo.

– Pozwoli pan?

– Proszę bardzo, Narcense.

– Bardzo mi miło.

Uścisk dłoni.

– Nie znam widoków równie żałosnych – zaczął któryś – jak te pijane statki, co się zalewają w przydrożnych knajpach; nie znam nic równie paskudnego jak widok właściciela knajpy, którego jedynym celem w życiu jest szpiegowanie, nieustanne szpiegowanie, aż wreszcie nawinie się jakiś zbrodniarz i w końcu będzie się mógł przysłużyć społeczeństwu, donosząc na niego policji. Są tu obaj: zamorski przygłup i miejscowy kapuś; ich spotkanie wywołuje takie wrażenie, jakby człowiekowi ktoś wpychał do gardła gąbkę z atramentem.

– Wie pan – mówi Narcense – ja nie jestem pierwszym lepszym zbrodniarzem. Nie popełniłem żadnej zbrodni, mimo że mam zabłocone buty. W grę wchodzi najwyżej obraza dobrych obyczajów.

Milczenie.

– Jest pan bardzo wrażliwy, panie Wielki. Ja widzę to inaczej. Zupełnie inaczej. Ten marynarz jest bardzo zabawny, chociaż jego historie trącą nieco myszką. Powtarza się. Ale czy pan się nie powtarza? Któż się nie powtarza? Jest po prostu mniej zręczny niż inni, to wszystko. Lubię marynarzy. Podobają mi się, ich życie, mają coś takiego w oczach. Co do mnie, rzadko opuszczam Paryż. Sam pan widzi. Ale ludzie, którzy widzieli tyle różnych krain, wracając do rodzinnego miasta, przynoszą z sobą...

– Jedna wielka bzdura.

– Dziękuję – mówi Narcense. – Mówię panu, że ten tu szynkarz wcale mi się nie podoba. Jak to nadstawia uszu, żeby usłyszeć, co mówię. W ogóle to podmiejskie bistro jest dość dziwne! Która godzina? Dziesiąta trzydzieści. Proszę spojrzeć. Z tym marynarzem to zresztą prawda. Po cholere się włączyć tak daleko? Mnie to bistro wydaje się wspaniałe i tragiczne.

Półksiężyc za szybą. Właściciel, który udaje, że drzemie za ladą, a w rzeczywistości nadstawia uszu. Marynarz wychodzi. Dzwonek. Wychudzony pies, bardzo ciekawy pies, unosi głowę, potem znowu opuszcza. Jakiś kolejarz wchodzi na kawę, ma być dobrze gorąca i zakrapiana; potem wraca do pracy, ale najpierw zamienia kilka słów o wypadku z właścicielem. Przed chwilą grał gramofon. Było to wzruszające. Przepraszam, ale nie dostaje mi sceptycyzmu. Ponadto nie jestem filozofem. Nic z tych rzeczy. Tylko od czasu do czasu, ot, tak sobie, jakaś zupełnie pospolita rzecz wydaje mi się piękna i chciałbym, żeby trwała wiecznie. Chciałbym, żeby to bistro i ta zakurzona lampa Mazdy, i ten pies, co śni na marmurze, a nawet sama ta noc – żeby były wieczne. A przecież ich największą zaletą jest właśnie to, że takie nie są.

– Naprawdę nigdy pan nie cierpi?

– Dawniej w moim życiu były kobiety. Teraz jest jedna. Doprowadza mnie do rozpacz.

– Wspominał pan przed chwilą o obrazie moralności.

– Co z tego? Panu się nigdy nie zdarzają podobne rzeczy? Myśli pan, że mam jeszcze pociąg do Paryża?

– Proszę pana! (właściciel demonstracyjnie pochrapuje). O której najbliższy pociąg do Paryża?

– Co takiego?... Dwudziesta druga czterdzieści siedem.

– Przepraszam, muszę wracać do Paryża. A pan tutaj mieszka?

– Nie, w Paryżu, ale spędzę tutaj kilka dni. Obserwuję pewnego człowieka.

– Coś podobnego. Pan jest pisarzem?

– Nie. Postacią.

– Do widzenia, panie Wielki.

– Bywaj, Narcense.

Na peronie czekało mnóstwo istot ludzkich, całkiem czarnych. Wyglądało to jak lep na muchy. Dzień, nieco przymulony, jeszcze na dobre nie wstał. Powietrze, cudownie oczyszczone w nocy, znowu zaczynało lekko podśmierdywać. Z każdą chwilą rosła liczba oczekujących. Jedni z trudem otwierali oczy sklezione snem; inni wydawali się bardziej przygnębieni niż zwykle. Wielu było w dobrej formie. Prawie każdy trzymał w ręku gazetę. Ta obfitość papieru nic nie znaczyła.

Przed lampiarnią czekała też istota o osobliwym kształcie; miała, co prawda, by tak rzec, zaledwie minimum głębi przewidzianej dla osobników dwuręcznych, ale ten, co ją widział zaledwie kilka dni wcześniej, był zdziwiony, że tak szybko nabiera trójwymiarowości. Osobnik ten również czytał gazetę, „Gazeta”. Piątek. Przebiega wzrokiem politykę, kronikę wypadków; dłużej zatrzymuje się na sporcie, co nieco zaciekawia młodego człowieka, który go bacznie obserwuje. Potem sumiennie studiuje program tygodnia. Rzut okiem na rubrykę drobnych ogłoszeń, pięć minut dwanaście sekund! Skończył gazetę.

Przy dźwiękach swojej zwykłej piosenki, tututte, pociąg majestatycznie wjeżdża na peron. Gazety się zwijają, a ich właściciele dzielnie nurkują w groźny wir; każdy stara się zdobyć to samo miejsce co zwykle. Kiedy wszyscy się upychają, pojemnik zostaje zamknięty. I znowu pociąg mknie wesoło w stronę wielkiego miasta (zbaczenie na nasyp surowo wzbronione).

Osobnik o zmniejszonym stopniu realności patrzy na krajobraz. Oblicza, ile to już razy mógł widzieć tę fabrykę, i dziwi się, że dotąd nie zauważył baraku z desek FRYTKI, nieco dalej. Zupełnie jak te kaczuszki, myśli. Nagle wpada mu do głowy myśl zupełnie niezwykła: któregoś dnia pójdzie sobie na frytki do tego baraku. Przez chwilę zastanawia się z niepokojem, czy FRYTKI to nie jest czasem czyjś nazwisko: państwo Frytki. Ta myśl go rozśmiesza.

Pewien pan w kącie zauważa jego uśmiech. Z jakiego powodu? Przecież poprzedniego wieczora był taki spięty! Z innego miejsca opasły worek kartofli również zauważa ten uśmiech. Jeszcze jeden świr, stwierdza. Niedługo wyląduje w domu wariatów. Leciutko trąca nogą stopę swego vis-à-vis, który wystawia nos ze szmaty zapewniającej mu jednocześnie obyczajność i ochronę przed wyziewami przemysłowymi i zręcznym skrętem szyi wskazuje mu świra. Wymieniają uśmiechy. Znają istotę na poły rzeczywistą i istota na poły rzeczywista zna ich. Wymieniali

przecież: dzieńdobrypanucosłyhaćdziśranowszyskcowporządkuacoupanarane kma mychłodnyaleniedługozrobisięgorąco. Z biegiem pociągu siedzi krawiec, brodaty i krótkowzroczny, który zrobił majątek na na wskroś francuskich wojskowych płaszczach; ma dużo dzieci i uważa, że ze względu na ich przyszłość (tych dzieci) musi jeździć trzecią klasą. Posiada też samochód, ale tylko na niedzielę; żeby powozić dzieciaki. A że ledwo widzi, ludzie złamanego grosza nie dają za te dzieciaki. Nie dalej jak wczoraj staranował barierkę w przejściu na wysokości Wielkiej Obwodnicy.

– Na szczęście dobrze prowadzę. W przeciwnym razie, mój drogi, to byłaby katastrofalna katastrofa. Gdybym nie zachował zimnej krwi, zginęlibyśmy wszyscy w strasznym, straszliwym wypadku, ale zachowałem zimną krew – wali w udo pana jadącego w przeciwnym kierunku – ha, ha, ha, ha.

Pan, który jedzie w przeciwnym kierunku i który szanuje krawca, uśmiecha się z podziwem. Obserwator spogląda na nich wszystkich dzikim wzrokiem. Na poły rzeczywisty przestał się uśmiechać; hołubi w sobie myśl, że kiedyś wybierze się na frytki. Którego dnia? Tak naprawdę to może tylko w sobotę po południu. A co pomyśli żona o tej cennej inicjatywie? Na pewno się zdziwi. Nie potrafi jej tego wytłumaczyć. A więc albo tego nie robi, albo zrobi to po kryjomu, powie jej, że miał nadgodziny. Bardzo nie lubi kłamać. Teraz wyraźnie zmarmotniał. Marszczy czoło, zaciska usta.

– Kiedy miałem siedem lat, pracowałem u swojego ojca po dziesięć godzin dziennie, handlowałem zastawą stołową. I solidnie dostawałem w skórę, jak coś stłukłem, może mi pan wierzyć. Tak byłem wychowany i się nie skarzę. Teraz są zupełnie inne czasy!

Tak peroruje ten, co jedzie tyłem. Obserwator jest zdziwiony: naprawdę istnieją ludzie, co tak mówią, potem śmieje się (w duchu, bo nade wszystko chce pozostać nieprzenikniony) ze swojej naiwności. Teraz się rozkoszuje. Ten, co jedzie tyłem, nawija niestrudzenie; jest bankierem. Przynajmniej tak utrzymuje; może co najwyżej pracuje w kantorze. Tak czy inaczej, jest panem na poziomie. Na same nagrody dał pięćdziesiąt franków i dwadzieścia pięć na strażaków (lub na coś innego). Jego białe włosy wzbudzają nieufność matek; obawiają się, że to stary satyr; kiedy krąży, małych dziewczynek nie wypuszcza się z domu. To pan na poziomie, ale lepiej, żeby nie dostał zawrotu głowy. Wyolbrzymia zatem swoją napuszoną, żeby temu zapobiec.

„Jutro mogę pójść na frytki. A kiedy ona mnie zapyta: Chyba się spóźniłeś?, powiem: Poszedłem sobie na frytki do Blagny. Jeśli spojrzy na mnie ze zdziwieniem, powiem: po prostu miałem taką ochotę. Cała ta historia jest idiotyczna. Jutro wrócę jak zwykle. Coś takiego, ten młody człowiek wczoraj wieczorem też jechał w tym samym przedziale co ja”.



Zbliżają się do Paryża. Krawiec i bankier omawiają bardzo ważną kwestię: ile może wynosić renta dla posiadaczy orderów wojskowych? Pociąg wyrzuca swój balast na peron. Tłum rusza w stronę wyjścia i tam się rozdziela. Jedni biorą linię B, inni V, jeszcze inni CD, jeszcze inni metro. Są i tacy, co idą pieszo. Są tacy, co wstępują po drodze na kawę z mlekiem i rogalika. Obserwator ziewa i wraca do domu się położyć.

\*

Od chwili kiedy około piątej po południu przed Dworcem Północnym ujrzała przejechanego człowieka, pani Cloche trwała w zachwyceniu. Oczywiście mówiła, że nigdy nie widziała czegoś tak potwornego, co było prawdą, bo biedny Potice został przez autobus pracowicie rozwalcowany. Za sprawą serii starannie przygotowanych przypadków siedziała sobie właśnie, dokładnie o tej porze, dokładnie naprzeciwko, w ogródku kawiarni, która szczęśliwym zbiegiem okoliczności mieściła się dokładnie w tym miejscu. Zamówiła napar z rumianku i cierpliwie czekała, aż rzecz się powtórzy. Dla niej sprawa była oczywista: będzie tu przychodziła codziennie. Żeby czyhać na wypadek. Absurdalnie idealna linia z trotuaru na trotuar, której Potice nie zdołał przebiec do końca, absurdalnie linia ta zdawała się teraz według niej nieodwołalnie przyciągać los, przeznaczenie, fatum. Tam wydarzyło się coś potwornego: żółty mózg na asfalcie; i tam w nieskończoność miały się powtarzać tajemnicze straszliwe wypadki, a pani Cloche uwielbiała wszystko, co straszliwe i potworne. Rumianek był ledwie letni i słabo posłodzony; kelner został o tym poinformowany bez ogródek. Zdjęła narzutkę, bo było bardzo gorąco, i wytarła twarz szarą kraciatą chustką; inni klienci starali się na nią nie patrzeć. Pani Cloche czekała.

Dwie taksówki stuknęły się zderzakami, a inna lekko nadłamała zasady ruchu drogowego. Ale to wszystko. Przez godzinę tysiące aut, tysiące pieszych akuratnie podążało przed siebie, bez poważnych zakłóceń. Falami osobniki dwunożne i od czasu do czasu czworonogi sunęły na dworzec; falami defilowały pojazdy dwu-, trzy- i czterokołowe. Lecz nic się nie wydarzyło.

Rumianek dawno został wypity, matka Cloche wielce rozczarowana; wpadła zatem na pewien pomysł: musi przestać myśleć o tamtym wypadku, może wtedy wydarzy się następny. Zaczęła myśleć o sprawach zawodowych (była położną) i problemy związane z aborcją i ginekologią wypełniły głowę starej baby, na którą kelnerzy patrzyli z pogardą, dając do zrozumienia, że powinna opuścić punkt obserwacyjny albo zamówić coś jeszcze. Personel stał się wreszcie tak bezczelny, że matka Cloche zrozumiała, że jej niemile widziana osoba musi zwołać miejsce. Włożyła z powrotem narzutkę, sprawdziła godzinę na potężnej cebuli, którą wyjęła z gobelinowej torby, zapłaciła za rumianek, dając kelnerowi skąpy napiwek, i odeszła, srodze rozczarowana. Zaledwie zrobiła trzy kroki, kiedy usłyszała z tyłu okropny krzyk, krzyk dosyć rozziewający, potem ogólny harmider, gwizdki, nawoływania, klaksony. Serce zamarło jej na chwilę, a potem, z prędkością światła zrobiła w tył zwrot i pobięła na miejsce wypadku.

Tym razem jednak, niestety, nie wydarzyło się nic poważnego; jakiś osobnik został, co prawda, potrącony przez samochód, ale wydawał się w dobrym stanie, tylko nieco przestraszony; otrzepując się, wyjaśniał, jak do tego doszło. Prawdę mówiąc, trochę się jąkał. Ale to nic. Naprawdę czuł się bardzo dobrze, ludzie go obstąpili. Jedni stanęli po stronie kierowcy, inni po jego, on sam po żadnej. Zaproponował, żeby już dać spokój, bo spóźni się na pociąg. Pasażer taksówki zaczął go przeproszać; to również trochę jego wina, kazał kierowcy jechać szybko, bo też się bał, że się spóźni na pociąg. Jechał do Obonne; tamten też. Poszli zatem na dworzec. Tłum powoli się rozszedł. Pani Cloche trochę się ociągała, wściekła, że nawet nie widziała, jak maska gruchota walnęła tego palanta w plecy. Wszystko przez tamtego kelnera. Ale nie zamierza zawrócić i usiąść w ogródku tej kawiarni, nigdy już tam nie pójdzie, przysięga na wszystko, rumianek był ohydny, nie dawali cukru i chociaż jutro wybiera się do brata do Blagny i musi wziąć pociąg z tego dworca, jej noga nie postanie w tej kawiarni, co to, to nie.

\*

Dwaj mężczyźni wsiedli do tego samego przedziału. Istota o zmniejszonej konsystencji sprawnie zajęła swoje zwykłe miejsce. Kwartet graczy się rozpadł. Młoda panienka pewnie znalazła lepszą lokalizację. Przedstawiciel firmy winiarskiej wpasował się w kąt, wymachując gazetą jak sztandarem; naprzeciwko niego czytelnik „La Croix” próbował robić rachunki na odwrocie koperty, od czasu do czasu drapiąc się ołówkiem w głowę. Dwa pozostałe kąty zajmowały dwie pracownice kolei: szyły (albo wyszywały lub haftowały, Piotr nie mógł się zdecydować, co właściwie robiły). Obok nich, naprzeciw siebie, we wrogim milczeniu staruch i starucha, typ: srebrne gody.

W chwili gdy małe trąbki odpowiednich służb zaczęły wygrywać swą wesołą symfonię, do przedziału wypełnionego szczelnie niczym jajo wtargnął zdyszany młodzieniec; został na stojaka z głową zaplątaną w siatki bagażowe. Naprzeciw kieszeni jego marynarki, z prawej i z lewej strony, siedzieli Piotr i jego przejechany.

Aż do Blagny nic się nie wydarzyło (potem również nie, jak się zaraz okaże). Do tej stacji pociąg się nie zatrzymywał; każdy spędzał czas wedle własnego gustu; dwie panie szyły, dwaj panowie czytali, dwoje starców drzemało; maruder poziewywał, spuszczać oczy ku siedzącej części ludzkości. Ponieważ jednak ojciec tego osobnika nie był szklarzem, Piotr nie mógł śledzić zmian w konsystencji urzędnika Banku, którego wyłuskał spośród tysięcy innych.

Ta druga podróż na przedmieście w podobnych warunkach zachwycała go umiarkowanie; z odrazą wspominał noc spędzoną u Hipolita; prześcieradła tak brudne, że wołał spać w ubraniu, zapach stęchlizny wydzielany przez nocny stolik w dziwacznym stylu; gruby osad kurzu na wodzie do mycia; żółtawą malaryczną lampę mającą oświetlać całość, a nade wszystko uczucie opuszczenia, jakie go ogarnęło, kiedy właściciel zajazdu, zaprowadziwszy go do pokoju, zamknął za nim drzwi. Nawet pierwszego dnia w koszarach w l'Est, kiedy go przebrano w mundur francuskiego żołnierza i zrozumiał, że przez osiemnaście miesięcy będzie salutować rozlicznym szarżom i składać wszystko w kostkę, nawet tego dnia nie czuł się tak zagubiony i zrozpaczony. W nocy nie spał; od czasu do czasu podchodził do okna, spoglądał na rozparcelowane grunty Magnific-Vista i dławiąc się z obrzydzenia, wracał na jękliwie zawodzące łóżko.

A kościoły w Obonne, w Blagny i w Courteville wybijały godziny. Około czwartej zaczęło świtać. Usiadł na krześle; posiedział chwilę, potem zszedł. Ludzie już wychodzili do pracy. Hipolit, dziarski i rześki, serwował na wszystkie strony czarną kawę i calvadosa.

Dzisiaj nie powtórzy tego żalostnego doświadczenia; wróci do Paryża najszybszym pociągami. W Blagny połowa przedziału wysiadła, depcząc po nogach drugiej połowie.

Piotr powiedział:

– To następna stacja, prawda?

– Tak, tak – odpowiedział tamten.

Patrzą na nich.

– A pan od dawna mieszka w Obonne? – zapytał Piotr.

– Prawie trzy lata. Zacząłem sobie budować domek na parcelach Magnific-Vista, ale skończyło się na parterze.

– Właściwie dlaczego?

– Ach, to cała historia. W przypadku takich działek strasznie człowieka nabierają. Myślałem, że starczy mi pieniędzy, dostałem niewielki spadek, żeby sobie wybudować dom, ale okazało się, że popełniłem błąd, nie biorąc pod uwagę pewnych kombinacji. Musiałem się pożegnać z nadzieją wzniesienia pierwszego piętra. Więc mieszkam na budowie.

Jego opowieść wzbudza spore zainteresowanie innych podróżnych, to znaczy dwojga staruchów i spóźnialskiego, co wreszcie usiadł.

– A pan również mieszka w Obonne?

– Nie, nie – odpowiada Piotr, przerażony podobną ewentualnością. – Jadę odwiedzić przyjaciół, pana i panią Ploute. Zna ich pan?

– Nie, nie znam.

– Taki pan z czarną długą brodą i złotym lornionem, a pani jest bardzo wysoka i chuda.

– Nie, nie przypominam sobie. Zresztą wie pan, znam tu bardzo niewiele osób.

Para starców pracowicie próbuje sobie przypomnieć, czy zna państwa Ploute. Ale nie przypominają sobie, żeby w Obonne widzieli jakiegoś pana z czarną brodą i złotym lornionem, a przecież znają prawie wszystkich. Tak to jest, jak pamięć szwankuje.

Już Obonne. Osobnik minimalnie rzeczywisty mówi do widzenia i do następnego spotkania obserwatorowi, który jeszcze raz przeprosza za wypadek z taksówką. „Ale doprawdy przecież to nie pańska wina”. Piotr nie zamierza odwiedzać państwa Ploute i czeka na najbliższy pociąg do Paryża.

\*

Nazajutrz, w sobotę, był wielki dzień. Po odbyciu dwóch nadobowiązkowych godzin pojechał omnibusem do Błagny. Nie znał tej podmiejskiej miejscowości. Musiał pytać o drogę, bo żeby z dworca dojść do fabryki, trzeba było nadłożyć kawał drogi. W końcu dociera do baraku z desek FRYTKI. Na drodze nie ma nikogo. Może zamknięte? Przechodzi obok z obojętną miną i przystaje nieco dalej, zawraca i odważnie popycha drzwi. I wchodzi. Miejsce wcale nie jest straszne. Stoły i ławy. W głębi kuchnia (?), jeszcze jeden stół, przy nim dwie kobiety i jeden mężczyzna grają w karty, sącząc winiak. Poza tym żywej duszy.

Siada i stuka w stół. Z głębi dochodzi pomruk; potem nadciąga sporych rozmiarów kobieta.

– Poproszę frytki. (Rusza do ataku.)

– Frytki o tej porze?

Patrzy na niego z ciekawością. Kto to może być ten miastowy.

– Gotowych nie ma, ale zaraz się zrobi. A czego pan się napije?

– Białego wina.

Osobnik minimalnie rzeczywisty nie wie, co o sobie myśleć. Patrzy na drugą kobietę i mężczyznę w głębi. Frytki zaczynają skwierczeć. To wszystko wydaje mu się strasznie niedorzeczne.

Oto ma przed sobą frytki i szklanę białego wina. Frytki są pyszne, wino doskonałe. Rozkoszuje się smakiem. Wchodzi następny klient. Robotnik. Woła. Tym razem fatyguje się druga kobieta, starsza, powłóczy nogami. Kiedy go mija, czuje, że baba cuchnie. Idzie przyjąć zamówienie; robotnik, Włoch, też chce frytki i białe wino.

Stara wraca z kuchni i zaczyna gorączkowo coś mówić do pozostałych dwojga, spoglądają na salę. Osobnik minimalnie rzeczywisty podejrzewa, że dzieje się coś dziwnego. Odwraca się, żeby spojrzeć na robotnika, ale ten spokojnie czyta gazetę. Czyżby to on sam był powodem tego zamieszania? Chyba tak, bo cała trójka wpatruje się w niego z zaciekawieniem. Zaczyna się niepokoić. Wszystko to jest idiotyczne. Ale się wygłupił! Daje znak, że chce płacić. Ruszają ku niemu wszyscy troje. Ma ochotę dać nogę. Dzielnie pozostaje na miejscu.

– Ile płacę?

– To ci dopiero! – wykrzykuje ta starsza. – Ale numer! To pana o mało co nie przejechali wczoraj wieczorem przy Dworcu Północnym?

Tego się nie spodziewał. Rzeczywiście to jego o mało co nie przejechali. Doprawdy nie sądził, że to mu przyniesie taką sławę.

– Pan sobie wyobrazi, że tam byłam. Wszystko widziałam, jak ta taksówka jechała.

I opowiada wypadek. Jej brat i szwagierka (pan i pani Belhôtel) z zainteresowaniem słuchają opowieści po raz siódmy. Włoch też musi wszystkiego wysłuchać.

– Pewno się pan wystraszył – oświadcza olbrzymia pani Belhôtel.

– Och, tak – wzdycha i czuje się coraz słabszy, coraz bardziej nieszczęśliwy, coraz bardziej mikry.

A stara Cloche dalej mu tłumaczyć, że nie z jego winy, że może się starać o odszkodowanie i że może zażądać, żeby odebrali prawo jazdy tamtemu kierowcy. Pan Belhôtel proponuje, żeby się razem napić. Zaraz się otworzy butelkę białego. Klient nie ośmiela się protestować. Wszyscy zasiadają wokół niego.

– To ci dopiero, tak się znowu spotkać.

Ponieważ matka Cloche uważa się za dobrą znajomą prawierozjechanego, który w tym czasie uśmiecha się kurczowo. Belhôtel po mistrzowsku otwiera butelkę; trącają się. Emocje sięgają szczytu; właściciel lokalu mlaska.

– Ale dobre.

– Tak, tak – mówi pacjent – w rzeczy samej dobre.

Wyjmuje paczkę papierosów i częstuje go. Belhôtel rzuca się, jakby chciał je pożreć. Pani Cloche się mizdrzy, bierze jednego i ciągnie:

– A wczoraj, pszepana, pan sobie nie wyobraża, jakie straszne było. Tamten to dopiero, nie miał takiego szczęścia jak pan, o nie. Autobus przejechał po nim, taki biedaczek. Niewiele z niego zostało. Cienki plasterek, a dokoła pełno krwi i mózg opryskał buty ludziom, co stali na chodniku. I jeden policjant położył na to swoją pelerynę i wszyscy się patrzyli, a auta trąbiły, bo nie mogły jechać. Nie można powiedzieć, nie miał takiego szczęścia jak pan, panie, panie?

– Panie Marcel.

– Jest pan fryzjerem?

– Och, nie, nazywam się Étienne Marcel.

Cisza. Właściciele knajpy wymieniają spojrzenia.

– W takim razie – mówi Belhôtel – ma pan już swoją ulicę w Paryżu.



Wybuch śmiechu. Étienne, który słyszy ten żart od jakichś dwudziestu lat, również się śmieje. Sytuacja wydaje mu się coraz bardziej groteskowa. Bardzo chciałby się obudzić, ale wie, że nie może. Małe zdanko zaczyna galopować mu przez głowę: takie jest życie, takie jest życie, takie jest życie. Zdanko zaczyna walić jak dzwon. Bum życie, bum życie, bum życie. Wypija jeszcze szklaneczkę. Belhôtel opowiada, że poprzedniego dnia pobili się tutaj Włosi z Arabami. Jeden trup. Bum życie, bum życie, bum życie.

Étienne gwałtownie wstaje.

– Ile płacę za wszystko?

Patrzą na niego w osłupieniu.

– Przecież pan chyba teraz nie wyjdzie!

Ma jednak tak stanowczą minę, że nie nalegają, żeby został.

– Jest pan moim gościem – zapewnia właściciel – nie ma mowy o płaceniu.

Wylewnie ściskają mu rękę. Nalegają, żeby przyrzekł, że jeszcze wpadnie. Pani Cloche krzyczy: – Do rychłego! – Prawdziwa idylla...

Étienne rusza w stronę dworca. Słońce wypala szarawą trawę nasypu. Z drugiej strony drogi, od fabryki linoleum, dochodzi kwaśny cukierkowy zapach. Wokół pustkowie, deski, śmieci i brudne papiery. Przejeżdża pośpieszny z Warszawy, wznosząc tuman starych poźółkłych gazet. Potem znowu zapada cisza. Cisza sobotniego popołudnia. Étienne wlecze się w stronę dworca, od czasu do czasu powtarza sobie: takie jest życie.

Tak jakby wszystko spłynęło z wielkiej chmury, która zawisała nad klatką z królikami. Bez początku i bez końca, z prawej i z lewej koleiny, klatki z królikami po horyzont, parcele Magnific-Vista. Mleczarz, piekarz, rzeźnik wybierają tylko najszersze koleiny; wtedy gospodynie w kapciach, z wałkami we włosach nadciągają ścieżkami w zrytej ziemi. Zamieniają kilka słów i szybko wracają do nory. Tu i ówdzie mąż uparcie uprawia ogródek; oporządza kury albo króliki; gdy nie pracuje w obejściu, patrzy, jak rośnie trawa. Młodzież uprawia sporty.

Théo wchodzi na nieukończone pierwsze piętro rodzinnego domu; to jego ulubione miejsce; spogląda na stopy cegieł, ściany rozpadające się od deszczu i wiatru, budowę w ruinie. Ma ze sobą drugi tom *Nędzników*. Kiedy go to nudzi, spogląda na inne domy dokoła.

Na ogół nie ma nic ciekawego do oglądania. Plecy zgarbione nad trawnikami, mężczyźni sobie pomidorują albo cebulują. Od czasu do czasu żona nagle wychodzi i chlust wielki kubeł, chlust! na żwirową alejkę, i znowu się chowa. Tu tycia dziewczuszka biega żwawo w kółko. Tu syn aptekarza naprawia swój welocyped; tam pani Pigeonnier otulona w chiński szlafroczek wychodzi, ssąc cukierki, żeby zaczerpnąć powietrza, pani Pigeonnier ma czterdzieści pięć lat i wiadomą przeszłość za sobą. Théo ma na jej temat wiele przemyśleń. Lecz pani Pigeonnier wraca do domu szczerze otulona. Théo znowu pogrąża się w lekturze.

Ojciec na dole próbuje się interesować losem zielonego groszku, ale bez przekonania. Prostuje się, ziewa, odchodzi kawałek; w rzeczywistości nic nie robi. Matka wraca z zakupami. Rozgardiasz (właśnie tak) w kuchni. Ojciec miele kawę. Nadchodzi południe. Niedługo jedzenie w ogrodzie. Ojciec zaraz zawoła, żeby mu pomógł przenieść stół. I rzeczywiście.

„Théoooooooo!” Théo schodzi z grzędę. Ustawiają stół pod Lipą. Bardzo, bardzo gorąco. Trochę wody dla ochłody. Będzie sałatka z ogórków; mięso i jarzyna; ser, owoce. Dziś niedziela. Dwaj samcy rzucają się na sałatę. Kobieta na chwilę przysiada, zjada kilka listków i szybko idzie dopilnować mięsa. Przy mięsie trochę spokoju. Théo z nosem w talerzu wsuwa jak szalony; bo rośnie. Według mnie ma jakieś piętnaście lat. W przyszłym roku zdaje maturę. Przynajmniej jest taka nadzieja; strasznie się dla niego poświęcają.

Przy kawie Étienne rozkłada „Le Journal”, Théo „L’Excelsior du Dimanche”; żona zbiera ze stołu. Potem czyta opowiadanie; Étienne dawno skończył lekturę i drzemie, Théo rozwiązuje krzyżówkę.

Słońce z łatwością przenika zasłonę z rachitycznych liści, którą próbuje się bronić Lipa. Błogi nastrój osnuwa niedzielny odpoczynek. Słychać, jak służąca pani Pigeonnier romantycznie śpiewa. Syn aptekarza odjeżdża na rowerze; jedzie na mecz między ECF a ASTV. W oddali pogwizdują pociągi. W gęstym powietrzu ospale snują się muchy; uczestniczą w kongresie na temat resztek ze stołu. Étienne ocknąwszy się, idzie po niedzielną fajkę z pianki; nabija ją, zapala, podnosi do ust, pociąga (nie tak jak w jarmarcznej budzie), cmokając, a dym unosi się wokół jego głowy, nie odważając się musnąć najniższych gałęzi Lipy.

Około drugiej postanawiają przejść się po lesie dokoła starego zamku w Obonne. Trzeba się ogarnąć. Théo opracowuje plan ucieczki; w przyszłym roku zacznie uprawiać jakiś sport, to go uratuje przed niedzielami. Dotyka mimochodem swojego członka, ale nie nalega. Wystroił się pierwszy. Étienne zaraz po nim; włożył śliczny słomkowy kapelusz z ząbkami i pogwizduje. Myślami daleko stąd.

W końcu matka jest gotowa; bardzo, bardzo elegancka. Théo i Étienne nic nie mówią, ale nie kryją dumy. Pracowita jak nie wiem, a jak ją pokazać, po prostu piękność! Przez chwilę jeszcze coś poprawia; wreszcie wszystko w porządku, można iść. Furtka skrzypi, raz i drugi, i wszyscy troje kierują się w stronę Lasku.

W Lasku oczywiście tłumy. Dokoła zatłuszczone papiery, bo ludzie piknikowali. Śpią po krzakach, pary się laskoczą, kobiety bardzo głośno się śmieją. Théo zapuszcza żurawia w stronę młodej dziewczyny, która leży w dość bezwstydney pozie. Ogarnia go podniecenie; dzień jednak nie jest tak całkiem stracony. Étienne czuje na ramieniu ciężar żony. Prowadzi rodzinę zwykłą trasą. Pójdą aż do starego zamku; tam odpoczną; potem zejdą nad rzekę do gospody, lemoniada i powrót.

Przechadzka zajmuje trzy godziny i przebiega bez zakłóceń. Spacer zresztą jest wypróbowany. Rzeka płynie uroczo u stóp wzgórza ze starym zamkiem; ludzie przyjeżdżają z Paryża, żeby ją zobaczyć. Popijają letnią lemoniadę w cienistej altanie. Étienne opowiada o intrygach zastępcy kierownika. Przy sąsiednim stoliku samotny mężczyzna raczy się letnią lemoniadą, uważnie przysłuchując się rozmowie; od czasu do czasu rzuca łakome spojrzenie na żonę Étienne'a, która go nie łapie, bo siedzi odwrócona tyłem.

Théo, którego ojciec nudzi, dostrzegł te zabiegi; nagle zaczyna się zastanawiać, czy ten facet to czasem nie jest? Natychmiast zapomina dopiero co ujrzone damskie udo i wietrzy przygodę. Wpada w zachwyty, poznał sekret; odkrył tajemnicę; nie ma wątpliwości – to facet z tamtego wieczora, tego dnia, co pociąg się spóźnił. Facet spostrzega, że chłopak go obserwuje i jest nieco zmieszany. Potem coraz bardziej. Czerwieni się. Odchodzi. Théo sobie wyrzuca; nie trzeba było tak się na niego gapić. Może by się coś wydarzyło.

Nadchodzi czas odwrotu. Tłum zaczyna się kierować w stronę dworca. Wpół do siódmej. Za pół godziny kolacja, potem fajka, ostatni obchód ogrodu, noc, sen. Nazajutrz znowu praca.

*Tu leży, skulony, w pozycji płodu, z zaciśniętymi pięściami, kolega z dzieciństwa. Kolega ma na sobie strój ambasadora. „Co u ciebie?”. Nie wyjaśnia. Potem inny kolega z dzieciństwa; chirurg szczękowy, który chciał być jednocześnie kontrolerem miar i wag; też mu się nie udało. Teraz wszyscy trzej są nadzy i Étienne zabiera ich na bal... Prawa noga trochę przestaje drętwieć.*

*Tu na plecach, z szeroko otwartymi ustami. Chce sobie kupić świerszyk. Podchodzi do kiosku i cofa się, bo się wstydzi klientów. Wiele razy tak podchodzi. W końcu trafia do rzeźnika, który ostrzy wielkie noże, odwraca się i okazuje się, że to ojciec. Podskakuje. Trwoga. Théo zaczyna się wiercić, ale sen jest silniejszy, znowu go wciąga.*

*Tu gołe ciało spoczywa spokojnie przy otwartych szeroko oknach. Jest u babki na wsi; mają zabić starego koguta; jego matka, ledwo ją dostrzega, sprzeciwia się egzekucji. Słowo egzekucja prześwituje, jakby nicią wyszywało na płótnie zarys starego koguta, jednego z tych, co mają oskubaną przekrwioną szyję. Idzie trochę pochyło, w szczególny sposób, który Piotr rozpoznaje. Wie, że to on ma zabić koguta. Powoli budzi się z uśmiechem. Jest mu dobrze; patrzy na zegar. W ciemności dostrzega: czwarta dwadzieścia. Przewraca się na drugi bok i dalej odpoczywa.*

*Tu plama tłustej substancji rozlała się na brudnej pościeli; zaledwie kilka siwych włosów sterczy z plamy. Przed nią defiluje regiment, regiment grenadierów. Jest ich generałem. Grenadierzy śpiewają jak w operetce. Są tacy piękni! Nagle czuje się nieco zmieszana; jeden z nich ma rozpięte spodnie. Każę go rozstrzelać. Wstydzi się coraz bardziej i z tego wstydu wielka biała pchła wychodzi jej z ust i odlatuje. Grenadierzy oklaskują obrzydliwe stworzenie. Matka Cloche ma sen.*

*Tu męczyzna przewraca się z boku na bok; jest cały mokry od potu; duszno mu; noc jest gorąca i lepka. Patrzy na zegar, czwarta dwadzieścia. Wstaje, idzie się napić wody. Przez chwilę chodzi, trze czoło. Znowu pada na łóżko, które pojękuje. Wyłamuje sobie ręce w sposób, który nawet jemu samemu wydaje się groteskowy, tej nocy Narcense również nie zaśnie.*

*Koniec pracy w biurze; idzie do Potina, na rogu ulicy La Fayette, żeby zrobić zakupy. Kiedy przechodzi przez ulicę, spostrzega, że zapomniała kupić truskawki. Zawraca. Kiedy wychodzi ze sklepu, ktoś ją popycha i torebka z truskawkami rozgniata się na jej białej sukni. Tak jej się śniło.*

*Państwu Belhôtel nic się nie śniło. Niesli do rzeki mały pakunek zawierający ni mniej, ni więcej tylko martwe ciało dziecka służącej i pana Belhôtel. Służąca ma na imię Ernestyna; ma nos jak kartofel i tłuste włosy. Pan Belhôtel wyświadcza drobne przysługi prefektowi.*

– Oho, toczy się tu twoja siostra – mówi pani Belhôtel. – Przejde sie na piąte.

– Dobra, przejdź sie, przejdź. Jeśli cie wkurza, zostaw ją w spokoju.

– Właśnie tak, i to zara!

Kiedy pani Cloche przychodzi, zastaje swego brata Saturnina przyczajonego w kanciapie niczym pająk; przegląda pocztę, tego dnia ograniczającą się do jednej kartki pocztowej.

– Jak twoja żona?

– Dobrze, robi zakupy.

– Nigdy jej nie ma, jak zachodzę.

– Tak bywa. A jak tam brat?

– Pomalutku. Roboty zawsze trochę jest. To dobre miejsce, to jego.

Dwa bistra zawsze coś.

– A ten wyciruch?

– Wszystko załatwiłam.

Uśmiecha się.

Saturnin podnosi się i z powrotem wkłada kartkę pocztową do skrzynki na listy. Zręcznie spluwa do odpowiedniego naczynia i wstaje, podpierając się na rękach. Robi kilka kroków, noga za nogą.

– Napijesz się czego?

– Jak co dasz.

– Winiaku.

Nieśpiesznie idzie po butelkę, przynosi ją. Ruchy ma ociężałe; w spojrzeniu głębię i namysł.

– Coś ścisku dalej nie ma?

– Stale pusto. Jeden lokator na cały ośmiopiętrowy budynek, nowoczesny i komfortowy. Do tego ten jeden nie płaci. Wujcio go tu umieścił.

– Mówiłeś mi już. Ten, co kiedyś był muzykiem.

– Tak, teraz nie pracuje. Nie wiem, co tam robi. Wygląda jak półtora nieszczęścia.

– Kartka to do niego?

– Tak, wysłana z za miasta. Ktoś na niej napisał: „Alberta nie czyta twoich epistoł; bądź tak uprzejmy i wysyłaj je bezpośrednio do mnie, co mi oszczędzi składania kawałków. Pozdrawiam. Théo”. Nadane w Obonne, wczoraj, za piętnaście czwarta.

– Co to znaczy?

– Ja to myślę, że ten Théo musi być mężem tej Alberty i kolegą Narcense’a. Pisz, żeby mu powiedzieć, żeby się odczepił od jego żony. Jasne jak słońce.

– Dopiero zrobi mię, jak przeczyta, ten twój lokator.

Śmieje się.

– Dobrze ci, że tak se możesz cały dzień odpoczywać.

– Wcale nie odpoczywam. Mam robotę.

– Te swoją pisaninę.

– Tak, tę swoją pisaninę. Dużo czasu mi zajmuje. Ale się posuwa.

– Masz trochę nie po kolei. Żeby konsjerż robił piórem, to trochę nie tak.

– Takaś mądra, robię, co mi się podoba, nie? A jak nie rozumiesz, twoja sprawa.

– Jakbym tak ja zaczęła pisać?

– A pisz sobie, pisz, kochaniutka. A widziałaś ostatnio co dobrego?

– Pewnie, że tak! Straszny wypadek przy Dworcu Północnym. A następnego dnia znowu.

– Fajne były?



– Pierwszy był niezły. Mózg się rozprysł ludziom na buciory. Betka całkiem go rozjechała. Ten drugi był do niczego, ale zaraz w sobotę, bo tamto było we czwartek, tego faceta, co o mało go nie przejechało, spotkałam u Dominika. Przyszedł sobie na frytki. Nazywa się Étienne Marcel.

– Jak ta ulica?

– Tak, nawet Dominik zara mu powiedział.

– A ten facet jaki?

– Wygląda na kogoś lepszego. Musi pracować w biurze. Dziwne tak go spotkać. I w ogóle co on może robić o czwartej po południu u Dominika, i to jeszcze w sobotę! A co ty na to?

– Może gdzieś tam mieszka.

– Tam nie ma domów dla urzędników. Jest tylko fabryka i kilka chałup dla tych, co przyjeżdżają grzebać sobie w ziemi, bo mają działkę. Dalej są te warsztaty i składy, a potem domek ojca Taupe’a. A chyba nie przyjechał w odwiedziny do tego starego kreta.

– Może glina. I węszy w twoich sprawkach.

– E tam, Dominik niczego się nie boi, bo się przydaje. A ja zajmuję się żoną komisarza, też niczego się nie boję.

– Nigdy nic nie wiadomo.

– Pomyślałam sobie, że może do Ernestyny. Ładna z niej dziewczyna. Może mieć branie.

Śmieją się.

– Lepszy twój winiak niż u Dominika.

– A jemu jak idzie?

– Jakoś idzie, niby kryzys, ale chce sobie kupić bajzel. Żeby móc chłopaka do szkół posłać. Dominik chce go wykierować na inżyniera.

– Dobry zawód.

– No tak.

– Tylko ludzie mogą potem wypominać, że jego ojciec ma budę.

Pani Cloche dochodzi do wniosku, że Saturnin wcale nie jest głupi; nieszcześnie tylko, że ma trochę nie po kolei; co za pomysł z tym pisaniem; przecież to całkiem od czapy. Gdyby tylko chciał, mógłby do czegoś dojść! Ale na nią już pora. Obowiązki czekają.

Brat szepcze jej do ucha:

– Powiedz Dominikowi, żeby uważał. Kablować na ludzi nie jest bezpiecznie, może mieć kłopoty, nigdy nic nie wiadomo, powiedz mu.

Ale wymyślił. Powie mu, żeby mu sprawić przyjemność. Dobra. Na razie.

Jak tylko pani Cloche znika za rogiem ulicy, pani Belhôtel numer dwa znowu się pojawia:

– Poszła stara suka?

– Poszła.

– Co tam ci jeszcze nagadała?

Saturnin zdaje dokładny raport, przerwany, bo przynoszą telegram; do Narcense'a. Sprawa rzadka i pilna. Ciekawe, czy zdąży otworzyć i odkryć jakiś sekret?

Saturnin z powrotem zalepia telegram; nic ciekawego: „Babka umarła”. Żadna tajemnica. Tak czy inaczej by się wydało.

\*

W przyćmionym świetle nocnej lampki majaczy kilka ciał napuchniętych od snu, próżno poszukujących wygodnej pozycji do drzemki. Jednemu, co tylko siedzi, głowa się kiwa z boku na bok; inne, z nogami tuż przy znużonej twarzy, ma oczy zaszpunktowane zmęczeniem i przyozdobione ropnym wysiękiem. Narcense, nieruchomy w kącie, z nieobecnym wzrokiem, nie dostrzegał nędznie odzianych ciał; przez brunatne deski przedziału trzeciej klasy widział podmiejski dom, któremu nie starczyło siły na pierwsze piętro i pozostał bezgłowy. Od czasu do czasu, z orszakiem kur dziobiących gdzie popadnie, sunęła babka z obyczajami przedpotopowej staruchy, trzema drapieźnymi zębami i nieustannym posikiwaniem. Była stara i dobra. W kuchni ta piękna kobieta szykuje kolację. Jeden ze spaczy wyszedł na korytarz, co sprawiło, że jego sąsiad automatycznie zajął zwolnioną przestrzeń. Po chwili tamten wrócił i skulił się na pozostałym skrawku.

Błysnęły świetliste ogarki, znak, że zbliża się duże miasto. Nad ulicą przedmieścia wyginał się most. Narcense zauważył parszywego psa węszącego w poszukiwaniu resztek. Potem na dworcu pociąg zwolnił i przystanął. Podróżni wysiedli, z podpuchniętymi oczami i bezwładnymi rękami. Narcense wychylił się przez okno, patrząc na kłębiących się ludzi, bufet na kółkach i sprzedawcę jaśków i pledów. Pięć minut później pociąg, posapując, ruszał w dalszą drogę. Narcense znowu usiadł. Jedno z miejsc zwolnionych przez pierwszą partię spaczy zajmował ktoś nowy. Osobnik wyglądał dość osobliwie; nie dlatego, że miał dwie ręce, dwie nogi i jedną głowę, lecz dlatego, że te ręce, te nogi i ta głowa były tak niewielkich rozmiarów, że można było, bez większego ryzyka pomyłki, nazwać tego człowieka karłem. Do tego biała szpiczasta broda zdobiła jego twarz, w której błyszcząco dwoje świdrujących oczu; broda sięgała do przedostatniego guzika kamizelki, licząc od góry.

Zapytał, czy można zostawić zapalone światło. Narcense nie miał nic przeciwko temu. Nie chciało mu się spać. Tamten zaczął z wystudiowanym skupieniem czytać „Paris-Galant”. Skończywszy, zmiął gazetę, cisnął ją pod ławkę i począł złorzeczyc w brodę: „ale życie, ale życie, ale życie”, co rozbawiło Narcense’a, który od czterdziestu pięciu minut nie spuszczał oka z niezwykłego ptaszka.

– Coś nie tak? – zapytał uprzejmie.

– Cholera jasna – odparł karzeł, wyjął małeńki grzebień z prawej górnej kieszeni kamizelki i zaczął rozplątywać białą skołtunioną brodę.

Narcense nie nalegał. Wyczesawszy brodę, mała istota oczyściła sobie nos wskazującym palcem, długo przyglądała się rezultatowi swoich eksploracji, a potem skręciła je w kulkę.

– Wszystko do niczego, do niczego – znowu zaczął zrzędzić. – Co za parszywy zawód!

– Jaki zawód?

– Nie pańska sprawa.

Narcense zaczynał się dobrze bawić tą minitragedią i tym nieszczęściem nikczemnych rozmiarów. Rozgniewanym krasnalem, bezsilnym i rozgniatalnym jak robak.

– Założę się – mówi Narcense – że zgadnę, jaki pan zawód wykonuje.

– Założmy się! Dziesięć franków, że pan nie zgadnie!

– Dziesięć franków, że zgadnę!

– Niech to dunder świśnie, jak mawiał dzierzawca mojej drogiej przyjaciółki, hrabiny du Rut. No, jaki zawód?

– Jest pan łowcą przygód.

– Powiedzmy, że wygrał pan sto su – mówi karzeł, wyjmując pieniądze z lepiącego się od brudu portfela.

Narcense dobrze się bawił.

– Cieszę się, że pana spotkałem – powiedział, chowając pięć franków. – Zacząłem myśleć o czym innym.

– Było to panu potrzebne?

– Co to pana obchodzi.

Gnojek raczył się uśmiechnąć.

– A dzięki czemu wygrałem te pięć franków? – nawiązał znowu Narcense.

– Racja. No więc – ściszył głos – jestem pasożytem.

– Ojej.

Pasożytem! Coś podobnego, ten psi grzybek, ten wyskrobek, ten wypędek, ten... jest pasożytem!

– Działam za pomocą strachu.

Strach, ach, ach, ten okruch, ta skwarka, ta minipokraka działa za pomocą strachu!

– Tak, straszę stare kobiety i dzieci. Nieraz nawet dorosłych. Żyję z tchórzostwa innych. Czy jest coś głupiego w strachu? Taka sama sraczkowatość duszy jak wszystko inne. Prawda, panie... panie?

– Narcense.

– Ładne imię. A co pan robi?

– Jestem muzykiem.

– Urocze.

– Bez pracy i bez grosza.

– Zupełnie jak ja. Niech pan sobie wyobrazi, że niedawno trafiłem na żyłę złota, ale... Ale to za długa historia, żeby panu opowiadać. Widać tunel w K. Wsiadam na następnej stacji.

– Ja jadę do Torny – powiedział Narcense.

– Niech pan powie, czy przypadkiem nie zna pan jakiegoś domu, gdzie znalazłbym gościnę? Za jakieś kilka miesięcy.

– Nie.

– Nic nie szkodzi.

Nagle, ot tak, nieoczekiwanie coś mu przychodzi do głowy:

– Chwileczkę. Znam pewien dom. Ulica Moche. W Obonne. Do połowy zbudowany. Jest tam chłopak. Ojciec. Jest pewna... No właśnie. Paskudny sraluch.

Mikrob zapisał adres w notesie.

– Zawsze udaje się panu kogoś przestraszyć?

– Tak. Kiedy zechcę. Nawet pana mogę...

– Naprawdę? – zakpił Narcense.

Pociąg hamował. Karzeł już stał w korytarzu z walizką w ręce.

– Kiedyś wytnę panu taki szpetny numer, że się pan nie pozbiera do końca życia, zobaczy pan.

Zniknął.

Narcense się uśmiechnął. Biedne półtora nieszczęścia, nieudacznik, którego niesprawiedliwa natura zredukowała do rozmiaru wszy. I rozwali go raz na całe życie. Zupełnie jakby tego potrzebował. Biedny gnojek.

\*

Marcheville, ośrodek przemysłowy jakieś pięćdziesiąt kilometrów od Torny, jest raczej sporą osadą niż małym miastem; ludność chłopska, trochę mieszczan, wśród nich notariusz i jego pies. Pies notariusza jest białym pudlem, wabi się Jupiter. Jupiter jest bardzo inteligentny; gdyby jego pan miał czas, nauczyłby go matematyki, a może nawet wprowadził w arkana logiki formalnej, sofizmatów nie wyłączając. Jednak rozliczne obowiązki sprawiły, że zaniedbał edukację Jupitera, który potrafi tylko od czasu do czasu powiedzieć hau, hau i przysiąc na zadku, żeby dostać kostkę cukru. Tym niemniej jeśli można wątpić w jego zdolności poznawcze, należy podziwiać troskę, jaką otacza własną osobę. Dla elegancji zrobi wszystko. Ostrzyżony na lwa, zadaje szyku w promieniu piętnastu metrów od notariuszowego domu. Dalej wielkie bydlaki, zazdroszczące mu elegancji, szczerzą na niego swoje pospolite, źle wychowane kły.

Tego ranka codzienność Jupitera została zakłócona; codzienność notariusza i jego rodziny również. Kręcą się, ubierają na czarno. Opuszczony Jupiter przysypia w korytarzu. Wchodzi osobnik z walizką w rękę; hau, hau, inteligentnie zauważa Jupiter; notariusz, który zgubił guzik od przypinanego kołnierzyka, schodzi z podwiniętymi rękawami. Chyba mówi „dzień dobry, dzień dobry”; Jupiter przytakuje ogonem i w nagrodę zostaje poklepany po udzie. Potem przychodzi inny pan, bardzo wysoki i bardzo gruby. Znowu powitania; Jupiter pragnie zauczestniczyć, ale grubas wielkolud włazi mu na łapę. Uuuij, wyje Jupiter i chowa się pod krzesło. Panowie rozmawiają poważnie i uroczysto jak w dzień pierwszej komunii małego. Eulalia podaje kawę. Może uda się dostać kostkę cukru. Jupiter się wdzięczy, ale obojętne spojrzenia panów mówią, że trafił kulą w płot. Nie czas na żarty. Wychodzi na próg domu, żeby zaczerpnąć powietrza; ani kroku dalej, bo Cezar, pies rzeźnika, łypie na niego spod oka.

Panowie ruszają w drogę; idzie tuż przy nodze. Cezar ich nie odstępuje. Dochodzą do domu, który Jupiter dobrze zna; tu mieszka starsza pani, co nie żałuje cukru. Starszej pani nie ma; jest pan przebrany za wdowę, ale to nie to samo. Pan w sukni zaczyna śpiewać, towarzyszą mu dwaj chłopcy przebrani za dziewczynki, w których Jupiter nieomylnie rozpoznaje łobuziaków, którzy w ubiegłą niedzielę przyczepili mu puszkę po konserwie mięsnej do ogryzka ogona. Potem wystawiają na ulicę wielką skrzynię; idzie powąchać, co to takiego; pachnie starszą panią. Kopniak w żebra uczy go szacunku dla zmarłych.

Wielka skrzynia przodem, za nią tłum ludzi, wszystko kieruje się w stronę ogrodu otoczonego murem i wielkimi, równo ciosanymi kamieniami. Jupiter krąży tam i z powrotem, zdziwiony, że jego pan, który zawsze się śpieszy, nie próbuje wyprzedzić dużej skrzyni: idzie wolno na czele pochodu razem z młodzieńcem z walizką i wielkim grubasem.

W bramie ogrodu Jupiter doznaje wstrząsu; widzi, że Cezar na niego czeka i patrzy złym okiem. Próbuje trzymać się bliżej dwunogów w czerni.

Przy dziurze w ziemi wszyscy się zatrzymali. Facet w sukni zaczyna wyśpiewywać ponurym głosem; łobuzy wymachują dymiącymi czajnikami. Dwaj doświadczeni pijacy spuszczają skrzynię do dziury. Potem goście skrapiają ją wodą. Jupiter traci czujność, oddala się i łązi od grobu do grobu; dokładnie przed grobem pani Pain, zacnej kobiety, co przez piętnaście lat więziła swoją skretyniałą córkę, wpada pyskiem wprost w tyłek Cezara. Spotkanie dodaje mu skrzydeł; rzuca się pędem, ucieka, kluczy; wskakuje na pagórek sypkiej ziemi obok swego pana; ziemia, jak powiedzieliśmy, jest sypka, osuwa się i Jupiter w obłoku próchnicy i humusu sływa na trumnę babki. Kilka osób wybucha śmiechem; inni krzyczą: Koszmar! Kilka głosów szepcze: Zgnilizna! Notariusz parska tym swoim dziwnym chichotem i zaraz z godnością poważnieje. Ale Jupiterowi nie daruje.

Wieczorem młodzieniec mówi do pudła, dając mu kostkę cukru:

– A tobie też do trumny podwiążą brodeę?

Hau, hau – odpowiada pies, nic nie rozumiejąc.

Nazajutrz Jupiter wisi na sznurku, gdyż naruszył godność zmarłych i żyjących.

\*

*1. Dopiero po powrocie z pogrzebu swojej babki odpowiadam na tę osobliwą kartkę, jaką mi pan przesłał trzy dni temu. Jak rozumiem, utrzymuje pan, iż jest synem pewnej osoby, do której ośmieliłem się pisać. Osoba ta jakoby podarła moje listy, a pan jakoby je posklejał, czy tak? W takim razie, jeśli się nie mylę, jest pan tym uczniakiem o paskudnej gębie i zepsutych zębach, którego widziałem w gospodzie nad rzeką niedaleko zamku w Obonne. Pańskie niskie czoło powiedziało mi, że jest pan osobnikiem tępym, a pańskie podkrążone oczy, że jest pan samotnym fiutem. Jak widzę, teraz te niewątpliwe braki próbuje pan wyrównać zaletami kapusia i szpiega.*



*Przyjmij, młodzieńcze, kopa w dupę, na jakiego zasługuje twoja plugawa inicjatywa, od tego, który pozostaje pełnym największego szacunku admiratorem twojej matki.*

*Narcense*

*2. Szanowny Panie,  
pobrudził pan furtkę domu mego ojczyma. Odpowie mi pan za to.*

*Théo*

*PS Mam nadzieję, że na pogrzebie pańskiej plugawej babki był niezły ubaw.*

*Th.*

*3. Jak widzę, pańskiej uwadze nie umknie nawet stan higieny mojej babki nieboszczki. Muszę dodać, że nadzieja pańska nie okazała się płonna; pewien groteskowy epizod zakłócił przebieg ceremonii, pies jednego z moich wujów podszedł zbyt blisko grobu, stracił równowagę i spadł na trumnę, wyjąc w pożalowania godny sposób. Wiele osób się roześmiało; wśród nich mój wuj. Dodam, że ten ostatni, doszedłszy do wniosku, że z jednej strony jego pies wypełnił już na ziemi swoją powinność, z drugiej zaś, że będzie humanitarnie oszczędzić mu reumatycznych dolegliwości związanych z podeszłym wiekiem, powiesił go na sznurku do suszenia bielizny. Przez kwadrans Jupiter, pudel biały i wierny, dyndał między kalesonami a ręcznikiem.*

*Zastanawiam się, czy nie byłoby humanitarnie postąpić podobnie z panem; zaoszczędzono by panu w ten sposób młodości durnej i dziobatej. Proszę się nad tym zastanowić. Troskliwie zarzuciłbym panu na szyję solidny sznur; raz a dobrze, bez poprawek. Umarłby pan spokojnie, a ja miałbym satysfakcję, że uwolniłem Obonne od wyjątkowo wrednego gnoja.*

*Sądzę, że ma pan teraz wakacje i nie bardzo wie, co robić z czasem. Nie zamierzam nic panu doradzać w tej mierze, gdyż wolę nie tracić własnego, pisząc dłużej do najbardziej żalosnej pokraki, jaką kiedykolwiek spotkałem.*

*Uprzejmie proszę o przekazanie pańskiej matce wyrazów mojego najgłębszego szacunku i poważania.*

*Narcense*

*4. Szanowny Panie,*

*w ten uroczysty dzień narodowego święta moja matka długo płacze, bo jej powiedziałem, że chce mnie pan zamordować. Niegodziwe z pańskiej strony jest tak dręczyć moją biedną matkę.*

*Jej syn, Théo*

*PS 1. Na pewno dostaniesz cykora.*

*PS 2. Niefajny ten twój sierściuch.*

*PS 3. Zważ pan na moją dyskrecję, tym razem zaklejam kopertę swojego listu.*

*Th.*

*5. Jestem przekonany, że usunięcie pana ze świata żyjących staje się z każdym dniem coraz bardziej wskazane. Los psa Jupitera wydaje się dla pana najbardziej odpowiedni. Z całą mocą zapewniam, że nie dostanę „cykora”.*

*Dowcipy, jakie pan robi pod adresem swojej matki, przyjmuję tak, jak na to zasługują. Proszę jej powiedzieć, że ogrom mojej miłości pozwala mi wybaczyć, że poczęła podobne plugastwo jak pan.*

*Narcense*

*6. Cykor! Cykor!*

*Théo*

*PS W jednym ze swoich kretyńskich listów nazwałeś mnie samotnym fiutem. Spójrz na siebie.*

*7. Szanowny Panie,*

*w oznaczonym przez pana dniu i godzinie stawię się w lesie w Obonne, w miejscu zwanym Mygales.*

*Przyniosę sznur.*

*Narcense*

\*

Baraki z Czternastego Lipca łagodziły nieco bezład poczynań Étienne'a. Sprzedawcy obieraczek do ziemniaków ominąć nie mógł; codziennie słuchał go przez kilka sekund, nic nie widząc z powodu tłumy; potem uciekał. Dalej musiał omijać pułapki stylografii i sidła perfumerii; w końcu, umknąwszy tym wszystkim pokusom, mógł runąć mrocznymi schodami w okrutną automatyczną bramkę, gotową bezlitośnie połamać kości każdemu, kto by się nie zastosował do surowych zasad podziemnej podróży. Schody miały czterdzieści siedem stopni: tyle samo, co schody na dworcu w Obonne. Étienne właśnie dokonał tego odkrycia, a porównując je z odkryciem małych kaczuszek i sprzedawcy frytek, doszedł do wniosku, że świat jest wielki i niebezpieczny, pełen sekretów i by użyć właściwego słowa – tajemniczości. Wydało mu się niesprawiedliwe, że coś tak oczywistego jak fakt, że schody w dwóch miejscach mają taką samą liczbę stopni, mógł się przed nim ukrywać tak długo. Potem przestał o to oskarżać wszechświat.

To nie jego wina, tylko moja. Wystarczyło obrócić głowę w prawo zamiast w lewo, zrobić jeden krok więcej i odkryłem rzeczy, których nie dostrzegałem, mimo że codziennie obok nich przechodziłem. Nie odwracałem głowy; odwróciłem ją. Ale dlaczego ją odwróciłem? Zaczęło się od tych kaczuszek, małych kaczuszek, które Théo dobrze znał. Tego samego dnia, o ile dobrze pamiętam, ktoś mi zabił kota. Potem zobaczyłem lokal z frytkami, potem o mało mnie nie przejechało. Tak, tak to się zaczęło. Nagle się odmieniło, z dnia na dzień.

Sprzedawca obieraczek do kartofli wyjątkowo nie tłuł forsę. Ludzi było mniej niż zwykle, co pozwoliło Étienne'owi po wyjściu z banku zobaczyć nareszcie przyrząd i sposób, w jaki działa. Nie było to zresztą jedyne чудо, jakie sprzedawano w tej budzie; można tam było, ku zachwytowi umysłów praktycznych, nabyć również ubijacz do majonezu z małym lejkiem dawkującym krople oliwy; przyrząd do krojenia jaj na twardo w cieniutkie plasterki; narzędzie do robienia muszelek z masła, a nawet coś w rodzaju strasznie skomplikowanego wiertła, które przy bliższym poznaniu okazywało się niewątpliwie udoskonaloną wersją korkociągu. Przynajmniej Étienne tak właśnie pomyślał.

Uważnie przyjrawszy się pokazowi, nabył obieraczkę do kartofli; już na odchodnym nie oparł się urokowi przyrządu-do-krojenia-jaj-na-twardo-w-cieniutkie-plasterki i jego też kupił. Potem, uczyniwszy trzy kroki z paczką w ręce, poczuł niepokój z powodu tej nowej inicjatywy, gdyż nagle zrozumiał, że przeznaczeniem tych przedmiotów wcale nie było usprawnienie jego własnego gospodarstwa domowego; przeciwnie, „w rozumie” obieraczkę do kartofli zamierzał podarować sprzedawcy frytek, a przyrząd-do-krojenia-jaj-na-twardo-w-cieniutkie-plasterki chciał zatrzymać sobie.

To odkrycie zbiło go z tropu.

Itakse dotarł do swojej stołówki, częściowo pustej z racji soboty. Panował potworny upał. Étienne usiadł przy stole, złożył zamówienie i czekając na zjełczałego kielbisa złowionego w karburatorze, udającego sardynkę, rozwinął paczkę i zaczął się przyglądać nowym nabytkom. Tak, niewątpliwie, jeden z nich pójdzie do Blagny, a drugi zostanie w głębi szuflady. Kelnerka przyniosła ociekające tłuszczem sznurowadło wyłowione podobno u wybrzeży Bretanii; Étienne z powrotem zawinął paczkę i odważnie wziął się do przeżuwania oleistego strzępka, który mu ofiarowano jako przystawkę za przystępną, trzeba rzec, cenę. Potem kawałkiem gliniastego gluta wytarł talerz do czysta; zjadł kawałek gluta; podniósł nos i naprzeciwko siebie ujrzał młodego blondyna, który uważnie mu się przyglądał. Przypuszczalnie znał tego faceta; przypuszczenie szybko zmieniło się w pewność; znał tego młodego blondyna o lekko skrzywionych ustach i przedwczesnej łysinie. Gdzie mógł go spotkać? Nazwisko Ploute przemknęło mu przez głowę... Młody człowiek przerwał mu poszukiwania:

- Mam wrażenie, że już się kiedyś spotkaliśmy.
- Dokładnie tak sobie pomyślałem.
- A teraz co? – spytała kelnerka.
- Dla mnie flaki – powiedział Étienne.

Potworne, pomyślał tamten i zamówił befsztyk z frytkami. A zwracając się do Étienne'a:

– Już sobie przypomniałem. O mało nie przejechałem pana taksówką jakieś dwa tygodnie temu nieopodal Dworca Północnego, a potem razem odbyliśmy podróż do Obonne.

– Otóż to, otóż to! – wykrzyknął Étienne, rad, że spotkał nieświadomego uczestnika swojej przemiany. Dlaczego uczestnika? Nie wie; tak jak nie wie, że tamten był również ważnym i czujnym obserwatorem, który tegoż dnia spostrzegł jego niedawno osiągniętą trójwymiarowość. Oczywiście tamten zachowuje to dla siebie. Przedstawia się:

– Piotr Wielki.

I o mało się nie dławi, patrząc, jak kelnerka podsuwa Étienne’owi pod nos talerz z flakami, gdyż zna tylko małe bistra, gdzie się jada gęsią wątróbkę. Sam dostaje najstraszniejszą podeszwę, jaka kiedykolwiek pojawiła się w koszmarnych snach neurotycznego szewca; dodano do niej kilka szczypt węgla drzewnego. Dopiero po pewnym czasie dochodzi do niego, że całość nosi miano befsztyka z frytkami. Do tego odór tych wieprzowych flaków. Pyta:

– Często pan tu bywa?

– Tak, codziennie.

– Podoba się tu panu?

– Może być, a przede wszystkim na moją kieszeń.

Prawda. Akurat o tym nie pomyślał. Ale i tak straszne świństwo!

– A jak się miewają państwo Ploute? – zapytał Étienne.

– Bardzo dobrze, dziękuję – odpowiada Piotr, który już zdążył zapomnieć o swoich tworach.

– Dalej co jakiś czas odwiedza pan Obonne?

– Nie byłem tam od ostatniego razu.

– Aha – mówi Étienne.

Piotr, który postanowił nie obrabiać węgla, zamawia jogurt; Étienne smażonego banana.

– Bardzo pomysłowe te przyrządy, prawda? – mówi niewinnym głosem Piotr.

– Owszem, bardzo pomysłowe. I bardzo praktyczne – odpowiada Étienne z rezerwą.

– Bardzo zabawne są takie drobne wynalazki. Na wystawie Concours Lépine można zobaczyć bardzo ciekawe.

– Nigdy tam nie byłem.

Można tam zobaczyć to i tamto, i jeszcze to, opowiada Piotr. Étienne słucha z zachwytem. Oto człowiek, który umie patrzeć; taki nie przechodziłby przez trzy lata obok kaczuszek, nie zauważając ich. Choćby ta restauracja, przychodzi tutaj od trzech lat i pewnie wcale nie widział tego, co powinien widzieć. A on, Piotr Wielki, może to zobaczyć, na pewno zobaczył.

– Na ostatniej wystawie – ciągnie Piotr z coraz większym zapalem – były rękawiczki z bibuły dla księgowych i literatów...

– A tutaj zauważył pan coś? – przerywa Étienne.

– Czy coś zauważyłem...?

– Tak, czy zauważył pan coś tutaj, w tej restauracji?

Pochyla się, patrzy na niego uważnie. Czeka.

Piotr rozgląda się wokół siebie. Nic nie zauważa. Nic. Czuje, że powinien coś zauważyć; że od tego zależy wszystko. Mija długie pół minuty.

– Nic pan nie zauważa? – pyta znowu Étienne niespokojnie.

Piotr sztywnieje, prostuje się. Te wbite w niego oczy. Jego własna twarz też pewnie skamieniała. Jeśli niczego nie zauważę... minęło co najmniej dziesięć sekund ciszy.

– Więc nic pan nie widzi? – pyta Étienne, a jego niepokój zamienia się w rozpacz. Skrobie obrus, wygląda, jakby zaraz miał zacząć krzyczeć.

Mija następna sekunda i Piotr nachyla się nad uchem Étienne'a.

Ernestyna z włosami opadającymi na nos przeciera ścierką stoły, wzdłuż i wszerz. Okruchy chleba i kawałki frytek spadają na cement; plamy po winie rozmazują się; oczyściwszy jeden stolik, Ernestyna przechodzi do następnego. Od czasu do czasu przystaje, dmucha we włosy i wyciera czoło. Mimo przeciągu jest potwornie gorąco. Pod budą z blachy falistej wszystko przypieka się równo. Muchy brzęczą; kilka z nich atakuje Ernestynę, a ona opędza się łokciem. Tylko jeden stolik jest zajęty przez grupkę robotników z fabryki produktów chemicznych. W drugim kącie pan Belhôtel wyciąga korek z flaszki za pomocą pętelki; co zrobiwszy, siada przy pustym stoliku, nadstawia ucha. Z pięciu obecnych dwóch zna z nazwiska, dwóch tylko z widzenia, z roztargnioną miną uważnie przypatruje się piątemu.

Obok pojemnika na frytki pani Belhôtel i pani Cloche grają w belotkę; bez przekonania jednak. Drzemią w oczekiwaniu. Powoli opróżniają butelkę cointreau. Karty się lepia. Mucha przyklejona do dna szklanki próbuje się uwolnić z kleistej substancji miło lechcącej żołądek pani Cloche; już prawie jej się udaje, kiedy rozgniała ją paluch z żalobną obwódką; pani Belhôtel tak zabija czas.



Powiał lekki wiaterek i raz po raz przynosi teraz do baraku kwaśny cukierkowy obłok, pokrywając warstwą kurzu stoliki aż do piątego rzędu. Jest ich piętnaście, z przejściem pośrodku. Ernestyna lekceważy kurz i idzie obrać fasolkę. Ojciec Taupe wchodzi chwiejnym krokiem i zamawia dla siebie samego litr białego wina. Kiedy Ernestyna podaje, ojciec Taupe pozwala sobie na precyzyjne śmiałe dotknięcia, podskakuje zadowolony na swojej ławie i chichocze. Jest drobnym rentierem; legenda mówi, że miał kiedyś jakieś zasoby; teraz mieszka w nędznej lepiance na tyłach fabryki produktów chemicznych. Bieda i brud zakonserwowały go. Żyje ze zbierania szmat i staroci. Pięciu robotników odchodzi. Ojciec Taupe, wypiwszy połowę butelki, zasnął i chrapie. Przejeżdża pośpieszny, wprawiając w drżenie żle umocowane blachy. Jedna z kobiet bez przekonania zapowiada bzatu. Dominique Belhôtel ziewa. Chmura kurzu dociera aż do siódmego rzędu; za nią wchodzi Étienne.

Trochę trwa, zanim sytuacja zostaje rozpoznana; po rozpoznaniu ruszają do ataku. Cel: Étienne.

– Bardzo nam miło pana widzieć – uroczyście oświadcza Belhôtel; obie kobiety kiwają głowami. – Ernestyna! Migiem do miasta i kup butelkę musującego za sześć osiemdziesiąt pięć.

Ernestyna znika, przemijając z wiatrem.

Wtedy wszyscy troje zaczynają jednocześnie mówić, przekrzykując się: „Nazywa się pan Marcel, co nie? Ma pan syna imieniem Théo? I mieszka w Obonne?”. Étienne nie wie, jak odpowiedzieć na tyle niedyskretnych pytań.

– To poważne, bardzo poważne – mówi pani Cloche, która przejmuje śledztwo. – Jeśli naprawdę nazywa się pan Marcel i ma syna imieniem Théo, i mieszka w Obonne, to mam panu coś bardzo ważnego do powiedzenia.

– W takim razie słucham. Nazywam się Étienne Marcel i mam syna imieniem Théo. Tak naprawdę to syn mojej żony i ma na nazwisko Nautile, ale zawsze mówimy Marcel. I mieszkam w Obonne.

– Zna pan niejakiego pana Narcense? Muzyk, koło trzydziestki, tęgawy brunet, niezbyt wysoki...

Étienne zastanawia się; nie, nie zna.

– Pewny pan jest? – Pani Cloche nie odpuszcza. – Brunet z blizną na czole.

Coś niesamowitego! Przecież to facet, który przed chwilą siedział za nim w restauracji; ten, o którym Piotr Wielki powiedział: „Pewnego dnia pozna go pan, może niedługo”; a on, Étienne, myślał, że sobie robi jaja.

– Tak, znam go.

– W takim razie – zapada wielka cisza; pani Cloche rozgląda się dokoła – dziś wieczorem ten człowiek powiesi pańskiego syna.

Étienne śmieje się przez dłuższą chwilę. Państwo Belhôtel i matka Cloche, zgorzeleni, krzyczą:

– To najprawdziwsza prawda, to straszne, wstrętne i potworne!

Étienne’ a zaczyna ogarniać niepokój, ale uspokaja się; pani Cloche wszystko opowiada.

– Jak się tego dowiedziałam. Mam brata, jest konsjerżem przy bulwarze Nieznanego Oficera. Kamienica jest wielka i tylko jeden lokator.

– Coś takiego.

– Ale to inna historia. Ten lokator nazywa się Narcense. Pewnego dnia, coś z tydzień temu, może więcej, idę sobie do brata, nazywa się Saturnin; tak sobie gadamy i on mi mówi: Wiesz, jakiś Théo pisze do mojego lokatora, żeby przestał pisać do jakiejś Alberty, która jest żoną tego Théo, tak myślę, mówi. Potem zobaczył, że palnął głupstwo. I że Alberta to mamuska tego Théo. Bo potem były inne listy od tego Théo, rozumi pan? Zaraz w pierwszym pisał, że pan Narcense pobrudził furtkę jego ojczyma, co przecie okropnie dziwne, a potem obrażał nieboszczkę babkę pana Narcense’a, który właśnie wrócił z pogrzebu tej babki. Po drugim, co go napisał, zrozumieliśmy, że to syn tej pani Alberty. Mówił, że tamten chce go zamordować. Potem napisał do pana Narcense’a, że z niego cykor. A dziś rano poszłam do brata mojego, Saturnina, miał list od tego Théo i pisało: „Niech pan przyniesie sznur, żeby mnie powiesić dzisiaj o północy w miejscu zwanym Mygales, w lesie Obonne”. Podpisane: Théo Marcel. Tak żem pomyślała, że to pańskie nazwisko i że ludzie rzadko tak się nazywają, i że musi pan mieszkać przy tej linii. Więc żem se pomyślała, żeby pana uprzedzić. Jak by pan nie zaszedł, tobym sama poszła powiedzieć. Zresztą co tu gadać, mój brat też by poszedł; bo my to bardzo dobrze znamy Mygales i Obonne, i las, i okolicę. Z nieboszczykiem mężem nieraz tam szliśmy sobie na przechadzkę, całą bandą, z Saturninem i tym tutaj Dominikiem.

Opowieść wprawia Étienne’a w osłupienie. Najpierw chce spytać panią Cloche, jak to się dzieje, że jej brat czyta listy swojego lokatora; potem wywoływanie dyskusji na ten temat wydaje mu się niepotrzebne. Swoją drogą, co to wszystko właściwie znaczy? Można zrozumieć tyle, że Théo chce, żeby go powiesił ten facet z blizną i że ten facet pisał do Alberty. Étienne nie bardzo rozumie, co właściwie zaszło. Trio patrzy, jak myśli.

Prosi panią Cloche, żeby powtórzyła; ona z łatwością się godzi i zaczyna wszystko od nowa. Więc Théo napisał do Narcense'a, bo tak się nazywa ten człowiek z blizną, żeby przestał pisać do Alberty, że Alberta drze jego listy i że byłoby lepiej, gdyby pisał wprost do niego. To też nie bardzo jasne. Potem napisał mu, że poplamił furtkę. Étienne wcale tego nie zauważył. I obraża babkę nieboszczkę Narcense'a. Wszystko bez sensu. Potem utrzymuje, że tamten chce go zamordować i że z niego cykor. Na koniec wyznacza mu spotkanie, żeby go powiesił. Przecież to całkiem idiotyczne.

Pani Cloche skończyła swą drugą opowieść; jest gotowa zacząć jeszcze raz. Lecz ojciec Taupe właśnie się obudził.

– Ernestynko! Nestyneczko! – bełkocze; widząc, że nikt nie odpowiada, kończy swój literek. – Dobry wieczór panu – mówi do Étienne'a. Śpiewa:

*Bo snem najpiękniejszym jest miłość bez końca*

*Którą śnimy na brzegu*

*O zachodzie słońca.*

Ernestyna powraca z musującym winem; kiedy wchodzi w zasięg jego ręki, ojciec Taupe klepie ją w pośladek. Młaszcze:

*Głos jakiś upojny*

*Z kołysaniem fali...*

Teraz nie sposób poważnie rozmawiać.

*...śpiwnie się serce żali.*

Étienne wstaje.

– A co z winem? – krzyczy Belhôtel. – Chyba napije się pan musującego?

– Nie mam czasu – mówi Étienne. – I zachowajcie to wszystko dla siebie. Przyrzekacie?

– Przyrzekamy – obiecuje trio.

– Sam to załatwię.

– A opowie pan, jak było?

Étienne obiecuje wrócić. Ach! Byłby zapomniał.

– Proszę, panie Belhôtel, mam dla pana mały prezent.

Podaje mu obieraczkę do ziemniaków; przez chwilę się waha, czy nie podarować pani Cloche przyrządu-do-krojenia-jaj-w-cienkie-plasterki; nie, wspaniałomyślności starcza mu tylko na jeden przyrząd.

– Żegnajcie! – krzyczy.

Przy wyjściu chmura kurzu nieomal go dusi. Słyszy drżący starczy głos: *Na brzegach Riwiery...* Przejeżdża pociąg towarowy, nieskończenie długi.

Étienne z radością myśli o ponownym spotkaniu Piotra.

W baraku trio z uwagą wpatruje się w obieraczkę do ziemniaków ofiarowaną przez pana Marcela. Ernestyna bezwstydnie poprawia pończochę na udzie; ma różowe podwiązki na malutkie czarne zapinki i szklany kluczyk na okrasę. Ojcu Taupe'owi krew napływa do oczu.

Kurz gęstnieje; much coraz więcej; dwaj Arabowie weszli cicho i usiedli przy drzwiach. Drzemią. Stos fasoli maleje. Obieraczka do ziemniaków tkwi na stole, wbita w cynk tępymi spojrzzeniami.

\*

Po wyjściu z knajpy Piotr zabrał Narcense'a na małą przejażdżkę samochodem w dolinę Chevreuse. Z Paryża na wieś wylewały się tysiące aut. Drogi były nieprzejezdne. W Jouy przepuścili weekendową falę; Narcense powiedział, że jest wolny do jakiejś dziesiątej; od obiadu nie rozstawał się z małą walizką, której zawartość osobliwie ciekawiła jego towarzysza.

– A co z tym człowiekiem, którego pan obserwował? – zapytał.

– Stał się kimś.

– A przedtem?

– Przedtem był bytem płaskim.

– Rzeczywiście? – powiedział łagodnie Narcense.

Piotr na chwilę zamilkł, potem podjął:

– Przed chwilą siedział ze mną w restauracji – mówi Piotr. – Myślał, że jest coś godnego uwagi do zauważenia, jeśli można tak powiedzieć, w tym podłym miejscu. Niczego nie zauważyłem, ale zobaczyłem pana. Powiedziałem mu, że wy dwaj niedługo się poznacie.

– Prorok?

– Animator, wystarczy, że was sobie przedstawię.

– Jeśli zechcę – powiedział łagodnie Narcense.

Piotr na chwilę zamilkł, potem podjął:

– Nie był zadowolony z mojej wypowiedzi. Gwałtownie odszedł, bardzo rozczarowany. Tak, rozczarowałem go. Chciał dostać cud prosty, a ja mu dałem skomplikowany.

– Dziękuję – powiedział łagodnie Narcense.

Piotr na chwilę zamilkł, potem podjął:

– Kiedy pana pozna, zrozumie, że zauważyłem jedyną rzecz godną uwagi: wasze spotkanie. Zapomniałem panu powiedzieć: podobnie jak ja, nazywa się tak samo jak postać historyczna: Étienne Marcel. Mieszka w Obonne, żonaty, ojciec rodziny, pracuje w Biurze Rachunkowym.

Narcense: Co gwarantuje, że można panu ufać?

Piotr się śmieje: Mój cynizm.

Narcense: Bardzo niejasne. Czy potrafi się pan powstrzymać?

Piotr: Bardzo niejasne.

Narcense: Od interwencji. Jeśli pana poproszę.

Na to Piotr: Tak.

Na to Narcense: Dziś w nocy zamierzam zabić syna tego pańskiego eksplaskiego osobnika, a raczej zamierzam spowodować jego samobójstwo.

– Co proszę?

– Chyba jasne: zamierzam spowodować samobójstwo młodego Théo Marcela.

– Spowoduje pan samobójstwo jego syna?

– Zamierza mi pan w tym przeszkodzić?

– Ależ skąd, ależ skąd. Ale dlaczego samobójstwo?

– Dlaczego? Obraził moją babkę.

Jeśli Piotr stracił dzień z Étienne'em, wygrał go z Narcense'em. Sto, tysiąc razy. Chociaż jeszcze nie może uwierzyć:

– Wolne żarty!

– Żarty! Żarty!

Narcense zaczyna po cichu przeklinać; ma bogaty repertuar, przeklina przez dobre pięć minut, potem podejmuje:

– Ostatnio miałem nieboszczyków pod dostatkiem. Gdyby pan wiedział. Najpierw mój przyjaciel Potice, co go rozjechało niedaleko Dworca Północnego. Chyba autobus. Musiał pan czytać w gazetach. Ludzie mówili, że mózg się rozprysł po ziemi. Pan sobie wyobraża? A mojej babki jeszcze nie włożyli do trumny, zanim przyjechałem. Leżała na łóżku z tą idiotyczną przepaską pod brodą. Miała osiemdziesiąt siedem lat. Zupełnie jakby wyciosana z drewna, taki bretoński dziadek do orzechów, jakie sprzedają w Saint-Malo. Bardzo proste. W czasie pogrzebu doszło do absurdałnego wydarzenia: pies mojego wuja wpadł do dołu wykopanego na trumnę. Mój wuj parsknął śmiechem, ale nazajutrz, kiedy wyszedłem na podwórko, zobaczyłem psa powieszonoego razem z bielizną. Był śmieszny, żalony i oczywiście martwy.

– Powiesić psa?

– Tak, czyż to nie dziwaczne? Powiem panu, mój wuj jest bogaty, okrutny jak zwierzę i tępy na umyśle. W naszej rodzinie wszyscy są tacy: inny wuj, równie bogaty, okrutny i tępy, daje mi dach nad głową w luksusowej kamienicy, ale pozwala, żebym gnił w nędzy.

– Nie sądzi pan – mówi Piotr – że bardziej właściwe byłoby powiesić jego zamiast syna pana Marcela?

– Trzeba się zastanowić – odparł Narcense. – Rozumie pan, nie mogę upiec dwóch pieczeni na jednym ogniu.

– I uparcie pan utrzymuje, że ten chłopiec popełni samobójstwo, bo obraził pańską babkę?

– Dość tego! – mówi brutalnie Narcense.

I znowu zaczyna po cichu przeklinać.

– O jedenastej – podjął – wysiadam w Blagny. Idę pieszo do miejsca zwanego Mygales, w lesie Obonne. Chłopak zjawi się o północy.

– Jest pan pewien, że przyjdzie? – pyta Piotr.

– Tak. Absolutnie pewien. Pięć minut po północy, może dziesięć czy piętnaście, albo chłopak się powiesi, albo ja go powieszę. Na tym sznurze.

Ruchem podbródka wskazuje walizkę pozostawioną w samochodzie.

Piotr patrzy na niego sceptycznie i z podziwem. Bardzo by chciał uczestniczyć w tej grze; ani przez chwilę nie wierzy w realność tego projektu.

– Jeśli pan chce, mogę pana podwieźć niedaleko miejsca, o którym pan mówi. Zaczekam na pana. To panu ułatwi wiele spraw.

Propozycja podoba się rozmówcy, który uwielbia przejażdżki autem.

– Bardzo miło z pańskiej strony – mówi łagodnie. – Bardzo dziękuję.

– Nie ma za co, nie ma za co.

Milkną. Dochodzi siódma. Na cichym placyku od czasu do czasu pojawia się tubylec. Samochód śpi spokojnie przy chodniku. W oddali słychać, jak żyje szosa.

– W nawiązaniu do naszej poprzedniej rozmowy – mówi Piotr – wydaje mi się, że woli pan szczegółów od ogółu, to, co jednostkowe, od tego, co uniwersalne. Kieruje się pan emocjami, które przedkłada pan nad metodę rozumową, jak sądzę.

– Tak, właśnie tak. Wolę to, co istnieje, od tego, co nie istnieje.

– Przedstawię panu swojego brata, zainteresuje pana.

– Tak? A dlaczego?

– Jest kantorystą – odparł Piotr.



Saturnin bierze wielki myśliwski nóż po dziadku, wkłada do kieszeni i mówi: – No, to jestem gotów. – Całuje żonę, która mówi: – Łaskoczesz mnie tą sztuczną brodą. – Mówi jej: – Nic się nie bój. Jak przyjdzie jego ojciec, nie wkroczę do akcji; jak nie, sam wszystko załatwię. – Mówi mu: – Tylko się nie przezięb, noce są chłodne. – Saturnin ubrał się wobec tego. Poprawia brodę. W drogę. Przychodzi dokładnie na pociąg o 9.31. Pora jest późna i ludzi mało. W przedziale trzeciej klasy jest jedynym pasażerem. Zagląda przez okienko do sąsiednich przedziałów; żywego ducha. Pociąg jest osobowy i rozpaczliwie się wleczę; Saturnin czyści sobie paznokcie nożem myśliwskim. Potem wyjmuje z kieszeni ogryzek ołówka i pisze w małym notesiku: „Piąta część do usunięcia”. Podkreśla; a niżej: „W przypisie dodać: Kartezjusz; ciekawe, dlaczego w kawiarni gracze często wołają tak na kelnera”. Przez chwilę ssie ołówek, przekreśla to, co właśnie napisał, i niżej: „Ciekawe, dlaczego w kawiarniach gracze tak często wołają na kelnera Kartezjusz”. Zastępuje „tak często” przez „zawsze”; i zamyka notes.

Pociąg przecina niedoświetlone przedmieścia. Saturnin próbuje rozpoznać krajobraz w świetle lamp tyleż słabych, co rzadkich. Liczba świateł wzrasta; pociąg staje. Błagny. To tutaj mieszka ten gnojek, mój brat, myśli Saturnin; ale ledwo to pomyślał, spostrzega na peronie dworca panią Cloche, swoją siostrę. Zapominając o sztucznej brodzie, cofa głowę, żeby się schować, i wpada we wściekłość. Do czego znowu to krówsko Sydonia się miesza? Chyba nie zamierza jechać do Mygales?

Saturnin próbuje zgadnąć, co chce zrobić jego siostra, i w miarę potrzeby przeszkodzić jej w tym. Stacje mijają. Nic nie przychodzi mu do głowy. Blagny. Następna stacja Obonne. Saturnin z roztargnieniem patrzy w okno. Pociąg znowu rusza. W tym momencie Saturnin widzi starą kobietę kierującą się w stronę wyjścia. Zbija go to z tropu. Dlaczego ona tutaj wysiada? Pomyliła stacje? Nie wie, co myśleć. Czyżby zamierzała iść pieszo z Blagny do Mygales? Raczej nieprawdopodobne. A jednak... Pani Cloche niepokoi swego brata.

W końcu pociąg dociera do Obonne. Nieliczni pasażerowie wysiadają. Narcense'a nie widać. W Blagny też go nie było. Saturnin jest tego pewien. Cholera. Czyżby to był rzeczywiście żart, jak sądzi jego żona? Jedenasta godzina; dochodzi do wniosku, że może sobie coś strzelić na wzmocnienie, jak to nazywa w myślach. Ale wszystkie lokale są już zamknięte. Trudno; kieruje się w stronę lasu, drogę zna dobrze, gdyż wiele razy jeździł tam z rodziną na piknik. Idzie po ciemku pewnym krokiem. Dość szybko zatrzymuje go światło sączące się przez brudną szybę. Nie ma mowy o pomyłce, jedno bistro jest jeszcze otwarte. Saturnin naciska klamkę, popycha drzwi i wchodzi przy dźwięku dzwoneczka. Dwaj śpiący mężczyźni gwałtownie podskakują; włochaty skundlony czworonóg szczeka z takim jazgotem, że łamie mu się głos. Jeden z mężczyzn każe mu się zamknąć; drugi osobnik, jak się zdaje, wydobyty z odmętów alkoholicznej drzemki zaczyna gorączkowo recytować: – Prawdziwi marynarze są tylko w Bretanii! Ta, ta, prawdziwi marynarze są tylko w Bretanii.

– Stul gębę – mówi właściciel. – Co podać, brodaczu?

– Rum – odpowiada Saturnin.

– Nazywam się Yves Le Toltec! – wrzeszczy marynarz.

– A ja nie – odpowiada uprzejmie Saturnin.

– A to dobre! – zachłystuje się właściciel. – Też to wypróbuję.

– Przecież masz co golić – zauważa marynarz, nie podejrzewając, jak bliski jest prawdy.

Saturnin, speszony, pochłania swój rum.

– Jeszcze jeden – zamawia. – I kolejka.

– Na pokład! – odpowiada właściciel. (Tego powiedzonka nauczył się od marynarza.)

Yves Le Toltec wciąga alkohol jak odkurzacz, ociera wąsiska i pieje na całe gardło:

– Cztery razy zem się topił, tak, pszepana, cztery razy. Największy cyrk był u wybrzeży Singapuru. Bałagan jak cholera! Pasażerowie się rozdeptywali, żeby się dostać do łodzi. Kapitan stał z rewolwerem w ręce i pif-paf!, strzelał w łeb tym, co się pchali do łodzi ratunkowych przed kobietami. Tak, pszepana, pif-paf, kula w łeb!

Saturnin słucha. Właściciel knajpy ziewa.

– Zara zamykam. Jest za dwadzieścia. Będzie za piętnaście dwunasta, to zamykam.

– Za dwadzieścia! Cholera jasna! – Saturnin rzuca sto su w banknocie na kontuar i wybiega co sił w nogach.

– To ci historia – mówi marynarz.

– Tak, podejrzanе facety włóczę się tu ostatnio. Brzydko mi to pachnie. Tak jak tamten, co przyszedł miesiąc temu. Coś się szykuje.

Marynarz czka potakująco.

– Tak jak ten chłopaczek ze zrujnowanego domu: dwa razy widziałem, jak się wślizguje do tej Pigeonnier.

– Zgnilizna i zepsucie! Deprawować dzieciaka, co w zeszłym roku latał w krótkich majtkach! Trza powiedzieć jego rodzicom.

– Ale tam! Jego ojciec to przygłup. Zresztą co mie to obchodzi. No, Yves, zmywaj sie. Ide spać.

Marynarz wstaje chwiejnie, przez chwilę wisi na drzwiach, a potem rozplywa się w mroku.

Théo przysięga, że za nic nie pójdzie do Mygales, całuje matkę i idzie do łóżka. Étienne bierze kapelusz; jest 11.30.

– Zdążę dokładnie w samą porę.

Alberta wyciera oczy; płakała przez cały wieczór. Na widok wychodzącego Étienne’a ogarnia ją strach.

– Nie możesz przecież iść ze mną. Słuchaj, nie masz się czego bać. A mnie nic nie grozi. Nie, nie masz się czego bać.

Alberta wzdycha.

– Jeszcze się spóźnię – mówi Étienne.

– To idź – mówi Alberta.

Zamyka wszystkie drzwi na klucz, nawet furtkę, chociaż dobrze wie, że łatwo można przeskoczyć przez siatkę. Jeszcze się spóźni. Przyspiesza kroku. Rusza skrótem, małą ścieżką pełną śmieci. Miażdży skorupy talerzy, trąca puszek od konserw, które toczą się z brzękiem.

Księżyc niemrawo oświetla pejzaż złożony z kurników i grządek porów. W końcu Étienne dociera na skraj lasu.

Kościelny dzwon w miasteczku wybił północ.

Mygales ścieżką w lewo. „Spóźnię się dziesięć minut”. Na szczęście ścieżka jest dobrze widoczna. Rozmaite owady krążą w aureoli elektrycznej lampki. A dokładniej w uszach Étienne’a brzęczą komary. Dochodzi do krzyżówki z drogą do Pourvy. Miejsce zwane Mygales znajduje się nieco dalej; pośrodku stoi wielki dąb otoczony ławką. Étienne z końca ścieżki widzi twardą krótką trawę leśnej przecinki oświetlonej księżycem. Przybywszy na miejsce, szuka Narcense’a. Podchodzi do ławki, nikogo; obchodzi dokoła, nikogo. Potem podnosi nos i widzi faceta pokazującego mu podeszwy butów; Étienne przerażony zastyga bez ruchu. Facet jeszcze się kołysze.

W tej samej chwili słychać pośpieszny galop; wyłania się dziwny osobnik, wielki i brodaty, ale broda rośnie mu jakoś dziwnie, tylko na lewym policzku i prostopadle doń.

Dociera do stuletniego drzewa i nagle hamuje. Ciężko dyszy. Patrzy na Étienne'a:

– Narcense?

Étienne unosi podbródek.

– Ojej – mówi dziwny osobnik z poziomą brodą.

Étienne nie może się nadziwić, jak broda może rosnąć tak osobliwie.

– Niech mnie pan posadzi.

Brodacz staje na splecionych dłoniach Étienne'a, który wdrapał się na ławkę; udaje mu się dosięgnąć najniższej gałęzi dębu; wspina się; włązi na nią; sięga sznura; wyjmuje nóż, myśliwski nóż po dziadku; przecina sznur i Narcense spada na ziemię jak kłoda; jeśli jeszcze żyje, musiało go bardzo zboleć. Étienne się ocknął i szybko rozplątuje pętlę; brodacze błyskawicznie zsuwa się z drzewa i zabiera do Narcense'a, masuje mu gardło, rytmicznie porusza jego ramionami. Étienne przypatruje się z ciekawością. Nie może oderwać wzroku od bliźny; to tego właśnie człowieka pokazał mu Piotr w restauracji. Narcense zaczyna oddychać, jest uratowany.

– Jest uratowany – mówi brodacze.

Narcense otwiera oczy.

– Gdzie jestem? – pyta, próbując w znany sposób nawiązać rozmowę; nagle jednak zmienia plany i traci przytomność.

– Co z nim zrobimy? – pyta brodacze.

Na co Étienne:

– Zabierzemy go do mnie.

– Pan się nazywa Étienne Marcel?

– Tak, tak. Skąd pan wie?

– A ja się nazywam Saturnin Belhôtel.

– No, no – mówi Étienne. – Bardzo miło pana poznać. Pańska siostra opowiadała mi o panu i...

– Moja siostra to stara głupia krowa – przerywa Saturnin. – Co, bierzemy go?

- Tak, tak – mówi. – Zaniesiemy go do mnie.
- Jeden bierze za głowę, drugi za nogi.
- Pójdę przodem – mówi Étienne. – Znam drogę.
- Po chwili:
- Czyli czyta pan listy swoich lokatorów?
- Och, mam tylko jednego, dużo czasu mi to nie zajmuje.
- Chwilę odpoczywają; Narcense spokojnie śpi.
- Co to za jeden? – pyta Étienne.
- Narcense, mój lokator.
- Wiek?
- Trzydzieści cztery lata.
- Zawód?
- Muzyk.
- Narodowość?
- Francuska.
- Ojciec?
- Nie żyje.
- Matka?
- Zmarła.
- Wykształcenie?
- Liceum humanistyczne.
- Wzrost?
- Metr siedemdziesiąt jeden.
- Waga?
- Siedemdziesiąt pięć kilo.
- Obwód klatki piersiowej?
- Osiemdziesiąt siedem centymetrów.
- Ho, ho – mówi Étienne. – Zamieszkały?
- Bulwar Nieznanego Oficera 8.
- Środki utrzymania?
- Gra na saksofonie w nocnych lokalach, aktualnie bezrobotny.

– Ważne wydarzenia w życiu?

– Dzieciństwo: świnka, różyczka, szkarlatyna. Pierwsza komunia.

Gorączka tyfusowa.

– Okres dojrzewania?

– Okres dojrzewania: ślepa kiszka, egzema, czyraki. Mała matura.

Podróż do Marcheville, do babki. Zastrzał. Duża matura.

Konserwatorium. Upadek na głowę. Blizna.

– A potem?

– Potem: służba wojskowa; muzyk w 167. regimencie; rzeźączka.

Druga rzeźączka. Cudzołóstwo (żona dobosza). Zwolniony ze służby

wojskowej. Pisze muzykę. Nie je. Głód, głód i głód. Gra na saksofonie

w nocnych lokalach. Kobiety, kobiety i kobiety. Kryzys; bezrobocie.

Saksofon się kończy.

– Niesiemy go do mnie?

Dwaj mężczyźni ruszają dalej. Często przystają, bo Étienne, niezbyt krzepki, szybko się męczy. Narcense śpi.

Po dwóch długich godzinach marszu dochodzą do niewielkiej furtki.

Zachodzący księżyc rysuje kontury domu w budowie. Podczas gdy

Étienne skrzypi drzwiami, Saturnin podtrzymuje Narcense'a pod ścianą.

– Wie pan, że to, co mówią o wisielcach, to jednak prawda.

– Co takiego? – pyta Étienne.

– Te męskie sprawy.

– Ale dziwne – mówi Étienne.

Trzeba otworzyć jeszcze jedne drzwi.

Przybiega Alberta. Widać, że przez cały czas płakała. Teraz przygląda się ciekawie.

– Gdzie go położymy?

Oczywiście w łóżku Théo; nie ma innego wyjścia. Théo prześpi się w jadalni. A Saturnin? Saturnin też.

– Zapomniałem ci przedstawić, pan Saturnin Belhôtel.

– Bardzo panu dziękuję – mówi Alberta.

– Nie ma za co.

Ulokowany w fotelu Narcense uporczywie śpi. No to trzeba go położyć w łóżku Théo. Étienne otwiera drzwi do pokoju chłopca. Cicho woła: „Théo”; nikt nie odpowiada; w ciemności widać puste łóżko. I otwarte okno.

– Tak czy inaczej, położymy go tutaj – mówi Étienne.

\*

Po tygodniu bezowocnego warowania naprzeciw Dworca Północnego pani Cloche, wdowa (Sydonia, z domu Belhôtel), porzuciła nadzieję, że jeszcze kogoś rozjadą. Natychmiast też popadła w przepastną apatię, z której nie mogły jej wydobyć ani chartreuse, ani perypetie zawodowe.

Dlatego nie chciała, żeby umknęła jej wielce tragiczna scena mająca się rozegrać w Mygales. Była przekonana, że gdyby nie uprzedziła w porę pana Marcela, mogłaby zobaczyć, jak kogoś naprawdę wieszają (ani przez chwilę nie wątpiła w prawdziwość groźby Narcense’a); przyrzekła jednak Saturninowi, że powiadomi o wszystkim pana Marcela, zresztą Saturnin miał tam być. Obecność Saturnina trochę ją krępowała. Postanowiła zatem wysiąść w Blagny zamiast w Obonne. Znała okolicę, bo dwukrotnie przysłużyła się pewnej mieszkance Obonne, pani Pigeonnier, i nieraz jeździła tam na piknik ze swoim nieboszczykiem mężem i z bratem. Saturnina postanowiła mieć w nosie, a o obietnicy złożonej Étienne’owi wcale już nie myślała.

W Blagny szybko i dokładnie zorientowała się w terenie; trzeba iść drogą, przy której stoi merostwo; w ten sposób dojdzie do skrzyżowania; tam, jak pamiętała, jest tablica wskazująca drogę do Mygales.

Wszystko szło dobrze do skraju lasu; przed czarną, wyrosłą nagle masą poczuła jednak strach. Nie myślała, że w lesie będzie czarno; droga zmieniła się nagle w rodzaj tunelu ciemnego choć oko wykol.



Pani Cloche przysiadła na pniu, stanowczo zdecydowana zrobić w tył zwrot. Ale droga za nią wiła się między polami tak szorstka i nieprzyjazna, że ogarnęło ją przerażenie. Wyobraziła sobie, co się jej może przytrafić: jakiś włóczęga może ją zgwałcić, jakiś złodziej zabić, jakiś pies ugryźć, jakiś byk rozplatać; dwóch włóczęgów może ją zgwałcić, trzech złodziei zabić, cztery psy pokąsać, pięć byków rozplatać; siedmiu włóczęgów może ją pokąsać, ośmiu złodziei rozplatać, dziewięć psów zabić, dziesięć byków zgwałcić. Włochata gąsienica może wpaść za kołnierz, nietoperz prosto do ucha zrobić hu! hu!, nocny ptak wydziobać oczy i zostawić puste dziury. Trup pośrodku drogi; zjawa chwytająca za rękę; kościotrup jedzący kromkę chleba.

Ten ostatni pomysł wprowadził ją w lekkie drzenie; lecz jego absurdalność uspokoiła ją. To wszystko bzdurnapudy, strachynalachy, wymyślonoślane, płoszogłupki, przykipatyki, limerdyki, kalambzdury, pękatecykory, i tyle! – rzekła sobie.

W kościele w miasteczku wybiła północ. Policzywszy dwanaście uderzeń, pani Cloche po prostu się na siebie wściekła; stara idiotka wszystko zepsuła. Głupia jak but. Stała tak pogrążona w myślach, kiedy na ścieżce zarysowała się jakaś sylwetka; ktoś nadchodził. Zerwała się na nogi tak zwinnie, jak tylko mogła, i zagłębiła w las.

Panowała tam prawie nieprzenikniona ciemność. Pani Cloche potykała się o wzniesienia, wpadała na drzewa, drapała o kolczaste krzewy. Jej kapelusz zawisł na gałęzi i tam pozostał. Szła przed siebie, zataczała się, raniąc sobie ręce, siniacząc czoło, wyrывая włosy. Trwało to i trwało, niemiłosiernie długo. W końcu ujrzała smugę światła. Wyprostowała się; droga jakby pojaśniała. Dochodziła do rozstajów.

Miała szczęście – tablicę wskazującą drogę do Mygales oświetlał promień księżycy; uradowana, ponownie zagłębiła się w ciemny tunel ścieżki i poszła przed siebie, wpadając na drzewa, kalecząc się o krzaki jeżyn, raniąc o gałęzie. I znowu czas dłużył się jej niemiłosiernie. I znowu ujrzała smugę światła.

Z rozczochranymi włosami, pokrwawionymi rękami, czołem w guzach, przekrwionymi oczami, podrapanymi policzkami, w podartym ubraniu, posiawszy gdzieś parasol i kapelusz, ale nie puszczać ani na chwilę z ręki gobelinowej torby, Sydonia wyłoniła się ze ścieżki wprost na leśną polanę.

Nic się nie działo. Żywego ducha. Niczym niezmacona cisza. Z zadartym nosem obesła dąb; wisielca ani śladu. Usiadła na kolistej ławce, całkiem wyczerpana, i już miała się zdrzemnąć, kiedy na trawie przed sobą zobaczyła pętlę ze sznura. Rzuciła się ku niej, padła na kolana. Chwyciła sznur. Tak, to sznur wisielca. Ale kogo powieszono? Klęcząc na trawie, wpatrywała się w linkę trzymaną w rękach i drżała ze wzruszenia.

Długo tak patrzyła na ten sznur. Księżyc zaszedł za drzewa. Zapadła ciemność. Pani Cloche, wyczerpana, wyciągnęła się i zasnęła z głową na gobelinowej torbie. Noc była ciepła i jasna, a liczne gwiazdozbiory sączyły słabe światło na polanę.

\*

– I co ty powiesz rodzicom, jak wrócisz?

– Powiem im, że szedłem na piechotę bardzo długo, całą noc i że wróciłem.

– Nie powiesz im o mnie?

– Nic a nic im nie powiem o pani.

– Bardzo dobrze. – Pani Pigeonnier pocałowała Théo w czoło.

– A co powie twój ojciec?

– Nic. Za głupi jest.

– Nie wstyd ci tak mówić o swoim ojcu?

– Po pierwsze, to wcale nie jest mój ojciec. Ja nigdy nie miałem taty.

– Biedaczek. – Pani Pigeonnier wzdycha i całuje chłopca w policzek.

Théo siedzi sztywno na krześle, ale dobrze wie, jak ta rozmowa się skończy. Patrzy prosto przed siebie; jedynie zapach uświadamia mu pachnącą obecność pani Pigeonnier, i jej nieśmiałe pocałunki.

– A twoja matka?

– Będzie płakać.

– Nie jest ci z tego powodu smutno?

– Jeszcze jak! – mówi Théo i uśmiecha się tą stroną, której pani Pigeonnier nie widzi. – Za to jak się ucieszysz na mój widok!

– Łatwo się pocieszasz.

Na chwilę zapada cisza. Théo pociąga nosem. Pachnie super. Ale te umoralniające wstępy go nudzą.

– Twoi rodzice bardzo się poświęcają dla twojego dobra. Weź pod uwagę, że nie są bogaci i że w przyszłym roku zrobisz maturę dzięki temu, co dla ciebie robią.

– Zawracanie głowy. *Primo*, nigdy ich nie prosiłem o maturę. *Segondo*, ja się poświęcam tak samo jak oni, zasuwam codziennie tak samo jak tata i mama; *tertio*, zrobię maturę, bo jestem inteligentny i pracowity.

Pani Pigeonnier śmieje się, mile połaskotana jego wywodem.

– Bezczelny chłopak! – parska i całuje go.

Théo ani drgnie. Zerka na zegarek: północ. Co tam się może dziać? Ale by było śmiesznie, jakby tak Narcense przylał ojczymowi! Ta myśl powoduje, że zaczyna wtórować śmiechem pani Pigeonnier.

– Wie pani, pewien facet kocha się w mojej matce.

– Skąd wiesz?

– Napisał do niej. Mama podała listy, ale ja je pozlepieiałem.

– Nie wstyd ci, że jesteś taki niedyskretny?

– Wstyd. – Krótkie milczenie. – Tego faceta to ja znam.

– Jak to go znasz?

– No, któregoś dnia, wieczorem, widziałem go przy naszej furcie.

– I co?

- Patrzył na mamę przez siatkę.
- Dobrze widziałeś?
- Tak. A potem robił coś dziwnego.
- Co takiego? – Pani Pigeonnier pyta, bo nie bardzo rozumie.
- No tak, jakby był całkiem sam.

Pani Pigeonnier wreszcie zrozumiała i spogląda na niego zgorszona. Théo pozostaje niewzruszony.

– Pobrudził nawet furtkę – mówi. – Furtkę mojego ojczyma – dodaje.

Zwraca głowę, żeby zobaczyć, co o tym sądzi pani Pigeonnier. Pani Pigeonnier jest prawdziwie zgorszona. Powraca do majestatycznej pozy i zmienia temat.

- Głodny jestem – rzuca z godnością.
- Co byś zjadł?
- Cóż dobrego – odpowiada.
- Mam obudzić służącą?
- Tak, właśnie. Chcę coś na gorąco, a potem deser.

Pani Pigeonnier potrząsa dzwonkiem. Przybiega Catherine, otulona chińskim szlafrokiem. Odgarnia włosy z czoła.

– Pani sobie życzy?

Ziewa, lustrując chłopaka wzrokiem i teraz Théo się czerwieni.

– Przygotuj nam kolację – mówi pani Pigeonnier.

Catherine gwizdże z podziwem.

– Już się robi – mówi i wychodzi.

– Dość bezczelna jest ta pani pokojówka – mówi Théo, hipokryta.

Pani Pigeonnier zapala papierosa i milczy.

– Za dnia taka nie jest – nie odpuszcza Théo.

Bierze zapalonego papierosa, którego mu podają.

– Dziękuję, w domu nie pozwalają mi palić. Idiotyzm.

– Przestań ciągle krytykować rodziców.

– Mój ojczym wcale nie jest zabawny. Ma zakuty łeb.

– Niby dlaczego?

– Nigdy nic nie mówi. Tylko o biurze, to wszystko. Patrzy na gazety oczami, ale nie czyta.

– Skąd wiesz?

– Przecież widzę. Śpi na stojaka.

– Ale dla ciebie jest dobry?

– Pewnie. Za głupi jest, żeby mi zaleźć za skórę. Nic tylko marnuje czas. A mama cały czas zasuwa. Wszystkie moje ziomy mieszkają w Paryżu. A ja siedzę zaklinowany w tej ruinie bez dachu. Bardzo to niefajne. Można się urwać.

– Co takiego?

– Szajba może odbić, odwalić człowiekowi może, oszajbić się można, z nudów wykitować i świra dostać – odpowiada potoczyście Théo.

Wchodzi Catherine, niosąc zimną kolację. Nie zapomniała o sobie; nakrywa dla trzech osób i siada razem z Théo i panią Pigeonnier. Odkrawa sobie kawałek kurczaka na zimno i opowiada:

– Przed chwilą coś się stało tu obok. Słyszałam kroki w ogrodzie, męskie głosy. Musiało być ich kilku. Poznałam głos pana Marcela.

Mówi, nie zwracając uwagi na obecność Théo.

– Spojrzałam przez okno i zobaczyłam w ogrodzie dwóch mężczyzn niosących trzeciego, wyglądał na martwego albo zemdlonego. Ktoś otworzył drzwi. To był pan Marcel. Przy pomocy tego drugiego wniósł do środka tamtego, co był martwy albo zemdłał. Drzwi znowu się zamknęły. Nic więcej nie widziałam. Nie obchodzi mnie zresztą, co się dzieje tam, w tamtym domu. Chce pani białego wina?

– Tak, dziękuję, kropelkę.

– Ja też chcę – mówi Théo. – Całą szklanę.

– Jak mówiłam – ciągnie Catherine – nie obchodzi mnie, co się dzieje w tamtym domu, tym bardziej że tam nigdy nic się nie dzieje. To taki typowy dom, gdzie ludzie, spokojni i mało interesujący, starzeją się bez większych wstrząsów. Prawda, proszę pani, że mam rację?

– Widzisz sama, moja droga, że dziś wieczorem coś się tam jednak stało.

– Pewnie dlatego, że nie został wykończony.

Catherine nalewa sobie wina do pełna.

– Smakuje pani wino, proszę pani?

– Bardzo dobre.

– Nie jest złe, ale powinna pani kupić szampana, całą skrzyneczkę, dwanaście butelek, na specjalne okazje. Stać panią.

– W takim razie, Catherine, zamów taką skrzyneczkę.

– Dobrze, proszę pani. Jak pan Théo zrobi maturę, otworzymy sobie butelkę szampana.

– Mam nadzieję, że nie będziemy tak długo czekać – mówi Théo.

Pani Pigeonnier się śmieje. Potem Catherine bawi ją plotkami. W tym czasie Théo pożera wszystko, co mu się nasunie pod widelec. Po skończonej kolacji Catherine zbiera ze stołu; robi się późno.

– Zostawiam państwa – mówi.

– Dobranoc, Catherine. – Pani Pigeonnier wzdycha.

Théo milczy. Słysząc, jak Catherine schodzi, a potem znowu idzie na górę, do swego pokoju.

– Idę się położyć – mówi Théo i ziewa.

\*

Jego matka przyczepiła sobie sztuczną brodę i podaje sadzone jajka; ten przykry widok wywołuje ogromny niepokój, ale na krótko; zaraz potem Étienne otworzył oczy. Noc dopiero dobiegała końca. Poczul, że obok niego Alberta nie śpi; on też spał zaledwie dwie godziny.

Jak odnaleźć Wielkiego? Nie ma żadnego powodu, żeby go znowu spotkać, żadnej szansy. Czy to wszystko z jego winy? Prosił o doraźną pomoc, o coś, co by rzuciło snop światła na otoczenie, w którym codziennie przez godzinę żył od trzech lat, a tamten podarował mu prorocstwo. Tak, prorocstwo. Przecież opisanie Narcense'a to nie była żadna lipa! Niedługo pan go pozna. Ta ciemna blizna. Co za dziwne imię, Narcense! Czy to imię, czy nazwisko? Jest muzykiem. Zakochał się w jego żonie. Napisał do niej. Kocha jego żonę. Kocha Albertę. Kocha ją. Zatem Alberta istnieje też dla innych mężczyzn. Szaleństwo z tym pomysłem, żeby powiesić Théo; jakiś żart, ta groźba, żart w złym guście, żart, ta absurdalna historia z psem opowiedziana przez Théo; tak, wuj Narcense'a powiesił Théo, nie psa. Powiesił psa, bo pies spadł na jego trumnę, na trumnę Narcense'a, na jego babki, a Théo zniknęła, uciekła. Alberta rozpacza. Narcense ją kocha, inni mężczyźni patrzą na nią, idą za nią, dotykają w metrze, często. Mnie się też zdarza, nie specjalnie, moja ręka ot tak sobie dotyka kobiecego ciała; na przykład, jak się sięga po jakieś narzędzia, no tak, musiałem zostawić na stole przyrząd-do-krojenia-jaj-na-twardo; dlaczego go kupiłem? Nie powiedziałem o tym Wielkiemu może mógłby mi wyjaśnić bardzo się ostatnio zmieniłem teraz to widzę tak świat nie jest taki jak się wydaje przynajmniej jak się codziennie widzi to samo to już się niczego nie widzi jednak są ludzie którzy tak żyją codziennie tak naprawdę ja wcale nie istniałem wszystko zaczęło się od tych małych kaczuszek przedtem nie myślałem nie istniałem można powiedzieć zresztą już nie pamiętam inni żyli obok mnie jakieś rzeczy były tu czy tam ale ja niczego nie widziałem mimo to wyglądałem stale tak samo a inni jeśli są tacy jak ja przedtem może inni nie myślą nie istnieją chodzą w tę i z powrotem jak ja chodziłem ale to niczego nie wyjaśnia by tak rzecz ciekawe byłoby swoją drogą może to przeciwnie ja byłem wyjątkiem tylko ja jeden nie istniałem a kiedy spojrzałem na świat zacząłem istnieć może w książkach filozoficznych o tym piszą wyjaśniają może Wielki mógłby

mi polecić jakąś książkę on powinien wiedzieć on żyje on zawsze istniał wszystko widzi wie co robić żeby myśleć ja nie czytałem kiedy byłem mały musiałem istnieć na przykład kiedy miałem pięć lat płakałem kiedy umarł kotek więc istniałem wtedy a mój kot zabito mi go w dzień małych kacuszek wszystko się zbiega tego samego dnia nagle przyspieszenie tak jaki ruch nagle dzieje się tyle rzeczy a jest jeszcze coś innego dzisiaj Narcense się wiesza i go odwieszamy w gruncie rzeczy to należy do codziennego życia podczas gdy przyrząd-do-krojenia-jaj-natwardo nie oto różnica jedno wyjaśnia drugie to nie tłumaczy Narcense'a chyba jego nie on wykracza poza swoją codzienność ale mnie to nie wyprowadza z mojej Wielki potrafiłby mnie wyprowadzić z mojej można z niej wyjść ot tak wcale na to nie wyglądać to bardzo ciekawe żyję zupełnie taki sam jak przedtem wystarczy tak jakoś spojrzeć by tak rzec z ukosa i wyłania mi się Narcense ten to musi bardzo się męczyć sznur nocą bardzo tragiczne ze mną o wiele ciekawiej stoję się bardzo silny bardzo zabawne tak sobie snuć myśli i mówić do siebie dawniej jak się obudziłem w nocy patrzyłem na piąty liść akantu na tapecie teraz umiem sobie mówić dziwne rzeczy zastanawiam się czy to wszystko jest napisane w książkach tego się z góry nie wie Wielki mógłby mi powiedzieć ale jak go odnaleźć skąd wiedział że spotkam Narcense'a może to jego znajomy nie wydaje się albo tak sobie wymyślił bardzo ciekawe śmieszne musi być bardzo chytry jeśli to nie przepowiednia to jakaś magiczna sztuczka tak czy inaczej zdolny gość może pewnego dnia ja też będę umiał robić magiczne sztuczki kacuszki się dla mnie magicznie posztuczkowały bardzo ciekawe dla Théo przeciwnie zawsze tam leżały widział je czarno na białym co się dzieje z tym chłopakiem był tutaj zniknął nie wiem jaki jest teraz to wiem jakiego koloru ma oczy nie wiem jaki ma nos usta nie widzę jego głowy bardzo śmieszne widywałem go codziennie i nie mogę sobie przypomnieć jego twarzy a czy pamiętam Albertę jej twarz oczy usta.



Przestraszony Étienne pochyla się i patrzy na te oczy, na usta; czyżby je zapomniał? Z sąsiedniego pokoju dobiegł go metaliczny dźwięk; coś upadło. Przyrząd-do-krojenia-jaj-na-twardo. Zapiał kogut; inne głupio mu odpowiedziały. W oddali zagwizdał pociąg. Otworzyły się jakieś drzwi; po kilku minutach rozległ się szept dwóch głosów.

\*

*Wysoki na pięć metrów falochron przecinał morze, falochron gładki jak lustro i idealnie pionowy, a morze rozbijało się o niego. Wzdłuż falochronu bieląło morze. Na falochronie kończy się Ocean, o niego uderzają wszystkie fale. Sterczał jak fallus i sięgał daleko jak ramię.*

*Wzdłuż falochronu płynął jakiś człowiek; on sam. Chciał dotrzeć do brzegu, ale nie było pomocnej dłoni. Musiał też uważać, żeby się nie rozbić o skałę. Płynąc tak wzdłuż falochronu, zastanawiał się, jak długo jeszcze wytrzyma zmęczenie i zimno; zauważył też, że noc nie nadejdzie, bo słońce stoi w jednym miejscu. Kiedy płynął z głową pod wodą, dostrzegał bardzo głęboko pod sobą delikatny fosforyzujący piasek, czysty, bez porostów i gąbek; nie widział ani ryb, ani muszli, ani ośmiornic, ani skorupiaków. Nie było tam żadnych żywych stworzeń, a kiedy oddychał, czuł, że najmniejsza bakteria nie ostanie się w tym krystalicznym powietrzu.*

*Płynął więc bardzo długo; trzeba dodać, że na widzialny obraz falochronu zaraz nałożył się widok schodów, którymi, jak się zdawało, można było na niego wejść. Schody składały się z metalowych prętów wbitych poziomo w skałę; odległość między prętami wynosiła około dwóch metrów.*

*Dopłynął bez trudu, chwycił najniższy pręt i rozpoczął wspinaczkę, to znaczy, że na każdym stopniu musiał, wyprostowany, utrzymać równowagę, złapać wyższy stopień, wciągnąć się na niego, tam znowu utrzymać równowagę i tak dalej około dwustu pięćdziesięciu razy. Mimo że nigdy nie był wygimnastykowany, wspinaczka nie sprawiała mu trudności.*

*Kiedy dotarł do setnego stopnia, spojrzął w dół i zamiast morskiej kipieli zobaczył delikatną białawą falbanę. Morze idealnie przejrzyste, równo spoczywało na piaszczystym dnie; nie padał na nie żaden cień. Spojrzął w górę i dostrzegł jedynie stopnie. Spojrzął w dal, nad powierzchnią Oceanu; wydało mu się, że dostrzega wieżę Eiffla, ale się pomylił. Na horyzoncie nic nie widniało. Horyzont, jak zawsze i wszędzie, zacięwał wszystko.*

*Przy sto pięćdziesiątym stopniu wydało mu się, że liczba stopni, które miał nad sobą, wcale się nie zmniejszyła. Na stopniu dwusetnym podejrzenie to zamieniło się w pewność; mógł się tak wspinać jeszcze bardzo, bardzo długo. W takiej sytuacji możliwe było tylko jedno wyjście: przystał na nie, znając zasady, i doszedł do ostatniego stopnia, numer dwieście pięćdziesiąt. Niestety, nie dotarł na szczyt falochronu, ponieważ ten był pokryty grubą warstwą lodu. Prawdę mówiąc, to, co na początku wydawało się lodem, było skalnym kryształem, tak samo gładkim jak falochron; warstwa ta miała wysokość około dziesięciu metrów.*

*Spojrzął w dół; morze zniknęło, stopnie też, wszystko. Został tylko ten kryształ. Dotknął go i z trudem odlepił rękę; to, co uznał za lód, a potem za kryształ, było zupełnie przezroczystym gęstym klejem. Teraz wspinaczka stała się zabawą. Przylepiony do ściany posuwał się do góry, noga za ręką, ręka za nogą. Dotarł na szczyt.*

*Tam ujrzał trzy rzeczy: obramowanie z kleju, wydające się tym dla falochronu, czym biaława falbana morskiej kipieli była dla morza; taflę wyglądającą na jezioro; reszta przypominała mu łukę. Znajdował się naprzeciwko jeziora. Na czworakach doszedł do brzegu: jezioro wydawało się jeziorem, ale woda w nim nie była prawdziwa. Natychmiast się to potwierdziło, bo do wodopoju przyszedł koń mechaniczny; stwór pochylił się nad powierzchnią niby-wody; nie dotknąwszy jej, szybko z powrotem podniósł głowę, odwrócił się i odjechał na kółkach.*

*Na falach jeziora majestatycznie unosiły się marmurowe nagrobki. Narcense poczuł ból z każdej strony szyi. Słońce nadal się nie poruszało. Ból objął kark i krtań. Niebo, Narcense zauważył to dopiero teraz, nie było niebieskie, tylko białe. Ból ogarnął go wokół; to białe niebo musiało być zrobione z jakiegoś specjalnego powietrza, z powietrza zrobionego nie po to, żeby człowiek nim oddychał; żeby ja nim oddychał, pomyślał Narcense. Zaczął dyszeć i się dusić; nagrobki nie przestawały unosić się na tym strasznym jeziorze, do którego zabawki przychodzą, żeby się napić; słońce dalej tkwiło w tym samym miejscu. Narcense umarł.*

*Przez okiennice sączył się świt. Narcense usiadł na łóżku i głęboko odetchnął; potem opadł z powrotem. Światło poranka rozchodziło się po pokoju, smutne i szare jak poranek na dworcu. W małym wąskim pokoiku było jedno krzesło i stolik; na krześle Narcense zobaczył swoje ubranie, na stole niewielką paczkę.*

*Znowu usiadł na łóżku i głęboko odetchnął. Mógł oddychać. Wstał. Mógł też chodzić. Nagle morze i falochron, i schody, i klej, i jezioro, i drewniany koń znowu się pojawiły, wszystko naraz. Próbuje dopasować te elementy. Zacząłem od morskiej katastrofy – zrobił kilka kroków – katastrofy w lesie. Oparł się o stół. Sięgnął po na wpół rozpakowaną paczkę i spojrzał na dziwny przedmiot, jaki zawierała. W półmroku wyglądał jak mały instrument muzyczny, ale nie rozumiał, jak można na nim grać. Koń mechaniczny pojawił się znowu; Narcense poczuł coś jakby mdłości i upuścił na podłogę przyrząd-do-krojenia-jaj-na-twardo-w-cienkie-plasterki.*

*Kilka sekund później cicho otworzyły się drzwi; ukazała się głowa. Narcense poznał swojego konsjerża. Zapiał kogut; inne mu odpowiedziały. W oddali zagwizdał pociąg. Narcense'owi wydało się, że widzi wieżę Eiffla, ale się pomylił; horyzont, jak zawsze i wszędzie, zacierał wszystko.*

Kiedy pociąg odjechał, Piotr pomachał ręką, potem odwrócił się plecami, uznając, że wystarczy tej komedii. Zręcznie unikając zderzenia z wózkami bagażowymi i dzikimi, objuczonymi maruderami, dotarł do wyjścia, przywołał jedną z miniaturowych taksówek, które są ozdobą Paryża, i kazał się zawieźć pod Biuro Rachunkowe. Przyjechał dokładnie na fajrant. O tym, że Narcense nie powiesił chłopca, poinformowało go milczenie gazet, ale nic więcej nie wiedział. Kiedy poprzedniego dnia obudził się o świcie obok swojego samochodu, przez chwilę myślał, żeby zajść do Étienne'a do domu; po zastanowieniu postanowił jednak nic nie robić.

Przyjechał pod Biuro Rachunkowe za dziesięć. Czekając, przyjrzał się dokładnie budowli i oszacował stopień zidiocenia architekta, który sporządził podobnego gargamela. Musiał jednak przyznać, że płasko-wypukła rzeźba przedstawiająca Pięć Kontynentów ofiarowujących swoje „produkty” pызatej bogini Handlu ma pewien urok. Zwłaszcza pęki bananów, ananasów i słoniowych kłów, które Murzynka o pięknych piersiach prezentowała z zagadkowym uśmiechem, wydały mu się wyjątkowo przyjemne.

Z wybiciem szóstej porzucił te pretensjonalne dywagacje i sprowadził spojrzenie na wysokość człowieka. Étienne spostrzegł go i unióśł ręce, dając do zrozumienia, że go oczekiwał, a nawet więcej, że miał nadzieję go spotkać.

– Ależ jestem rad, że pana znowu widzę! Bardzo miło z pana strony, że pan po mnie przyszedł. Nie wiedziałem, jak pana znaleźć. Przedwczoraj byłem wobec pana niezbyt uprzejmy, a nawet dość niegrzeczny...

– Ależ nie, ależ nie.

Étienne mówił bardzo szybko.

– Owszem, zachowałem się niegrzecznie, bardzo przepraszam. Myślałem, że pan sobie ze mnie kpi, udaje proroka. Ale pańska przepowiednia się spełniła. Tej samej nocy. Skąd pan wiedział? Mam panu najpierw opowiedzieć, co zaszło? Ten mężczyzna z bliźną nazywa się Narcense. Dowiedziałem się tego zaraz po południu...

Piotr ciągnie Étienne'a do cichej kawiarenki i pozwala mu opowiedzieć całą historię. A więc Narcense próbował się powiesić, a Théo zniknął.

– Nazajutrz rano Narcense ze swoim konsjerżem opuścili dom bardzo wcześnie, bez słowa wyjaśnienia. Słyszałem, jak ze sobą rozmawiają, ale jak głupi zasnąłem. A oni w tym czasie się zmyli. W południe Théo jeszcze się nie zjawił; moja żona była zrozpaczona; poszedłem zgłosić zaginięcie na policji. Co za dzień! O szóstej wrócił. Oświadczył, że się przestraszył, błąkał się przez całą noc i dzień; wyglądał na wykończonego. Myślę, że kłamie, ale mi to wisi. Co do Narcense'a, nie wiem nic poza tym, co panu powiedziałem.

Jakoś specjalnie fascynujące to nie było; tylko dwie rzeczy zainteresowały Piotra: wypad Étienne'a do Blagny i adres Narcense'a.

– Skąd zna pan bistro w Blagny?

W spojrzeniu Étienne'a było coś szczególnego.

– To pewne odkrycie.

Potem:

– Wciąż jeszcze mi pan nie powiedział...

Piotr dobrze wiedział, o co tamtemu chodzi; ale co mu odpowiedzieć? Jeśli Étienne znowu spotka Narcense'a, dowie się o jego udziale w tym, co zaszło w Mygales; może nawet Narcense powtórzy mu wszystko, co on, Piotr, niebacznie mówił. Będzie ugotowany. Na razie najlepiej milczeć.

Étienne nie spuszcza z niego wzroku. Co za intensywność! Co za ogień! Co za powaga! Jaka naiwność! Piotr nagle czuje się zmieszany. Na chwilę spuszcza oczy, ale zaraz się ogarnia i wygarnia:

– Chciałbym, żeby mnie pan zaprowadził do tej frytkarni w Blagny. To musi być bardzo ciekawe miejsce.

– Chce pan, żebyśmy tam poszli teraz? Chociaż nie, dzisiaj nie, jeśli pan pozwoli, za bardzo bym się spóźnił, i tak już muszę pana zaraz pożegnać. Jutro, jeśli to panu odpowiada.

– W takim razie jutro. W tym samym miejscu?

– Tak, dokładnie.

Spojrzenie Étienne'a na chwilę zawisa w powietrzu.

– Będę miał do pana wiele pytań. – Podaje mu rękę. – Na temat istnienia.

Odchodzi.

Piotr zapamiętał adres; bulwar Nieznanego Oficera 8. Tak, to ciekawe; lecz patrząc na oddalającego się Étienne'a, ma nagle bardzo przykre wrażenie, że coś go przerasta.

\*

Saturnin siedział okrakiem na krześle i dumał. Dłubał w zębach; zwłaszcza w jednym. Jakiś elegant mówi do niego:

– Chciałbym się widzieć z panem Narcense.

Saturnin podniósł nos i odparł:

– Nie ma.

Elegant nie ustąpił:

– Wyjechał czy wyszedł?

Saturnin wyjaśnia mu:

– Mówię przecie, że nie ma. – I znowu pogrążył się w zadumie.

Elegant odszedł kilka kroków, jakieś dwadzieścia, i się odwrócił: spostrzegł wychodzącego Narcense'a, który szedł prosto w jego stronę, nie widząc go. Kiedy się z nim zrównał, powiedział dzień dobry, i Narcense na niego spojrział. Zaczął od użycia czasownika mieć w drugiej osobie liczby pojedynczej trybu rozkazującego, a potem wyartykułował sylaby składające się na imię osoby, którą rozpoznał. Zresztą wcale niezaskoczony, raczej zaciekawiony.

– Nie spotkałem pana znowu wtedy tamtego wieczora – mówi Piotr.  
– Czekałem na pana do rana. Wczoraj dowiedziałem się od Étienne'a Marcela, co się wydarzyło. Ponadto pański adres. Przyszedłem pana odwiedzić.

– Dziękuję. Rzeczywiście powinienem pana przeprosić.

– Nie ma za co, doprawdy.

– Jak pan myśli, co się stało?

– Jak to?

– No, w czasie między tym, jak mnie pan zostawił, a tym, jak Marcel mnie znalazł.

– Czekam, aż mi pan powie.

Narcense zamilkł. Zmieniając temat:

– Jak się pan właściwie znalazł w moim życiu?

Saturnin z udawaną obojętnością patrzył, jak rozmawiają.

– Kobiętę na ulicy można zaczepić, ale mężczyzny nie. Chyba że się jest pederastą. Czy pan jest pederastą? Nie, pan nie jest pederastą. Pamiętam, zaczepił mnie pan w Obonne, w tym bistro, moim zdaniem tragicznym, a potem innego dnia w restauracji. To proste. A pan to niby kto?

– Nikt – powiedział Piotr.

– Przynajmniej jest pan bogaty. Ja nie mam takich dochodów.

– Chcę panu pomóc.

– Pożyczyć pieniądze? Dziękuję. Wie pan, ten mój konsjerż to dziwny facet. Czyta wszystkie moje listy, rozkleja je i zakleja z powrotem. Nie mam mu tego za złe. Nie dlatego, że mi uratował życie, nie. Ani że uratował Théo. Ale, jak sam mówi, to dopiero numer. Nie mogę mu mieć za złe, że wtargnął w moje życie prywatne.

Po chwili milczenia:

– Jestem w strasznej sytuacji.

– Mogę panu pomóc – powtórzył Piotr. – Znam Shibolettha...

– Ja też go znam.

– Zaangażuje pana do jednego z tych lokali, które otwiera w lecie na modnych plażach. Zrobi to dla mnie.

– Bardzo dziękuję. Jestem w strasznej sytuacji.

Ruszyli przed siebie.

– Świat jest pasjonujący – rzekł Narcense – a śmierć stanowi jego część. Kiedy zobaczyłem, jak wchodzę na to drzewo z pętlą na szyi, uśmiełem się, proszę mi wierzyć. Śmiałem się co najmniej piętnaście sekund. Sytuacja niezwykła, a polana taka piękna... Spojrzałem, czy Théo wreszcie nie nadchodzi. Usłyszałem kroki. Na drzewie śpiewał ptak. Wszystko stało się tak szybko. Uniosłem głowę i straciłem równowagę. Saturnin nie może zrozumieć, dlaczego nie złamałem sobie kręgosłupa. Myślę, że trzymałem sznur w ręce i pętla zacisnęła się dopiero po kilku sekundach. W każdym razie ciąg dalszy bardzo nieprzyjemny. Wolałbym o tym nie mówić.

– Ale w ten sposób nie wiadomo, czy popełnił pan samobójstwo, czy nie – podsunął Piotr.

– Nie chciałem panu zadawać psychologicznych zagadek – powiedział Narcense.



Piotr nie miał najmniejszej ochoty na podobne zagadki; wrażenia wisielca w wykonaniu Narcense'a ani go grażyły, ani ziębiły. Wyprawił tego saksofonistę do jakiegoś morskiego kurortu. Nagle zdał sobie sprawę, że zupełnie niepotrzebnie rozmawia z tym osobnikiem; naprawdę nie ma żadnego powodu. Cóż on ma z nim wspólnego? Dziwne, dziwne, że przebywa w podobnym towarzystwie. To, co mówił Narcense, zupełnie go nie obchodziło. Nagle go znienawidził. Chwila moment. Opuściwszy go bez ceremonii, zawołał taksówkę, przyrzekając sobie solennie, że nie wstawi się za nim u Shibolettha. W tym czasie Narcense dalej podążał drogą prowadzącą prosto do mojej ciotki. „Obraził się, bo wspomniałem o psychologii, myślał. Ale tak czy inaczej, to porządny chłopak”.

\*

Ojciec Taupe znał ideał szczęścia; nauczył się go w ubóstwie, dopracował w nędzy. Szczęście dla niego polegało na absolutnej pewności. Odkąd został zrujnowany, nie obawiał się ruiny. Ograniczając swoje życiowe potrzeby do minimum, miał ambicję to minimum przekroczyć. Egzystencję zapewniał mu stos starych szmat i żelastwa i był szczęśliwy; uważał się za mędrca; ponadto był pijakiem i rozpustnikiem.

Stare szmaty i żelastwo; bał się handlować czymś cenniejszym, dopuszczał tylko podarte powieści, zniszczone meble, połamane sprzęty.

Przez cały tydzień tkwił w norze na odludziu, w ślepej uliczce na tyłach fabryki produktów chemicznych, zakurczonym, cuchnącym pustkowiu, gdzie nie zapuszczała się żadna ludzka istota. W niedziele wystawiał swoje śmieci na targu w Blagny, i było to prawdziwe wyzwanie, wielkie ryzyko. Drżąc, wychodził ze swojej skorupy; zewnętrzny świat go przerażał, lecz targowisko stało się zwyczajem, już się go nie bał, bardzo je lubił.

Po pięciu latach podobnej egzystencji wmówił sobie, że jego mądrość osiągnęła apogeum i zaczął pić w sposób metodyczny. Potem odkrył w sobie libido i skoncentrował je na służącej państwa Belhôtel, Ernestynie. Zmąciło to nieco jego błogi spokój, ale tego nie zauważył. Uważał, że nadal jest szczęśliwy. Marzył o Ernestynie i podwajał porcje alkoholu. Doszło nawet do tego, że kupił drzwi.

– Im człowiek mniej posiada, tym mniej cierpi – pouczał pana Belhôtel. – Ty chcesz mieć pieniądze i pewnego dnia je stracisz. Nie masz pojęcia, co znaczy być bogatym. Tak, im mniej kto ma, tym bardziej jest szczęśliwy. Daj jeszcze z literek białego.

W głębi Ernestyna śmiała się, obsługując grupkę robotników. Wiele stolików było zajętych. Po dłuższym przebywaniu w oparach chloru i siarki pito aperitif.

Ojciec Taupe ciągnął:

– Im więcej rzeczy pragniesz, tym więcej masz zawracania dupy.

Od czasu do czasu zwykł odzywać się wulgarnie.

– Siedzieć w swojej dziurze, oto prawdziwe szczęście.

– Wkurzasz nas tymi swoimi morałami! – krzyknął ktoś. – Z taką gadką idź do kościoła.

– To dobre dla klechów – dopowiedział drugi.

– Nieprawda!

Ojciec Taupe się stawiał.

– Księża pragną strasznie dużo. Zachciewa im się raj. Ni mniej, ni więcej! Być szczęśliwym przez całą wieczność! Gołym okiem widać, że to się nie może dobrze skończyć!

Kilku robotników się roześmiało, ale któryś zaatakował znowu:

– Tak czy inaczej, te twoje historie o nieszczęsnych bogaczach i szczęśliwcach w nędzy to prosta droga, żeby wykorzystywać nas na całego.

Tego punktu widzenia ojciec Taupe nigdy nie przyjmował do wiadomości. Wytrąbił szklaneczkę i już miał się odciąć, kiedy na progu stanęło dwóch miastowych panów. Patrzone na nich w milczeniu, a potem milczenie zostało zakłócone okrzykiem Belhôtela, który poznał pana Marcela. Zaczął od drugiej osoby liczby pojedynczej trybu rozkazującego czasownika mieć, a potem wyartykułował sylaby składające się na imię rozpoznanej osoby.

Étienne podszedł, Piotr za nim; Belhôtel uściśnął mu rękę i powiedział dzień dobry. Miał ochotę zadać kilka konkretnych pytań, ale nie ośmielił się przy ludziach. Étienne i Piotr usiedli. Dominik nie widział pani Cloche od soboty. Nie wiedział, jak się potoczyła ta dziwna historia z wieszaniem. Nie wyglądało na to, że pan Marcel zamierza o tym mówić.

Przy innych stolikach powrócono do rozmów. Ojciec Taupe, szczęśliwy, że ma tak zacnych słuchaczy, jął opowiadać dwóm nowo przybyłym, że kiedyś miał mały majątek, ale na szczęście (użył właśnie tego słowa) udało mu się go stracić i teraz jest szczęśliwy jak nigdy dotąd. Oni są młodzi, młodzi i bogaci; dopiero z czasem zobaczą, jakie to oznacza kłopoty. On nie pożąda niczego; nic nie może go zmartwić. Étienne roześmiał się, słysząc o swoim bogactwie. Piotr słuchał wywodów ojca Taupe'a z wyraźną niechęcią. Jednak dowiedziawszy się od Belhôtela, że ma przed sobą handlarza starzyzną, zaczął zaraz węszyć, bo lubił starocie i chciał natychmiast iść w nich pobuszować. Stary się droczył: nie ma tam nic, co by go mogło zainteresować, ale Piotr tak nalegał, że w końcu zgodził się zaprowadzić go do swojej lepianki. Étienne niezbyt chętnie poszedł z nimi.

Szli wzdłuż fabrycznego muru równoległe do toru kolejowego, a potem do niego prostopadle. Uliczka była ślepa, kończyła się warsztatami naprawczymi Kompanii Północnej wzniesionymi na nasypie udającym płaskowyż. Skręcili w lewo; między fabryką a warsztatami rozciągał się teren w kształcie trójkąta, któremu kilka zbitych ze sobą desek nadawało formę trapezu. Za tym ogrodzeniem mieszkał ojciec Taupe.

Dwa rzędy kolczastego drutu wieńczyły palisadę; drzwi były zamknięte na potrójny zamek. Weszli do zagrody. Piotr na pierwszy rzut oka zrozumiał, że nie znajdzie nic ciekawego wśród starych zardzewiałych kluczy, sprężyn samotnych materaców, cuchnących, lepkich od brudu szmat, połamanych krzeseł. Przed siedzibą ojca Taupe'a śmieci się wały; w środku się piętrzyły. Przestraszony Piotr nie ośmielił się wejść; nagromadzenie ohydy przeraziło go.

\*

A gdyby były tu dopiero od wczoraj albo nawet od godziny lub tylko od kilku minut? Lecz nie przeciwnie miałem rację ale nie myślałem że mogę nie mieć i że barak wybudowano zaledwie przed kilkoma dniami albo godzinami dla jednych mam świadectwo Théo a drugie sam przecież widzę. Co Wielki ma niby tutaj znaleźć? Myśli że co znajdzie? Ale smród. Przykuty tu teraz jestem do tego miejsca do tego baraku do fabryki teraz może do tego starego co drepcze przed nami oczywiście jest prawie zupełnie pijany i mówi że jest szczęśliwy co to niby znaczy? Jest szczęśliwy bo jest niczym bo nic nie chce i niczego nie pragnie. Dlaczego nie umiera? Gdyby się zabił co prawda spełniłby jakieś pragnienie to ślepa uliczka a tak to te warsztaty kolejowe Kompanii Północnej z pociągu widać te stare niemieckie wagony Narcense chciał się zabić jest nieszczęśliwy dlaczego tak prawda musi być zrozpaczony trochę wariat uciekł chce umrzeć bo nieszczęśliwy gdyby tak szczęście to być niczym ale ten stary tutaj musi się bać śmierci co sobie teraz myśli Wielki? Co widzi? Prawdziwa twierdza ten barak handlarza starzyzną trzy zamki tak są trzy zamki a na ogrodzeniu rozciągnięte zasieki z drutu kolczastego czego ten stary może się obawiać ukrywa swoje szczęście za zasiekami z kolczastego drutu byłoby lepiej gdyby się zamknął w sejfie kiedy byłem mały i miałem cały świat przeciwko sobie budowałem sobie schronienie gdzie nic nie mogło mnie dosięgnąć wchodziło się podziemnymi korytarzami zewsząd było strzeżone mogłem tam sam żyć w nieskończoność ten stary tak samo ale on przybiera ton kaznodziei więc te jego łańcuchy i zamki i te zasieki z kolczastego drutu wcale nie pasują do reszty gdyby nic nie mogło go dotknąć nie potrzebowałyby tego wszystkiego Wielki wygląda na strasznie zawiedzionego tym śmietniskiem czy ja jestem szczęśliwy czy byłem szczęśliwy nie istniałem to nie mogłem być ale głupota a jednak jak tak spojrzę do tyłu w dzieciństwie to byłem okropnie nieszczęśliwy a potem przyzwyczajenie myślę o rzeczach o wiele ciekawszych ten stary ma nie po kolei ale tu w środku cuchnie Wielki ma nietęgą minę myśli

pewnie że tu cuchnie i nie myli się co on myślał że znajdzie tutaj jakąś ciekawostkę! a ten staruch w środku dobrze się bawi siedzi na łóżku trzeba to nazwać barłogiem siedzi na barłogu myślę że sobie z nas robi jaja po co tutaj te drzwi przecież donikąd nie prowadzą nie wykopał tu piwnicy dziwnie są te drzwi pomalowane na niebiesko nie pasują tu pewnie te drzwi są na sprzedaż Wielki go pyta czy są na sprzedaż nie nie są na sprzedaż ciekawe Wielki dopytuje się dlaczego nie chce sprzedać tych swoich drzwi a ten nagle wpada we wściekłość żeby już dać spokój pewnie że nie wykopał piwnicy w tej jamie w dziurze na to swoje szczęście dla tego starucha ideał to życie płodu te drzwi mają dla niego jakąś wartość może mają związek z jakimś wydarzeniem z jego życia może dzięki nim poznał co to szczęście Wielki daje mi znak zbierajmy się oczywiście te drzwi za nimi są tylko deski do widzenia do zobaczenia no tak mnie nie ciekawi przecież szczęście tylko istnienie.

– Jaką wartość mogą dla niego mieć te drzwi? – pyta Étienne.

– Wątpię, czy w ogóle mają jakąś wartość – odpowiada Piotr. – Może ten stary przygłup schował za nimi pieniądze. Klasyczny przypadek starego skąpca.

– Tak czy inaczej, dziwnie wyglądają te drzwi – mówi Étienne.

Płód jako ideał, zupełnie nieciekawe. FRYTKI.

\*

– Hipolit! Chodź no tutaj coś zobaczyć! – krzyknął marynarz.

Hipolit podbiegł.

– Spójrz no. – Marynarz wskazał duży sportowy samochód ostrożnie pokonujący groźny ryzstok.

– To ten facet od niewykończonej chałupy – zauważył Yves Le Toltec.

– Jakby się nie przejmuję – zauważył Hipolit Azur.

– Gabłota musi sporo kosztować – zauważył marynarz.

– Stanęli se przed jego domem – zauważył szynkarz.

- Wysiada sam.
- Tamten nie chce wsiąść.
- Wymieniają grzeczności.
- Pewnie go zaprasza na obiad.
- Jak taki mały urzędas z banku może znać takiego dzianego faceta?
- Może jakiś krewny.
- Podobni nie są.
- Co tam mogą knuć?
- O, sie odwraca.
- Pewnie żona go zawołała.
- O, nawet biegnie.
- Chyba jest zaryczana.
- Ale, ale, musiało się coś stać.
- Daje mu jakąś kartkę.
- On bierze.
- Beksa się maże.
- On czyta.
- Drugi raz czyta.
- Stoi oparta o siatkę.
- Niezła jest, co?
- Może ten dziany chce ją poderwać.
- Rany!
- Mówi coś do żony.
- Wskazuje na tamtego.
- Tamten się kłania.
- Widziałeś, jak elegancko podniósł zadek z fotela?
- Rany!
- To dopiero! Pokazuje mu list.
- Tamten czyta.
- Czyli to kumple.
- A ten samochód to jakiej marki?

- Bużati.
- Gadanie, maske ma inną.
- Pewnie się na tym rozumiesz?
- A co! Ty na tej swojej łajbie nie nauczyłeś się samochodów.
- A ty? Na tym swoim rowerze.
- Na pewno lepiej niż jakiś szwajcarski admirał.
- Niby ja jestem szwajcarski admirał?
- Jaki tam z ciebie admirał.
- Powtórz, że jestem szwajcarski admirał.
- Jak będę chciał, to powtórzę.
- Uważaj, żeby ci się nie chciało.
- Ojej, zaraz zaczną się bić – wykrzyknęła Alberta.
- Chyba nie – mówi Piotr. – Wystarczą im słowa.
- Wracaj do domu, Alberto – mówi Étienne.
- Dochodzi do rękoczynów – mówi Piotr.
- Jednak się nawalają.
- Siły chyba są równe.
- Obaj bardzo groźnie wyglądają.
- Przewrócili się.
- Walą się po łbach.
- Wykręcają sobie ręce.
- Wyłupują oczy.
- Wybijają zęby.
- Obrywają uszy.
- Miażdżą palce u nóg.
- Rozkrwawiają nosy.
- Skręcają kostki.
- Podbijają oczy.
- Kopią w brzuchy.
- Wyrrywają włosy.
- Odbijają nerki.



- Piorą po gębie.
- Wyłamują stawy.
- Przebijają krtanie.
- Wykręcają łopatki.
- Kaleczą kolana.
- Rozkwaszają genitalia.
- Łamią przeguby.
- Trzepią mięśnie.
- Wyrrywają brwi.
- Lutują podbródki.
- Heblują jaja.
- Ciągną za ptaka.
- Liczą zębra.
- Obtłukują żołądki.
- Marskują wątroby.
- Rozkrwawiają mordy.
- Obdzierają ze skóry.
- Okaleczają.
- Rozbijają w drobny mak.
- Straszna bitwa!
- Straszliwe starcie!
- Strachliwy listonosz boi się ich rozdzielić.
- Pies pana Cocotiera ich obszczekuje.
- Pani Sélénium na progu swego domu trzęsie się ze strachu.
- Drzewa drżą.
- Ptaki umilkły.
- Niebo zasnuwają chmury.
- Słońce przygasa.
- Natura nie chce dłużej oglądać tej potwornej rzezi.

– Wejdźmy – mówi Étienne – do naszej półwilli porozmawiać o losie Théo, uciekiniera recydywisty. Alberta radzi mi odszukać Narcense’a, a Piotr Wielki mi odradza. Co mam począć?

– To się musiało tak skończyć, nawalanką – powiedział listonosz.

– Zawsze myślałem, że ten marynarz to podejrzany typ – powiedział pan Cocotier.

– Jak widzę coś takiego, tracę apetyt – powiedziała pani Sélénium.

– Czy to bużati, czy nie? – zapytał Hipolit.

– Co mówiąc, przydusza lekko swego przeciwnika – zauważył listonosz.

– To wcale nie bużati – przyznał Yves Le Toltec – ale mi wisisz z pół beczułki, żeby uczcić swoje zwycięstwo.

– Kukuryku, kukuryku! – zapiał kogut państwa Exossé.

W młodości stworzenie to upadło na głowę, odtąd piało zawsze o zachodzie słońca, nawet jak było lato; następnego roku zostało upieczone i jego mięso stało się rozkoszą podniebienia jego durnych wszytkożernych właścicieli.

\*

Młody Belhôtel, imieniem Clovis, jak jego nieboszczyk dziadek, który dostał apopleksji na wieść o wybuchu wojny czternastego roku, młody Belhôtel, powiada, od prawie dwudziestu czterech godzin utrzymywał sekret. Nic nie wspomniął ani ojcu, ani matce, ani Ernestynie, ani kolegom, ani nawet przyjaciółce od serca, Ivoine, która miała dwanaście lat i jasne włosy. Clovis, poważny i rozsądny, uważał, że taki sekret godzien jest czegoś lepszego niż rozgłaszania wszem wobec; był gotów podzielić się nim tylko z jedną osobą i na nią właśnie czekał na drodze, bombardując kamieniami puszkę po skondensowanym mleku.

Przeszli Hector (Totor) i Dagobert (Bebert).

– Cześć, Cloclo, idziesz z nami na tory zapychać kamykami zwrotnice?

– Nie, czekam na ciotkę – odpowiada Cloclo.

– Jak idziesz do rodziny, to narazka – mówi Totor.

– Wiesz, kota małego Saponaire’a, co na nas wtedy nakablował, przywiązaliśmy do dzwonka, wczoraj w nocy. To pomysł Dicka.

– I jeszcze – dodał Totor – Dick wylał całe wiadro wody starej Polyte na kulasy.

– To ją nauczy rozumu. Stara dziwka – oświadczył Cloclo.

– To nara.

Po kilku krokach Dagobert się odwrócił.

– Wiesz, Tatave się kręci koło twojej panienki.

– Niech spróbuje, nakładę mu po ryju.

Hector i Dagobert uciekają ze śmiechem.

Clovis z jeszcze większym przekonaniem znowu zaczął bombardować kamykami puszkę po skondensowanym mleku.

Około szóstej na zakręcie ukazała się stara kobieta; Clovis ruszył jej na spotkanie.

– Dzień dobry, ciociu.

– Dzień dobry, Clovis – odparła pani Cloche.

Śpieszyła się do brata i wcale nie zwracała uwagi na siostrzeńca.

– Posłuchaj, ciociu, mam ci coś ważnego do powiedzenia.

– Co takiego?

– Chciałbym ci powierzyć pewien sekret.

Jeśli idzie o sekret, pani Cloche nigdy nie odmawia.

– Mówię tylko tobie. Prawdziwy sekret.

– No to mów.

– Obiecasz, że nikomu nie powiesz?

– Tak, syneczku, obiecuję.

Clovis pokasłuje i rozgląda się, czy ktoś może ich podsłuchać. Potem szepcze:

– Ojciec Taupe jest milionerem.

Pani Cloche ani drgnie.

– Skąd ty to wiesz?

– Któregoś dnia spacerowałem sobie wzdłuż nasypu, gdzie są warsztaty Kompanii, i widziałem dwóch dobrze ubranych facetów wychodzących od ojca Taupe’a. Nie widzieli mnie i jak mijali, to jeden powiedział: „Na pewno chowa pieniądze za tymi drzwiami”, a drugi na to: „Stary skąpiec musi być bardzo bogaty”, a pierwszy znów na to: „Jestem pewien, że chowa pieniądze za tymi drzwiami”.

– Wcale nie mówili, że jest milionerem.

– Ale ja mówię.

– Jak oni wyglądali, ci dwaj faceci?

– Jeden taki wysoki blondyn, a ten drugi chyba już kiedyś był w knajpie u taty.

Pani Cloche nie posiada się z radości. Dostała klucz do tajemnicy. Étienne Marcel chce ukraść skarb ojcu Taupe’owi! Dlatego przyszedł na frytki do Dominika! Nie ma innego wyjaśnienia. I ma współnika, i może ten pan Narcense to też jego współnik. Wieszanie Théo to pewnie jakaś zemsta. Tak regulują swoje rachunki międzynarodowe gangi. A skarb ojca Taupe’a musi być niczego sobie, skoro bandyci podobnej klasy są nim zainteresowani.

Ale, ale! Przecież ten wysoki blondyn to ten sam, który mało co nie rozjechał taksówką pana Marcela. Étienne’a Marcela! Przed Dworcem Północnym! Tak, wysoki blondyn to na pewno on! A ten wypadek to komedia, oczywiście, grali komedię, tak dla picu!

Clovis widzi, jak pokryty wągrami nos ciotki drży od wysiłku medytacji.

Cholerny stary kret. Stale głosi wszem wobec, że nic nie wolno posiadać. Co za fałsz grubymi nićmi szyty! Czekał, stare skąpiradło, niedługo się nacieszysz swoim skarbem! Nie będę tak przecież stała jak idiotka i czekała, aż ktoś inny położy na tym łapę. Nie, tak to nie będzie. Ci bandyci mogą sobie być bardzo mocni, ale ja też z tego muszę coś mieć.

– Posłuchaj, Clovis, jesteś bardzo grzeczny, że mi to powiedziałaś. Jeszcze o tym pogadamy. I nikomu ani słowa, dobra? Ani słóweczka.

– Dobrze, ciociu, przyrzekam.

Stara truchtem kieruje się ku frytkarni; przede wszystkim żadnych głupstw. Najważniejsze to się nie wygadać. Na razie Dominik nie musi o niczym wiedzieć. Ani jego żona. Żeby tylko szczeniak trzymał język za zębami.

U Dominika tłum. Wyszedł z fabryki. Przy stoliku ojciec Taupe popija białe wino; dyskutuje zawzięcie z dwoma robotnikami.

– Tak – mówi – jak masz ochotę na coś, czego nie możesz mieć, jesteś nieszczęśliwy, a jak masz dużo pieniędzy i innych rzeczy, boisz się, że je stracisz i też jesteś nieszczęśliwy.

Stary hipokryta, myśli pani Cloche, przechodząc obok.

Dominik jest bardzo zajęty, przyjmuje ją jego żona.

– Wiesz, wrócił pan Marcel.

– I co mówił?

– Nic.

– Nic?

– Nic, był z takim młodym blondynem, który chciał iść do ojca Taupe'a zobaczyć, czy ma coś ciekawego. Razem do niego poszli. Myśle, że nic nie znaleźli. Potem znowu przechodzili, ale już nie weszli, tylko skinęli głowami. A ty widziałaś się z Saturninem?

– Tak. Opowiedział mi wszystko o sobotniej nocy. Nic takiego się nie stało. Chłopak nie przyszedł. Pan Marcel też nie, Saturnin znalazł pana Narcense'a, był sam, ze sznurem w ręku. Pogadali i namówił go, żeby razem wrócili do Paryża.

– Czyli nic się nie stało?

– Nic a nic.

– Nigdy nic się nie dzieje – wzdycha rozczarowana pani Belhôtel.

Pani Cloche się uśmiecha. Nic się nie dzieje dla takich tłumoków jak jej szwagierka. Ale dla niej... Pani Cloche spogląda na ojca Taupe'a; gada jak nakręcony; nic nie trzeba mieć, powiada, inaczej same kłopoty. Z kobietami też kłopoty. Zaczyna na ten temat żartować. Pani Cloche widzi, że oczu nie spuszcza z Ernestyny; cały czas wodzi za nią wzrokiem. Dziewczyna przechodzi blisko niego. Jedyne sposoby to niczego nie pożądać, oświadcza ojciec Taupe i szczybie Ernestynę w pośladek.

Pani Cloche ma pewien pomysł.

\*

Chociaż to niedorzeczne i Wielki był temu przeciwny, Étienne nazajutrz rano udał się do Narcense'a. Dostał wolne przedpołudnie i około dziewiątej stanął na bulwarze Nieznanego Oficera 8. Saturnin zamykał przed bramą. Étienne rozpoznał go i zapytał, jak się czuje. Tamten odpowiedział, że całkiem nieźle; i rzeczywiście wyglądał bardzo dobrze. Ze swej strony zainteresował się zdrowiem gościa i nie był zaskoczony, kiedy się dowiedział, że ów nie narzeka. Te wstępy trwały tylko kilka sekund, gdyż ich pozorna złożoność kryła głęboką prostotę.

Saturnin pokazał Étienne'owi, jak posłużyć się windą, i ci ostatni, nie mieszkając, pofrunęli ku górnym piętrům niezamieszkanego budynku. Na siódmym winda się zatrzymuje i jej zawartość, znalazłszy się, rzecz zupełnie niezwykła, na żądanym poziomie, dzwoni do drzwi Narcense'a, który niemal natychmiast otwiera.

Étienne przeprosił za najście, tamten powiedział, że nie szkodzi, i jednocześnie zaprosił do środka. Kiedy usiedli, bo Narcense zaproponował gościowi krzesło, ten ostatni, nie przestając przekonywać rozmówcy, że powodem jego wizyty nie jest żadne podejrzenie w stosunku do jego osoby, ten ostatni, powiadam, objaśnia Narcense'a, że syn jego, Théo, znowu zniknął z rodzinnego domu; dodaje, że chociaż wydaje mu się to zupełnie nieprawdopodobne, Narcense może coś na ten temat wiedzieć. Narcense zdumiał się i na takiego też wyglądał; oświadczył przy tym, że jest wielkim błędem sądzić, że nic innego w życiu nie robi, tylko zajmuje się sprawami Théo; że nie należy mniemać, iż ten chłopak jest jego jedynym zajęciem i problemem; że przeciwnie, jego czyny i działania mało go obchodzą i nawet wolałby o nich w ogóle nie słyszeć. Étienne odrzekł, że nie przypuszczał, iż jego pytanie może go aż tak dotknąć, na co Narcense odpowiedział, że wcale nie jest dotknięty, tylko nie ma najmniejszej ochoty, żeby Théo przez całe życie się za nim ciągnął.

Étienne przytaknął, co bardzo Narcense'a zdziwiło i dodał, że ponadto nic nie wie o młodocianym uciekinierze. Zapytał, czy są jakieś podejrzenia co do powodów zniknięcia; Étienne żadnego nie znał; bał się wypadku, napomknął coś o rozpaczcy żony.

Po kilku minutach milczenia Narcense zapytał Étienne'a, czy jest urzędnikiem bankowym, a usłyszawszy potwierdzenie, poinformował, że on, Narcense, gra na saksofonie; że czasowo jest bez pracy, ale ich wspólny znajomy niedługo mu ją załatwi. Étienne się zdziwił, bo nie znał nikogo, kto byłby również znajomym Narcense'a, ale kiedy ten ostatni wymówił nazwisko Piotra Wielkiego, Étienne zrozumiał swój błąd – i wiele innych rzeczy również. Bowiern prorocstwo z restauracji przekształciło się nagle w niezwykle udaną magiczną sztuczkę; a i tak Étienne nie wiedział jeszcze, że Piotr zawiózł Narcense'a samochodem do Mygales. Odkrycie dwulicowości Piotra bardziej mu się spodobało, niż zbiło z tropu. Sztuczka wydała mu się zgrabna i przyznał, że sam nigdy nie byłby do takiej zdolny. Zapytał muzyka, czy wie, czym się zajmuje i jak żyje ich przyjaciel; tamten nie wiedział; obaj wiedzieli o nim tylko jedno: że ma samochód. Wypyтали się nawzajem, w jaki sposób go poznali; jeden po raz pierwszy zobaczył go w Obonne, w małej restauracyjce. Étienne wolał nie wiedzieć w jakiej, bo to mu przywiodło na myśl powody, dla których Narcense bywał w Obonne; on sam poznał Piotra w wyniku niegroźnego wypadku przy Dworcu Północnym – więc Narcense sobie przypomniał swojego najlepszego przyjaciela przejechanego w tym samym miejscu, i znowu pomyślał o śmierci. Znowu, gdyż tego samego ranka wydało mu się w półśnie poprzedzającym obudzenie, że widzi jakąś rękę zaciśniętą na framudze okna; kiedy tak zatem opowiadał gościowi o śmierci swego przyjaciela Potice'a, przed oczami przesuwaly mu się obrazy, począwszy od babki z podwiązaną brodą, a skończywszy na swym własnym powieszeniu, poprzez absurdalny epizod z udziałem niesfornego pudła.



Podczas gdy tak brnął przez obrazy, od powieszenia do Théo i od Théo do Alberty, zdradził rozmówcy, że Piotr obserwował go, zanim go poznał. A ponieważ Étienne wypytywał o szczegóły, Narcense powiedział, że Piotr śledził zachodzące w nim zmiany. Étienne przyznał się do zmiany; lecz fakt, że ktoś inny mógł ją zauważyć, wydał mu się niezwykle tajemniczy. Nie drążąc głębiej tej sprawy, postanowił, że Piotr zostanie jego przyjacielem, mimo że przynajmniej jeden raz zabawił się jego kosztem. Narcense tymczasem nie widział Étienne'a, tylko bardzo daleko za nim pewną kobietę.

Serię rewelacji przerwało wejście Saturnina, który przyniósł kartkę pocztową zaadresowaną do Narcense'a. Na odwrocie widniały słowa: „Pozdrowienia, Théo”; nadano ją w pewnym kąpielisku na wybrzeżu atlantyckim.

\*

Kiedy humusem i próchnicą przykryto prostokątny równoległoscian, w którym zaczynały gnić zawszone zwłoki starego nędzara zwanego Bousigue przez ludzi, a Thomas przez własnego ojca, jego szpiczastonosą córką udała się do domu zmarłego na skraju wsi.

Długie lata wegetował w klitce obok cegielni; w tym czasie córka sprzedawała łuskany groch i masło roślinne daleko od niego, na jednym z przedmieść wielkiego miasta. Stary żył z jałmużny, nigdy go nie odwiedzała, bo interesu, jak wiadomo, trzeba pilnować. Kiedy jednak zszedł, ruszyła się z miejsca i popchnęła drzwi. Na ziemi leżał siennik, w kącie tkwiło krzesło; jakieś skrzynki; porozrzucane śmieci. Nic tylko wszystko spalić. Wzięła siennik, zrolowała go i odrzuciła w kąt, coś z niego wypadło.

Wkrótce rozeszła się wiadomość, że córka starego Bousigue'a znalazła dwieście tysięcy franków w banknotach i obligacjach Obrony Narodowej ukryte w sienniku swego ojca, starego nędzarza. Zaraz dowiedziała się o tym cała wieś. I pomyśleć, że dawaliśmy mu jałmużnę, mówili sobie jej mieszkańcy. Wieść dotarła do sąsiedniej miejscowości, a tam aptekarz, korespondent „Petit Tourangeau”, opisał wydarzenie w swoim dzienniku; w Tours wydało się wystarczająco ciekawe, żeby przesłać je do Paryża.

Tam drobne to wydarzenie odczekało trzy dni kwarantanny, aż skończy się Tour de France. Kiedy ucichły ostatnie echa wyścigu, znaleziono na piątej stronie kącik, żeby umieścić

SKĄPIEC itd.

Chinon itd.

Wydrukowali w nocy, dziennik ukazał się wcześniej rano i ludzie go kupili. Kupiło dużo osób, bo dużo osób czyta dzienniki, nawet jeśli są tacy, co nic innego nie czytają, tak się przynajmniej mówi. Belhôtel Dominik należał do tych ostatnich. Gazetę przeczytał przy porannej kawie; potem przeczytała jego żona; potem przeczytali klienci.

Gazeta wałała się po stole przez cały dzień. Pod wieczór, poplamiona winem, zatłuszczona i trochę naddarta, została wzięta przez Ernestynę, która starannie ją wyprostowała i rozprasowała zagięcia ręką. Z głową wspartą na pięściach przeczytała artykuł wstępny, potem kronikę policyjną i w końcu:

SKĄPIEC itd.

Chinon itd.

Bousigue, dwieście tysięcy franków, Bousigue, dwieście tysięcy franków. Z tyłu dobiegł ją szept:

- Tak, tak, moja mała, dwieście tysiaczków.
- Tak, dwieście tysiaczków – mruknęła zdumiona Ernestyna.
- Mają farta ci spadkobiercy! – ciągnęła pani Cloche.
- Oj mają, mają.

– A on jeszcze żebrał – dodała Sydonia.

– Tak, żebrał.

– Uf – powiedziała stara. – Nie on jeden, dajesz takiemu kilka groszy, a on w kącie, w szafie albo w sienniku ukrywa majątek. Takich skąpców nie brakuje, sobie wyobrazić nie możesz, moja mała. Wygląda toto jak nędzarz, a mógłby sobie mieszkać w najlepszej dzielnicy. Takich nie sieją.

– Co racja, to racja – wzdycha smutno Ernestyna.

Ernestyna nie zamierzała spędzić życia na podawaniu białego wina i kufli. O nie. Potrafiła trochę odłożyć na boku. Belhôtel obiecał, że zrobi z niej wiceburdelmamę w przybytku, który wkrótce zakupi. Ale taki majątek, co spadnie z nieba, to może naprawdę szlag człowieka trafić. Kiedy była mała, przeczytała kiedyś w „Les belles images” prawdziwą historię skarbu Inków. Wzmianka w gazecie i podłe życie, jakie wiodła, przypomniały jej tę piękną bajkę. Ale zaraz sobie pomyślała, że jest za krótka na bohaterkę takiej przygody. Nie tak jak córka tego Bousigue’a, której nazwisko łopotało jej teraz w głowie, ciągnąca swój wózek banknotów i obligacji Obrony Narodowej.

– Nieraz szukamy czegoś bardzo daleko, a jest całkiem blisko – szepnęła pani Cloche rozmarzonym głosem.

– Może i tak, może się zdarzyć, aleniemnie.

Ernestyna dodała:

– Nigdy nie miałam szczęścia.

– Pewnego dnia szczęście przychodzi.

Może, może i tak. Pani Cloche nie ustąpiła:

– Nieraz szukamy bardzo daleko, a jest całkiem blisko.

– Szczera prawda – powiedział Étienne, który właśnie wszedł.

Panią Cloche na chwilę zamurowało. Potem gwałtownie wstała.

– Ach! Dzień dobry, panie Marcel.

– Dzień dobry pani – odparł Étienne nieskończenie à propos. – Robi się późno. Umówiłem się ze znajomym, ma tu przyjść za kilka minut. Napiję się białego wina, Ernestyno.

O tak późnej porze nie było już klientów. Państwo Belhôtel siedzieli w swoim barze, w mieście.

– A co z tym handlarzem staroci?

– Och – powiedziała pani Cloche.

– Moje pytanie panią dziwi?

– Nie, skądże! Ależ nie! Ojciec Taupe, no, on stale tutaj mieszka.

Usłyszeli hamujący samochód. Wszedł Piotr.

– Może mu pani powiedzieć, że ten pan nadal jest zainteresowany kupnem jego drzwi.

– Rozmawiacie o tym tam starym pocziwcu? – spytał Piotr. – Może by tak iść go obudzić?

Pani Cloche zbladła.

– Jeszcze was postrzeli.

– Coś takiego! Ja też poproszę białe wino.

Napili się obaj; Ernestyna drzemała; pani Cloche w duchu triumfowała. Trop okazał się dobry. A jeśli tam teraz pójda... Ależ nie, nie odważą się. Nie odważyli się, bo nie mieli czasu. Przynajmniej tak powiedzieli. Samochód utonął w mroku.

\*

– Jak sądzisz, Ernestyno, po co ci dwaj panowie tu przychodzą?

– Skąd mogę wiedzieć?

– Nie wydaje ci się to dziwne?

– Niby dlaczego?

– Pan Marcel mieszka w Obonne, a ten drugi w Paryżu. Dlaczego tutaj przychodzą?

– Wstępują, żeby się napić.

– Przecież to nie po drodze.

– Rzeczywiście nie po drodze.

– Wydaje ci się normalne, że bogaci ludzie przychodzą napić się tutaj, gdzie cuchnie fabryką produktów chemicznych i jest tylko białe wino albo piwo. Uważasz, że to normalne?

– Ma pani rację, wcale o tym nie pomyślałam.

– I o takiej porze, nie dziwne?

– Oj, dziwne!

– A co chcieli zrobić?

– Nie wiem.

– Już nie pamiętasz?

– A mówili?

– Oczywiście, przypomnij sobie.

– Nic a nic nie pamiętam.

– Szczęście polega na tym, żeby nie zapominać tego, co ciekawe.

Wbij sobie do głowy, moja mała.

– Dobrze, proszę paniom.

– Powiedzieli, że pójdą obudzić ojca Taupe’a.

– Ano tak! I że chcą kupić jego drzwi! Ale śmieszne, kupować jakieś drzwi!

– Zastanów się, Ernestyno, czy to nie dziwne, chcieć budzić biednego starego o tej porze?

– Nawet im pani powiedziała, że gotów im władować kulkę. Na pewno by im wpakował.

– Byłaś kiedy u ojca Taupe’a?

– Tak, z panem, chciał sobie kupić zasuwkę.

– Jest tam co ciekawego?

– Niby jak?

– Czy są tam jakieś ładne rzeczy?

– E tam, bida z nędzą. Wszystko stare i połamane.

– Myślisz, że coś tam mogłoby zainteresować takiego dzianego faceta jak ten blondyn?

- Pewnie, że nie.
- Czy nie dziwne, że przyjeżdża tutaj o tej porze, chce od niego coś kupić i nawet zamierza go budzić?
- Żeby kupić drzwi.
- Dziwny pomysł tak kupować drzwi.
- Oj, dziwny.
- I co ci panowie mogą chcieć z nimi zrobić?
- Pojęcia nie mam.
- A czym się zajmują?
- Nie wiem.
- Jeden niby pracuje w banku, tak mówi.
- Pani nie wierzy?
- A drugi nic nie robi.
- Ojej!
- I co ty, Ernestyno, myślisz o tym wszystkim?
- Trzeba mieć nie po kolei, żeby kupować jakieś drzwi.
- Tylko nie po kolei?
- No, trzeba mieć nie po kolei.
- Myślisz, że to świry?
- Ja tam wiem...
- A nie może to być nic innego?
- Ja tam wiem...
- A kim jest ojciec Taupe?
- Stary satyr! Przy każdej okazji szczypie mnie w tyłek.
- Ma do ciebie słabość.
- Ojej!
- I co?
- Stary rozpustnik! W jego wieku!
- Dobra, dobra, a co innego jeszcze robi?
- Sama pani dobrze wie. Dlaczego tak mnie pani wypytuje?
- Jestem ciekawa, co naprawdę myślisz o ojcu Taupie.

- Stary satyr z niego.
- Co jeszcze?
- I pijaczyna.
- Co jeszcze?
- Handluje starzyzną.
- Co jeszcze?
- Żyje jak kret, w norze.
- Jesteś idiotką, Ernestyno.
- Dobra, dobra.
- Ernestyno, głupiaś jak osioł.
- Dobra, dobra.
- Ernestyno, szczęście jest tuż-tuż, a ty mu pozwalasz odejść!
- Niby co?

– Ernestyno, jeśli mnie posłuchasz, zamieszkaż na Lazurowym Wybrzeżu, będziesz miała auto, co wieczór będziesz chodzić do kina, każdej nocy będziesz tańczyć na dancingu. Ernestyno, zaczyna się nowe życie. Koniec z frytkami i białym winem! Koniec z produktami chemicznymi i podmiejskimi pociągami! Koniec z lepkiemi łapami mojego brata i niewyparzoną gębą mojej szwagierki! Koniec z pracą! Koniec z nędzą! Dla nas żigolaki i flaszki kminkówki! Zafundujemy sobie wszystko! Napchamy się potąd! Wszystko jak leci: ciastka, gęsie wątróbki i kawior. Hopla i hopla, i hopsasa!

– Pani Cloche, pani Cloche, niechże się pani uspokoi!

– Tak, Ernestyno, wyciągnę cię z nędzy, z biedy, z bryndzy! Wyciągnę cię z rynsztoka, z ubóstwa, z niedostatku. Obsypię klejnotami! Ernestyno, codziennie będziesz mogła jeść surowe karczochy z sosem winegret, swoje ulubione danie! Codziennie, Ernestyno, będziesz mogła sobie pić cydr z Normandii! Codziennie, Ernestyno, będziesz mogła wysłuchiwać swoich ulubionych operetek w Trianon-Lyrique!

– Co się z nią dzieje! Rety, co ją napadło!

– Ernestyno, jeśli mnie posłuchasz, będziesz bogata.  
– Niby jak?  
– Ale po połowie.  
– Niby co?  
– Ja ci powiem, co trzeba zrobić, a ty mi dasz połowę tego, co zgarniesz.

– Połowa. To bardzo dużo!  
– Łajdaczka! W takim razie nic ci nie powiem.  
– Dziesięć procent będzie akurat.  
– Łajza z ciebie, Ernestyno. Połowa albo nic nie mówię.  
– Jedna trzecia, pani Cloche.  
– Połowa, Ernestyno.  
– Jak dam pani połowę, nie będę znowu tak bardzo bogata.  
– I tak będziesz miała więcej, niż ci trzeba...  
– A jeśli nic nie dam?  
– To się niczego nie dowiesz.  
– A jeśli i tak, bez pani mówienia, wiem swoje?  
– Niby co?  
– Pani Cloche, ja nie jestem taka głupia, na jaką wyglądam. Dobrze wiem, o co pani chodzi.

– O co?  
– Pani chce mi wmówić, że ojciec Taupe jest milionerem.  
– Nie wierzysz?  
– A gdzie dowód?  
– Właśnie. Połowa i masz dowód.  
– Dobra, już dobra, pani Cloche. Połowa.  
– Umowa stoi?  
– Stoi.  
– Tylko nikomu ani słowa.  
– Słowo, pani Cloche.



– W takim razie słuchaj: wczoraj Clocco bawił się niedaleko baraku ojca Taupe’a i wyszli ci dwaj faceci. Słyszał, jak mówili: Forsę ma schowaną za tymi drzwiami, dlatego nie chce ich sprzedać. A ten wysoki blondyn powiedział: Na pewno ma ciężkie miliony. Oto jak się sprawy mają: pan Marcel i jego kumpel chcą położyć łapę na forsie ojca Taupe’a. Jeden złodziej, a drugi jego pomagier. Ale ich wykołujemy. Bardzo proste: poślubisz ojca Taupe’a i kaska jest nasza.

– A jak ojciec Taupe nie zechce mnie poślubić?

– Też coś, poślubi, poślubi. Ślina mu cieknie na twój widok.

– A jak tamci mnie stukną?

– Gdzież tam! Nie masz się czego bać!

– No nie wiem.

– Co niby mają ci zrobić?

– Ryzyko zawsze jest.

– Jak mogłabyś przepuścić tak wspaniałą okazję, Ernestyno?

– Ja to sobie myślę, ryzykuję własną skórę i mam się nadstawić ojcu Taupe’owi, żeby pani dać połowę szmalu. To nie jest dobry interes.

– Strasznie się droczysz, Ernestyno. Nie brak panienek, co by się chwili nie zastanawiały.

– Dobra, dobra. A mnie się widzi, że jak tamci zobaczą, że ktoś im sprzątnął szmal, to się do mnie dobiorą. Mam to jak w banku.

– Wymyślasz sobie nie wiadomo co, Ernestyno.

– Nie, pani Cloche, nie wymyślam. Nie wchodzę w to.

– Pomyśl tylko, Ernestyno.

– Nie wchodzę w to! Nie wchodzę! Nie wchodzę!

– Idiotka z ciebie! Kompletna idiotka! Można zdobyć miliony.

– Możliwe, ale nie skorzystam. Nie, pani Cloche, to nie dla mnie.

Dziękuję. Zresztą musi już pani iść. Zamykam, jest dziesiąta.

– No nie, tego za wiele. Pozwolić, żeby przepadł taki majątek. Aleś ty głupia, Ernestyno, jak but.

– Wszystko ładnie pięknie, ale wolę być tutaj służącą niż mylionerką na cmentarzu. A zresztą wcale nie wiadomo, czy on ma te myliony.

– Czego ty jeszcze chcesz, niby za friko tamci dwaj się tutaj włóczą. Czy to, co usłyszał Clovis, to nie jest dowód? Czego ci jeszcze trzeba! Uważasz, że to normalne tak gadać, że trzeba nic nie mieć, żeby być szczęśliwym, i inne podobne bzdety? Ojciec Taupe, gdyby naprawdę był biedakiem, nie krzyczałby tak głośno. Wszystko to szyte grubymi nićmi. Tak, tak szyte grubymi nićmi.

– Wszystko bardzo pięknie, pani Cloche, ale ja odmawiam. Zresztą jest dziesiąta, zamykam.

– Dobrze, idę. Ale zobaczysz, zmienisz ty jeszcze zdanie! Zmienisz ty jeszcze zdanie!

\*

Panował kurewski gorąc. Ojciec Taupe siedział na kulawym krześle, z wywieszonym językiem, popłakując na lewe oko. Drugim z roztargnieniem śledził zabiegi dużej zielonej muchy próbującej się paść wśród rupieci schnących na słońcu. Muchy rzadko tu zaglądały, zniechęcone odorem produktów chemicznych. Zdarzały się natomiast szczury. Ojciec Taupe lekceważył te stworzenia, mimo że jedno z nich któreś nocy ugryzło go w palec u nogi. Tymczasem panował kurewski gorąc; z fabrycznych kominów walił dym; na torach formowano pociąg i niósł się stukot przyłączanych wagonów. Po drodze wiodącej do Blagny jeździły ciężarówki. Ojciec Taupe na próżno próbował wydobyć z pamięci daty największych letnich upałów; zwiększony wysiłek intelektualny powodował obfite wydzielanie śliny. Wydobył z pamięci lato 1895, potem 1904, potem 1911, potem nabił glinianą fajkę, przywiązawszy starannie cybuch kawałkiem sznurka, i zaczął palić; fajka bulgotała, człowiek popluwał, mały rajski zakątek pośród piekła paryskiego przedmieścia.

Ojciec Taupe umiał być szczęśliwy; by zwiększyć rozkosz palenia fajki, jął się drapać w głowę wskazującym palcem i od czasu do czasu spoglądał z lubością na coraz czarniejszy paznokieć. Mizerny ciepławy wiaterek naniósł do baraku jeszcze trochę kurzu; postrzępiony parasol łagodnie poruszył skrzydłem; stara gazeta podfrunęła; zardzewiała sprężyna spróbowała podrygiwać, ale bez rezultatu. Słońce przypiekało jak leci gwóźdź, malowanękę, zamek i rondel, dzbanek i kandelabr; paznokieć zrobił się kruczoczarny, bulgotanie namiętne. Doskonały błogostan rozparł się jak basza na rajskim skrafku wkitowanym w piekło paryskiego przedmieścia.

Ojciec Taupe usłyszał kłapanie kapci na drodze i po chwili rozległo się stukanie do drzwi. I głos jakiś śpiewny: Panie Taupe, panie Taupe; kobiecy głos. Stary o mało się nie zadławił fajką. A to historia! Panie Taupe, śpiewał kobiecy głos. Któż taki? Podreptał do zasuwki i zapytał: Kto tam? Odpowiedziano: Nestyna. Otworzył.

Ernestyna chciała kupić wazon na kwiaty. Nie znalazła innego pretekstu. Handlarz starzyzną się zdziwił.

– Od kogóż dostajesz kwiatuszki, malutka? – zapytał najbardziej zalotnie, jak umiał.

Ernestyna zachichotała. Stary chciał ją uszczypnąć; strząsnęła jego łapy, ale jak zrobić, żeby pomyślał o ślubie? Oczywiście nie za pierwszym razem. Weszła do lepianki i zobaczyła drzwi. Te drzwi naprawdę tam były. Takie niby nic szczególnego, na dodatek niebieskie; z tyłu był kolejowy nasyp. Może stary wykopał tam piwnicę. Matka Cloche tego nie wiedziała. Ernestyna robiła nadludzkie wysiłki, żeby sprostać sytuacji.

Ojciec Taupe przyniósł bardzo dekoracyjny wazon; różowy pasterz i liliowa pasterka wdzięcznie omdlewali po jego bokach. Warstwa błota nie pozwalała dojrzeć reszty. Przemówił:

– Pasuje ci, malutka? – zdławionym głosem.

Popatrzyła na niego; naprawdę był milionerem? Jemu się zdało, że dostrzega w jej oczach odmęty perwersji; postawił wazon na wyszczerbionej komodzie i zaczął płąsać w miejscu, gulgocząc jak indor.

– Ojczye Taupe, co kosztuje ten twój wazonik?

A ten akrobata, z jedną nogą w grobie, a drugą w kołysce, ten linoskok szepnął:

– Całusa.

Ernestyna dostrzegła tylko komiczną stronę sytuacji i odwróciła się, żeby nie parsknąć śmiechem. Dźwięk tłuczonego szkła sprawił, że się odwróciła; stary nie lubił, kiedy z niego kpiono, i właśnie rozwalił różowawego pasterza i liliowatą pasterkę.

– Och! Mój wazon – powiedziała Ernestyna, robiąc stosownie przejętą minę.

Ojciec Taupe pożałował tego, co uczynił.

– Nie powinnaś sobie ze mnie żartować, malutka – rzekł.

Natychmiast zrozumiała, co ma na myśli.

Pocziwiec usłyszał wtedy słowa zdumiewające; dziewczyna wcale nie gardziła jego zalotami, zdawała się stawiać tylko pewien warunek, nie do końca jeszcze dla niego jasny. Przyniósł jej drugi wazon, ozdobiony blaskiem neapolitańskiego księżycy i sprzedał go jej za trzy franki pięćdziesiąt; wyszła, bardzo miło się uśmiechając. Przedtem powiedziała mu takie rzeczy, takie rzeczy, że no, ach, gdyby tak znaczyły to, co znaczyły, do reszty można by stracić głowę.

\*

Sydonia zasiadła w ogródku swojej ulubionej kawiarni naprzeciw Dworca Północnego. Właśnie tam trzy tygodnie wcześniej widziała, jak autobus przejechał pewnego młodego człowieka, co bardzo się śpieszył; tam właśnie po raz pierwszy ujrzała dwóch współników, Étienne’a Marcela i pana X.

Odegrali wtedy przed nią tajemniczą scenę, której właściwego znaczenia nie rozumiała, tak jak nie rozumiała właściwego znaczenia rozmowy, jaką dopiero co odbyła z Narcense'em.

Jej brat, Saturnin, najpierw zaczął się wydzierać, że nigdy w życiu nie wpuści jej do pana Narcense'a. Niby czego od niego chce? Do czego się miesza? I tak dalej, i tak dalej. Mam bardzo ważną sprawę, odpowiedziała, a zresztą nie twoja brocha! Braciszek musiał zamknąć gębę. Bo są granice... zresztą jest młodszy. I tak dobrze, że ten pan był właśnie w domu. Oczywiście zdziwił się na jej widok i bardzo uprzejmie poprosił, żeby usiadła. Do oglądania tam u niego nic ciekawego nie było. Stało pianino, takie tam, jak w jazz-bandzie, kilka zdjęć, a on sam jakby właśnie coś komponował. Wszystko dla picu, rzecz jasna. Tego faceta widziała po raz pierwszy. Miał bliznę na czole, wyglądał nienadzwyczajnie. Był bez krawata, rękawy koszuli podwinięte. Zwrócił się do niej z pytaniem: Czego pani ode mnie chce? Tak bez wstępów. Więc mu odpowiedziała: Przyszłam zaproponować panu pewien interes. A on powiedział: Coś takiego! Po czym zapadło milczenie. Dopiero ona odezwała się znowu: Pan dobrze zna pana Marcela, Étienne'a Marcela? Tak – odparł. A jego kumpla, przepraszam, jego przyjaciela, tego blondyna, co ma auto. A on powiedział: Piotra Wielkiego. Aha, tak się nazywa tamten typ. Na pewno nazwisko nie jest prawdziwe. Tak samo jak Narcense, dziwna nazwa. Zresztą nieważne.

Zasuwa dalej: Macie takie tam swoje sprawki, mrugnęła znacząco okiem. Tamten na to, że nie kapuje. I ten Théo – powiedziała. W ogóle nie znam – odparł z wściekłą miną. A to przepraszam – powiedziała. Nie tak trzeba było mówić.

Znowu zapadło milczenie. Narcense odezwał się pierwszy: Zupełnie nie rozumiem, czego pani ode mnie chce. Rzeczywiście trudno było wytłumaczyć. Tamci dwaj coś knują – wykrztusiła w końcu. Jacy tamci dwaj? No, Marcel i ten Wielki.

Wtedy powiedział: A co mnie to niby obchodzi? Wtedy ona powiedziała: Razem możemy im przeszkodzić. Wtedy on, z lekką kpina: Niby dlaczego mamy im przeszkadzać? Na to nie było odpowiedzi. Szykują wielki skok, mówi, a pan Narcense dodaje: Niemożliwe, i patrzy na nią z dziwną miną.

Potem mówi do niej: Dobrze ich pani zna, tych panów? Czy ich znam? Pewnie – odpowiedziała. – Stale przychodzą się napić do mojego brata, nie tego, co tu jest za dozorcę, tylko innego, co ma bistro w Blagny, wie pan, na linii do Obonne. A, to Saturnin jest pani bratem – powiedział. Tak, pszepana – odpowiedziała. A ci dwaj panowie stale chodzą się napić do Blagny? Tak, pszepana – znowu odpowiedziała. Dość oryginalne – powiedział. – Nic innego tam nie robią, w Blagny? – zapytał.

Zrobiła oko. Nie, jeszcze coś ta robią, właśnie tam szykuje się ten skok. Wielki skok? – zapytał. Będzie coś koło miliona – odpowiedziała. Coś takiego – mówi on, a ona, że jak zechce, we dwoje popsują im szyki. Bo, panie Narcense, ja widzę, jak się tam kręcą, i wiem po co. Ale jestem tylko słabą kobietą i sama nie mogę ryzykować. Gra idzie o milion, jeśli nie więcej, więc chyba lepiej, żebyśmy my to zgarnęli, a nie oni, prawda? – Tak mu powiedziała. A on odpowiedział: Za kogo mnie pani ma? Powiedziała, co myśli: Z tą muzyką to przecież lipa, nie? Marcel też mówi, że jest urzędnikiem w banku. Daj pan spokój, dobrze wiem, kim pan jesteś. Nie jestem przecie z policji. Proponuję uczciwy interes, a ryzyko prawie żadne. Dobry interes, jak pan w to wejdzie, forse mamy w kieszeni.

Ona tak se mówiła, a on se chodził tam i z powrotem. Skąd pani wie, że Marcel i Wielki szykują jakiś skok? – mówi. Tego to ja już powiedzieć nie mogę. – Pewnie, że mu nie mogła powiedzieć, ot tak, z marszu. Wtedy on jej powiedział: Przykro mi, szanowna pani, ale nie mogę się zająć pani sprawą, bo właśnie jestem zajęty przemycaaniem małych serków do Afryki Północnej. To, jak pani rozumie, bardzo czasochłonne, a w tym samym czasie mam jeszcze zlikwidować notariusza w okolicach Castelsarrasin, taka tam robótka, co ma mi przynieść dwa miliony, nie licząc kotletów, tak więc pani rozumie, jestem bardzo zajęty, oczywiście, niech to zostanie między nami.

Tak właśnie jej powiedział, a potem jeszcze: – Do widzenia pani, bardzo mi przykro.

Ale co znaczy, nie licząc kotletów? I wogóle czy istnieje coś takiego jak przemyt serków? To musi być taki żargon międzynarodowych bandytów. Jak te zaszyfrowane listy do Théo, które znaczyły zupełnie co innego, niż tam pisało. Z takim typem, co wiesz małe dzieci i przemyca małe serki, trzeba bardzo uważać. Ernestyna może ma rację, że nie chce się do tego mieszać. Takie typy są bardzo niebezpieczne, sprzątają takich, co im staną na drodze, a sami nigdy nie wpadną. Dwa miliony, nie licząc kotletów, niesamowite. Ojciec Taupe na pewno tyle nie ma. Chociaż, jak się na niego zasadzają, to może czegoś nie doliczyła.

– Co pani podać?

– Kieliszek cointreau – odpowiedziała pani Cloche – i to pełniutki, jak dla chorego!

Co za źle wychowana baba, pomyślał kelner, wycierając nos serwetką.

\*

– Niech mi pan powie, Saturninie, ta stara kobieta, co właśnie wyszła, to pańska siostra?

– Tak, co takiego znowu panu nagadała?

- Nic panu nie wspomniała?
- Nic a nic. Jak wychodziła, powiedziała: Jak ten pan będzie mnie szukał, daj mu mój adres.
- I nic nie powiedziała na mój temat?
- Ani słowa.
- Jest pijaczką, narkomanką czy wariatką?
- Nic z tych rzeczy. Moja siostra jest zdrowa na umyśle. A dzisiaj to nawet łyżeczka sobie nie gołnęła.
- Saturninie, czy pan wie, kim jestem?
- Pan Narcense...
- Wcale nie. Jestem łobuzem, złodziejem, groźnym bandytą. Pańska siostra właśnie mi to uświadomiła.
- Do głowy by mi coś podobnego nie przyszło.
- Mnie też nie.
- Skoro tak mówi, jakieś powody musi mieć.
- Oczywiście. Étienne Marcel też jest łobuzem.
- Ten facet z Obonne?
- W rzeczy samej. Szykuje skok wart miliona.
- Psia kostka – powiedział Saturnin.
- Obawiam się, że kieruje panem braterska miłość, kiedy pan utrzymuje, że pańska siostra jest zdrowa na umyśle. Niech się pan jej bliżej przyjrzy. Bacznie ją poobserwuje. Niech ją pan na przykład spyta, czy wie, na czym polega przemycanie szwajcarskich serków. Zobacz pan, co odpowie. Ja w każdym razie nie życzę sobie, żeby osoba w tak wątpliwym stanie higienicznym i o tak odrażającym wyglądzie postawiła kiedyś znowu stopę w moim progu.
- Dobrze, proszę pana.
- Niech jej pan też powie, żeby do rachunku nie wliczała kotletów.
- Dobrze, panie Narcense, powiem jej przy okazji.



Narcense nie miał wiadomości od Shibolettha; za wcześnie; Wielki pewnie nie zdążył się jeszcze tym zająć; trzeba będzie poczekać. Znowu zaczyna myśleć o starej wariatce i zastanawia się, jak mogła dojść do podobnych wniosków; i te częste wizyty w tym, jak mówiła, bistro w Blagny? Czy to prawda, czy fałsz? Co Marcel i Wielki mogą tam robić? Na pewno to też sobie wymyśliła, jak całą resztę. Blagny na linii do Obonne. Od tamtej historii z Mygales Narcense nie był w Obonne. Minęło pięć dni – tylko pięć dni.

Krajobraz widziany przez okno pociągu wydał mu się rozpaczliwie smutny. Lokomotywy podobają mu się, ale te rudery, te wszystkie nory. Teraz tradycyjna zabudowa willowa. Ciągnie się już od pewnego czasu; tu i tam kilka drzewek; potem pustka, jakieś robotnicze miasteczko, znowu osiedle biednych domków, fabryka, jedna, druga, wreszcie Blagny. Placyk, o tej porze wyludniony. Pociąg odjeżdża. Znowu niewielkie osiedle usiane klitkami, potem pustkowie, i tam, tuż przed fabryką produktów chemicznych, może przeczytać: FRYTKI, wielkimi literami, a niżej, dyskretnie, „D. Belhôtel”. Otóż i słynne bistro, a ten „D. Belhôtel” musi być bratem Saturnina. Przynajmniej tyle w bredzeniu starej jest prawdą. Nagle widzi tę starą. We własnej osobie. Na drodze wzdłuż fabrycznego muru, tuż obok torów, energicznym krokiem maszeruje ludzka nęcza. Widać, że wie, dokąd idzie. Narcense nie może się powstrzymać. Wystawia głowę przez okno, wrzeszczy: – Belhôtel! Belhôtel! – I macha chusteczką. Stara w końcu go dostrzega; kamienieje, zastyga w miejscu, zamienia się w słup soli. Stoi bez ruchu, dopóki pociąg nie zniknie w oddali. Narcense znowu siada, bardzo zadowolony.

Obonne, wille, wille i biswille. Tylko jedna jedyna go rusza, do połowy zbudowana, z furtki łuszczy się farba. Krąży dokoła. Z sąsiedniego Mon-Désir dobiega ryk bezzębego niemowlęcia; w Sam-Suffi rondlowaty kundel poszczekuje swojsko; w Mon-Repos kaczką wyje, bo złamała sobie łapę, bujając się na trapezie (nieprawda); w Mon-Rêve słuchają Rzymu albo Madrytu, chyba że to Tuluza (tak czy inaczej, nie idzie zrozumieć, grają serenadę Tortoniego, cholera by to wzięła!).

W nieukończonym domu nic się nie rusza. Wszystkie okiennice we wszystkich oknach są zamknięte. Pan Exossé stoi w progu domu i śledzi Narcense'a spod oka. Takie opuszczone domy wodzą na pokuszenie złodziei, myśli pan Exossé.

Narcense długo przygląda się willi. Potem przechodzi obok małej kafejki; wejdzie tam? Waha się; drzwi się uchylają, słyszy „ostatnim razem, jak byłem w Singapurze”, i wraca do Paryża.

\*

Saturnin chciał pisać, ale natchnienie nie przychodziło. Nie miał weny. Z piórem w dłoni spoglądał bezmyślnie na puste przegródki szafki na listy. Potem opuścił pióro i na papier spłynęło to oto zdanie:

tór kafka ule ciała.

Położył z powrotem obsadkę na kałamarzu. Bardzo speszony Saturnin, bardzo speszony.

Przycupnięty w głębi portierni, szczelnie zamknąwszy okiennice z powodu upału, otworzył mały szkolny zeszyt zapisany w jednej trzeciej, odkorkował buteleczkę z atramentem i sięgnął po nieco obgryzioną obsadkę. Zamierzał coś napisać. Ale nie jest łatwo coś napisać, kiedy się nie ma nic do powiedzenia. Tym bardziej że Saturnin nie pisuje prozą byle czego w rodzaju felietonów. Nie i jeszcze raz nie; on zapisuje myśli; kiedy więc nie pisze, bardzo cierpi. Żołądek się ściska jakby z głodu; samo w sobie bardzo interesujące. Oczy mrugają, skronie coś ściska jak w żołądku; lekki ból zstępuje od ciemienia do mózdzka i znika.

Saturnin znowu bierze pióro i przekreśla.  
tór kafka ule ciała.

Wcale nie miał zamiaru tego napisać; nic go to nie obchodziło. Ciągnie dalej skreślenie i kończy je fantastycznym zawijaszem. Odkłada pióro.

Bywają dni, że ma głowę pełną myśli, trafnych, głębokich, oryginalnych refleksji, są dni, kiedy jasno widzi, że to jest tym i jeszcze tamtym, i inne dni, kiedy rozumie to i tamto, i jeszcze jedno i inne dni, kiedy serce mu się lekko ściska na myśl, że to nie jest to, tylko tamto, i wiele jeszcze innych rzeczy. Często ma pomysły, a jak pomysłów nie ma, to też to można napisać; i to bywa bardzo zabawne. Skąd to przychodzi? Nie bardzo wiadomo. Często ma wrażenie, że to, co ma do powiedzenia, jest bardzo ważne, nieraz nawet najważniejsze na świecie – to, co właśnie napisał albo to, co zaraz napisze, po prostu to, co ma w głowie. Tak, nieraz to, co najważniejsze na świecie, jest tutaj – na końcu jego nosa; tak właśnie nieraz myśli konsjerż Saturnin, czy siedzi na krześle, czy leży na łóżku, czy znajduje się w portierni, czy stoi na progu budynku, nad którym sprawuje pieczę, czy noc, czy dzień, czy jest sam, czy w towarzystwie żony, która nie znosi kanałowych szczurów i żywych krewetek; tak, Saturnin nieraz tak sobie myśli.

Lecz innym razem konsjerż Saturnin jest zupełnie inny. Tak jak mówiliśmy przed chwilą, ma pustą czaszkę, posępne spojrzenie, bazgrze po papierze i gryzie obsadkę. Lecz nie ma nic do powiedzenia; co samo w sobie nie jest męczące, chodzi o to, że myślał, iż jest przeciwnie. Ponieważ nie wolno zapominać, że nieraz nie potrafi nic napisać, ale to go zupełnie nie krępuje, bo pisać wcale nie ma ochoty. A to jest ru ru ru różnica. Gdyby wziął miotełkę i wzniecał anonimowy kurz w kabinie windy, toby nie cierpiał. Gdyby wziął pastę do podłogi i szczotkę i, miło popatrzeć, wziął się za parkiet, toby nie cierpiał. Gdyby miał dużo roboty, gdyby miał wiele zajęć, wtedy by nie cierpiał. Lecz chce pisać, dlatego cierpi, bo ktoś za nim myśli. Przynajmniej tak sądzi. Od kilku minut drapał się po ramieniu z roztargnieniem, myśląc o różnych wydarzeniach ze swojej przeszłości, kiedy pomału zdał sobie sprawę, że za nim ktoś myśli. A zaraz potem, że naprawdę nikogo tam nie ma i nie myśli.

Różne obrazy, które zakłócały chęć pisania, rozwiały się; rozwiały się twarze jego szkolnych kolegów opluwających się dla żartu, potem sylwetka wychowawcy, co się przewrócił na schodach, potem rozwiało się ostatnie echo śmiechu wywołanego tym incydentem, potem rozwiały się jakieś niewyraźne sprośności, obraz okrętu wojennego, wytatuowanego nagiego ramienia, potem z wolna obraz jakiegoś tyłka i znowu kilka niewyraźnych sprośności. Potem bukiet róż, który widział rano, niesiony przez posłańca w uniformie.

Narysował pionową kreskę,

zostały tylko doznania cenestezyjne, ściśnięty żołądek, ucisk w skroniach, ciemniczo, co się zapada i zamienia w rodzaj studni, studni, studni bez dna i bez cembrowiny, gdzie kamienie spadają bez końca, nigdy nie napotykając powierzchni czarnej wody, co nigdy nie zaznała światła ani zmacenia, powierzchni wody węglowej, podpajęczynówkowej błonki mózgowej. Ucisk w klatce piersiowej się wzmógł, serce zaczęło bić jak szalone; oddech stał się urywany. Saturnin wpadł we własną studnię swego własnego mózgu, gdzie nie było już nic, ani studni, ani mózgu, ani Saturnina, ani dozorczy, ani wielbłądów, ani parasolek, ani bateau-lavoir.

Saturnin z otwartymi ustami.

Później – później – kiedy? – znowu wziął pióro, starannie podarł pokreśloną, zagryzmołoną kartkę i na innej napisał:

yezd nic.

Po czym zamyka mały zeszyt, zakorkowuje buteleczkę, odkłada na miejsce niewielką obsadkę. Następnie zabiera się do swoich robót, mimo że ma jeszcze czas.



Przyjechali w południe; pora aperitifu była w pełni. Duży sportowy samochód Piotra spotkał się z gorącym przyjęciem publiczności. Alberta zamknęła się w swoim pokoju. Étienne wyruszył na poszukiwanie Théo. Wakacje zaczynały się oryginalnie. Jedna noc w samochodzie bardzo korzystnie zastąpiła kultowe kilkanaście godzin w pudełku sardynek, a obecność Piotra stawała się dla Étienne'a koniecznością. Zapomniawszy o kaczuszkach i przyrządzie-do-krojenia-jaj-na-twardo, dostrzegając w spotkaniu z nim przyczynę zmiany, która z każdym dniem wydawała się bardziej rzeczywista. Nawet nie przyszło mu do głowy, żeby mu wyrzucić numer, jaki mu wyciął w związku z Narcense'em. Uważał zresztą, że lepiej nie informować go o swoich przemyśleniach na ten temat. Przynajmniej na razie. Ponieważ bardzo chciało mu się pić, wszedł do miejscowego amerykańskiego baru i poprosił o cytrynową lemoniadę. Barman zdziwił się, że można zamawiać podobnie dziwny napój i samowolnie zastąpił go szklaneczką dżinu. Étienne wypił i nawet mu smakowało. Zapłacił, nie robiąc wrażenia zaskoczonego ceną, i wyszedł zachwycony nowym doświadczeniem. Zaraz obok przystanął przed stoiskiem, gdzie sprzedawano książki i gazety; miał ochotę kupić jakąś książkę, nie powieść, jakąś poważną, ale na straganie nie znalazł nic w swoim guście; zadowolił się kilkoma widokówkami. Nieco dalej zapytał o cenę jakiejś pamiątki; tak tylko, żeby wiedzieć. Potem przeszedł się trochę, chcąc obejrzeć kilka malowniczych, bardzo typowych domów wzniesionych w ubiegłym roku przez stowarzyszenie inicjatywne. Z powrotem poszedł tą samą drogą, znowu popatrzył na książki i gazety, kupił papierosy i wrócił do hotelu. Piotr czekał na niego, popijając aperitif, jak wszyscy. Étienne przypomniał sobie o Théo, zawrócił i udał się na poszukiwania.

Popytał w hotelach, czy kto nie widział młodego człowieka, lat około piętnastu, o czarnych, źle obciętych, przetłuszczonych włosach, twarzy pokrytej wągrami, umykającym spojrzeniu i zawsze brudnych rękach; nikt jednak nie zauważył młodzieńca odpowiadającego temu opisowi. Powłóczył się zatem po miasteczku, dotarł do plaży. Smażyło się tam jeszcze kilka pośladków, ale żaden nie należał do jego pasierba, przyszłego maturzysty.

O pierwszej trzydziści wrócił do hotelu, bardzo zmęczony. Piotr ciągle na niego czekał. Usiadł, zniechęcony.

– Nie jest dobrze, ani śladu małego, a Alberta tam, w swoim pokoju, na niego czeka... Co oni tutaj dodają do tego, jak mówią, dżinu?

– Wciskają cytrynę – odparł Piotr.

Étienne pociera czoło. Gdzie on może być? Jak człowiek patrzy na rzeczy w sposób nieuprzedzony, wszystko się zmienia. To oczywiście utrudnia odbiór tego, co jako oczywiste przedstawia się przy pierwszym spojrzeniu. Dziwne, bardzo dziwne, nie brać pod uwagę przeznaczenia przedmiotu! Najpierw człowiek niczego nie widzi, bo jest w ruchu, potem się przygląda, żeby zrobić coś innego, w końcu kontempluje, bo jest zmęczony pracą.

– Co zamierza pan zrobić? – zapytał Piotr.

– Nie mam najmniejszego pojęcia. Przecież nie pójdę na policję! Co za historia, ale numer...

– Jakim chłopcem jest ten pański pasierb?

– To młody, piętnastoletni chłopak, chodzi do liceum, oczy ma brązowe, nos, czy ja wiem? Nie sądzę, żeby mnie bardzo lubił, myślę nawet, że mnie nienawidzi. Często się zdarza, że mały chłopiec nienawidzi swojego ojczyma, prawda? Chyba uważa mnie za idiotę, ja nie chodziłem do liceum i dotychczas nie wiedziałem wiele o świecie. O istnieniu. A on jest jednym z najlepszych uczniów w swojej klasie, ma robić maturę. Zatem, jak pan rozumie, uważa się za kogoś. Ja nie nadaję się specjalnie na ojca rodziny... Przynajmniej na ojca Théo.



– Powinien pan powiadomić panią Marcel.

Étienne wstał. W tej samej chwili zauważył chłopca. Ten ostatni, z rękami w kieszeniach, kapeluszem zsuniętym na tył głowy, zasiadał właśnie w kawiarni obok. Minę miał znudzoną i pogardliwą; otworzył książkę i udawał, że czyta. W kilka sekund później Étienne siadał przed nim.

– Jesteś wreszcie – mówi.

Théo, nadzwyczaj zdziwiony:

– No, jestem.

– Co cię napadło?

– Skąd wiesz, że tutaj jestem?

– Co ty tutaj robisz?

– Moja matka tu jest?

– Dlaczego zniknąłeś?

– Zastanawiam się, jakim cudem mnie odnalazłeś.

W takim tonie przez pewien czas toczyła się rozmowa. Théo skorzystał z tego, żeby na użytek rodziców skomponować opowieść o swoim ostatnim zniknięciu.

Piotr zaczął się nudzić i podszedł do nich.

– Zostajecie tu na obiad?

– Przedstawiam mojego syna, Théo. A to pan Wielki.

– Miłomi – powiedział Théo, który miał pewne pojęcie o Grzeczności.

– Biegnę uprzedzić Albertę – krzyknął Étienne.

Piotr i Théo zostali sam na sam. Nie zamienili ani jednego interesującego zdania.

\*

– Jeśli nie biorę pod uwagę praktycznego przeznaczenia wytworzonego przedmiotu – powiedział Étienne.

– To się nazywa estetyka – przerwał Piotr. – Albo magia.

– Ale ja nie chcę zajmować się estetyką ani magią – zaprotestował Étienne. – Ludziom się wydaje, że coś robią, a potem się okazuje, że robią coś innego. Zdaje im się, że wytwarzają nożyczki, a robią coś innego. Oczywiście to są nożyczki, mają ciąć i rzeczywiście tną, ale są również czymś innym.

– Dlaczego nożyczki?

– Albo jakiś inny wytworzony przedmiot, każdy wyprodukowany przedmiot. Choćby stół. Dom. Jest domem, bo się w nim mieszka, ale jest też czymś innym. Nie chodzi o estetykę, bo nieważne, czy jest ładny, czy brzydki. A jeśli idzie o magię, to nie rozumiem.

– Naprawdę interesujące byłoby powiedzieć, czym jest to „coś innego”.

– Niewątpliwie. Ale to niemożliwe. To zależy od okoliczności albo w ogóle nie można tego określić. Słowa też są wyprodukowanymi rzeczami. Można je brać pod uwagę niezależnie od ich znaczenia.

Étienne odkrywał to w miarę, jak mówił. Powtórzył sobie w duchu z satysfakcją. Myśl była przednia.

– Niezależnie od swojego sensu mogą oznaczać coś zupełnie innego. Na przykład słowo czajniczek oznacza ten przedmiot, lecz mogą je brać pod uwagę niezależnie od tego znaczenia, podobnie jak na sam czajniczek do herbaty mogą patrzeć niezależnie od jego praktycznego zastosowania, którym jest parzenie herbaty lub bycie po prostu naczyniem.

– Od dawna myśli pan o podobnych sprawach? – zapytał Piotr.

– Nie, nie – odparł Étienne. – Wynajduję je na bieżąco. Mówię i jakiś sens sam się pojawia w trakcie. Przynajmniej dla mnie, przynajmniej tak myślę. A pan dostrzega jakiś sens w tym, co mówię?

Piotr kilka razy poruszył głową, co znaczyło, że tak.

– A w przypadku czegoś naturalnego i w konsekwencji pozbawionego sensu przypisuje mu pan jakiś?

– O tym jeszcze nie myślałem. Ale dlaczego w konsekwencji?

– To jasne. Sądzi pan, że ptaki, kamienie, gwiazdy, skorupiaki i chmury mają jakiś sens? Że zostały wytworzone w jakimś celu?

– Nie sądzę – odparł Étienne – chociaż nie zastanawiałem się jeszcze nad tym poważnie. W każdym razie to, co naturalne, może uzyskać jakiś sens, kiedy ludzie mu go nadadzą.

Nastąpiła cisza i obaj zrobili kilka kroków do przodu, bo spacerowali.

– Bardzo ciekawe – szepnął Étienne. – Człowiek myśli, że robi jedno, a robi drugie. Myśli, że widzi to, a widzi co innego. Ktoś ci coś mówi, słyszysz coś innego, a to znaczyło jeszcze coś zupełnie innego. Cały czas, wszędzie tak jest.

– Dla mnie również – powiedział Piotr – rzeczy i cały świat znaczą coś innego, niż wydaje się, że znaczą, niż się sądzi, że znaczą. Ale nie myślę, że mają jakieś inne znaczenie. Nie mają żadnego.

– Tak pan myśli? – zapytał Étienne. – Ja mówiłem: człowiek sądzi, że coś widzi, a widzi coś zupełnie innego.

– A ja mówię, że człowiek sądzi, że coś widzi, a nie widzi niczego. I wie pan co – dorzucił Piotr – nie przywiązuję wagi do tego, co właśnie powiedziałem. Rzadko się odwołuję do metafizyki.

– Jakiej metafizyki? Nie wiem, co to takiego – obruszył się Étienne.

– Możliwe, ale się pan nią posługuje.

– Czym?

– Metafizyką.

– I dobrze, można powiedzieć, w samą porę – odparł Étienne.

Piotr, poruszony, kopnął kamyk, jeden, drugi. Minęli (razem, oczywiście, bo kamyki ich nie rozdzieliły, owszem, same się raczej podzieliły) grupę młodych ludzi, chłopców i dziewcząt, bardzo młodych chłopców i bardzo młodych dziewcząt śpiewających modną piosenkę.

– Znowu ta głupia śpiewka – westchnął Piotr. – Co za idioci!

– Ci też nie myślą, że są tym, kim są – zauważył Étienne. – Ponieważ – dodał – człowiek myśli, że jest tym, a jest tamtym, a do tego wydaje się jeszcze czymś zupełnie innym.

– Według siebie, kim pan jest?

– Człowiekiem, który myśli – odparł Étienne. – To właśnie jest ciekawe, bo na pewno jestem inny. Co się tyczy tego, czym się wydaję, to pan to musi wiedzieć lepiej ode mnie. Przecież mnie pan obserwował. Proszę nie przeczyć. Narcense mi powiedział. Jaki jestem? Jaki byłem?

– Na początku – zaczął Piotr – był pan tylko sylwetką.

– Tylko?

– Na początku był pan tylko sylwetką. Szedł pan z banku do metra i z metra do banku, właśnie wtedy pana zauważyłem. Pewnego dnia zboczył pan z drogi i stał się bytem płaskim. Ale może pan sam nigdy nie widział podobnych osobników, moja opowieść staje się przez to niezbyt jasna.

– Proszę mówić dalej – powiedziała uprzejmie Étienne.

– Nie muszę panu mówić, jak bardzo ta zmiana zwiększyła moje zainteresowanie panem, i tak już spore. Pewnego dnia siedziałem naprzeciwko pana w pociągu, widziałem, jak stopniowo zaczyna się pan wypełniać, zyskiwać pewną konsystencję, ale ja, osobiście, nie znałem przyczyny. Kiedy moja taksówka pana potrafiła, był pan ciągle w takim stanie. Lecz kiedy znowu pana ujrzałem, w restauracji, na pewno pan sobie przypomina, miał pan już ten wygląd co obecnie: wygląd człowieka, i to takiego, który myśli.

– Czyli to właśnie pan zobaczył.

Étienne dokładnie przyjrzał się skórcie pomarańczy, potem, podniósłszy oczy, zauważył – nie bez zdziwienia zresztą – osobę, którą znał.

– Muszę przeprosić – powiedział, zwracając się do swego towarzysza.

Po czym, zrobiwszy kilka kroków:

– Jestem zaskoczony i szczęśliwy (użył właśnie tego zwrotu), że panią tu spotykam.

Pani Pigeonnier o mało nie zemdląła; Catherine, która z nią była, podtrzymała ją ramieniem i energicznie uszczypnęła dla dodania animuszu.

– Pan Marcel – westchnęła dama. – Cóż za miłe spotkanie!

Formułki grzecznościowe zaczęły fruwać; przy czym Étienne nie mógł zrozumieć, dlaczego jego widok tak niezwykle poruszył sąsiadkę z Obonne. Ta zresztą powoli się uspokoiła i z najzupełniej zimną krwią zapytała, co porabia „syn szanownego pana”. Postanowili, że się jeszcze spotkają.

\*

Kilka kroków dalej Piotr zapytał, co Théo opowiadał o swoim zniknięciu.

– Utrzymuje, że stracił pamięć i nic nie pamięta – powiedział Étienne. – Wcale w to nie wierzę, po prostu wymówka, ale nie rozumiem, z jakiego powodu tutaj przyjechał.

– Nie powiedział nic więcej?

– Nie. Powiedział, że się tutaj obudził. Zapytałem, czy pamięta, że napisał kartkę pocztową. Zaprzeczył. Więc mu powiedziałem o kartce, którą otrzymał Narcense. Był bardzo zdziwiony. Uważam go za strasznego hipokrytę. Ale Alberta, moja żona, jest taka szczęśliwa, że się odnalazł. Wróciła do życia. Obawiam się, że on ma to gdzieś. Może byśmy mówili sobie po imieniu? Chociaż ledwo pana znam. Wiem tylko, jak pan się nazywa. Nic poza tym. Czym się pan zajmuje? Gdzie pan mieszka? Nie mam pojęcia. Wydaje się, że nic pana nie łączy z żadnym miejscem ani osobą. Ma pan rodziców? Przyjaciół? Kochanki? Żonę? Dzieci? Jest pan poetą czy finansistą? Dziennikarzem, inżynierem?

Étienne zamilkł; Piotr nie odpowiedział:

– Proszę spojrzeć, rybacy całą noc spędzą na morzu. Wszystkie łodzie wypływają z portu.

– Chciałem tylko zapytać: kim pan jest?

Piotr przystanął na chwilę, patrząc w milczeniu, jak oddala się rybacka flotylla.

– Przepraszam za niedyskrecję – rzekł Étienne.

– Nie ma za co. Pewnie pan przypuszcza, że nie mam ochoty panu odpowiedzieć. Myli się pan. Ale od czego zacząć? Czy mam dzieci? Nie. Żonę? Nie. Kochanki? Obecnie nie. Ojca? Nie. Matkę? Tak, mieszkam u niej. Mam również brata. Proszę spojrzeć, już wszyscy wypłynęli. Wrócą dopiero rankiem...

Dochodzili do portu; gramofony i radia śpiewały; bawiono się do upadłego, żeby nie zmarnować ani minuty wolności. Za każdą zmarnowaną chwilą kryło się jedenaście miesięcy troski, niepokoju, niewoli. Na plażę przychodzili tylko drobni urzędnicy i funkcjonariusze; czuli się tu jak u siebie w domu; wielu przyjeżdżało co roku. Nieraz pod koniec tygodnia zjawiali się bogaci kupcy z pobliskiego dużego miasta, z żonami; siali zgorszenie, popijali amerykańskie napoje; używali sobie na całego. Oprócz tego nie działo się nic zdroźnego, trochę plotkowano. Nauczyciel pływania miał owłosione łydy; nie wolno było oddawać moczu pod murem szkoły; od dziesiątej wieczór zalecano niezakłócanie snu sąsiadom; jednym dzwonkiem wzywano chłopca hotelowego, dwoma pokojówkę i zawsze przychodzili na odwrót, co zresztą nie miało znaczenia. I tak dalej, i tak dalej.

– Dość gadaniny – powiedział Étienne. – Co z pańskim bratem?

– Pojadę do niego jutro. Spędzę u niego kilka dni. To bardzo niedaleko stąd.

– Miałem brata – powiedział Étienne – dwa lata starszego ode mnie. Uczył mnie robić klatki na muchy i rysować tankowce. Nie wiem dlaczego, ale lubił tylko takie okręty. Chyba nigdy ich nie widział. Wyglądały tak samo jak inne okręty, ale mój brat nazywał je tankowcami. Umarł na hiszpankę, w dziewiętnastym.

– Mój jest profesorem matematyki.

– Młodszy? – zapytał Étienne.

– Dwa lata starszy – odparł Piotr.

– Ciekawe – podjął Étienne. – Ta pani, którą przed chwilą spotkał, mieszka obok mnie w Obonne.

– Śliczna ta dziewczyna, która jej towarzyszyła – zauważył Piotr.

– Tak, rzeczywiście. Ją znam również. Zabawne. Niech pan sobie wyobrazi, że to jej służąca, Catherine.

– Robią raczej wrażenie przyjaciółek.

– Ciekawe.

– A Théo zna Catherine? – znacząco spytał Piotr.

Étienne udał, że nie słyszy. Sugestia mu się nie podobała, ale musiał przyznać, że tylko głupiec mógł wcześniej o tym nie pomyśleć. Jak Théo zdobył pieniądze na podobną podróż? Nie przyszło mu do głowy go zapytać, zresztą jakie to mogło mieć znaczenie? Problemy ojca rodziny coraz bardziej zaczynały mu doskwierać. Do tego jeszcze spotkanie z Théo, z Albertą i z panią Pigeonnier; może nawet z Catherine. Lepiej już zaatakować Piotra.

– A pan dobrze zna Narcense'a?

– Trochę, uroczy chłopak.

– Uroczy chłopak, dobre sobie, według mnie jest nieco dziwny.

– Tak, prawda, zapomniałem. Wspominał coś panu o mnie?

– Owszem – powiedział Étienne bez ogródek – wiele o panu rozmawialiśmy.

Dotarli do portu. Alberta i Théo na nich czekali.

Młodzieniec w milczeniu pił sok cytrynowy; ssał słomkę z nosem w szklance; drugi tom *Nędzników* walał się w rozsypanym cukrze i rozlanej wodzie mineralnej. Dwaj panowie znaleźli w końcu krzesła i usiedli. Wymieniono jakieś banalne uwagi; formułki grzecznościowe na kilka minut zabiły czas.

Wokół stolika państwa Marcelów panowało wielkie ożywienie. Kawiarniane stoliki wdzierały się do portu; właśnie dowieziono gazety z Paryża; alkohol wypełniał szklanki, popiół spodki. Wyły radia i gramofony. Korzystając z krótkiej chwili ciszy, Étienne mówi, kogo właśnie spotkał; spojrzął na pasierba, ale Théo ssał słomkę i ani drgnął.

\*

Zatrzymało się wielkie auto; pasażerowie wysiedli; nie należeli do osób bywających w X. Powinni byli się raczej udać do Y., na modną plażę, pięćdziesiąt kilometrów dalej.

Piotr rozpoznał Shibolettha i ruszył w jego stronę.

Shiboletth przywiózł do X. cztery kobiety mające podnieść prestiż jego klubu; dwie z nich miały tam wykonywać numer taneczny, dwie pozostałe miały za zadanie jedynie z nim spać. Lubił haremować. Banda rozsiadła się hałaśliwie; od strony portu nadciągnęły chłopaki, żeby podziwiać wypasioną brykę; Shiboletth, wystrojony w różowy sweter i spodnie pompki w drobną kratkę, rozprostował nogi i wykonał kilka drobnych ćwiczeń gimnastycznych. Krótko mówiąc, efekt na wejściu spory.



– Wielki. Coś takiegoooooo. Co ty tu porabiasz, mój mały? Prawdziwe wakacje? No nie, ty tutaj mieszkasz? Chwila moment, muszę ci przedstawić nasze panie: Orea i Kukła, specjalistki od tańców wschodnich, Camille, była kiedyś kochanką pewnego poety, a to nasza mała Oque. Siądź tu, napijemy się. Na co masz ochotę? Kelner, czekamy już pięć minut. Myśli pan, że mamy za dużo czasu? Nie śpieszycie się tutaj. Proszę nam podać dwa razy picon-cassis i cztery razy czerwone porto. Tylko nie jakieś świństwo. Co za wiocha, nieprawdopodobna. Widziałeś tych urzędasów, zarękawkami ciągnie na kilometr. Rodzinna plaża. Jaka plaża, taka rodzina! A te zakwitające dziewczęta, matko moja, co pod wieczór dają się na falochronie obmacywać przyszłym komornikom. To tutaj wegetujesz? Że niby jesteś w podróży. Widziałeś mój nowy wózek? Nawet jestem z niego zadowolony. Rano wyjechałem z Paryża i o ósmej będę w swojej dziurze. Taki wózek daje gaz. A ty stale masz ten swój, osiem cylindrów z kompresorem? Pewnie, też jest niezły. Ile pali? Mój nie więcej niż trzydzieści litrów i na prostej wyciągam sto pięćdziesiąt. Słuchaj, Kukła, przestaniesz puszczać oko do tego wystrojonego barana? Kelner, pan sobie myśli, że cassis pije się bez lodu? Wyprowadzę pana z błędu. Z lodem i do tego zimnym jak lód, słyszy pan? Ale psia wólka, Piotrze, mój biedaku. I oni tu przyjeżdżają z Paryża. No nie, spójrz na tego chłopaczkę, co tam chłopce lemoniadę! Dwa lata temu może to i było modne. Ja bym się pochlastał na takim zadupiu. À propos, wiesz, że ten dupek Ted z Leonem wybrali się w rejs jachtem La Sentine'ów? Ostatnia popijawa była u mnie, tydzień temu. Claude Poupou wyjechał do Norwegii, a Oderic Soneczko do Tyrolu. Jednym słowem, na paryskim bruku nie uświadczysz nikogo na poziomie. A co porabia twój brat? Ciągłe taki głowacz? Nie raczą nawet podać picon-cassis. Hej tam, Oque, dobre to ich porto? Tak czy inaczej, w podróży nie ma co wybrzydzać, trzeba brać, co dają. Czytałeś ostatnią książkę Paula Tontaine'a? Nie popisał się. Mój szampan nie dodaje mu skrzydeł. Widziałeś tę małą, tam, w zielonym? Nawet niezła, tylko

ubrana jak czupiradło. Słuchaj, stale mi jeszcze nie powiedziałaś, co ty tutaj robisz. Że niby spędzasz sobie wakacje w czymś takim i to za małe pieniądze. Zamierzasz wprowadzić nową modę? Chcesz mnie zrujnować, mój mały. Puścić z torbami. No i co, dzieci, teraz lepiej? Jeszcze jedna kolejka? A ty, też powtórzysz? Kelner! Kelner! Nie śpieszy mu się. No, jest pan nareszcie, jeszcze raz to samo. Co, zdążył pan już zapomnieć? Cztery razy porto i dwa razy picon-cassis! Ale tu mordy! Orea i Kukła będą miały numer tańce orientalne. Musisz zobaczyć. Bardzo oryginalne. Całkiem nowe. Niech się Murzynki schowają. Mówię ci. Do tego mam nowy jazz-band, zupełnie niesamowity. Musisz go posłuchać. Nie to, co tutejsze rzępolenie, przecież tego nie można słuchać! No nie, bębenki pękają! A jeszcze ci ludzie jak barany powtarzają refren! Biedna Francja. Widzisz, jak tamten gówniarz wybałusza gały na moje panie? Takim smarkom tylko jedno w głowie, od ziemi to nie odrosło, ma jeszcze mleko pod nosem. Wiesz, stary, w Y. mam klientów z najwyższej półki, księżę Walii, Aga Chan, truwadza du Bizère, hrabia Sentinelle. Takich ludzi kryzys się nie ima. Tacy mi gwarantują godną i zasobną starość. Pierwsza butelka szampana dla ciebie. Jak widzisz, nic się nie zmieniłem, stale z sercem na dłoni. Która to godzina? O cholera, za piętnaście. Zmykam, już mnie tu nie ma. Kelner, chodź pan tutaj. Ile ta lemoniada? Osiem talerzyków po sześć i cztery po trzy. Półdarmo, nie tak jak u mnie. I sobie zachować napiwek. No, kobitki, w drogę. A ty, mój mały, nie tkwij tutaj zbyt długo. Jeszcze ci zaszkodzi. I spójrzże na tę brykę. Co za linia, jaka linia! Piękna jak jaki zabytek i do tego jak zasuwa! Pędzi, że ho, ho! Pierwsza butelka szampana dla ciebie! No, moje dzieci, nie przepychać mi się, teraz Camille siedzi z przodu. Pozdrowienia dla brata. Na takim jak on wiele nie zarobię. Ale, ale, wiesz, że mały Lanlalaire niedawno się zabił? Paskudna historia. No co, kobitki, lets go! Na pokład. Do zobaczenia, mój mały, baw się dobrze, ale nie siedź tutaj za długo, bo ci jeszcze zaszkodzi, mówię po przyjaźni. Nie zapomnij do mnie wpaść.

Silnik zaczyna cichutko pracować.

– Posłuchaj, Shibolet, może znalazłoby się u ciebie miejsce dla saksofonisty?

– Dla saksofonisty? Ależ mój mały, saksofonistów mam na pęczki, perkusistów też, i w ogóle. Potąd, o, potąd. Miło było cię zobaczyć. Adieu! Pierwsza butelka szampana twoja!

Auto odjeżdża, wzbudzając powszechny podziw; powiało Wielkim Światem. Piotr wraca do stolika rodziny Marcelów.

\*

– Rodzice uwierzyli w to, co im powiedziałaś?

– Tak, albo udali, że wierzą. Na jedno wychodzi.

– A teraz, kiedy twój ojciec mnie zobaczył, nie zmienili zdania?

– Skąd mogę wiedzieć! Nic nie mówili. Niech mi tylko dadzą spokój, niczego więcej nie chcę. Spędzamy tutaj wakacje, co nie? Jak się kapnęli, to trudno!

– Nie trzeba było pisać do pana Narcense’a.

– Skąd mogłem wiedzieć.

– A ten młody człowiek, co ciągle chodzi z twoim ojcem, to kto?

– Wyjechał dzisiaj do brata do Z.

– Ale kim jest?

– Tata mówi, że ma jakiś interes.

– Jaki interes?

– Skąd mogę wiedzieć.

– To przyjaciel twojego ojca?

– Tak, nie może się bez niego obejść, stale o nim gada, co powiedział i takie tam. Trochę zaczyna mnie wkurzać.

– Nie wiesz, jak się poznali?

– Jego taksówka potarła mojego ojca przed Dworcem Północnym. Siedział w środku. Stąd się znają. To właśnie on przywiózł ich tutaj autem. Miesza się w nie swoje sprawy, szpicel jeden!

Théo chodził po pokoju w tę i z powrotem, udawał ważniaka, złościł się i pomstował. W duchu gratulował sobie, że jego ucieczka skończyła się tak szczęśliwie. Wyprawa z panią Pigeonnier i Catherine bardzo go przstraszyła, ucieczka wzbudziła w nim lęk i obawy. Teraz, kiedy wszystko ułożyło się tak dobrze, sortował swoje uczucia, pozostawiając tylko te najbardziej wzniosłe – zamiłowanie do ryzyka i przygody, poczucie odpowiedzialności, męską stanowczość, nieliczenie się z opinią spólstwa. Osiągał w ten sposób szczyty etyki, o których dotąd nie miał pojęcia. Przechadzał się w wyższych rejonach, oddychając czystym powietrzem heroizmu.

Pani Pigeonnier przeciwnie, ulotniła się z Obonne w absolutnej nieświadomości; wydawało jej się, że przeżywa najpiękniejszą przygodę swego życia. Cała jeszcze promieniała, lecz już zaczynała się niepokoić. Dostrzegała coraz to nowe kłopoty. Czyż państwo Marcelowie nie mogą poznać prawdy na drodze prostego rozumowania? Bo jak tu nie dostrzec związku między jej obecnością a ucieczką syna? I czy nie powinna się obawiać, że złe języki doniosą o wszystkim jego rodzicom? Że Théo nie sypnie się przez nieuwagę? Albo jej samej coś się nie wymknie? Czy w świetle prawa jej czyn nie jest aby przestępstwem? W wyobraźni widziała już siebie przed sądem albo w otoczeniu wyjącego tłumu. Dręczyła się zatem na swoim łóżu na rozmaite sposoby, a tymczasem Théo stał pod oknem, palił papierosa i patrzył Życiu prosto w twarz.

Pukanie do drzwi; Catherine. Weszła, przepraszając, że przeszkadza, usiadła na łóżku pani Pigeonnier, w nogach, i zaczęła opowiadać różne historie, między innymi, że wczesnym popołudniem zaczął ją pewien młody człowiek i że ten młody człowiek jest przyjacielem pana Marcela. Próbował, mówiła, „coś z niej wyciągnąć”, ale „udała niewiniątko” i niczego się nie dowiedział. Wyraźnie jednak coś podejrzewa, wygląda na wielkiego spryciarza.

– A do tego, proszę pani, jaki szykowny.

Catherine zaczęła się rozwodzić nad szczegółami odzienia, które przykuły jej uwagę, opisywać wytworną wymowę i dystyngowane ruchy swego rozmówcy, a potem dodała, że obsypał ją komplementami, powiedział, że jest filmowcem, że zaangażuje ją do filmu i że na pewno zostanie gwiazdą.

– Trzeba być idiotką, żeby wierzyć w takie głupoty – oświadczył Théo.

Kobiety nie zareagowały.

– Pojechał dzisiaj odwiedzić swoją posiadłość w Z. – dodała Catherine. – Umówił się ze mną na po powrocie.

Théo wzruszył ramionami i zaczął kartkować Trzech muszkietierów, ulubioną lekturę pani Pigeonnier. Podczas gdy Catherine przerzuciła się na relację ze swego flirtu z Alexisem Considérable'em, synem burmistrza X., Théo mozolnie szukał tematu wiersza; mężczyzna kocha potajemnie kobietę; ona kocha innego albo nim gardzi; on boi się wyznać jej miłość; pisze sonet, żeby wszystko powiedzieć; kobieta, która go natchnęła, czyta, co napisał, ale nie rozumie, że chodzi o nią. Tyle. Właśnie znalazł pierwszy wers: Życie ma tajemnicę, a dusza sekret ma; policzył na palcach i wyszło, że jego aleksandryn kuleje na jedną stopę; trzeba znaleźć synonim tajemnicy. Zagadka, nie. Ukrywać, dobrze; tylko jaki odpowiedni rzeczownik? Milczeć, nieźle. A dusza moja milczy, nie. Nie wychodziło. Znowu policzył na palcach stopy: Życie ma tajemnicę, a dusza sekret ma. Trzynaście zgłosek, o jedną za dużo, nie chce być inaczej. Pani Pigeonnier spytała go:

– Co tam tak liczysz?

– Ile jeszcze dni będziemy tkwić w tej dziurze – odburknął.

\*

Następnie Étienne doświadczył potęgi nudy.

Po dwóch dniach Piotr wyjechał; musi, powiedział, odwiedzić brata, niedaleko stąd; również w Y. czekali na niego znajomi; słowem, liczne obowiązki towarzyskie i rodzinne sprawiły, że zniknęła. Rzucono się zatem niezwłocznie w wir przyjemności kurortu X.

Płytkie kąpiele, spacery po falochronie, posiłki, połów (?) wypełniały codzienny program. Zaznajomiono się bliżej z tą panią z Obonne; nauczyła ich grać w ... (wstawić nazwę gry modnej przed trzema laty). Odnowiono znajomości; pozwolono, żeby Théo spotykał się z synem pana Sensitifą i z młodym Nécessaire'em, ale zabroniono mu widywać się z tą małą Catherine, o której zaraz zaczęto plotkować, bo jakoby flirtowała z Alexisem Considérable'em. Wieczorami przygrywał jazz-band pod gołym niebem i tańczono w świetle lampionów. Sensitif syn zapraszał Albertę, ale nie odważał się pokazać pisanych dla niej wierszy. Młody Nécessaire pogrązał się w kontemplacji panny Considérable, córki mera i odległej planety. Théo utkwiał na pierwszym wersie swojego sonetu; dokonywał cudów wyobraźni i dyplomacji, żeby pobyć z panią Pigeonnier i po kryjomu czytał *Trzech muszkieterów*. Wszystko to zresztą całkowicie umykało uwadze Étienne'a, który zdawał się interesować tylko nic nieznaczącymi szczegółami i coraz bardziej pogrązał się w oczach swego przybranego syna.

Alberta czerpała z wakacji taką przyjemność, jaką może czerpać tylko ktoś, kto przez cały rok pracuje dwanaście, piętnaście godzin dziennie w biurze i w domu. Hołdy syna pana Sensitifą wrzeszczały ją, pani Pigeonnier była czarująca. Przez cały czas dopisywała piękna pogoda.

Po tygodniu Étienne doszedł nagle do wniosku, że nudzi się strasznie, potwornie, śmiertelnie. Spostrzegł to przy sznurowaniu butów. Były to bardzo wytworne biało-beżowe pantofle. Wkładał je, żeby się udać do portu, na spotkanie z paniami i młodzieżą. Wrócił właśnie z dwoma urzędnikami CNA z połowu krewetek, byli w tym bardzo dobrzy, i teraz przebierał się do obiadu. Nie chodził bowiem na krewetki w swoich pięknych biało-beżowych butach ani w swoich spodniach z kantem. Przebierał się zatem do obiadu (oczywiście nie wkładał smokinga) i właśnie sznurował sznurowadła butów.

Morze było piękne, słońce było piękne, ziemia była piękna, niebo było piękne, plaża była piękna, port był piękny, miasto było piękne, okolica była piękna, klimat był piękny i powietrze było piękne.

Pokój znajdował się na drugim piętrze; okno tego pokoju wychodziło na dachy; wychylając się w prawo, można było zobaczyć odmorską falę (znaczy się, słony żywiół).

W jadalni zaczynano nakrywać do stołu. Naczelnny lekarz nie ogłosił stanu zagrożenia żadną zakaźną chorobą na terenie uzdrowiska; kurom nie groziła kołowacizna, świniom różyczka, indykom pypcie, krowom zapalenie gruczołu sutkowego, psom wścieklizna, a koniom nosacizna.

Żona fryzjera właśnie szczęśliwie powiła zdolnego do życia człekokształtnego potworka, którego można pokazywać na jarmarku i brać za to pieniądze.

Młodzieńcy i młode dziewczęta, dorośli i starcy, dzieci wraz ze swymi bonami, rybacy i latarnicy, nauczyciele pływania i kelnerzy, duzi i mali, krótcy i dłudzy, milczki i gaduły, katolicy i prawosławni, po trepanacjach i amputacjach, wieśniacy i chłopci, wczasowicze i letnicy, wszyscy, wszyscy, wszyscy głęboko nabierali błogostanu w płuca szczęścia.

Piękna chwilo.

Sznurując sznurowadła butów, rozumiał; nic to, że chwila piękna; nic to, że jedni i drudzy głęboko nabierali błogostanu w płuca szczęścia; nic to, że miauczący potwór oznaczał majątek dla biednego fryzjera; nic to, że zwierzęta i ludzie nie mieli się czego obawiać ze strony świata mikrobów (!); nic to, że widelce i noże artystycznie lądowały na niemal czystych obrusach; nic to, że wychylając się z okna, mógłby zobaczyć po prawej skrawek emalii zielonej, co się starała być morzem. Nic to, nic to, nic.

Spostrzegł, że się nudzi, strasznie, potwornie, śmiertelnie. Skończył sznurować prawy but; stał z łyżką do butów w ręce, z niewidzącym spojrzeniem, a sznurowadła od lewego leżały na ziemi jak źmije przejechane przez ciężarówkę. Nie miał świata nic do zarzucenia, bo świat istniał w formie tak ograniczonej, że z ledwością można było mówić o istnieniu. Wszystko pokrywała szara mgła. Kto mógł chcieć? Kto mógł kochać? Kto mógł cierpieć? Z łyżką do butów w rękę Étienne wpatrywał się martwym wzrokiem w sznurowadła leżące na ziemi jak kawałki makaronu pod stołem zaalpejskiego żarłoka.

Istnienie traciło całą wartość; rzeczy wszelkie znaczenie – i to nie tylko ta rzeczywistość tutaj traciła całą wartość; to nie tylko te rzeczy tutaj ogałacały się z wszelkiego znaczenia, lecz też owo istnienie z tyłu i z góry, i obok, i każda rzecz znajdująca się gdzie indziej, ponad wszystkim i wszędzie. Wszechświat wyciśnięty jak cytryna jawił mu się już tylko jako nędzny, wstrętny ogryzek, jakaś błonka tak cienka, że nie mógł (chciał lub umiał) do niej przylgnąć.

Razem ze światem on sam też tracił całą wartość i wszelkie znaczenie. Roztopiał się, zacierał, zanikał. Wsiąkał bez śladu w szarą mgłę pokrywającą wszystko. Cisnął łyżkę do butów na łóżko i skończył sznurowanie. Potem ukrył twarz w rękach, łokcie wsparł na kolanach i ziewnął. Chyba był głodny.



Powoli wstał, potem stojąc, znieruchomiał. Sięgnął po marynarkę; zanim ją włożył, zrobił kilka kroków w tę i z powrotem. Na kominku dostrzegł kurz; palcem narysował na nim kilka arabesek. W oddali z portu dobiegały grające radia i gramofony. Spojrzał na swój rysunek, ale bez zainteresowania; czubek palca miał teraz czarny od brudu; opłukał go wodą i wytarł. Włożył marynarkę. Potem ziewnął, stojąc przy miedzianych kulkach łóżka. Wyciągnął rękę w stronę jednej z nich, ale zaraz się wstrzymał. Poczuł przelotną ochotę, żeby ją odkręcić. Usiadł znowu bez wyraźnego powodu i przeliczył pieniądze, jakie mu pozostały do końca wakacji. Spojrzał, która godzina, i natychmiast zapomniał.

W sposób wulgarny określił swój stan: – Kurewsko się dzisiaj nudzę – mruknął pod nosem. Zdecydował się, ostatni raz rzucił okiem na figury wyrysowane w kurzu. Zamykając za sobą drzwi, ziewnął. Chyba był głodny.

W holu minął różne osoby, które mniej więcej znał. Przyjął do wiadomości ich istnienie, ale nie znaczenie; wydały mu się abstrakcyjnymi pojęciami bez wartości, a nie istotami żyjącymi obok niego. W drzwiach właścicielka hotelu pozdrowiła go po nazwisku i odpowiedział jej analogicznie. Na ulicy chodzono nonszalancko w tę i z powrotem; sklepikarze opuszczali swoje ciemne nory; jakiś gazeciarz wykrzykiwał paryskie tytuły. Wszyscy zgodnie twierdzili, że pogoda jest wspaniała.

\*

Paf, paf, paf, paf, paf! Sześć strzałów z rewolweru.

Któż to tak strzela? Jeszcze nie wiadomo. Co się dzieje? Biegnijmy. Trzeba zobaczyć. Biegniemy. Zaraz zobaczymy.

Potworność! Na ziemi leży trup chłopca, toż to prawie dziecko.

Brzydka sprawa. Ale nieważne, bo on nie żyje. Proszę się odsunąć! Trup leży we krwi, skąpany we krwi, krew płynie jak rzeka.

Może to samobójstwo? Desperacki czyn młodego człowieka? Zawiedziona miłość? Sprawa honoru? Ależ skąd! To nie samobójstwo, to morderstwo!

Straszne! Koszmarne! Czyż ręką tak okrutnie i bezwzględnie mogła... itd. Takiego młodego człowieka? Prawie dziecko?

Któż zatem? Oto i on. A raczej oto ona. Bo to morderczyni.

Rzucają się na nią, wrywają broń, krzyczą, wyją! Coś takiego! Takie ciche, spokojne miasteczko, mekka turystów z Paryża, wstrząśnięte, zbulwersowane, poruszone tak potworną zbrodnią. Klienci zerwą się i odfruną z tego miejsca niczym ptaszęta małe, co umykają z naszej ponoć umiarkowanej strefy klimatycznej przed srogą zimą. Ale proszę mi powiedzieć, kim są bohaterowie tej nadmorskiej tragedii? Młodzieniec na imię i na nazwisko ma Théo Marcel! Kobieta prowadzi sklep z bilbokietami!

Ho, ho! Dziwne to i niespotykane. Ale jak taka szanowana osoba mogła popełnić podobną zbrodnię?

A więc nadstawcie uszu, a ja wam w nie naleję gorzkiego soku tej ponurej i długiej historii.

Niedługo po śmierci Juliusza Cezara wódz Gallów Péponas wywedrował z całą swą rodziną ku ziemiom bardziej żyznym, bo w Orwernii tego roku zbiór kasztanów zapowiadał się wyjątkowo słabo.

Opowiadając sobie owe smakowite morderstwo, Narcense powoli pochłania kanapkę z szynką, stanowiącą jedyny posiłek tego dnia. Jego sytuacja pogarsza się z każdym dniem; nie ma już pod co (ot, co) brać kredytu; nie chce i nie ośmiela się dłużej nękać Saturnina; zwątpił, że nadejdą jakieś wieści od Piotra i Shibolettha. Myślał, żeby podnając mieszkanie otrzymane od wuja, ale nie znajduje chętnego; wuj, którego głupota i agresja potęgują się z wiekiem, ofiarował mu banknot dziesięciofrankowy, którego przyjęcia odmówił z pogardliwą miną. I tak sierpniowa niedziela zastała go nad kuflem i kanapką z szynką. Potem zostaną mu jeszcze dwa franki. A jutro? Więc dalej snuje swą opowieść.

Zatem galijski wódz Péponas, wkurzony złymi zbiorami, wywedrował wraz z rodziną ku bardziej gościnnym ziemiom; trochę się błąkał, ale po pewnym czasie przybył nad brzeg Jeziora Aralskiego i tam się osiedlił. Trudnił się handlem pionkami, zajęciem mało męczącym i dość dochodowym. Niestety inwazja natarczywych bąków zmusiła go do odwrotu i wraz z całą rodziną umknął na rowerze ku bardziej gościnnej ziemi. Przypis: rower wynalazł tuż przed inwazją z powodu konieczności rozcięcia wzdłużnie na dwie części czterokołowego wózka, ażeby było łatwiej przebywać wąskie ścieżki. Wódz Péponas był zresztą bardzo rozgarniętym chłopakiem; biegle mówił po galijsku i umiał liczyć do dwóch trzecich; przybywszy do Trebizondy wraz z rodziną, nabrał wiatru w żagle; właśnie wtedy doszło do wynalezienia bilbokietu. Wynalazek natychmiast odniósł niesłychany sukces, zarówno w basenie Morza Śródziemnego, jak i na Dalekim Wschodzie, co było o tyle niezrozumiałe, że Péponas zapomniał dołączyć do tego osobliwego przedmiotu instrukcję obsługi. Ogólnie rzecz biorąc, uznano to za broń do miotania pocisków, która zwraca pocisk nadawcy, a tym samym nie naraża go na dodatkowe koszty; słowem, coś w rodzaju udoskonalonego bumerangu; wzbogaciwszy tę starodawną broń o nowy wynalazek, Aleksander Wielki uczynił z macedońskiego wojska niezwyciężony instrument zaspokajania swej powszechnie znanej ambicji. Péponas syn – jako że ojciec, dożywszy sędziwego wieku i wielkich zaszczytów, zszedł z tego świata – został odznaczony, emerytowany, beatyfikowany, wypchany i zabalsamowany.

Ród Péponasów, z pokolenia na pokolenie, trudnił się wyrobem bilbokietów, tak że przez całe średniowiecze mawiano tytułem przysłowia (ach! stare dobre czasy): prawdziwy jak bilbokiet z Trebizondy.

W roku 1453 geniusz Krzysztofa Kolumba udoskonalił wynalazek bilbokietu: przydając swobody pociskowi, pozbawił go sznurka; broń, mimo że bardziej kosztowna (bowiem za każdym razem potrzebny był nowy pocisk) okazała się jednak o wiele skuteczniejsza. Następnie, wzorując się na jajku zwykłej kury, zastąpił drewnianą kulę bardzo delikatną otoczką wypełnioną cuchnącą cieczą; innowacja ta pociągnęła za sobą następną: w kuli zatkano dziurę i osadzono ją na kijku zamienionym w ten sposób w tubę; wszystko ustawiono na dwóch kołach i zaopatrzone w sprężynę, pociągano za spust i następował wybuch. Potomkowie rodu, właściciele patentu, zabrali się do produkcji armat, powiększając swój majątek do niebotycznych rozmiarów. Zostali zrujnowani i wyniszczeni podczas rzezi Ormian w 1912 roku, a jedyna ocalała dziedziczka rodu słynnych przemysłowców osiadła w X., małym porcie na wybrzeżu atlantyckim; trudniła się jednak wyrobem tylko bilbokietów w starym stylu, jako że tajemnica modelu zwanego jajkiem Kolumba została zapoznana. Dwadzieścia lat później pewien młody człowiek wchodzi do jej sklepu i mówi: Proszę pani, obsceniczny towar, który pani tu sprzedaje, obraża uczucia chrześcijańskiej młodzieży. Ależ proszę pana, mówi ona i się czerwieni. Młodzieniec wychodzi. To Théo Marcel, mały kretynek, co kąpie się w morzu i robi numery w złym guście. Nazajutrz powraca i mówi tej pani: Proszę pani, obsceniczny towar, który pani tu sprzedaje, obraża uczucia chrześcijańskiej młodzieży. Ależ panie, mówi ona. Młodzieniec wychodzi.

Narcense, zdecydowawszy, że skończy opowieść u siebie w domu, jako że jest dopiero w połowie drogi, odkłada rozwój wypadków na dwadzieścia siedem dni.

Dwudziestego ósmego dnia młody człowiek wchodzi i mówi tej pani: Proszę pani, obsceniczny towar, który pani tu sprzedaje, obraża uczucia chrześcijańskiej młodzieży. Pani Péponas nie odpowiada, lecz w chwili, gdy widzi, że Théo stoi już na progu, wyjmuje rewolwer ukryty w gorscie na piersi i bezlitośnie likwiduje bezczelnego natręta. Sprawiedliwości stało się zadość!, krzyczy. Młodzi wydrwigrosze nie będą się już natrząsać ze zramolałych kontynuatorów szlachetnego rzemiosła, które nad brzegami Morza Czarnego wprowadził wódz orweński Péponas, którego pochodzenie już wtedy ginęło w mroku dziejów; no, to teraz już wiecie, jak było. A Théo wykrwawia się na chodniku.

– Dzień dobry, Saturninie. Nie wyjechał pan na wieś w taką piękną niedzielę?

– Och, panie Narcense, muszę panu opowiedzieć, co ostatnio wykombinowała moja siostra. Wbiła sobie do głowy, że ten młody człowiek z Obonne i jego przyjaciel są bandytami, przed którymi musi się mieć na baczności. Dowiedziała się, nie wiem skąd (tu Saturnin lekko się zapesza, bardzo, bardzo lekko), że spędzają wakacje w X. I wie pan, co zrobiła? Namówiła mojego brata, żeby tam wysłał swojego syna, do jednej jej znajomej, akuszerki, aby ich szpiegował.

– Bardzo nieładnie. Bardzo – powiedział Narcense.

– Nie wydaje się panu, że z nią jest coś nie w porządku, z tą moją siostrą?

– Cóż powiedzieć...

– Panie Narcense, jakoś średnio pan wygląda.

– To prawda, ale co mogę na to poradzić.

– Jeśli pan chce, mogę panu jakoś pomóc.

– Dziękuję, Saturnin, dziękuję.

– Założę się, że nic pan dzisiaj nie jadł.

– Myli się, pan, myli. Ale à propos, czy w związku z tym ja też jestem bandytą?

– Oczywiście. Wierzy w to na zabój.  
– Mam nadzieję, że pan mnie nie szpieguje na jej polecenie.  
– Może być pan spokojny, nic jej nie mówię. Naprawdę jadł pan coś dzisiaj? Okropnie pan błądy.

– Saturninie, naprawdę zaczynasz mnie wkurzać. Dobranoc.

Narcense zostaje zaproszony na pogrzeb chłopca, dostaje uroczysty list: uprzejmie prosimy, żeby zechciał pan etc. Pożycza pieniądze od konsjerża i wyjeżdża do Z. Étienne i Alberta płaczą; składa im kondolencje. Widzi niewielki pokój, gdzie rozgrywa się scena. Panią Péponas (pamiętajmy o peponach) powieszono.

Otwiera drzwi, wraca do domu.

Uroczystości pogrzebowe odbędą się z wielką pompą, generał przysłał oddział huzarów; oddadzą trzydzieści sześć strzałów armatnich z krążownika; biskup *in partibus* z Pharmacopolis zjawi się osobiście; będzie konno podążał za konduktem, trumnę poniosą wojskowi. Dzieciom rozdadzą lizaki, a każdy dorosły dostanie los na loterię.

Narcense rozbiera się; zaraz się położy; ósma godzina to pora, kiedy człowieka ściska w żołądku.

W rzeczonym dniu wszystko przebiega jak należy: biskup na koniu, huzarzy, lizaki etc. Grób Théo wzniesiono prowizorycznie z kanistrów na benzynę. Wszyscy nareszcie są zadowoleni. Po ceremonii uroczysty bankiet z biskupem, huzarami, generałem etc. Do jedzenia: barani mózdzek i nóżki wieprzowe.

Narcense drży; znosi go.

On też jest na tym bankiecie, tak jak Étienne i Alberta; w pewnej chwili Alberta wstaje i znika; on niepostrzeżenie robi to samo; szuka jej. Znajduje: stoi na środku schodów i poprawia podwiązkę. Przepiękna noga. Cudowne udo. Narcense traci głowę.

Po dwóch tygodniach Piotr wraca do Z. Tylko przejazdem, mówi, bo ważne sprawy wzywają go do Paryża. Rodzina Marcelów z przyległościami, panią Pigeonnier, synem pana Sensitif i młodym Nécessaire'em wita go z entuzjazmem; wprawia w zdumienie całą grupkę cudownymi opowieściami o plaży w Y., gdzie bywają księżę Walii, Aga Chan, truwadza du Bizère i hrabia Sentinelle; gdzie są dziesiątki jachtów, setki rollsów i tysiące banknotów po tysiąc. Opowiedział im też o swoim bracie matematyku; mieszkał, mówił, w niewielkim zamku nad brzegiem rzeki obrośniętej trzcinami; obok znajdowała się ferma, gdzie każdego ranka pili świeże mleko, potem udawali się na konną przejażdżkę po polach i lasach; owoce dojrzewały, trwały żniwa, niedługo winobranie. Brat dopracowywał długi artykuł do „Acta Mathematica”, w którym miał dowieść, że potęgą ciągłości jest czas. Odkrycie to przyjęto pełnym podziwem milczeniem. Młody Nécessaire nieśmiało wspominał o Pitagorasie i Henrim Poincaré; syn pana Sensitifa, bardzo poruszony, ułożył zaraz poemat na temat kwadrat przyprostokątnej równy jest sumie, jeśli obliczyć, kto umie itd.; pani Pigeonnier wspominała coś o Inaudim, ale Théo kazał jej zamilknąć tak obcesowo, że wszyscy się zdziwili. Étienne zapytał, co to takiego potęga ciągłości. Piotr wyznał jednak, że nie ma pojęcia. Później poszli na spacer drogą wiodącą do falochronu.

– Po powrocie do Obonne zajrzy pan znowu kiedyś do Blagny? – zapytał Piotr.

– Pewnie tak. Nie wiem dlaczego, ale coś mnie teraz łączy z tym okropnym miejscem. Bo to bistro jest okropne, prawda?

– Tak, ponure miejsce.

– I ci ludzie! Właściciel, Belhôtel, wygląda na prymitywa i chama. A jego siostra, pani Cloche, robi wrażenie koszmarnej baby.

– Nie tylko robi wrażenie – poprawił Piotr Wielki – ona jest koszmarną babą.

– Nie dlatego, że ludzie ci mają jakiś związek z tym dziwnym wydarzeniem w Mygales, czują się związani z tym barakiem. To bez znaczenia. Prawdę mówiąc, to nie ja jestem związany z tym miejscem, to raczej to miejsce jest związane ze mną. W jakiś tajemniczy sposób mnie dopełnia.

– Pamięta pan – powiedział Piotr – niebieskie drzwi, których ten handlarz starzyzną, co mieszka obok, nie chciał mi sprzedać?

– Ciekawe – Étienne kiwnął głową. – Nieraz o tym myślę. Te drzwi strasznie mnie intrygują.

– Mnie też, strasznie! Śnią mi się po nocach! Myślę, że mają jakąś osobliwą wartość, że są po prostu bezcenne! Nade wszystko chciałbym je zobaczyć z drugiej strony.

– Właśnie. Te drzwi powinny się otworzyć.

– Wybierzmy się tam razem – zaproponował Piotr i jego towarzysz się zgodził.

Potem podjął:

– Nie wie pan, co się stało z Narcense'em?

– Pojęcia nie mam. Skąd niby...? Wcale nie utrzymuję z nim stosunków. Znam go znacznie słabiej niż pan.

– Jak to?

– Wielki, niech pan posłucha, będę wobec pana szczerzy i niech pan wobec mnie też taki będzie. Kiedy w knajpie Langlumet wskazał mi pan Narcense'a i powiedział, że odegra jakąś rolę w moim życiu, już go pan znał, prawda? Sam mi to powiedział.

– Powiedział też panu, że to ja tamtego wieczora zawiozłem go samochodem do lasu w Obonne?

– O tym mi nie mówił – odparł Étienne, niezwykle zdziwiony.



Nie, tego nie wiedział; nawet nie podejrzewał. Ta wiadomość wstrząsnęła nim. Myślał, że wie, a nie wiedział. Sądził, że jest poinformowany, a nie był. Świat znowu objawił mu się jako zabawa w chowanego. Życie zatem byłoby nieustanną niespodzianką? Po nocy w Mygales pozostało mu wspomnienie spójne i kompletne, coś zamkniętego i skończonego, o czym można powiedzieć: to było to; a jednak czegoś brakowało, najważniejszy element pozostawał ukryty. Zatem Étienne zwątpił we wszystko, co jak mniemał, znał, we wszystko, o czym jak mniemał, był poinformowany, we wszystko, co jak mniemał, widział i słyszał. Naturalnie, Étienne zwątpił w świat. Świat sobie z nim igrał. Tajemnica kryła się za tym portem rybackim, za tym falochronem, za tym kamiennym słupkiem, za tym petem.

– Tak – powiedział – nawet zwykły pet ukrywa prawdę.

– Przepraszam, co? – zapytał Pierre, który właśnie zauważył idącą drogą w ich stronę Catherine pod rękę z Alexisem Considérable'em.

– Powiedziałem, że nie wiadomo nawet, czym naprawdę jest pet. Nie wiem, czym jest! Nie wiem, czym jest! NIE WIEM! – krzyknął.

Catherine i Alexis odwrócili się, zdumieni.

– Ach, to ta, co pańskim zdaniem ma coś wspólnego z ucieczką Théo?

– Nic takiego nie mówię – zastrzegł się Piotr.

– Ale możliwe, prawda? Wszystko jest możliwe. Czy ja cokolwiek wiem o ucieczce Théo? Nie, nic nie wiem. O tym też nic nie wiem. A nawet Théo, myśli pan, że wiem, kim on jest? No więc nie wiem. Théo? Kto to jest? Bardzo proste: nie mam pojęcia. Gdybym go zapytał, też bym nie wiedział o wiele więcej oczywiście. Choćbym się zastanawiał przez całe życie i tak się nie dowiem. A ja sam kim jestem? Już to panu powiedziałem: nie wiem, kim jestem. A zresztą czy to pytanie ma sens? Czy to w ogóle coś znaczy, tak wykrzykiwać: kim jestem? Czy to ma jakikolwiek sens? Kim jestem? Jestem Étienne Marcel, urodzony w Besançon 23 maja 1905 roku, urzędnik bankowy, zamieszkały w Obonne, dom w budowie i tak dalej, i tak dalej. Mam taki to a taki charakter, czuję to i owo, żyję w pewien sposób. Psychologowie powinni móc mnie przeanalizować, prawda? A ja się jeszcze pytam, kim jestem! No, proszę, tym właśnie jestem! A jednak uporczywie czepiam się tego pytania. Napędza mnie trwogą. Głupie, prawda? To nie wszystko. Czy to pytanie samo w sobie ma sens? Czy słowo być ma jakiś sens?

– Uczynił pan wielkie postępy w metafizyce – powiedział Piotr.

Dochodzili do szczytu falochronu; spacer się skończył; zeszli z powrotem ku miastu.

\*

*Sobota*

*Kochana ciociu Sydoniu,*

*jestem Ci bardzo wdzięczny, że mnie wysłałaś na wakacje nad morzem, bo bardzo lubię morze. Gdybyś nie powiedziała o tym tacie, na pewno bym tego roku nie wyjechał nad morze, bo tata uważa, że interesy źle idą, ale ty wiesz tak samo jak ja, że on po prostu nie lubi wydawać forsy. Zatrzymałem się więc, ciociu Sydoniu, u pani Corcoran, która jest dla mnie bardzo dobra, mieszkam na małej mansardzie, gdzie w dzień jest bardzo gorąco, ale to mi nie przeszkadza, bo wtedy mnie tam nie ma. Przechadzam się z kumplami, chodzimy łowić krewetki, a potem kąpiemy się na plaży i wspinamy na falochron, i bardzo dobrze się bawimy. Nie podoba mi się tylko to, że codziennie, trzeba jeść rybę, bo ma ości, ale pani Corcoran mówi, że to uczy cierpliwości, i zmusza mnie do jedzenia, ale tego nie lubię.*

*Od razu rozpoznałem tego pana, co mówisz, że nazywa się Marcel. Mieszka w hotelu z żoną i synem, który wygląda na swój wiek; nikt o nich nic złego nie mówi, chyba że o tym synu, bo o nim się mówi różne rzeczy, ale ja jestem za młody, żeby to rozumieć. Cały czas spędzają z pewną panią, którą nazywają panią Pigeonnier, i dwoma facecikami, co trochę głupio wyglądają i mówią, że są studentami. Wszyscy robią dobre wrażenie i zachowują się jak inni; chodzą się kąpać, grają w tenisa i tak dalej, nic im nie można zarzucić.*

*Dlatego, droga ciociu Sydoniu, nie pisałem do ciebie, bo nie miałem nic do powiedzenia. Ale wczoraj zaszła pewna zmiana: przyjechał wyścigowym autem młody blondyn, co się nazywa Piotr Wielki, i zaczął opowiadać różne historie. Zaraz poszli obaj na spacer po falochronie; poszedłem za nimi i słyszałem wszystko, co mówili. Piotr Wielki spytał pana Marcela, czy pamięta te drzwi. Ten mu odpowiedział, że za nimi znajduje się skarb i że nie zapomni tego tak łatwo. Na to Wielki powiedział, że muszą zdobyć ten skarb i dlatego trzeba otworzyć te drzwi. Marcel odparł, że zdobędą majątek, który leży za drzwiami ojca Taupe'a i nikt im nie przeszkodzi. Wtedy Wielki powiedział, że jak matka Cloche, bo tak powiedział, się do tego wmiesza, będzie miała z nim do czynienia, a ten drugi dodał: Niech lepiej uważa. Potem powiedzieli, że pojedą do Ameryki i będą sobie używać za pieniądze ojca Taupe'a, kupią wielki dom i mnóstwo służących, samochody i basen, tak jak na filmach, i będą tam przyjmować wszystkich swoich kolegów gangsterów, jakich znają.*

*To właśnie usłyszałem, kochana ciociu Sydoniu, tego dnia, czyli wczoraj. Jak widzisz, musisz się mieć na bacznosci przed tymi ludźmi, bo są strasznymi bandytami. Jestem ciekaw, czy już wyznaczono datę ślubu Ernestyny, bo bardzo chciałbym na nim być; na pewno będzie super. Podoba mi się tu, gdzie jestem, ale nie chciałbym opuścić ślubu Ernestyny. Więc, jeśli umiesz, to mnie sprowadź z powrotem, żebym tam był.*

*Wkrótce, kochana ciociu Sydoniu, będziesz mi mogła zafundować podróż dokoła świata, którą mi obiecałaś. Wprost nie umiem wyrazić, jak okropnie się cieszę.*

*Całuję*

*Twój siostrzeniec*

*Clovis Belhôtel*

*Niedziela wieczór*

*Kochana ciociu Sydoniu,*

*szybko do Ciebie piszę, żeby Ci powiedzieć, że od ostatniego razu wiele się tu wydarzyło. Wczoraj wieczorem, w sobotę, przyjechał jakiś strasznie dziwny facet i zaczął się okropnie dziwacznie zachowywać. Wypił w barze pięć albo sześć aperitifów, a kiedy nadeszli Marcel i Wielki, przywitał się z nimi, a oni zrobili zaskoczone miny. Potem się do nich przysiadł i znowu się napił; był całkiem pijany. Potem chciał się bić z tym, co się nazywa Piotr Wielki, ale go uspokojono, za to jak nadszedł ten chłopak od pana Marcela, zaczął się drzeć, tłuc szklanki i wygadywać bzdury całkiem bez sensu. Zrobiła się straszna awantura. Ludzie wpadli w popłoch; w końcu zamknięto go w jakimś pokoju i wszystko tam wytłukł. Możesz sobie wyobrazić, coś podobnego w takiej dziurze. Wszyscy mówili tylko o tym. Pytali się, kto to taki, ale nikt nic nie wie, nawet jak się nazywa. Dziś rano, około siódmej, Wielki przyjechał po niego autem i gdzieś go wywiózł, nie wiem gdzie. Od tej pory już ich nie widziano. W każdym razie państwo Marcelowie chyba się martwią tym skandalem, bo teraz wszyscy na nich patrzą. To na nich zwróciło uwagę, więc nie są zadowoleni.*

*Jak się jeszcze czegoś dowiem, napiszę Ci; tylko nie zapomnij mnie powiadomić o weselu Ernestyny. Bez przerwy, droga ciociu Sydoniu, myślę o tej pięknej podróży, którą mi przyrzekałaś.*

*Całuję*

*Twój siostrzeniec*

*Clovis Belhôtel*

*W skórę wpisał się człowiek; ten świr nazywa się Narcense; zarzucał tamtemu, że go olał, że mu przyrzekł i nie dotrzymał, i takie tam. Chłopak hotelowy mi powiedział. Jak widzisz, on też należy do ich bandy, jest niezadowolony, ale nie bardzo wiadomo dlaczego.*

*Clovis*

*Wtorek*

*MAXENCE BLIZNA CZOŁO PILNE CLOCHE*

*Wtorek*

*TAK BLIZNA CLOVIS*

*Wtorek*

*Biedne moje dziecko,  
napisałeś mi właśnie straszną rzecz. Ten Narcense, którego widziałeś, wie, że ja wiem, że oni przygotowują skok, i na pewno im powie, a ja jestem tylko słabą kobietą, Ernestyna też, a ty jesteś tylko dzieckiem. Co możemy zrobić takim niebezpiecznym przestępcom? Ślub Ernestyny odbędzie się 25 sierpnia, twój ojciec cię ściągnie z powrotem na ten dzień, nic się nie bój, chyba że do tej pory coś się stanie, nigdy nie wiadomo; w każdym razie nie puszczaj pary z ust i spal moje listy. Pisz mi o wszystkim, co zobaczysz, to bardzo poważne sprawy, ale pamiętaj, że jak mi się powiedzie, wyruszysz w piękną podróż.*

*Twoja kochająca ciotka*

*Sydonia Belhôtel*

*Wdowa Cloche*

*PS Ci dwaj na pewno wracają do Paryża.*

*Czwartek*

*Kochana ciociu Sydoniu,*

*oto co się wydarzyło od ostatniego razu. Bardzo padało, więc ludzie rzadko wychodzili, ja też. Grałem w tryktraka z kumplem. Turyści nie są zadowoleni, jak pada.*

*To tyle się wydarzyło od ostatniego razu, kochana ciociu Sydoniu. Na ślubie Ernestyny na pewno będzie ekstra.*

*Twój kochający siostrzeniec*

*Cloclo*

\*

Syn pana Sensitifa przyszedł na spotkanie pierwszy; młody Nécessaire nadszedł wkrótce potem, ale Théo kazał na siebie czekać.

– Théo zawsze się spóźnia – narzeka młody Nécessaire, którego imię zaczyna się na literę P.

Syn pana Sensitifa, skromny i niezręczny, kiwa potakująco głową, nie przestając kartkować podartej książeczyny obłożonej w szary papier.

– Co czytasz? – wzdycha P. Nécessaire.

Po dwóch minutach oczekiwania tamten odpowiada:

– *Pieśń o Rolandzie*.

Pierwszy, onieśmielony, pyta:

– Dobrze?

Syn pana Sensitifa z uznaniem pstryka palcami. Obaj milkną w oczekiwaniu na Théo Marcela, który wreszcie nadchodzi. Z jego wzroku można wyczytać, że wie więcej, niż chce powiedzieć, i że chce powiedzieć więcej, niż wie.

Rzucają się ku niemu. Na początku nieco go lekceważyli, bo nie miał matury, ale kiedy odkrył, że wcale nie są studentami, tylko przyszłymi adeptami filozofii, przestali się szczyścić swoim statusem.

– I co? I co?

Théo siada wygodnie, uśmiecha się.

– Ale historia!

– Och, opowiedz wszystko, co się wydarzyło! – błagają ten na es i ten na en.

– Nie wiem, czy powinienem wam wszystko powiedzieć.

– Ależ tak! Tak!

– No dobra.

– Och! Och!

– Ten – zaczyna więc Théo – facet, który wczoraj przyjechał, nazywa się Narcense. To ten, co jak wam opowiadałem, powiesił się w lesie...

– Ten, co się buja w twojej matce? – zapytał P. Nécessaire.

– Tak.

Sensitif przełknął ślinę nerwowym poruszeniem krtani.

– No, to właśnie ten facet przyjechał wczoraj wieczorem pociągiem o szóstej dwadzieścia. Zaraz poszedł do Café des Fleurs i tam wypił z pięć aperitifów. Wtedy przyszedł mój ojciec z Piotrem Wielkim. Wstał i podszedł się z nimi przywitać. Wszyscy trzej się znają. Usiedli sobie razem i tamten znowu zamówił alkohol. I to był o kieliszek za dużo. Zaczął ochrzaniać Wielkiego. Bo, wyobraźcie sobie, ten miał mu załatwić jakąś pracę, bo aktualnie nie ma roboty i jest na bruku, ale nawet palcem nie kiwnął, więc się wkurzył.

– Nie bardzo rozumiem – wzdycha Nécessaire.

– Proste. Ten Narcense szuka pracy i Piotr Wielki miał mu znaleźć, ale tego nie zrobił, i tamten pomyślał, że sobie odpuścił i go zostawił...  
*Inde irae.*

– Aha. A co on robi, ten Narcense?

– Gra jazz. Myślałem, że już wam mówiłem. No więc zaczyna ochrzaniać tamtego. „Dupek z pana! Wszystkich masz pan w nosie! Spoglądasz pan na ludzi z góry, próżniaku jeden, przyrzekasz i nie dotrzymujesz! A ja tymczasem zdycham z głodu!”. Tak zasuwał, a Wielki odpowiadał: „Ależ Shibolet nic dla pana nie może zrobić”. Bo Shibolet to ten facet, co tu przyjechał ze dwa tygodnie temu tą wielką bryką z superpanienkami. Jest właścicielem barów i nocnych lokali. Właśnie jemu miał Wielki nadać, że Narcense zastanawia się, skąd wziąć szmal. Po kilku minutach o mało się nie pobili. Mój ojciec im przeszkodził. W kawiarni już zaczęli na nich popatrywać. Właśnie wtedy przyszedłem. Zaraz, jak tylko mnie zobaczył, skoczył do góry i zaczął wrzeszczeć: „Ty mały parszywy gnojku”. A ja podszedłem i wcale niespieszono zapytałem: Mówi pan do mnie?

– Nie żartuj, tak mu powiedziałeś?

– Tak jak ci mówię.

– Ale dlaczego on powiedział, że jesteś gnojkiem?

– Chodzi o tę pierwszą historię, kiedy pisywał do mojej matki. Prawda, zachowałem się wobec niego tak sobie, ale to nie powód, żebyście mnie zabić, jak już kiedyś próbował.

– Pijany był, nie?

– Chwila moment. Więc go zapytałem: Ma pan coś do mnie, pszepana? Wtedy walnął w stół tak, że szklanki spadły na ziemię. „Dość mam, wrzasnął, dość mam tych wszystkich łajdaków, pustych w środku jak wydmuszka”. Tak powiedział, ale miał na myśli Wielkiego. „Dość mam tych wszystkich łobuzów, pustych w środku jak wydmuszka, i tego gówniarza, co bawi się ze mną jak kot z myszą. Gówniarz jeden. Tych wszystkich, co jedynie patrzą i nic, tylko się objają!”. Tak, ośmielił się nazwać mnie gówniarzem.

– Co to wszystko znaczy, co on tam wygadawał? – przerwał znowu młody Nécessaire.



– Jest po prostu chory na umyśle – wyjaśnił Sensitif, wyraźnie poruszony.

– Jednak – ciągnął Théo – trzeba wiedzieć, kim jest Piotr Wielki. W końcu się dowiedziałem. To bogaty facet, który nie ma nic do roboty i bawi go patrzeć, jak żyją inni. Dlatego Narcense, który zdycha z głodu, sam tak powiedział, bez grosza przy duszy, ma potąd tego typka, co się zabawia podglądaniem innych.

– Ach, podglądanie! – wykrzyknął młody Nécessaire dość niezrozumiale.

– Skąd to wiesz o Wielkim? – pyta Edgar, syn pana Sensitifa ojca.

– Domyśliłem się z tego, co mówił ojciec. Bo na mojego starego, dotarło do mnie, na niego też Piotr Wielki sobie patrzył, jak chodzi tu i tam, chodził za nim po ulicy.

– Nie! – krzyczy dość niejasno Paul N.

– Tak, dokładnie tak.

– Ale przecież – podsuwa Sensitif – to dziwne, żeby facet tak chodził za facetami.

Théo rety! zuje (*sic!*).

– Aleś wymyślił. On dopiero co porwał pewną kobietę, ten Piotr Wielki.

Nécessaire zamyka oczy, w uszach mu dzwoni. Sensitif się pochyła.

– Kogo? – dyszy.

– Ojej – ciągnie Théo – jeszcze nie skończyłem, co było wczoraj. Wszystko po kolei, co nie? Jak mówiłem, Narcense zaczął tłuc szklanki. Ludzie się przestraszyli. Przyszedł kierownik, wiecie, ten łyśy z bródką. Czego pan ode mnie chce!, krzyczy Narcense i ciska mu szklanką w nos. Wtedy skoczyli na niego kelnerzy. Wielki kazał go zaprowadzić do pokoju na górze. Tam dostał delirium, człek bardzo tremęski, wszystko tłukł, krew mu ciekła z nosa i przeklinał... Trwało to jakieś pół godziny. Potem trochę opadł z sił. Mój ojciec i Wielki zabrali go do hotelu. Tam zasnął. Ale to nie wszystko. Dziś rano, o siódmej, przyszedł Wielki, wsadził go do samochodu i gdzieś wywiózł. A do tego w samochodzie była z nim pewna kobieta. Wiecie, co za jedna?

Pozostali milczą.

– Catherine.

– Nie?

– Nie?

– Tak, Catherine jest teraz jego panienką.

– Coś takiego, ale heca.

Sensitif, pokaszłując, pyta:

– A co na to wszystko twoja matka?

– Jeśli cię kto zapyta, odpowiedz, że nie masz pojęcia – odpowiada Théo, który lubi historyczne słowa.

\*

– Czywiście – ciągnie Sydonia – wszyscy będą się zastanawiać, czemu wychodzisz za starego Taupe'a, co nie ma grosza przy duszy.

– Tak, to trudno wytomaczyć – przytakuje Ernestyna.

– Wystarczy ruszyć głową – oświadcza pani Cloche. – Zwłaszcza dla Dominika i jego żony trzeba znaleźć jakieś sensowne wytomaczenie.

– Prawda – znowu przytakuje Ernestyna. – Pan Belhôtel się zdziwi. Co mu powiemy?

Obie kobiety milkną. Pot pokrywał ich skórę upudrowaną kurzem. Barak FRYTKI roztopiał się w sierpniowym słońcu. O tej porze w fabryce o niebieskich szybach stosowano chlor i kwas siarkowy. Kobiety były same.

– A kto zapłaci koszty wesela? – zapytała pani Cloche.

Ernestyna się zacukała, a potem niepewnie:

– Ojciec Taupe.

– Nie, ón nic nie da, jak się mu wpierw nie weźmie.

– To co?

– A ty nie masz nic na boku?

Ernestyna się czerwieni.

– Mam, pani Cloche. Książeczkę oszczędności kasowej.

– No to ty pokryjesz koszty. Jedzenie się zrobi u mojego brata.

Zapłaci się później.

– Tak, właśnie, pani Cloche.

Dwaj kierowcy ciężarówki przerwali tę ważną debatę. Podczas gdy Ernestyna stawiała przed dwoma pokrytymi kurzem mężczyznami litr białego wina, które przyprawiała pikantnymi żarcikami mającymi obudzić ich ego, uspięne zapewne przez wyczerpującą pracę, pani Cloche, jedną pięścią wsparłszy biodro, a drugą podbródek, ostro główkowała. Listy siostrzeńca bynajmniej jej nie uspokajały; przyjazd Narcense'a do X., wynikała stąd awantura, jego wyjazd z Piotrem Wielkim, wszystko to nic dobrego nie zapowiadało. Było bowiem jasne, że przyjechał po część łupu mającą mu przypaść w zamian za informacje. A te informacje to była jej wizyta, jej wizyta! Ale się wygłupiła! Właśnie tego samego dnia! Kiedy coś do niej krzyknął z pociągu! Czego nie zrozumiała! Ach! Gdyby ta głupia Ernestyna od razu się zgodziła! Nie doszłoby do tego wszystkiego. Przecież musiała się jej trzymać; a chciała zrobić ten skok sama. Nic nie szkodzi, matka Cloche czuwa. Stary lis, myślała o sobie; a mała Ernestynka będzie musiała odpalić jej połowę skarbu starego Taupe'a. A z niego też niezły cwaniaczyna; robi, co każą; strasznie łatwo daje się ożenić. I grosza z niego nie wyciśniesz! Ale poczekaj, po ślubie będzie musiał otworzyć kabzę. Swoją drogą dziwne, wcale nie taki znowu z niego starzec: raptem sześćdziesiąt lat. Wydawał się znacznie starszy. Czywiście, ani słowa Ernestynie o tym nowym spisku, co się zawiązał w X. Po co małą straszyć. I tak już przelekniona. Tylko jak przekonać Dominika, że trza ją wydać za Taupe'a. Kurde. Była jego, jak to się mówi, konkubina i obiecywał jej złote góry, kiedy będzie już miał tę swoją budę. Może robić miny. Kłopot. Niby co mu powiedzieć?

Dwaj mężczyźni wyszli; Ernestyna znowu przysiadła obok pani Cloche.

– A jako zaprosimy na moje wesele? – zapytała.

– Pomyślałam i o tym – odparła Sydonia. – Czywiście będę ja; i Dominik, Eulalia i Clovis; i Saturnin ze swoją panią. Z wami dwojgiem będzie osiem sztuk. No i jeszcze twoi rodzice. Czyli kto?

– Mam tylko dwóch braci: Temistoklesa, co jest podoficerem u żuawów i teraz właśnie ma urlop, i jeszcze Piotra, co jest żonaty. Jest sztukmistrzem, występuje w music-hallach, ma pseudo Peter Tom Anachoreta. Mam też kuzynów na prowincji, ale oni nie przyjadą.

– No, to z trzema dodatkowymi razem jedenaście.

– I jeszcze moja kumpelka Suzy.

– Razem dwanaście.

– Ojciec Taupe na pewno zaprosi państwa Pic.

Zatem razem co najmniej piętnaście. Swoją drogą, trudno znaleźć sensowny powód, dla którego Ernestyna, młoda i prawie ładna, zwykła kelnerka z bistro, poślubia rzekomego żebraka.

– Tak wygląda, że wszyscy będą mówić, że to dlatego, że Dominik zrobił ci dzieciaka – powiedziała Cloche – i trzeba mu dać ojca.

Muchy latały dokoła tęgich głów.

– A niech ta sobie gadają! – wykrzyknęła Ernestyna stanowczo.

– Masz rację, niech se gadają. Daj mi kieliszek cointreau, Ernestyno.

Sydonia pod naporem myśli paznokciem wskazującego palca ryła stół znajomym gestem.

A może by powiedzieć, że Ernestyna nabrała ochoty na handel starzyzną? Że ojciec Taupe ją uwiódł? Gdyby ten stary idiota nie udawał takiego nędzarza, wszystko poszłoby jak po maśle. Ale wygląda na ostatniego łachudrę. A przecież mimo wszystko jest człowiekiem na poziomie; wszyscy wiedzą, że był prawdziwym panem i stracił cały majątek podczas rosyjskiej rewolucji. Najgorszy ten Dominik. Jak on to przełknie? Mogą być jeszcze problemy, oj, mogą. Powie mu, że Ernestyna czuje do Taupe'a miętę. I już. Tak powie temu swojemu bratu. Chyba może iść za kogo chce, no nie? Zresztą on tak naprawdę się nawet ucieszy, że z dziewczyną tak wyszło. I pani Cloche też się ucieszyła, że się jej w głowie poukładało, bo wszystko zaczynało ją już męczyć. Na to wszedł ojciec Taupe.

– Dzień dobry, pani Cloche. Witaj, moja mała Titinko – i uszczypnął ją w pasie.

– Łapy przy sobie, mówię, nie dotykać mnie, dopiero po ślubie.

– Ale złośnica – powiedział sześćdziesięcioletek. Wracam z merostwa, wszystko gotowe. Pobierzemy się dwudziestego piątego sierpnia.

– Czyli dwudziestego piątego?

Usiadł z dość bezmyślną miną.

– Dla mnie białe – oświadczył machinalnie, ruszając ręką w kieszeni spodni.

\*

Bezimienne ciała pokrywały plażę, która ze złotożółtej robiła się czarna jak od much; niektóre były małe i bez przerwy płakały, inne, całkiem duże, bez przerwy spały. Jedne miały piersi, inne nie miały; jedne miały tylko kostiumy kąpielowe, inne coś więcej; jedne były zgrabne, inne niezgrabne; jedne były grube, inne przezroczyste. Całość nie przedstawiała się imponująco. Siedząc na szerokim płaskim kamieniu, Étienne roztargnionym spojrzeniem obejmował zmniejszoną aktywność swoich towarzyszy nadmorskiego wypoczynku. Od czasu do czasu kilku podnosiło się i szło się zanurzyć; potem wracali i drzemiąc, czekali na porę zasłużonego aperitif. Jego wzrok nieraz przyciągały przechodzące kobiety; Étienne myślał o Narcensie, o człowieku, który udręczony przez miłość i biedę tak się dziwacznie miotał. Przypomnił mu się, jak wisiął w lesie, podeszwa jego buta i przylepiony do niej listek; jak się wyrwał, obezwładniony przez kelnerów w restauracji. I związek z Théo, i spotkanie w bistro Langlumet. Spozregł Albertę z panią Pigeonnier; potem młody Sensitif wytwornie pozdrowił go ruchem dłoni. Dobra dziś woda, mówiły głosy dokoła niego. Piotr i Narcense zniknęli przed dwoma dniami i nie dali znaku życia. Służąca pani Pigeonnier też i ta ostatnia się niepokoiła. Théo nie wyglądał na przejętego. Ciekawe, czy to, co sugerował Piotr, jest prawdą. Potem zapytał sam siebie: dlaczego nie jestem Narcense'em? – i sens podobnego pytania zaniepokoił go.

Siedział na płaskim kamieniu już chyba godzinę, kiedy jakaś ręka dotknęła jego ramienia. Spojrzał za nią. Był to Piotr, jego oczy błyszczały z podniecenia.

– Chodźmy w jakieś spokojne miejsce, mam dla pana dużo nowych wiadomości.

Zwykle tak opanowany, niemal drżał. Poszli na koniec niewielkiego pomostu i usiedli. Piotr przemówił.

– Nowina pierwsza: pan i ja jesteśmy strasznymi bandytami, właśnie przygotowujemy skok mający nam przynieść milion, pani Cloche zajmuje się tą samą sprawą, a Narcense, też bandzior, odmówił z nią współpracy. A że musi nas mieć na oku, kazała nas szpiegować swojemu siostrzeńcowi.

– Nie bardzo chwytam – powiedział Étienne.

Piotr opisał zatem ze szczegółami spotkanie Cloche – Narcense, tak jak mu je przedstawił osobiście ten ostatni.

– Najdziwniejsze – podsumował – że ta kobieta nie jest wariatką i że kluczem do naszych machinacji jakoby naprawdę jest milion. Osobliwe wydaje mi się tylko, jak my możemy wyglądać na kogoś, kto planuje popełnienie rzezonego łajdactwa. Otóż to wydaje mi się bardzo osobliwe.

Étienne milczał; to, że najpierw funkcjonował w oczach Piotra jako sylwetka, a teraz stał się bandytą w oczach pani Cloche, sprowadzało go w rejony medytacji, na których jego szara substancja dotąd nie postawiła jeszcze neurona.

– Nie ulega wątpliwości – ciągnął Pierre – że wszystkie te podejrzenia mają związek z pańskimi wizytami w Blagny. Przecież to niemożliwe, żeby osoba tak inteligentna, jaką zdaje się pani Cloche, mogła przypuszczać, że ktoś odwiedza knajpę jej brata dla przyjemności!

– Któregoś dnia – powiedział Étienne – podarowałem Belhôtelowi obieraczkę do ziemniaków, to też musiało im się wydać dziwne.

– Na dodatek wiedzą o tej historii z Mygales. Błyskotliwy umysł pani Cloche przerobił wszystkie te dane i staliśmy się oto groźnymi bandytami. Przemiana ta nie ma w sobie nic nieprzyjemnego, dopóki ta rozbudzona konfabulacyjnie połoźna nie sprowadza nam na kark glin. Przecież pan i ja jesteśmy pod każdym względem bez zarzutu, prawda?

– Co to można wiedzieć?



– Staje się pan sceptyczny, Marcel, co może poważnie zaburzyć pańską medytację.

– Nie jest sceptycyzmem unikanie błędu, a czy może być większy błąd niż mniemanie, że się wie coś, czego się nie wie? Otóż, czy ja wiem, że pan nie jest złodziejem i mordercą?

Piotr nie odpowiedział; mimo że nie był ani jednym, ani drugim, hipoteza ta nawet jakoś mu się podobała, co sobie na swój sposób przyznał w duszy. Korzystając z milczenia Étienne’a, podjął:

– Jest sposób, żeby się dowiedzieć: trzeba znaleźć tego małego szpiega, bratanka pani Cloche.

– Tylko jak? – zapytał uprzejmie Étienne, żeby wykazać zainteresowanie.

– Nic trudnego. Mieszka u pewnej położnej, wiele ich tu nie ma. Łatwo go znajdziemy.

– W takim razie chodźmy.

Bez trudu znaleźli miejsce zamieszkania pani Corcoran; tego dnia położna pracowała jednak w domu i młody Clovis musiał go opuścić i udać się nad morze lub na wieś. Udzielono im zbyt pobieżnej informacji, żeby ją wziąć pod uwagę: chyba wróci około siódmej. Czekając, chodzili w tę i z powrotem, wymieniając rozmaite zdania. Étienne napomknął o zniknięciu Catherine; Piotr wyjawiał mu, że została jego kochanką i czeka na niego w Z. u jego brata, podobnie jak Narcense. Przy okazji Piotr ze smutkiem uświadomił sobie, że nie może ujawnić rewelacji Catherine; stale zapominał, że ten młody człowiek musi grać rolę ojca rodziny. Zatem znowuż się czegoś nie dowie.

Około siódmej niedaleko domu pani Carcoran zauważyli chłopczyka trzynasto-, czternastoletniego i pomyśleli, że to chyba Clovis. Wymachiwał koszykiem pełnym krewetek lub kamieni, lub odpadków, a może pustym, i ich nie zauważył. Piotr zawołał: Clovis! Clovis podniósł nos i ich spostrzegł. Nie wyglądali jakoś strasznie, ale wobec tak nieoczekiwanego spotkania chłopiec stracił zimną krew. Rzucił koszyk i siebie do ucieczki. Piotr złapał go i przytrzymał za ramię. Mały zaczął głośno wzywać pomocy.

Przechodzący rybak nagabnął Piotra:

– Czego pan chce od tego małego?

Jakaś pani krzyknęła:

– Jak tak można z dzieckiem!

Piotr puścił Clovisa, który uciekł. Zachowanie dwóch mężczyzn surowo komentowano.

Zmyli się, pozwalając, by niedoinformowany tłum pogrążał się w błędnym mniemaniu.

Kiedy odeszli kilka kroków, Piotr wybuchnął śmiechem.

– Coś mi się zdaje, żeśmy się niezbyt zgrabnie zabrali do rzeczy.

– Owszem – przyznał Étienne. – Jak na międzynarodowych bandytów tośmy się nie spisali.

Piotr nie odpowiedział.

\*

*Z wielkim zaskoczeniem i niesmakiem przyjęliśmy wiadomość o pogryzieniu pana Système'a. Uprzedzamy całą psią populację, że podobne wybryki nie będą dłużej tolerowane na terenie naszej gminy. Psy mają łapać muchy, a nie nogawki uczciwych obywateli.*

*Młody Octave Tandem, mający pięć lat, znalazł na drodze zardzewiały scyzoryk. Natychmiast odniósł go do merostwa. Głos sumienia dał się słyszeć w dziecku.*

*Pani Kruchy Talerzyk, sprząając ze stołu w swojej jadalni, upuściła na ziemię kryształowy kieliszek. Straty czysto materialne pokryje Towarzystwo Ubezpieczeniowe Franca i wspólnicy, przy ulicy Moutons-Pressés 11, w stolicy okręgu naszego regionu.*

*Kilku niewczesnych żartownisiów, władowawszy kulkę z karabinu w głowę pana Oréora Serventiego za pomocą specjalnie naładowanej fuzji, spowodowało zejście wspomnianej osoby. Żartownisiów natychmiast doprowadzono do biura werbunkowego i mianowano brygadierami pierwszej klasy.*

*Wczoraj wieczorem uroczystym toastem uczczono czterdziestolecie służby pana Rude'ego Agricole'a, listonosza z Blanc-Yeux. Mer wygłosił krótkie uroczyste przemówienie nacechowane serdeczną życzliwością. Serdeczność i życzliwość towarzyszyła całemu uroczystemu spotkaniu. Uroczyste wieczór zakończyła potańcówka. Nazajutrz Rude Agricole wrócił do pełnienia swych obowiązków ze słowami: Dalej, do pięćdziesiątki. Uroczyste słowa zjednały mu podziw całego miasteczka przybyłego w to uroczyste miejsce.*

*Nie da się myśleć o wszystkim naraz. Caromel Blanc, trzydzieści siedem lat, krawiec z Cinq-Epis, cierpiąc na potworną migrenę, połknął wczoraj dwadzieścia tabletek aspiryny; ponieważ jednak zapomniał wyjąć je z opakowania, lek okazał się nieskuteczny.*

*Subskrypcja jest otwarta.*

*Pan hrabia Adhémár du Rut powrócił na kilka dni do swojego zamku celem odpoczynku po trudach sezonu kąpieliskowego. We wtorek, czwartek i sobotę bieżącego tygodnia będzie egzekwował prawo pierwszej nocy. Młodzi ludzie mile widziani.*

*Urzędowy wykaz cen targowych z dnia 11 sierpnia*

*Chleb 1 frank bochenek*

*Wołowina 7 franków plaster*

*Ziemniaki 3 franki kopa*

*Rzodkiew 1 frank 30 kawałek*

*Sznurek 0 franków 10 końcówka*

*Kącik humoru*

*P: Co robią drwale na dworcach kolejowych?*

*O: Rąbią walizki (tak jak drwa w lesie).*

*P: Co mają wspólnego rogi z pierogami?*

*O: Ślimaka (bo się mówi: ślimak, ślimak, pokaż rogi itd.).*

*Isaac Poum oferuje swe usługi w domu klienta codziennie od piątej do siódmej. Jest bardzo staranny i wymowny. Skutek gwarantowany.*

*Pułkownik Pot wraz z małżonką z przyjemnością zawiadamiają swoich wczorajszych gości, że szeregowy Louis Gamahuche został ukarany miesiącem aresztu za to, że podmienił sauternes rocznik 1919 na wodę Javel La Croix. Naprawiwszy ów pożałowania godny błąd, pułkownik Pot wraz z małżonką uprzejmie proszą swoich wczorajszych gości o powtórne przybycie dziś wieczorem, aby dokończyć indyka; pozostało bowiem jeszcze kilka sporych kawałków.*

*Téodore Marcel, lat piętnaście, przebywający obecnie na wypoczynku w X. ukończył właśnie trzeci tom Nędzników. Gorąco gratulujemy młodemu przedstawicielowi francuskiej inteligencji.*

*P. Curieux Fontaine, notariusz z Pinceau, informuje kupców miejscowych i zamiejscowych, że nie będzie więcej płacił długów swej małżonki, która, jak jakaś latawica, wałęsa się po knajpach z wyszynkiem. Niestety, podobne obyczaje znajdują w naszej okolicy coraz liczniejszych naśladowców; plaga ta nie oszczędza kołyski naszych przodków obecnie spoczywających w grobach. Trzeba zatem przeciwdziałać nowomodnym gorszycielom i bezkarnym rozpustnym wyczynom wszelkiej maści cyklistów.*

*(Komunikat)*

*W ostatni czwartek widziano masona nazwiskiem Codicille Plusdun, jak załatwiał swoje potrzeby naturalne przy murze cmentarza w Enfoui. Nie możemy pominąć milczeniem tej kolejnej próby zbezczeszczenia jednego z naszych najdroższych i najświętszych miejsc podjętej przez żydowską i proszwabską masonerię.*

*Czy to też twój przypadek?*

*Pracując długo w nocy nad studiami archeologicznymi, mam zwyczaj picia bardzo mocnej kawy. Od pewnego czasu miewałem przy tym silne kołatanie serca w znaczny sposób utrudniające mi kontynuowanie pracy.*

*Miejscowy lekarz zalecił mi picie czystej wody bez kofeiny, co zlikwidowało niepokojące objawy i sprawiło, że czuję się silny, młody i w pełni sił.*

*Proboszcz z V. (Ardeny).*

*Czy podobnie jak ów duchowny macie jakieś trudne do wyjaśnienia dolegliwości? Ustąpią one natychmiast po wypiciu czystej wody bez kofeiny. W sprzedaży w każdej dobrej aptece: litr 5 fr. 95.*

*Mówią, że kawa jest dobra w sklepiku u Jana.*

*Powiem: a u nas najlepsza, proszę mości pana.*

*(Ogłoszenie)*

*Dlaczego nie zadbać o swój wygląd również po śmierci? Pielęgnuj starannie swoje kości.*

*Nie należy zapominać, że za pięćset, tysiąc lat lub więcej twoje szczątki zostaną być może wystawione w muzeum. Czyż nie warto się tam zaprezentować w najlepszym stanie?*

*Dzięki lekowi w płynie Nieśmiertelni masz szansę na szkielet estetyczny i gwarantowanie niełamliwy.*

**PODZIWIAC CIĘ BĘDĄ PRZYSZŁE POKOLENIA**

*Flakon dwunastolitrowy: cena do negocjacji*

*Zamawiać u doktora Effaré, ulica Magów 15, Paryż*

*Po uważnym przeczytaniu tego fragmentu „Petit Echo de X.” Narcense zrobił z niego użytek i wrzucił do dziury. Potem poszedł się położyć.*

Godzina siódma, jeszcze nie wrócili. Ogień buzuje pod garnkami, stół gotowy, wina czekają. Nowa siła, Camélia, przeciera kieliszki i pociąga nosem; ma taki tik. Doborowa klientela stałych bywalców. Przy kasie zasiada pani Belhôtel, dumna ze swoich dokonań kulinarnych. Weselni goście zaraz mają wrócić ze wsi po wesoło spędzonym popołudniu.

Cholerny stary Taupe! Żenić się w tym wieku! W całej okolicy stwierdzono chórem: rogi, wielka mi rzecz, i jednym głosem dodano: na głowę upadła ta Ernestyna, żeby wychodzić za starca, co nie ma grosza; i jeszcze równie zgodnie: Dominik znalazł ojca dla swojego dziecka. Pani Belhôtel powtarza sobie te słowa i nic od siebie nie dorzuca. Nowa ma zadarty nos; Dominik tego nie lubi; później się ją zmieni. Czy aby dobrze posoliła zupę? Patrzcie, Mały Jojo, syn tej z pasmanterii, wychodzi. Tak czy inaczej, rogi, wielka mi rzecz.

W sali bilardowej słychać tylko stuk, stuk kul, wśród wielkiej ciszy miejscowy mistrz rozgrywa swoją serię dwunastek przy ogólnym aplauzie. Widzowie są liczni; stają na palcach, żeby lepiej widzieć. Pani Belhôtel zaczyna się niepokoić; jeszcze się coś przypali. Wchodzi klient, taszcząc ogromną walizę z beżowego płótna; za nim dokładnie krok w krok idzie młoda kobieta. Ubrany jest w spodnie do golfa, gruby sweter i czapkę z daszkiem; pali fajkę z jedną z tych zagadkowych min, które wymagają wieloletnich studiów. Któż to jest ten obywatel? Zamawia likier miętowy; jego żona również. Nikt nie zwraca na niego uwagi; cała jest pochłonięta przez salę bilardową, gdzie nie ustaje stuk, stuk; wśród powszechnego entuzjazmu mistrz właśnie wykonał czternasty karambol. Pani Belhôtel idzie doglądnąć potraw na kuchni; Camélia podaje miętę i z obrzydzeniem pociąga nosem; nie chodzi o miętę, ma taki tik. Konsument spokojnie zwraca jej uwagę, że podała mu picona; jest wstrząśnięta; doskonale pamięta, że brała butelkę peppermintu; ale historia! Zawraca, żeby zamienić. Pani Belhôtel znów zasiada za kasą i zaczyna obliczać, ile się zwróci za weselne przyjęcie Ernestyny.

W sali bilardowej ledwo można oddychać. Mistrz z wyschniętym gardłem przymierza się do dwudziestego czwartego karambolu; mierzy kule na zielonym suknie uważnym spojrzeniem, lekko porusza kijem; ma jak w banku, że do końca życia będzie mógł w kółko opowiadać historię tych dwudziestu pięciu punktów. Kula dokładnie ruszyła drogą, którą jej wyznaczył; zderza się z czerwoną pod przewidzianym kątem i sunie dalej, lecz już po chwili zatrzymuje się, zdumiona, nie odnajdując celu swojej wędrówki, gdyż trzeciej kuli nie ma. Mistrz osłupiały ze zdumienia opuszcza kij prosto na własne palce u nóg, nie czując bólu, mimo że ma nagniotki; widzowie pochylają czoła nad opustoszałym zielonym sukniem; nie ma wątpliwości, brakuje jednej kuli. Kto się ośmielił ją ukraść? Mistrz robi się czerwony z wściekłości i zielony z rozpaczy, następuje powszechne poruszenie i rejwach. Poszukiwania, przeszukiwania, wzajemne podejrzenia. Pani Belhôtel jest zaniepokojona zamieszaniami. Camélia przestaje wycierać kieliszki i próbuje zrozumieć, co się dzieje. Gracze krzyczą ze złości; jeden z nich zapewnia, że gdyby znał sprawcę tego idiotycznego dowcipu, strzeliłby go w pysk! Inny, w głębi zawistnego serca, szydzi z tego, co spotkało przeciwnika. Ten przysięga, że jego noga nigdy już nie postanie w podobnym burdelu. Wtedy zauważają, że trzy kule znowu leżą na suknie, tak samo jak miały leżeć przy dwudziestym czwartym karambolu. Okrzyki zdumienia; ręce opadają, nie można wierzyć własnym oczom. Nieprawdopodobne. Camélia wraca do wycierania kieliszków, pociągając nosem; klient i jego żona spokojnie sączą likier miętowy.



„Za niecałe pół roku, marzy pani Belhôtel, będziemy mieli nasz mały domek, nasz mały domek publiczny. Chciałabym, żeby był w cichej, spokojnej dzielnicy; mieszczańska wierna klientela; siedem, osiem dziewcząt, nie więcej; za to dobrze dobrane. Wszędzie złoto i czerwony plusz, żyć sobie będziemy spokojnie i dostatnio, a Clovis będzie inżynierem i poślubi córkę wielkiego przemysłowca, wnuki będą miały angielską guwernantkę z wielkimi zębami i niebieskimi wstążkami powiewającymi na kościstym tyłku. Potem kupimy sobie domek na wsi, w rodzinnych stronach Dominika; może wybiorą go na mera, a Clovis będzie do nas przyjeżdżał samochodem ze swoimi dziećmi”. Łza się kręci w skłonnym do wzruszeń oku właścicielki Café des Habitants. Bierze ją na palec, rozciera na suszce do papierów i wraca do rachunków. Jaki dziwny facet, myśli, spoglądając na mężczyznę z wielką walizką.

Nagle przesywa ją myśl: Przecież to brat Ernestyny! Ten, co miał przyjechać z Brukseli!

Był to właśnie on, Peter Tom Anachoreta, prawdziwe imię i nazwisko Piotr Troc, a nieśmiała osoba, która mu towarzyszyła, była po prostu jego żoną i to ona w czasie jego numeru pokazywała publiczności gołębie wylatujące z cylindra, z ukłonem pensjonarki z zakonnego internatu. Peter Tom opróżnił fajkę, stukając nią o obcas lewego buta, i dwa razy otworzył usta; za pierwszym splunął, za drugim przemówił.

– Ernestyna, co? Ślub, hę? Z kim? Jak rozumiem, z jakimś mężczyzną. Starym. I co ja na to? A pani? Zresztą co tam, nieważne. Nazywa się Taupe, tak?

– Tak, właśnie tak – ćwierknęła pani Belhôtel w obawie, że nie zdoła wtrącić słowa. – Handluje starzyzną.

– Starzyzną handluje? Pewnie niebogaty, hę? A co ona sobie myśli? Co też ona sobie myśli? Cholerna Ernestyna. Od małego idiotka. Nie zmieniła się. Znaczą się, pracowała u państwa?

– No tak, to dzielna dziewczyna, żadnej pracy się nie boi.

– Na pewno, na pewno. Nieupierdliwa, jak idzie o pieniądze. Nigdy niczego się nie nauczy. Ale à propos, a mój brat, ten wojak od siedmiu boleści?

– Przyjechał dziś rano. Wszyscy goście spędzili popołudnie na wsi. Zara powinni wrócić.

– Totocle tu jest! Cholerny Totocle! Trzy lata go nie widziałem! Cała pierś pewnie pełna orderów, co? A siostrzyczki też chyba ze dwa lata. Czas szybko płynie, prawda, pani Bitôtel.

– Belhôtel, Belhôtel.

– Belhôtel. Jednego dnia w Carcassonne, drugiego w Angers, potem Szwajcaria, Hiszpania, Włochy. W naszym zawodzie sporo się zwiedza, szanowna pani. Dotarłem nawet do Bretanii. To dopiero piękny kraj. Teraz wracam z Brukseli, a potem zaraz mam angaż do Lyonu.

– Jest pan...?

– Prestidigitatorem. Nawet więcej: profesorem białej magii. Umiejętność wyjmować monety dziesięciofrankowe z nosa niemowląt w kołyskach, a nawet i bez kołysek. I wiele innych rzeczy. Mój numer jest najlepszy w swoim rodzaju, szanowna pani. Wynałazłem sztuczkę z tańczącymi nożyczkami i tę ze stalową cieniutką niteczką. Zrobiłem pokaz przed publicznością złożoną z pięćdziesięciu kolegów i żaden nie wpadł, na czym polega. Tak, tak, szanowna pani.

Peter Tom Anachoreta robi wielkie wrażenie na pani Belhôtel; towarzysząca mu kobieta zaczyna szeptać:

– Och, Piotr jest bardzo inteligentny, tylko nie ma szczęścia, nie umie się przebić, zawsze dostaje tylko pierwsze numery.

– Głupia klempa – burczy Peter Tom.

Pani Belhôtel o mało nie spada z krzesła.

– Ja nie mam szczęścia? Ja? Szczęścia nie mam? Chwileczkę, zaraz pani zobaczy.

Kieruje się w stronę automatu, ma wyjść czerwone, a wychodzi zielone.

– Widziała pani, pani Belhôtel? Ze mną tak zawsze!

Po czym niedbałym gestem wyciąga świnkę morską zza dekoltu szacownej kupcowej.

Wyczyn ten przyciąga uwagę obecnych, wykrzykniki; pani Belhôtel się wstrząsa i zdumiona drapie się po piersi; świnka morska jest urocza. Peter Tom Anachoreta bierze leżący na stole „Paris-Midi”, zwija w tutkę, wkłada zwierzę do środka, kładzie wszystko na cynkowym blacie, wyjmując z kieszeni pistolet, strzela w gazetę, rozwija ją: morska świnka zniknęła, a „Paris-Midi” zamienił się w „Paris-Soir”, strona czwarta, sportowa. Wybuchają oklaski, magik się kłania, a gości jak nie ma, tak nie ma.

\*

Zaraz jednak przybędą; autokar, który ich wiezie, pruje powietrze; jego karoseria drży z niecierpliwości; jak rączy rumak, który unosi na grzbiecie kapitana żandarmerii bojącego się, że nie zdąży do szkoły wieczorowej na lekcję wersyfikacji, tak potężny czteroślad niesie wesołych gości weselnych ku przeznaczeniu, pożerając kilometry i popierdując kurzem, rycząc jak lew i chrapiąc jak zakatarzony śpioch. Zalicza po kolei przydrożne miasteczka, przeskakuje fosy, bruzdy i koleiny; nie cofa się przed cyklistami, unicestwia kury swą niezłomną oponą, ścina zdumione zakręty, wieś ma przed nim mores i drży przed nim miasto, mędrzec i głupiec na równi go podziwiają. Kiedy przejeżdża, wznoszą się okrzyki: Wiwat panna młoda! Wiwat rogasze! A on, pełen wzdąry wobec tych żarcików płaskich, ale życzliwych, podąży dalej z szybkością biegacza i wytrwałością six-day-mana (siksdejmena). Jeden ma cel i do tego celu dotrze: jest nim Café des Habitants, gdzie w kuchni pichcą się kalafiory z parmezanem; musi jednak się śpieszyć, jeśli nie chce zgotować swym pasażerom spalonej pieczeni. Jego karoseria zatem trzęsie się z niecierpliwości, a on frunie nad rowami i wybojami zgrabniej niż łyżwiarz po zamrożonym jeziorze. Jedzie teraz po terytorium gminy Blagny; po lewej zostawia działki Pustyni, gdzie zamiast ulic są koleiny, gdzie nie ma wody, gazu ani elektryczności, dzięki skrzętnej zapobiegliwości właścicieli metra kwadratowego; po prawej zostawia wytwórnię papier mâché, gdzie się wyrabia tanie cegły i małe co nieco na potrzeby wojska; przebywa dzielnicę zwaną Piękną Wenecją, bo każdej zimy jest podtapiana; przekracza główną drogę i zagłębia się w ulicę Pasteura, wiodącą prosto na plac Victora Hugo. Hamuje z piskiem przed końcową stacją; przy takiej prędkości mógłby przecież ją przejechać.

Wszyscy wybiegają, otaczają kołem i żywopłotem; pani Belhôtel wychodzi ze swej knajpy, za nią Peter Tom Anachoreta, pani Troc, jego małżonka, nowa służąca Camélia i wszyscy zachwyceni konsumenci. Drzwi autokaru otwierają się i orszak kropla po kropli wycieka na chodnik.

Najpierw Dominik Belhôtel, piękny jak marzenie, w nowym kapelindrze; wdział getry, a w krawat wpiął sztuczną perłę; przy każdym ruchu trzeszczą szwy jego marynarki. Nos ma ognistego koloru campari, oczy połyskliwe jak lemoniada. Ogromny i stateczny, wyciąga ręce po pannę młodą i stawia ją na ziemi z gracją siłacza sięgającego po kilogram ołowiu, a przenoszącego kilogram pierza, który sfruwa lekko z autokaru na grunt stały.

Ernestyna zdumiewa zebranych elegancją i wdziękiem; oczywiście jej elegancja drogo kosztuje i jej oszczędności sporo ucierpiały, ale przecież teraz jest bogata, prawda? Stali bywalcy tłoczą się, aby powinszować, niektórzy próbują nawet ją całować. Dzisiaj bawimy się na całego!

Potem pojawiają się drużbowie i odpowiednie drużby: na czele Clovis Belhôtel, szczęśliwym zbiegiem okoliczności w nowym garniturku, i Florette Pik, zepsuta trzynastolatka. Nazajutrz na pewno Ivoine urządzi Clovisowi scenę zazdrości. Na razie pozwala się bez oporu łaskotać, wymieniając z ciotką spojrzenia dumne, znaczące i z lekka przelężnione.

Następnie wysiada Temistokles Troc; brat Ernestyny obnosi wspaniały mundur żuawów, przyozdobiony czterema orderami i srebrnym galonem na rękawie, świadczącym o wojskowym stopniu. Widzowie różnie reagują na jego widok – niektóre kobiety podziwiają kolonialny szyk, lecz mężczyźni w większości gardzą galonem. Naśladując dworne zachowanie Dominika, chce wynieść w ramionach Suzy, przyjaciółkę Ernestyny, ale zabiera się do tego tak niezręcznie, że panna omal nie skręca sobie nogi.

– Cholerny głupek – mówi, masując kostkę.

Suzy jest blondynką i trzy razy w tygodniu chodzi do kina.

Potem wysiada pan Gérard Taupe; jego pojawieniu się towarzyszy zdziwiony szmer. Jakże rozpoznać ojca Taupe'a w tym starszym wytwornym dżentelmenie, starannie ogolonym, z siwymi ulizanymi włosami, odzianym w surdut, co prawda, nieco podniszczony, i spodnie o nieskazitelnych kantach, sztywnych jak żelazobeton? Lakierki i białe getry dopełniają stroju. Wszyscy są zdania, że Taupe odmłodził o dwadzieścia lat. Zdumienie zebranych sięga zenitu na widok prawdziwego, starannie odczyszczonego z tłustych plam cylindra przykrywającego jego siwą głowę.

Potem już jak leci. Pani Saturninowa Belhôtel, pan Saturnin Belhôtel, pan Jérôme Pik pojawiają się kolejno, nie wzbudzając nadmiernego zainteresowania. Wreszcie autokar wypłuka ostatniego pasażera, panią Sydonię Cloche. Jej ozdobiony piórami papugi kapelusz, jaskrawozielona suknia, szkocka peleryna i wielka gobelinowa torba wywołują szyderczy podziw miejscowej młodzieży. Lecz cóż ją to obchodzi? Ma inne problemy. Dociera do celu; ślub Ernestyny w krótkim czasie przyniesie fortunę; za kilka dni dowie się dokładnie, ile jest tej forsy, jak mówi, a za miesiąc, najwyżej dwa, będzie trzymała w rękach pliki banknotów. Wspaniale; ale są Tamci, a Tamci niepokoją ją tym bardziej, że od dwóch tygodni nic o nich nie wie. W wyniku nieudanego porwania przestraszony Clovis zażądał natychmiastowego powrotu do Blagny; według Saturnina nieobecność jego lokatora się przedłuży, a przed pięcioma dniami podczas wyprawy do Obonne widziała na własne oczy, że w domu Marcela nikt nie mieszka. Co Oni zamierzają? Najprościej dla Nich byłoby obrabować barak. Żeby zapobiec podobnej ewentualności, pani Cloche nie zawahała się dać kilku groszy nocnym stróżom placu budowy Kompanii, żeby mieli na oku twierdzę starego. Przesadna ostrożność; przecież Tamci, wiedząc, że przejrzała ich nieczne plany, porzucili nadzieję zdobycia topicznego skarbu. Może będą chcieli się zemścić? Nie ośmielią się, zapewnia samą siebie; i powtarzając te historyczne słowa, wysoko unosi głowę i wyzywa los, podczas gdy wszyscy goście weselni przygotowują się do ostatnich aperitifów.

\*

Ernestyna, dzielnie zniosłszy hołdy ludzi, którym ponad rok usługiwała, spostrzega swego brata, profesora białej magii, i swoją szwagierkę. Ale jest zadowolona! Jak to miło z ich strony, że przyjechali! Słowa te otwierają serię całusów i uścisków dłoni, jednych pełnych uczucia, drugich serdeczności. Peter na widok swego brata, Temistoklesa, mówi doń:

– Jak tam, Totocle, stale na smyczy?

A ten odpowiada:

– A ty stale w cyrku?

I uśmiechają się bardzo miło. Suzy, którą niezręczność zuawa nappełniła pogardą, bardzo pociąga anglosaska elegancja Petera; ten wieńczy zwycięstwo, wyciągając trójkolorowy bukiet kwiatów z przycisku dzwonka.

Na wsi ubaw był po pachy. Przybysze cali są jeszcze czerwoni i zdyszani. Tańczyli przy muzyce z pianoli, pili białe wino i lemoniadę, zrywali polne kwiatuszki, pływali łódką, grali w beczkę, śpiewali chórem stare piosenki i nowe kuplety. Pani Cloche o mało nie przewróciła łódki, a Florette o mało nie ugryzł pies. Pan Pic naśladował muczenie krowy, a Temistokles próbował tańca brzucha. A kiedy słońce zaczęło zachodzić, a w żołądku ssać, wsiedli z powrotem do autokaru, wybawieni za wszystkie czasy. Słowo! Ale był piękny dzień!



Teraz pora na mały kieliszek przed wielkim festy­nem przygotowanym przez panią Belhôtel. Dominik wyprasza z Café des Habitants zwykłych klientów; musi być miejsce dla weselników. Camélia podaje gorzki picon i bakteriobójczy pernod i bardziej niż zwykle pociąga nosem; nie spuszcza oczu z Ernestyny. Prostolinijna Camélia nie może się nadziwić, że robi się tyle szumu z powodu małżeństwa kelnerki i jakiegoś nędzarza; dobrze zna starego Taupe'a, nieraz go widywała w niedzielę na targu, jak wystawia swoje żelastwo i śmieci. Najbardziej zdumiewa ją Ernestyna: Ernestyna promienieje. Ernestyna jaśnieje. Od Ernestyny bije światło. Z powodu małżeństwa czy dnia spędzonego na wsi? Nowej, która o niczym nie wie, ta przemiana Ernestyny wydaje się dziwna, ale gdyby była bardziej wprowadzona w temat, przypisałyby jej bez wątplenia niezbyt prawdziwy powód. Ponieważ Ernestyna, jak na razie, całkiem zapomniała o milionach starego i o życiu w luksusach, tak sugestywnie odmalowanym przez panią Cloche; jej radość ma inne przyczyny: jedno popołudnie na wsi po czterystu osiemnastu kolejnych dniach wycierania szklanek i mycia podłóg. Uśmiecha się nie na myśl o swoich przyszłych toaletach, tylko dlatego, że wciąż unoszą ją fale; uśmiecha się nie na myśl o przyszłych zabiegach upiększających, tylko dlatego, że jeszcze się widzi, jak pije lemoniadę pod wielkim zielonym drzewem; uśmiecha się nie na myśl, że już jedzie swoim własnym samochodem, tylko dlatego, że stale jeszcze dostrzega, mimo zaduchu panującego w lokalu, krowę, jak dostojnie wali kupę, skubiąc purpurową koniczynę. Ernestyna czuje, jak w jej sercu rośnie ogromny niebieski kwiatusek i podlewa go potomkiem pernodu, którego sześćdziesiąt stopni lekko naruszono przez dodanie kilku centymetrów kubicznych wody czystej, acz niedestylowanej.

Wszyscy razem unieśli kieliszki: piętnaście kieliszków poszło w górę. Nieważna zawartość, liczą się tylko uczucia towarzyszące temu symbolicznemu gestowi. Piętnaście kieliszków, piętnaście uczuć: o czternaście za dużo; powinno być tylko jedno: radość z powodu kształtowania się nowej rodziny, nowego domowego ogniska. Lecz tylko nieliczni potrafią się wspiąć na podobne wyżyny cnót obywatelskich; ten z nienawiścią myśli o swoim bracie, to Temistokles; ów cierpi straszliwie, bo ma zbyt ciasne buciska, to pan Pik. Ale mięśnie jarzmowe są wystarczająco napięte, a gardła wystarczająco nastrojone, by można było orzec, iż panuje powszechna sympatia i serdeczność. Piętnaście kieliszków podniosło się, powiedzieliśmy; kilka sekund później trącają się; każdy stuka swoim kieliszkiem czternaście razy, co daje sto pięć zetknięć. Sto pięć razy zatem dzwoni szkło, a dokładnie sto cztery razy, bo Temistokles i Peter za obopólną zgodą się nie stuknęli. Jeszcze raz krzyczą: Niech żyje panna młoda! Niech żyje Taupe! I piją. Pan Pik, odstawiając na spękany marmur kieliszek, w którym bieleje anyżówka, mówi:

– Nie tak dobra, jak kiedy ty podawałaś, Ernestyno.

Dworny ten żart wywołuje gromki aplauz panów i pełne zachwyty okrzyki pań. Mają one słabość do pana Pika, drogerzysty, którego grzeczność jest przysłowiowa w całym Blagny. Pan Pik jest przyjacielem pana Taupe'a. Pan Pik też ongiś miał lepsze dni i zwroty fortuny; obaj byli wychowankami gimnazjum i uczyli się łaciny. Nawet kiedy Taupe wiódł żywot starego mizantropa, spotykali się co tydzień i ścierali przy grze w domino. Jeden mówił: tibi, a drugi, gardząc vocativusem: dalej, civis romanus, i obaj żywili poczucie wyższości wobec grających w belotkę. Pan Pik już jest żonaty i ma rodzinę. Jego żona, córka aptekarza, proszę bardzo, znosi z pozorną rezygnacją społeczną degradację; lecz kiedy myśli o swoim salonie w stylu Ludwika XV, jej serce krwawi; gorzej, kiedy sobie przypomina dawne znajomości: porucznik La Boustrofe, szlachcic, pan Béquille, notariusz, pan Dife, piszący wiersze, które drukowano, i porównuje je do otaczających ją teraz ludzi: handlarz starzyzną, knajpiarz, dozorca, podoficer, cyrkowiec, położna, służąca. Ona, córka aptekarza, gościem na weselu jakiejś służącej! I serce jej krwawi, podczas gdy wargi, kunsztownie, acz kurczowo uśmiechnięte, dotykają szklanki z grenadyną, noszącej wyraźne ślady odcisków palców Camélie. I serce krwawi jej jeszcze, gdy widzi, że jej córka Florette nie spuszcza podkrążonych oczu z rozporków obecnych mężczyzn. Dziecko starych rodziców, Florette, ma wyraźne predyspozycje do tego, co pani Pik nazywa rozpustą, a pan Pik drobnostką.

Tymczasem powszechna uwaga, przez chwilę skupiona na interesującej osobowości tego ostatniego, przenosi się na nowy punkt, wyznaczony przez bukiet trójkolorowych kwiatów wyciągniętych przez Petera z przycisku dzwonka. Sztukmistrz. Pani Belhôtel opowiada o morskiej śwince i sugeruje bilardową kulę; reakcja jest entuzjastyczna. Peter odmawia wyjaśnień, ale przyrzeka, że da pokaz po deserze. Zapowiada się zabawa pierwsza klasa. Dzieci skaczą z radości, ale Temistokles marszczy brwi, ponieważ Suzy robi mu afront, wybierając Petera na kawalera (jeśli wolno mi tak powiedzieć). Zawija żmije pogardy w chustkę zazdrości i wrzuca wszystko w głąb swego zranionego serca; potem wypina pierś i kończy aperitif.

Każdy zbiera się w sobie przed końcową apoteozą zapowiadaną chrapliwym rykiem pani Belhôtel; dzikiemu wrzaskowi odpowiadają radosne okrzyki gości; tworzą się pary, lecz ponieważ przy rozkładaniu na czynniki pierwsze liczby piętnaście pozostaje samotna jedynka – tak to najbardziej abstrakcyjne teorematy teorii liczb znajdują nieraz bezpośrednie zastosowanie w codziennym życiu – lecz ponieważ, jak już mówiłem, liczba piętnaście nie daje się podzielić przez dwa – a zauważcie, że gdyby francuscy weselnicy paradowali trójkami, zamiast paradować w parach, podobne rozważanie byłoby zbędne, gdyż na weselu Ernestyny goście ukazałyby się pod postacią pięciu trójek, a można dopuścić nawet taką sytuację etnograficzną, w której weselnicy przemieszczają się rzędami po pięć osób, w wyniku czego goście Belhôtela mogliby ewoluować zebrani w trzy rzuty pięcioraczków – słowem, z powodu nieparzystości liczby piętnaście może się utworzyć tylko siedem par, a jedna osoba zostaje sama. Osobą tą jest kobieta; wykazuje to proste rozumowanie, gdyż wśród piętnaściorga gości jest siedmiu mężczyzn i osiem kobiet, a z całą pewnością nie połączono w pary osób tej samej płci, jako że podobne zwyczaje są zarezerwowane dla homoseksualistów, a my, Bogu dzięki, nie mamy nic wspólnego z tymi ludźmi. Lecz kimże jest kobieta tak porzucona? Umysł dostaje dwie propozycje: rozumowanie lub intuicja. Z powodu pośpiechu lepiej odwołać się do drugiej, chociaż pierwsza również pozwala osiągnąć pożądaną rezultat.

\*

Ustawwszy się parami, goście przechodzą do sali biesiadnej. Piętnaście nakryć lśni na nieskazitelnie białym obrusie; noże połyskują, talerze świecą, widelce jaśnieją, kieliszki migoczą, łyżki błyszczą, prawdziwe święto dla oczu. Siadają, rozwijają serwetki sztywne od oczekiwania i zaczyna się nalewanie zupy przez ramię gościa. Bo wszystko jest jak należy: dwóch kelnerów wypożyczonych z Restaurant des Alliés skutecznie dodaje splendoru. Pani Pik w głębi duszy aprobeuje tę rozrzutność. Dominik puszy się jak paw, a jego małżonka ma prawdziwy powód do dumy. Ernestyna, stale w zachwyceniu, rzuca się na talerz, bo wiejskie powietrze zaostrza apetyt; natomiast ojciec Taupe pogrąża się w uśmiechniętym milczeniu, które nie wiadomo, czy jest oznaką godności, czy wyrazem ostatecznego osłupienia. Totocle, nie przestając wsuwać zupy, robi przegląd dowcipnych historyjek. Oddzielony od niego panią Belhôtel Pik robi to samo; obaj przygotowują się, żeby zabłysnąć. Suzy ani na chwilę nie przestaje oczekiwać, że solniczka nagle zamieni się w słońca, a dzbanuszki na ocet i oliwę w pudełko pasty do butów. Lecz Peter chwilowo nie ujawnia swoich talentów. Florette, mimo młodego wieku dzieląc nadzieje Suzy, w każdej chwili oczekuje, że wylecą gołębie. Clovis natomiast w każdej chwili oczekuje, że wpadną Tamci uzbrojeni w rewolwery. Po jego lewej stronie pani Cloche, zapomniawszy o obawach, z rozkoszą pochłania gorącą zupę; od najwcześniejszego dzieciństwa uwielbia zupę i dlatego wyrosła taka silna, odważna i twarda. Żona Petera Toma, która połowę zostawia na talerzu, jest dlatego drobna, chuda i wiotka.

Jakiś czas mija w całkowitym milczeniu. Podobnie jak zupa upływa trwanie; podobieństwo jest tak wielkie, że goście zdają się raczej pochłaniać je właśnie niż pożywny parujący płyn, transportowany przez rurolzowe łyżki. Talerze pustoszeją i zupa staje się przeszłością. Rozmaite dźwięki towarzyszące temu procesowi wymagałyby szczegółowego opisu, gdyż ten koncert bulgotów i mlasków jest zapowiedzią wielkich wydarzeń. Jeden wciąga rosół kącikiem warg, drugi pochłania go łapczywie. Żeby ostudzić, jedni dmuchają, inni robią kaskady. Siorbią i chlepcą. Tu mamy posykiwanie, tam dysonans. Z muzyki tej rodzi się z wolna elementarna harmonia; wkrótce z ust do uszu zaczynają fruwać słowa i przechodząc ze stanu zwierzęcego do ludzkiej społeczności i od żarłoczności do pogawędki, każda z piętnastu wyżej wymienionych osób zaczyna znowu dostrzegać obecność czternaściorga pozostałych. Bo jak micha pusta, nosy w górę.

Przy jedzeniu zupy łokcie się unoszą, usta otwierają; gdy czas zupy mija, gest przechodzi w zwyczaj i – oprócz satysfakcji czysto gastronomicznej – staje się przyjemnością samą w sobie.

Z gości jeden tylko Saturnin zachowuje pełną świadomość: „Kiedy skończą, będą strasznie zdezorientowani!” – mówi sobie. On sam tkwi nad pustym talerzem jak potępiony. Mądrość narodów, myśli, poucza, że łatwo jest nabrać jakiegoś zwyczaju, lecz pozbycie się go nastęrcza sporych trudności. Właśnie z tym mamy do czynienia tutaj. Nabrali oto zwyczaju jeść zupę i nagle stają wobec konieczności porzucenia tego tak łatwo przyjętego zwyczaju. Są zatem smutni. Czują zatem popiół w ustach. Są zatem zrozpaczeni. Wiedzieli z całą pewnością, że za pełnym talerzem kryje się talerz pusty, tak jak za bytem kryje się niebyt, i z pełną świadomością potwornych konsekwencji swojej niekonsekwencji beztrudnie i radośnie nabrali zwyczaju jedzenia zupy. Och! Gdyby głębia talerzy była nieskończona. Och! Gdyby płyn, zamiast zanikać, stale się odnawiał, zasilany niewyczerpanym źródłem. Wtedy, z tej wiecznej wędrówki łyżek to pełnych, to pustych, z tej wiecznej powtarzalności podniesionych łokci i otwartych ust, z tego zwyczaju na zawsze uświęconego, zrodziłoby się coś na kształt szczęścia, szczęścia i pokoju... Marzenie o niebieskich migdałach!

Talerze mają dno, a na tym dnie nicozup.

Ale dwaj kelnerzy wypożyczeni z Restaurant des Alliés znają ten trudny moment i wiedzą, jak go skrócić: sprawnie zabierają pusty talerz sprzed oczu. Oczywiście zaraz zastępuje go inny pusty talerz; lecz ten jest oczekiwaniem, podczas gdy tamten był już tylko rozczarowaniem; jeden jest projektem, drugi wspomnieniem. Zastąpienie pustki przez pustkę nie wystarczy; dwaj kelnerzy wypożyczeni z Restaurant des Alliés wzbogacają je zastąpieniem przez pełnię; napełniają winem kieliszki, co im nadaje wesoły wygląd aptecznych flakonów.



I tak umykamy przed trwogą, kończy rozważania Saturnin. Zaczynamy rozumieć znaczenie słowa błogostan. Jeden się uśmiecha, drugi wzdycha z satysfakcją. Jeden się oblizuje, drugi starannie wyciera usta. Dopiero teraz języki związane głodem rozwiązują się; dopiero teraz usta otworzą się po coś innego niż pochłanianie, dopiero teraz zaspokojony żołądek pozwoli mózgowi na drobne ćwiczenia; dopiero teraz weselny gość, rewolucyjnością dorównujący kopernikańskiemu przewrotowi, przechodzi od egocentryzmu do policentryzmu; dopiero teraz, przestając się interesować wyłącznie samymi sobą, jedni i drudzy przyjmują do wiadomości istnienie drugich i jednych; dopiero teraz, stając się osobnikami uspołecznionymi, goście weselni wyjdą z izolacji i ponownie staną się tym, czym niedawno byli: weselnymi gośćmi. Dla potwierdzenia, że znowu się czują członkami przejściowej wspólnoty, której biegunami są Ernestyna i Taupe, a pani Cloche ukrytą, pośrednią przyczyną, wszyscy wstają i trzymając kieliszki w wyciągniętych rękach, wymawiają chórem te same słowa: zdanie wykrzyknikowe, którego kanwą są słowa zdrowie, panna młoda i pan młody.

Potem siadają znowu.

Potem mówią.

– Florette, nie kładź łokci na stole – zaczyna pani Pik.

\*

Kiedy z ryby zostają tylko ości, pan Pik dochodzi do wniosku, że nadszedł czas, żeby wystąpić z jakąś historyjką ze swego repertuaru; Temistokles, ze swej strony, myśli tak samo. Obaj drżącymi nozdrzami próbują złapać trop, który ich zaprowadzi do źródła, skąd wytryśnie anegdota. Lecz rozmowa, na razie dość chaotyczna, utrudnia polowanie.

– Pokażesz nam jakieś sztuczki? – pyta Ernestyna Petera.

A Dominik Saturnina:

– Stale tylko jeden lokator?

Pani Dominikowa odpowiada Temistoklesowi:

– Nie, dziękuję.

A Suzy panu Pikowi:

– Na razie nie.

Pani Cloche nad głowami dzieci łapie iluzjonistę i pyta:

– Dlaczego pan się nazywa Anacholera?

– Anachoreta – ów odpowiada – to jest greckie słowo oznaczające kogoś, kto prawie nie je i nie pije, podobnie jak fakir.

– Ale na moje oko pan je i pije całkiem, całkiem – oponuje Dominik.

– Tak, tak. Tutaj. Ale na scenie jem i piję bardzo mało.

– Coś podobnego! – Większość słuchaczy jest pod wrażeniem.

– Czy ktoś kiedyś widział ludzi jedzących i pijących na scenie? – zauważa pan Pik.

– Pewnie! – protestuje Peter. – A połykacze noży? – (Śmiechy).

– Głupoty jakież nam wciskasz – mówi Temistokles. – Przypomina mi to tego Marsylczyka, co...

– Wcale nie głupoty. Bardzo mało jem i piję na scenie.

– Tak czy inaczej – pan Pik nie zamierza zmienić zdania – prestidigitatorzy bardzo rzadko jedzą i piją na scenie.

– Dlatego jestem wyjątkowy – mówi Peter skromnie.

Chyba nie do końca zrozumieli; Temistokles, który nigdy się nie boi czegoś nie zrozumieć, wypowiada się w imieniu stropionego ogółu:

– Żarty sobie z nas robisz. Jeśli jesteś taki jak inni, nie możesz być wyjątkowy.

– Ale ja nie jestem taki jak inni. Oni nic nie jedzą na scenie. Czy widziałeś kiedy, żeby prestidigitator jadł na scenie? Przecież nie. A ja jem bardzo mało. Rozumiesz, to bardzo mało sprawia, że jestem wyjątkowy. A dokładnie jem jabłko, a potem je wyjmuję z kieszeni jakiegoś widza. Właśnie dlatego, pani...?

– Cloche.

– Dlatego każę nazywać się Anachoretą.

– Rzeczywiście, cholernie sprytnie – zgadza się Dominik.

– Och, Peter jest bardzo inteligentny – szepcze nagle żona Petera. – Jest bardzo inteligentny, ale nie ma szczęścia, nie może się wybić.

– Dziwka! – krzyczy magik, wzbudzając ogólną konsternację (tylko Florette uważa, że to bardzo zabawne). – Dziwka! W kółko gada, że nie mam szczęścia. Powtarza to jak katarynka. I oczywiście przynosi mi pecha.

– E tam – mówi Ernestyna.

– A do tego strasznie głupio tak ogłaszać wszem wobec, że nie umiem się przebić. Jak ja teraz wyglądam? Jak noga. – (Śmiechy).

Zjawia się udziec.

– Czekaście, żeby wam pokazać, że jednak jestem kimś, zaraz sprawię, że ten udziec zniknie. Ma zniknąć całe udo czy tylko noga?

Wszyscy protestują ze śmiechem. Niewątpliwie wyszedł zwycięsko. Temistokles uśmiecha się; pan Pik zastanawia się, czy w związku z udźcem nie dałoby się przemyścić historyjki o Żydzie, latarni i handlarzu wielbłądów. Lecz za długo się waha; rozmowa kieruje się w inną stronę. Z powodu wzmianki Dominika o psie, który o mało co nie ugryzł Florette. Rozdział o złych psach, chociaż mniej obszerny niż ten o tragicznych kąpielach, jest jednak wystarczająco bogaty w wydarzenia, żeby się wyczerpać dopiero, gdy z udźca zostaje sama kość. Pani Saturninowa, która po raz pierwszy otwiera usta, opowiada, jak jej rodzice przez pół roku nie mieli wiadomości od swojego syna, bo ich pies nie znosił listonoszy. W regimencie Temistoklesa, mówi ten ostatni, zakazano hejnału, bo grał na nerwach chartowi pułkownika. W ten sposób przechodzi się od złych psów do psów po prostu nieznośnych, a potem do czworonogów w ogóle. Pik cierpliwie czeka, aż po nitce do kłębka przyjdzie czas na brzuchonogi, żeby wystąpić z historyjką o Żydzie, biskupie i ślimakach. Niestety! Znowu rozczarowanie; pojawienie się kalafiorów z parmezanem sprawia, że zebrani porzucają świat zwierzęcy na rzecz królestwa roślin i za sprawą nagłego zwrotu, za który odpowiedzialny znowu zdaje się tylko Dominik, wracają do pięknego dnia spędzonego na łonie natury, do uroków wiejskiego życia i uprawy czerwonej koniczyny.

Podczas gdy Ernestyna opowiada pani Dominikowej przebieg przejażdżki łodzią i jak to pani Cloche o mało co nie zaznała bliskiego kontaktu z wodą, Suzy potwierdza chęć flirtu z Peterem, pani Pik przypomina córce, że łokci nie trzyma się na stole, a Totocle pograża się w euforii, gdyż właśnie odkrył wspaniały kalambur; wystarczy go tylko wtrącić: kiedy pan Pik zabierze głos w jakiejś kwestii, on powie: Jest pan as, Pik. I wszyscy się uśmieją.

– Wujku Turnin – mówi Clovis do konsjerżera – przyrzekłeś mi piękną książkę do czytania na wakacje i nic mi nie dałeś.

Wujekturnin udaje, że nie słyszy; rzeczywiście zupełnie zapomniał o obietnicy.

– Saturninie – wtrąca pani Cloche, a jej głos sprawia, że wibrują łyżeczki – nie słyszysz, co ci ta mówi Cloclo?

– Tak, tak, piękną książkę, nie szkodzi, kupie ci jo na po wakacjach.

– No pewnie, dasz mi jakiś podręcznik.

– Clovis, więcej zaufania do wujka, niegrzecznie tak mówić – mówi pobłaźliwie pani Dominikowa.

– Ile lat ma ten mały? – pyta kapral o bardzo czerwonych piętach (skąpał je we krwi).

– Trzynaście.

– Duży jak na swój wiek, co? – zwraca się do brata Peter.

Tamten, jako że nie przygotował odpowiedniej repliki, chowa się za wykrzyknik.

– Och! Och! – Pochrząkuje, minę ma jak smakosz na widok dojrzałego camemberta.

– Dostał świadectwo? – pyta pani Peterowa.

Pani Dominikowa przełyka ślinę, zanim rzuci zdanie bombę:

– W tym roku idzie do liceum.

A Dominik niedbałym tonem:

– Tak, pošlemy go do liceum.

Patrzą na Clovisa; poczerwieniał z dumy.

– Zostanie inżynierem – mówi jego ojciec. – Poświęcamy się dla niego.

– Ma pan całkowitą rację, panie Belhôtel – przytakuje pani Pik – że się pan poświęca dla swojego dziecka i chce je wychować na przyzwoitego człowieka.

– Lepiej, żeby się dzieci wstydziły za rodziców, niż rodzice za dzieci – mówi sentencjonalnie pan Pik.

Zaraz potem dopada go niejasne podejrzenie, że to niezbyt pochlebne dla Dominika. W tej samej chwili Temistokles postanawia wejść do gry, odwraca się do pana Pika i wypala bez ogródek:

– Jest pan as, Pik.

– Ja, auszpik? (Dławi się). Ależ panie, ja się nie pozwolę tak obrażać! Ja szanuję francuską armię, a pan powinien szanować moje siwe włosy. Ja, auszpik! To dopiero! W moim wieku pozwolić się obrażać takiemu... takiemu...

Wstaje i zaczyna się miotać. Panie go uspokajają. Temistokles, przerażony rezultatem swej akcji, próbuje się usprawiedliwić:

– Ależ to był kalambur!

– Żaden kalambur, proszę pana! Pan mnie obraził!

– Chciałem powiedzieć, że jest pan asem, panie Pik! Asem!

– Nieźle! – Dominik wybucha śmiechem. – As pik!

– Ha, ha! Civis romanus, jesteś as pik! Ha, ha!

Taupe przemówił po raz pierwszy, odkąd rozłożono serwetki. A przecież z natury jest rozmowny; ale tego wieczora milczy jak zakłęty i nikt nie wie, o czym może myśleć. Jednakże kalambur wymierzony w jego starego przyjaciela, drogerzystę, wrywa go ze stuporu, jak to przed chwilą zobaczyliśmy.

– Daj pokój, Jérôme, nie będziesz się przecież gniewał w taki dzień jak dzisiaj o takie głupstwo!

– Racja, dobra, kalambur! Bardzo dobrze, wyśmienicie! Nie będę się obrażał za takie głupstwo! Dobrze, wyśmienicie! Ale niech mi pan powie, Temidoklecie, często ma pan służbę w Pałacu Sprawiedliwości?

– Ja? Nie – odpowiada zdumiony kapral. – A dlaczego?

– Bo tam Temida trzy po trzy plecie.

I siada usatysfakcjonowany rewanżem. Inni goście są nieco przygnębieni.

Po zażegnaniu tego incydentu i ponieważ nikt już nie bierze dokładki kalafiora, dwaj kelnerzy wypożyczeni z Restaurant des Alliés wywalają na stół wielką ilość rozmaitych serów. Znany znawca, pan Pik, zwykle lubi rozprawiać o właściwościach sera brie i o tym, jak ostrożnie należy się obchodzić z pont-l'évêque; lecz jest jeszcze zbyt poruszony niedawnym starciem z kapralem, żeby wystarczająco autorytatywnie zabrać głos.

– Super, jest rokfort! – wykrzykuje Ernestyna z zachwytem.

Taupe uśmiecha się, co niczego nie zmienia, jako że na wszelki wypadek taki właśnie wyraz twarzy zarezerwował sobie na cały wieczór. Tymczasem powszechna uwaga po chwilowym zboczeniu na manowce powraca do ulubionego tematu, czyli do sztukmistrza.

– Msi pa ches podruszo? – pyta pani Cloche z pełnymi ustami.

– Słucham?

– Mówię, że musi pan często podróżować.

– Ach, i to jak! Tydzień tu, dwa tygodnie tam. Dzisiaj we Francji, jutro w Belgii. Nawet do Syrii i Konstantynopola kiedyś zaszłem.

– Zaszedłem – poprawia Clovis.

– Gdzie byłeś, mój mały? – pyta Peter, którego podobne subtelności językowe wydają się nie dotyczyć.

– Mówi się zaszedłem, a nie zaszłem – wyjaśnia przyszły licealista.

– Aha – mówi Peter nieprzejmujący się podobnymi drobnostkami, nie wnikając w sens słów malca, któremu matka zwraca uwagę, że zabiera głos bez pozwolenia, co świadczy o wyjątkowo złym wychowaniu, zwłaszcza na weselu, a do tego ze strony przyszłego ucznia szkoły średniej, ciągnie: – Konstantynopol! Ach, jakie piękne miasto! Złoty Róg! Bosfor! Dardanele!

– Ach, Dardanele! – ryczy Temistokles. – Mój regiment zdobył tam czerwone lampasy.

– Pan tam był? – pyta jedna z pań.

– Och, nie, byłem za młody.

– Nigdy się nie jest za młodym, żeby służyć swojej ojczyźnie – oświadcza Peter sentencjonalnie.

– Święta prawda.

Pik, stłumiwszy emocje słusznym kawałkiem gruyere’a, w ten sposób wraca do gry.

– Nie mogłem przecież jako trzynastolatek uczestniczyć w bitwie w Cieśninie Dardanelskiej – protestuje wojskowy.

– Dzieci w tym wieku nieraz zaciągały się do wojska – zauważa pan Pik głosem obojętnym, lecz nieco pogardliwym.

– Jak Bara i Viala! – wykrzykuje Clovis.

– Cicho bądź, mówię – gani go pani Dominikowa.

– Ależ ten dzieciak ma rację – broni chłopca Peter. – Bara i Viala byli dziećmi, a jednak zostali bohaterami.

– Swoje zrobiłem – replikuje Temistokles i wali pięścią w cztery medale wiszące na klatce piersiowej.

– Powiedz paniom, gdzie je zdobyłeś – radzi mu brat.

– Przestanieś mnie wpieniać?

– Totocle, daj spokój, nie gniewaj się, przecież wiesz, że Peter zawsze żartuje.

– Ja? – dziwi się ten ostatni. – Wcale nie żartuję. To bardzo interesujące, gdzie się zdobywa takie cuda.

– Wnioskując z pańskich słów, panie Anachoreto, jest pan antimilitarystą, prawda? Otóż ja, panie szukmistrzu, antimilitarystami gardzę.

– Panie Pik!

– Och, panie Pik!

– Słuchajcie, nie kłóćmy się – radzi Dominik.

– Racja – mówi cichym głosem Ernestyna – nie trzeba było mówić o wojnie.

– Nie warto zaczynać dyskusji o polityce – mówi pani Dominikowa B.



– Tak, jesteśmy na weselu, a nie na zebraniu wyborczym – mówi pani Saturninowa B.

– Patrzcie, tatuś się gniewa! – krzyczy Florette, klaszcząc energicznie w ręce.

– No, Jérôme, chyba nie zaczniesz znowu się kłócić!

– Ucisz się, moja droga! Powiedziałem, co miałem do powiedzenia. Jestem człowiekiem szczerym!

– Przyjmuję pańskie przeprosiny – oświadcza spokojnie iluzjonista.

– Ale ja wcale nie przepraszałem – protestuje starszy pan.

– I bardzo dobrze – zgadza się Saturnin. – Skoro pan przyjął twoje przeprosiny, sprawy nie ma.

– Tak jest! Właśnie tak! Przyjmuję przeprosiny pana Pika. Sprawy nie ma. Mówmy o czym innym.

– Ale ja wcale... – bełkocze drogerzysta – ja nie...

– Ależ Jérôme, skończ ładnie gruyere’a, zawsze jesteś ostatni.

– Komu jeszcze sera? – pyta gospodyni.

Powraca spokój.

– Mam wrażenie – mówi Temistokles z przebiegłą miną do pani Cloche – że się pani ostatnio bardzo nabiegała.

– Co takiego?

– No tak, bo jest pani bardzo biegła w sztuce jedzenia.

Zdaniem ogółu to wcale nie jest śmieszne.

– Kompletny kretyn z niego – mruczy Sydonia, po raz dwunasty opróżniając kielich.

\*

W tej samej chwili dwaj kelnerzy wypożyczeni z Restaurant des Alliéś wnoszą tort śmietanowo-waniliowy na samym maśle, z dzięgielem i owocami w cukrze, ochy i achy! Wszystkich zatkało! I jaki wielki! Starczy dla wszystkich, Florette pławi się w zachwycie, Clovis zastygł z otwartymi ustami.

– Muszę przyznać, pani Belhôtel – mówi Ernestyna – że urządziła pani wszystko na medal. Weselisko jak się patrzy.

– Niech żyje pani Belhôtel – pohukuje ojciec Taupe i zaraz znowu popada w stupor.

– Niech żyje pani Belhôtel! – wykrzykują chórem.

Szczera prawda, weselisko jak się patrzy. Nie wszyscy jednak są tego zdania. Temistokles, pies na baby, uważa, że brakuje młodych dziewcząt. Pani Pik towarzystwo zdaje się nieco zbyt pospolite, a jej małżonek oczekiwał bardziej bogatego jadłospisu. Ale kto może wymagać, żeby wesele kelnerki z podmiejskiego baru było równie wspaniałe jak jakiejś księżniczki.

Skończywszy owacje, każdy rzuca się na swoją porcję i łapczywie ją pochłania.

– Rozpływa się w ustach – mówi Dominik.

– Mężczyźni zazwyczaj nie lubią słodczy – zauważa z przekąsem pani Pik.

– Mój Dominik lubi wszystko, co dobre – mówi żona.

– Nie ma wielu dobrych rzeczy na tej ziemi – dodaje mąż. – Grzech je przepuszczać. Trzeba korzystać z życia.

– Oczywiście – przytakuje kapral, chrupiąc kawałek marcepana, na który Clovis pożądliwie zerkał z drugiego końca stołu.

– Istnieją jeszcze inne rzeczy poza jedzeniem i pićm – mówi pani Pik natchnionym głosem.

– W rzeczy samej – oznajmia Peter – istnieje chodzenie, polowanie, spanie, próżnowanie...

– Są jeszcze ideały, szanowny panie – oznajmia pani Pik. – Niestety! Naszej cywilizacji brakuje Ideału – dorzuca, zbierając łyżeczką resztki kremu Chantilly snujące się po jej talerzu.

– Po polityce będą teraz morały – szepcze Suzy.

– Ja się z panią nie zgadzam – zaczyna pani Dominikowa Belhôtel, której liczne kieliszki wina zaczynają pobudzać szare komórki – ja się nie zgadzam. My z moim mężem, na przykład, mamy ideał, żeby z Clovisa zrobić inżyniera.

– A taki Temistokles – uzupełnia Peter – ma ideał, żeby w wieku czterdziestu pięciu lat zostać podporucznikiem.

– A mój Piotr – szeleści pani Peterowa – marzy o tym, żeby zobaczyć swoje nazwisko na afiszu wypisane wielkimi literami.

– Oślıco durna, kto cię pytał o zdanie? Moim ideałem jest wolność i żeby mi dano święty spokój.

– Być wolnym, to dopiero super – rozmarza się Ernestyna.

– To bardzo trudne, żeby tak człowieka zostawili w świętym spokoju – dodaje Suzy.

– Dobra, dobra – otrząsa się Dominik. – Wielkie słowa, ja tam wiem swoje: pojeść, popić i pospać.

– Ależ nie – pojękuje pani Pik – nie to nazywam ideałem. Ideał to Rodzina. To Ojczyzna. To Sztuka. Obowiązek. Religia...

– I Własność – uzupełnia pan Pik.

– Ojej – wtrąca Suzy ściszonego głosem – zaczyna się.

– Własność, posiadanie jest źródłem wielu nieszczęść – wtrąca nagle ojciec Taupe głosem monotonnym jak automat, który ktoś nagle, po długich bezowocnych próbach włączenia sekretnego mechanizmu, przypadkowo wprowadził w ruch, pociągając za palec u nogi. – Tajemnica szczęścia polega na tym, żeby nic nie posiadać. Szczęśliwy człowiek jest tylko wtedy, gdy żyje ubogi i w ukryciu, bo im się mniej posiada, tym łatwiej jest umknąć złemu losowi. Tak, właśnie tak, tym łatwiej jest umknąć złemu losowi.

Zebrani są nieco zmieszani tą tyradą, gdyż zdaje się ona nie na miejscu i nie na czasie; nawet w złym guście. Dysgust zamienia się w głęboki niesmak, kiedy pani Pik wyrzuca z siebie suchym głosem słowa następujące:

– Ale, panie Taupe, przecież teraz posiada pan żonę.

Tego właśnie pozostali nie odważyli się powiedzieć, lecz są zdania, że uwaga jest okrutna. Cóż może odpowiedzieć ojciec Taupe? Wali prosto z mostu:

– To, co pani mówi, pani Pik, jest głupie, niegodziwe i złośliwe.

Wielka cisza rozpościera się przed każdym obliczem; pan Pik tak silnie zaciska zęby na łyżeczce, że nie może jej wyciągnąć z ust, jego małżonka, tłumiąc minę kogoś, kto usiadł na minie, wykrzykuje żartobliwie:

– Och! Pan Taupe zawsze tak samo dowcipny! A ty, Florette, tysiąc razy powtarzam, łokcie ze stołu.

– A pani Cloche może! – odcina się mała.

– Zaraz dostaniesz po buzi! – grozi matka.

– Znaczy się, daję zły przykład pani dziecku, tak?

– Ależ skądże, pani Cloche.

– Ideały... ideały... – mamrocze pod nosem pan Taupe.

– Prawda, jak tu żyć bez ideału? – oznajmia z wysiłkiem Temistokles. – Bez ideałów człowiek żyje jak zwierzę.

Pani Pik spogląda na niego z wdzięcznością jak suka, której pozostawiono małe. Lecz Dominik nie ustępuje.

– Pojeść, popić, pospać, oto cały ideał, i nie ustąpię.

– I od czasu do czasu kobietka – dodaje Temistokles, brutalnie dezerterując z obozu pani Pik.

– Materializm czyni wielkie spustoszenia w naszym społeczeństwie – pojękuje ta ostatnia.

– To ci mysz prosto z kościelnej kruchty! – mówi ktoś głosem wystarczająco cichym, żeby wszyscy usłyszeli z minami jakby nigdy nic.

Oko pani Pik nabiega krwią; jej mąż pręży się do skoku.

– Znacie anegdotę o Angliku i worku mąki? – pyta nagle Temistokles z reflekssem, o który brat nigdy by go nie podejrzewał.

– Bardzo prosimy, niech nam pan opowie! – podchwytuje pani Dominikowa.

– Och, tak, wreszcie się pośmiejemy – wzdycha Suzy.

– A, ta historia o Angliku i worku mąki – mówi pan Pik, któremu wreszcie udało się odkleić zęby od łyżeczki. – Wydaje mi się, że ją znam. Czy to ta historia, jak pewien Anglik kupuje worek od Ormianina?

– Od Greka – poprawia Temistokles.

– W mojej historii to Ormianin sprzedaje worek zboża.

Temistokles, zniesmaczony, chowa nos w talerz i pozwala drogerzyście skończyć historię. Ma zresztą satysfakcję, bo nikt się nie śmieje. To zatem nie klęska, tylko strategiczny manewr, a zwycięstwo Pika jest Pikrusowe.

\*

Tymczasem dwaj kelnerzy wypożyczeni z Restaurant des Alliés wnoszą na stół owoce i wypytyują każdego w sprawie kawy i likierów. Pani Cloche, która wypila osiemnaście kieliszków wina, wzgardziwszy owocami, składa starannie serwetkę i zamawia cointreau. Wzdycha. Dwójka dzieci zniknęła; nikt na to nie zwraca uwagi. Większość gości przypomina pomidory suszące się w słońcu. Suzy i Peter zbliżają się do siebie bardziej, niż na to wygląda. Pani Pik w dbałości o godny wizerunek tłumi zdradliwą czkawkę. Przez otwarte okna wchodzi trochę świeżego powietrza z domieszką węglowego pyłu.

– Chyba nam pan teraz pokaże pańskie sztuczki, panie Peter – mówi któraś z pań.

– Tylko jeden mały koniaczek i jestem do usług.

– A może coś zaśpiewamy? – proponuje Suzy.

Och, jaki dobry pomysł. Ernestyna i Suzy kolejno odśpiewują piosenki o miłości, Dominik opiewa zgubne skutki zielonego sukna; Temistokles, poweselały, zapewnia, że te sztuczki zna, a pan Pik odnosi sukces refrenem mającym związek z plantacją bananów. Taupe wykazuje się niewiedzą. Pani Pik się wykręca. Pani Cloche, ubłagana przez publiczność, serwuje smętną historię kalekiego marynarza, którego narzeczona wychodzi za mąż za rywala, lepszego na pierwszy rzut oka, a przy bliższym poznaniu alkoholika i szaleńca; rusza zatem na poszukiwanie pierwszego nieszczęśnika, ale okazuje się, że zjedli go koledzy przy zachodnim wietrze i został tylko kawałeczek łydki zakonserwowany w solance. Pani Cloche dławi się z emocji i musi wlać w siebie kieliszek cointreau, po czym kontynuuje: Narzeczona zjada kawałek łydki i rzuca się z latarni morskiej do morderczego oceanu ze śpiewem: Raz francuski marynarzyk, marynarzyk, marynarzyk...

Posępna ta opowieść wywołuje odpowiedni nastrój.

– Mogłaś nam zaśpiewać coś weselszego – mówi Dominik.

– Znam tylko dwie piosenki, tę i tamtą o tragicznej gilotynie, wzięłam i wybrałam tę mniej smutną.

– Teraz kolej na panią Belhôtel – mówi Suzy.

Ernestyna wstaje i podchodzi do okna.

Ciężko oddycha.

– Co ci jest? – pyta Suzy.

– Trochę mi niedobrze.

– Boli cię co?

Ernestyna nie odpowiada.

– Ale gwiazdy, ile gwiazd dziś wieczorem – mówi, potem robi kilka niepewnych kroków.

Peter podnosi się, żeby ją podtrzymać.

– Bawcie się dalej beze mnie. Odpocznę sobie chwilę. Taupe, zostań tutaj.

Suzy idzie z nią; obie wychodzą. Oczekiwanie, cisza. Pani Cloche opiera się o parapet. Suzy wraca z dwoma dziećmiakami.

– Nic takiego. Położyła się w swoim pokoju.

– Niczego nie chce?

Nie, niczego nie chce.

– Nic poważnego?

– Nie, nic poważnego.

– Florette, gdzie byłaś? – pyta surowym tonem pani Pik.

– Bawiłam się z Clovisem.

– A dlaczego nie tutaj?

– Sama nie wiem.

Dzieciaki siadają. Spoglądają na siebie poważnie. Ani chwili spokoju, myśli Florette. Zgadza się z Peterem: ideał to jak ci dają święty spokój. Przyjdzie taki dzień; jak będzie duża. Będzie sobie kładła łokcie na stole do woli. Będzie sobie dogadzała z chłopakami po ciemku. Będzie sobie wracała do domu, kiedy będzie chciała. Clovisa nieco krępuje obecność Suzy; bo Suzy to nie mała dziewczynka, tylko kobieta, prawdziwa. Do tego wujek patrzy na niego rozbawiony, co go bardziej peszy niż sroga mina ojca. Słowem, jest bardzo zmieszany.

– Ciociu Sydoniu, na co się tak patrzysz?

– Chciałam zaczerpnąć świeżego powietrza.

Po chwili:

– Ernestyna dobrze mówiła, dużo dzisiaj gwiazd.

Zebrani pomалу wstają od stołu; niektórzy sprawdzają słowa pani Cloche. Dominik proponuje francuskie cygara.

– Tam jest Wielka Niedźwiedzica – mówi Temistokles, pokazując jakiś nieokreślony punkt końcem cygara.

– A tam Gwiazda Polarna – dodaje pan Pik, robiąc to samo.

– Fajniutkie te małe światełka – mówi pani Cloche, zamyślona.

– Te małe światełka, proszę pani, to wielkie słońca, ale są tak daleko od nas, że wydają się nie większe niż główka od szpilki – objaśnia drogerzysta.

– O rety!

– A są nawet takie, co są tak daleko, że ich nie widać – dodaje kapral.

– To niby skąd wiadomo, że istnieją? – pyta pani Dominikowa.

– Widzi się je przez lunety, a im większa luneta, tym więcej widać. Astronomowie liczą je w miliony – odpowiada pan Pik, dobrze poinformowany w tej sprawie przez księdza Morue.

– Piękna rzecz nauka! – wykrzykuje Suzy.

– Ja chcę zostać astronomem! – wrzeszczy Clovis w nagłym przypływie entuzjazmu.

– Pieniądzy z tego nie ma – myśli na głos Dominik.

– Dawniej – mówi pani Pik, której udało się milczeć przez dziesięć minut – nie liczyło się tych wszystkich gwiazd i ludzie żyli szczęśliwie.

– To nie ma nic wspólnego – oświadcza Peter.

– No właśnie, po co komu ta astronomia? – pyta pani Cloche, ruszając nowym tropem.

– Absolutnie niepotrzebna – odpowiada jej Saturnin.

– Sami widzicie – triumfuje pani Pik.

– Dzięki niej zrozumiano, że Słońce nie kręci się wokół Ziemi, jak to piszą w Biblii – rzuca Peter pewien efektu.

Pani Pik, nie mając nadziei, że nawróci profesora białej magii, gorliwie zgarnia ostatnie nadziewane ciasteczka, jakie zostały na stole.

– Astronomia znajduje zastosowanie również w marynarce – dorzuca Temistokles.

– Przypominam sobie, że mój dziadek, który był kapitanem żeglugi wielkiej, znał imiona wszystkich gwiazd – powiada pan Pik.

– Wszystkie gwiazdy mają imiona? – zdumiewa się pani Cloche.

– Wszystkie.



– O rety!

Pani Cloche jest pod wrażeniem, otwiera torbę i wyciąga wielką kraciatą chustkę; używa jej bez ceremonii, po czym z powrotem umieszcza w swoim rydykule.

– Po co pani ten gołąb?

– Jaki gołąb?

– Ten, co go pani ma w torbie.

– Ja mam w torbie gołębia?

– Starczy spojrzeć.

Zagląda i z otwartej torby wylatuje gołąb, robi kilka kółek i przysiadła na ramie obrazka. Oklaski.

– To jeszcze nic – oświadcza Peter. – Dziecinada! Dziecinada! Dopiero teraz zaczniemy prawdziwy pokaz.

– Może by zająć po Ernestynę – proponuje Suzy.

– Dobry pomysł! Może jej lepiej!

– Nie lepiej jej – mówi ojciec Taupe, wyłaniając się z korytarza. – Wygląda na chorą.

– Co jej jest?

– Nie wiem.

Ojciec Taupe siada z bezradną miną.

– Trza doktora – rzuca.

Zaczyna się ruch. Suzy i pani Belhôtel idą do pokoju Ernestyny. Nic tam po mężczyznach. Co jej może być? Niestrawność? Migrena?

Pani Cloche zaczyna z niepokojem spoglądać na trzymaną w rękę cebulę; ogarnia ją lęk, a nawet strach. Korzystając z zamieszania, Florette łaskocze Clovisa, ale chłopak nie jest w nastroju do żartów. Podziela ciotczyną trwogę. Potem słyhać ciężkie kroki pani Dominikowej.

– Dominik! Dominik! Trza ślać po doktora!

Po wyjściu doktora weselni goście zasiedli w milczeniu dokoła stołu zbrukanego popiołem cygar i plamami wina. Resztki warzyw i mięsa, które wyskoczyły z talerzy jak oszaleli akrobaci, tkwiły skulone w małej kałuży sosu. Wśród resztek walały się obierki i pestki; długa rybia ość sterczała z płątka kwiatu, gdyż pośrodku całej tej degrengolady spokojnie wiał sobie bukiet. Z góry dobiegał dźwięk kroków Suzy kręcącej się po pokoju Ernestyny; był tam też ojciec Taupe i pani Dominikowa. Pozostali weselnicy tkwili w jadalni, otępiali i przejedzeni. Dzieciaki podszczypywały się mocno, ale po cichu. Pani Cloche, bardzo błada, skrobała po obrusie paznokciem wskazującego palca, jak to miała w zwyczaju; inni się nie ruszali. Camélia, pociągając nosem, stanęła w drzwiach, obrzuciła spojrzeniem milczące towarzystwo i znowu wtopiła się w mrok. Dwaj kelnerzy wypożyczeni z Restaurant des Alliés poszli sobie. Dominik od czasu do czasu pokasływał. Nagle zauważył nieobecność pani Pik.

– Gdzie się podziała pańska połowica? – zapytał Pika.

– Ursule? Gdzież ona jest? Pewnie na gorze. Nie wiem – odparł pan Pik, zapadając w drzemkę.

– Wydaje mi się, że wyszła – powiedziała pani Peterowa.

Na tym stanęło.

Potem, po kilku minutach, Peter wstał i krzyknął:

– To okropne siedzieć tak, nic nie robiąc, nic nie mogąc zrobić! Nic a nic.

Znowu usiadł, oczy miał wilgotne. Dominik zakasłał. Saturnin, wyprowadzony z równowagi tikiem siostry, odezwał się:

– Przestań tak skrobać, nie jesteś myszą.

Pani Cloche przestała; z każdą chwilą coraz bledsza myślała coraz intensywniej. Jej mięsisty nos pulsował, w oczach migotała rozpacz, wściekłość, nadzieja i złość.

Florette, uszczypnięta przez Clovisa nieco zbyt brutalnie, rozpląkała się. Pan Pik wziął ją na kolana i zaczął kołysać, bełkocząc: – Cicho, malutka, cichomal, cichomal, cichoma.

– Przestań pan – jęknął Dominik.

Drogerzysta się zamknął i znowu powędrował w sen. W chwilę później pani Dominikowa zeszła, nalała sobie duży kielich wina i wypłała jednym haustem.

– Gorzej z nią – powiedziała krótko i wróciła na górę.

Temistokles, napotkawszy na stole trochę mięszu chleba, zaczął lepić coś na kształt fallusa.

Rozległ się dzwonek. Wracał doktor. Wspiął się po schodach z szybkością suchego liścia gnanego wiatrem. Po kilku minutach zbiegł do wyjścia i zgarbiony zniknął w drzwiach. Zeszła pani Dominikowa.

– Co powiedział tym razem? – spytał Dominik.

– Że nic nie może zrobić.

– Nic nie może zrobić – powtórzył machinalnie Peter.

– Ale co z nią? – zapytała pani Cloche.

– Jakoś tak nazwał tę chorobę, że nie mogłam spamiętać – odparła pani Belhôtel. – Ona jest nieuleczalna, ta choroba, powiedział.

Zebranych przeszedł dreszcz.

– Nic jej nie uratuje? – spytał ktoś.

– Nie, doktor nic tu nie może, powiedział.

Wszyscy zamilkli; potem ktoś zapytał znowu:

– Długo to potrwa?

– Jakiś kwadrans, najwyżej dwadzieścia minut, powiedział. –

Wszyscy zamilkli; potem ktoś znowu zadał pytanie:

– Cierpi?

– Nie. To idzie łagodnie, ale zara zejdzie, powiedział.

– Dziwne – odezwał się ktoś w zamyśleniu.

Pani Cloche grzbietem dłoni rozgniotła muchę, która paskudziła na obrusie. Temistokles pstryknięciem wyprawił chlebowego fallusa za okno. Pani Dominikowa znowu nalała sobie kielich wina i poszła na górę dopilnować agonii.

– Straszne nieszczęście – mówi ktoś – umierać w takim wieku.

– Niestety, umiera się w każdym wieku – mówi pan Pik.

– Dobra z niej była dziewczyna, dobra dziewczyna – mówi Dominik, bardzo wzruszony.

– Straszne nieszczęście – mówi ktoś – umierać w takim wieku.

– I nie ma rady na te choroby.

– Nawet nie wiadomo, co to jest.

– Nawet nie wiadomo, jak się nazywa.

– Nie mogła spamiętać, co powiedział doktor.

– Straszne nieszczęście – mówi ktoś – umierać w takim wieku.

– Umierać to nieszczęście w każdym wieku – mówi inny.

– Ale taki młody, co jeszcze życia nie zaznał.

– Tak czy inaczej, nieszczęście, straszne nieszczęście.

– I nawet nie wiadomo, na co umiera.

– Doktor powiedział jakąś nazwę, ale nie znamy.

– I nic nie możemy zrobić, tylko tak czekać na koniec.

– Nieszczęście, straszne nieszczęście.

– Gdyby tak ojciec Taupe, to jeszcze by szło zrozumieć, ale Ernestyna...

– Po co za niego szła? Po co młodość ze starcem? Dlaczego?

– Dlaczego młody umiera, a stary nie? Dlaczego Ernestyna, a nie Taupe?

– Co to można wiedzieć? Co to można?

– Straszne nieszczęście – mówi ktoś – a jednak straszne nieszczęście umierać w takim wieku.

Potem znowu zamilkli. Nie płaczą, nie są przecież dziećmi. Kim zresztą jest Ernestyna? Ma podobno zniknąć. Leży tam na górze i wkrótce będzie jakby nigdy nic. Kim zresztą jest Ernestyna? „To moja siostra – odpowie jeden. – W ciągu dziesięciu lat widziałem ją zaledwie trzy razy”. „To moja siostra – odpowie również drugi. – W ciągu dziesięciu lat widziałem ją zaledwie dwa razy. My, dwaj bracia, jesteśmy w tym samym wieku, ona była całkiem mała; wyjechaliśmy, żeby zarobić na jakie takie życie; nie mieliśmy pojęcia, jak ona sobie ze wszystkim radzi. Na Nowy Rok wysyłaliśmy sobie kartki, i na urodziny. Kochaliśmy ją”. Kim zatem jest Ernestyna? „To młoda służąca, której zrobiłem dzieciaka – odpowie Dominik. – Ciężko pracowała, żadnej pracy się nie bała. Za dnia i w nocy chodziłem do jej pokoju. Tak jak do Germaine, do Camille, do Marguerite i do tej tam dziewczuchy, co miała jasne włosy. Umiała rozmawiać z klientami, nigdy słowa skargi. Dzieciaka nikt nigdy nie widział. Rzeka dobrze go ukryła. Bardzo lubiłem Ernestynę”.

Kim zatem jest Ernestyna? „To służąca Dominika”, odpowie Saturnin lub pan Pik. Kim zatem jest Ernestyna? „To moja szwagierka”, odpowie pani Peterowa. Kim jest Ernestyna? „To panna młoda”, odpowie Florette. Kim jest Ernestyna? „To moja współpracownica”, odpowie pani Cloche. Kim jest Ernestyna? I wszyscy myślą: To coś, co jest na górze i właśnie umiera. Ernestyna to nie ja. Ernestyna to kto inny, ktoś, kim się nie chce być, kogo nie chce się widzieć. Niektórzy może by i chcieli zobaczyć, jak to się odbywa. Zdaje się, nie cierpi. Ale czy mówi? Majaczy? Wie, że niedługo umrze? Bo my wiemy, że niedługo nie umrzemy. Teraz nie ma chyba więcej niż jakieś dziesięć minut. To niewiele. My mamy co najmniej całą noc i jutro, i pojutrze, całe dni. Wiele dni. A co na to wszystko ojciec Taupe? Co on sobie może myśleć? Bo to naprawdę dziwne, poślubić młodą kobietę, a ona umiera w dzień swojego wesela. Nie, czegoś podobnego nikt nigdy nie widział. Co sobie myśli taki ojciec Taupe? Okropnie smutne to wszystko, dajcie spokój.

Goście weselni zmieniają się w bezkształtną przelęknioną magmę. Niepokój rozmiękcza ich, zaciera kontury; są niczym roślinny klej. Gdyż trwoga nie jest wielka, taka raczej zwyczajna i nieco upokarzająca. Do krzyku przerażenia jeszcze daleko, przynajmniej na razie.

Na razie się nudzą. Zupełnie, można powiedzieć, jakby czekali na pociąg. Tylko że to nie oni wsiądą do tego pociągu. Tylko ta osoba na górze.

Jak się bliżej przyjrzeć, magma jest tylko pozorną. Można wyróżnić molekule. Dostrzec jednostki. Przestraszonego Dominika, smutnego Petera, Temistoklesa, któremu jest ciężko na sercu, panią Cloche, co się wewnętrznie gotuje, Florette, która śpi, pana Pik, który ucina sobie drzemkę, panią Peter, która coś sobie kombinuje, i panią Saturnin, bardzo poruszoną tragicznym wydarzeniem, i panią Pik, której nie ma.

– Słuchajcie – mówi Dominik – naprawdę nie wiadomo, gdzie jest pani Pik.

Nikt nie odpowiada, bo rodzina zainteresowanej drzemie, jak to wyżej powiedziano.

Lecz fakty wkrótce udzielą odpowiedzi właścicielowi bistra. Fakty lub raczej bieg zdarzeń. Gdyż rozlega się dzwonek i pociągająca (nosem) Camélia idzie otworzyć. Cztery obute stopy stukają po stopniach schodów, tłumiąc odgłos obcasów, bo w tym domu ktoś przecież kona. Pst! Pst! Cztery stopy wchodzą na pierwsze piętro, mijają drzwi do jadalni i idą dalej na górę.

– Mój Boże! – wykrzykuje Peter. – Ta kobiecina sprowadziła klechę!

\*

Ernestyna uprzejmym gestem zachęciła tłum, żeby wszedł do jej pokoju, usiadła w pozycji Sokratesa pijącego cykutę i wypowiedziała następujące słowa:

– Bardzo miło, pani Pik, że pani o mnie pamiętała, ale tego swojego księdza, wie pani, może sobie pani wsadzić gdzieś, bo wie pani, ja dobrze znam tego pani księdza, widziałam jego świństwa i wiem, do czego mu te wszystkie jego historie, i nie tylko tego tutaj, ale i tamtych, com ich widziała, małą dziewczynką będąc, którzy robili te swoje paskudztwa ze wszystkim, co im podeszło pod rękę, od chustki w kratę po małego ministranta. Tak więc, jeśli pani myśli, pani Pik, że ja się przejmę tymi pani wygłupami, to niech sobie pani lepiej wsadzi palec w oko po łokieć, a ten pani ksiądz niech sobie wsadzi co chce w spodnie, które chowa pod sutanną. W sumie to bardzo miło tak mnie uprzejmie zawiadomić, że niedługo umrę. Sama bym na to nie wpadła. Wie pani, pani Pik, znowu nie tak bardzo mi zależało na tym, żeby to wiedzieć, ale teraz, kiedy mi pani sprowadziła tego czarnego, to już wiem, co mnie czeka. To znaczy nie tak całkiem. Skoro jednak goście weselni przyszli tutaj posłuchać mojej gadki, powiem kilka słów co i jak. Nie żebym chciała was pouczać albo prawić wam kazania. Nie po to mnie zatrudnili, nie za to mi płacą, a potrafiłabym to zrobić tak samo dobrze jak ten tu na czarno, co się tak wykrzywia na to, co mówię. Więc, moi goście, nadstawcie słuchy, jak to się mówiło w wiosce, gdzie się urodziłam, a ja wam palną małą mówkę: tak czy inaczej, coś muszę przecież zrobić z czasem, który mi został, nie? Na początek wam powiem, że jestem pod pewnym wrażeniem tego, że niedługo zniknę. No bo nie bardzo rozumiem, jak to niby ma być. Dobrze wiem, że się beze mnie można obejść i to nikogo nie obejdzie i żyć się będzie dalej, mimo to nie bardzo mieści mi się w głowie taka przygoda. Za dziesięć minut albo za godzinę, dokładnie nie wiem...

– Najwyżej dziesięć minut – mówi pani Belhôtel.



– Dziękuję, pani Belhôtel. Postaram się skończyć w porę. Jak więc mówiłam, za dziesięć minut mam być skasowana, przekreślona, wymazana. To ci dopiero historia. Nie żebym wierzyła w nieśmiertelność duszy, jak to głosi ksiądz, albo w życie po życiu, jak mawia ta, co sprzedaje gazety, znacie ją, ta spirytystka. Ja w to nie wierzę. Dużo o tym myślałam. Wyobrażanie sobie, że się będzie takim samym bez oczu, bez ramion i bez nóg nie ma sensu. Bo mnie doszło, że jest się nie tylko tym cichym głosem, który słyszysz w głowie, ale całym ciałem, które czujesz, jak żyje, i tym, co z nim możesz robić. Jak nie mam ciała, to jak mogę mówić, że ja to ja? Więc żeby wrócić do tego, co przed chwilą mówiłam, że rusza mnie to, że zniknę, ale nie dlatego, że myślę o życiu po życiu albo duszy w niebie albo w piekle czy innych takich cudach. Mówię o tym, można by powiedzieć, z góry. Kiedy znika ktoś inny, też jest dziwnie. Ale ja. To dopiero niesamowite. Drzewo płonie, zostaje dym i popiół, ale drzewa już ni ma. Zupełnie jak ze mną. Zostają jakieś resztki, ale z tego cichego głosu, co gada człowiekowi w głowie, kiedy jest sam, nie zostaje nic. Mój jak raz przestanie gadać, już się nigdzie indziej nie odezwie. To właśnie jest dziwne. Nie to, żeby mnie to jakoś specjalnie złościło. Obejdą się beze mnie. Jestem pewna. Ja też się bez siebie obejdem. I wcale nie chcę tu robić jakiejś spirytualistycznej propagandy, żeby tak powiedzieć wprost. Są jednak rzeczy, o których nie można nie myśleć. Z drugiej strony równie głupio byłoby wierzyć, że na ziemi jest się po coś, ale też i nie mogę przestać sobie mówić: No dobra, teraz umieram, ale co ja tu niby, do cholery, robiłam? Niby myłam kieliszki i splukiwałam talerze, to owszem; niby sypiałam z facetami, na ogół niedomytymi, tak mówię dla nauki; niby miałam dzieciaka, którego zara zlikwidowano; jako dzieciak brałam w skórę, potem kąpałam się w brudnej wodzie. I niby wyszłam za ojca Taupe'a, byłabym zapomniiała, niby wyszłam za ojca Taupe'a. Muszę powiedzieć, że jeśli tylko tyle, do cholery, robiłam, to nie bardzo jest się czym chwalić. A co jeszcze miałabym zrobić? To zupełnie inna historia.

Jeszcze do tego wróć. Na razie wygłaszam mądrości. No ale trzeba mieć kielbkie we łbie, żeby sobie stawiać takie pytania, jak ja sobie stawiam, nie? Co ja, do cholery, robiłam tutaj z wami? Zmywałam naczynia. I co tu więcej główkować? A wy, goście weselni, co wy tu, do cholery, robicie?

– Słuchamy ciebie – odparli chórem.

– A ja, co ja, do cholery, robię?

– Mówisz – odparli znowu.

– A co mówię?

– Mówisz rzeczy ogólne – odpowiedzieli znowu jednym głosem.

– Chętnie bym wam dorzuciła kilka szczegółów, ale, rozumiecie, nie bardzo mogę. Oczywiście rzecz jest bardzo prosta i wszyscy to wiedzą: żona Taupe’a umrze, bo prędzej czy później to się w końcu zdarza i żyjemy dlatego, bo mamy umrzeć. Co nie? Jest też inna rzecz bardzo prosta. Skoro umieram i nic nie można zrobić, bo tak już jest, no to nie warto wysilać sobie mózgownicy w sprawie przeznaczenia tego cichego głosu, co mi gada w głowie, kiedy jestem sama, czy główkować, że niby po co się pałętałam po tej planecie dwadzieścia jeden lat bez przerwy. Jednym słowem, biorę i znikam, jak tylu innych przede mną i jeszcze więcej tych, co to zrobią po mnie. Ot i wszystko. Ale wydaje mi się, że już gadam z pięć minut.

– Nawet pięć minut z hakiem – mówi uprzejmie Saturnin.

– No, to zasuwam szybciej.

– Chwileczkę – mówi Saturnin.

– Bardzo proszę – mówi Ernestyna.

– Żyjemy, bo umieramy, tak powiedziałaś, co nie? – zapytał Saturnin.

– Tak, tak powiedziałam.

– Równie dobrze mogłaś powiedzieć odwrotnie – zauważył.

– Zgoda – potwierdziła Ernestyna.

– To tyle – powiedział Saturnin. – To właśnie chciałem wiedzieć.

– Widzicie, jaka ze mnie dzielna dziewczyna. W chwili kiedy miałam stać się bogata, umieram i u...

– Kiedy miałaś stać się bogata! – krzyknęła pani Pik ze zdumieniem.

– Zaczyna majaczyć – pośpiesznie wtrąciła pani Cloche.

– Kiedy miała stać się bogata! – krzyknął pan Pik, oszołomiony.

– Ona już nie wie, co mówi – zapewniła pani Cloche.

– Pozwólcie jej mówić – powiedział Peter.

– Pewnie. Trzeba pozwolić jej mówić – przytaknął Temistokles.

– Ma tylko pięć minut życia, a wy jej przeszkadzacie mówić, to okropnie głupie – powiedziała pani Belhôtel.

– No to niech na początek pani zamilknie – powiedziała pani Pik.

– Zamilknę, jak mi się zachce, szanowna pani – odparła pani Belhôtel.

– Spokojnie, spokojnie, nie będziecie się chyba teraz kłócić, moje panie – powiedział Dominik.

– Ktoś musi najpierw przestać gadać – powiedziała pani Saturninowa.

– Zacznijmy od pani – powiedziała pani Pik.

– A tu ta dziewczyna umiera bez świętych sakramentów! – wykrzyknął duchowny, który się nazywał ksiądz Leslaines.

– No, jak ten się wmiesza, to nigdy nie skończy! – zawołał Peter.

– Cicho być! – krzyknął Temistokles.

– Po co tyle hałasu – szepnął ojciec Taupe.

– Och, wiecie, dobra ze mnie dziewczyna – rzekła Ernestyna. – Jeśli nudzi was moje gadanie, to zamilknę.

I zamilkła.

Wzdłuż rzeki, w której gniły stare kapelusze i porzucone kalosze, na brzegu rzeki, gdzie wędki rybaków na próżno próbowały przynęcić nieistniejące kielbie, z biegiem rzeki, po której od czasu do czasu sunęła barka wypełniona piaskiem i ozdobiona kuflem czy doniczką, wzdłuż rzeki panowała ciemność. Gdzie indziej też panowała ciemność, ale o to mniejsza, bo nad rzeką ciemność gęstniała. W ciemności tej podążyły dwie istoty. Były to istoty ludzkie, a dokładniej były to osobniki krótkogłowe; jeden żeński, drugi męski, należały do tej samej rodziny, miały tę samą matkę i niewątpliwie tego samego ojca, a nie nosiły tego samego nazwiska tylko dlatego, że francuskie prawo przyznaje zamężnej kobiecie nazwisko małżonka. Otóż siostra, wydawszy się akuratnie za imię Cloche'a, zachowała sobie jego nazwisko, mimo że równie akuratnie owdowiała. Brat nigdy nie porzucił nazwiska Belhôtel, czym bynajmniej nie przysporzył sobie dumy. Lecz bratem tym mógłby równie dobrze być brat drugi, bo było dwóch braci, których rozróżniano dzięki sprytnemu podstępowi. Ich ojciec bowiem, słusznie przewidując, że jedna nazwa mogłaby skomplikować żywot jego dwóm potomkom płci męskiej, dorzucił im po nazwie dodatkowej: jednego nazwał Dominik, drugiego Saturnin. W ten sposób można było odróżnić jednego od drugiego. Teraz idzie o tego pierwszego.

Pani Cloche i Dominik Belhôtel szli sobie zatem po ciemku wzdłuż smolistej rzeki i oprócz tego dzielili się myślami i wykrzyknikami. Słowem, wzdłuż rzeki jak z krepy pani Cloche i Dominik Belhôtel, spowici w ciemność niczym trufle w czekoladowy krem, rozprawiali, korzystając z gęstego mroku.

– Głupia dziwka o mało się nie wygadała – mówiło jedno.

– Świństwo, po prostu, teraz trzeba wszystko odkręcać – mówiło drugie.

– Załatwili nas.

– Ją załatwili.

– Załatwią nas.

– Nie załatwią.

– Co robić?

– Patrzaj na te wode, jaka spokojna i pewna, słowa nie piśnie. Jak się stary znajdzie na dnie, to po nim. Że niby sam się zabił z nieszczęśliwej miłości.

– Szybka jesteś – szepnął brat.

– Ta idiotka, Pik, rozgada wszystkim dokoła. Ją też by trzeba przytopić. I do piachu!

Przez chwilę szli w milczeniu, przemieszczając się w mroku wzdłuż czarnej jak pasta do butów rzeki.

– Myślisz, że to Oni ją załatwili? – zapytał brat.

– Trzeba być ślepym – odparła siostra.

Siostra dodała:

– Biedna Ernestyna! Nie miała farta.

– A my zostaliśmy na lodzie.

– Ugotowani, chyba że stary zejdzie. Proste.

– Nie takie znowu. Potem trzeba będzie znaleźć jego skrytkę.

– Jest za drzwiami.

– A jak nie znajdziemy?

– Coś mi się zdaje, że zaczynasz się pietrać, braciszku.

– Łatwo powiedzieć. Wciągasz mnie w jakieś mętne sprawy. Mnie pieniądze starego niepotrzebne. Mam swoje. Za dziesięć lat uzbieram majątek. Haruję i potrafię odłożyć. Jak szło o numer ze ślubem, zgoda. Małą przysługę mogłem ci wyświadczyć. Ale przytopić starego, żeby może z tego mieć trochę forsiaków, bardzo dziękuję. Zresztą tak jak Ernestyna, mam stracha przed tamtymi. Oni są silniejsi od nas. Właśnie pokazali. Stokrotne dzięki! Cmentarz albo gilotyna, tyle mi obiecujesz.

– Gadasz jak jaki subiekt albo jakiś aktorzyzna – mówi mu pani Cloche. – Wygląd może i masz, ale w środku ciepłe kluchy. Niby chłop na schwał, a taki niedojda. Szlag cię trafi, jak mnie zobaczysz w rollsie, jak se jade z chopaczkami, a ty będziesz gnął w tym swoim pieprzniku z trzema syfilityczkami i jedną Murzynką na stanie. Zupełnie jak Ernestyna. Jakby mnie od razu posłuchała, nie byłaby tam, gdzie jest. Tera mówisz nie, a za tydzień ci się odmieni. Ale szczęścia z tego miał nie będziesz. Dosyć mielenia ozorem. Wracamy.

Oboje zawrócili. Księżyc z trudem torował sobie drogę między wodami, rzadkie gwiazdy gaśły w ciemnej od błota rzece. Od czasu do czasu gwizdały pociągi, a nieraz wyły psy. Zapiał nawet kogut; świt jednak nie nadszedł. Za chwiejnymi płotami spokojnie spały warzywne ogrody, obok sałat i pomidorów drzemały cebule. Od strony Paryża biła łuna świateł, bo to wielkie miasto, pełne latarni i neonów. Z drugiej strony rzeki, w oddali dobrze oświetlona fabryka; po stronie Produktów Chemicznych i Linoleum kilka świateł świadczyło o zmniejszonej aktywności. Chwilami wszystko zapadało w przepaść ciszy, wyciągane stamtąd przez gwizd pociągu, szczekanie psa lub pianie koguta albo warkot samochodu; potem domy, chaty, ogródki i fabryki pogrążały się znowu w oleistej ciszy.

W samym Błagny życie toczyło się tylko w jednym domu i ku niemu kierowało się rodzeństwo Belhôtélów. Kiedy się znaleźli na wysokości merostwa, Sydonia powiedziała:

- Jak jesteś tak dobrze z glinami, załatw, żeby w to nie wtykali nosa.
- Tyle jeszcze mogę dla ciebie zrobić – odpowiedział brat.

Po czym dorzucił:

- A może być tak doniosła na tamtych?
- Nic głupszego nie przychodzi ci do głowy? Ja cie tylko prosze, żeby nikt nie wtykał nosa. To sprawa między mną a tamtymi. Rozumiesz?
- Dobra – odpowiedział Dominik.

Dochodzili do kawiarni, już było widać światła, więc powiedziała:

– Przykro ci?

– Niby dlaczego? – zapytał.

Wtedy przypomniał sobie młode zamordowane ciało i rozpląkał się, bo mimo wszystko bardzo lubił Ernestynę. Pani Cloche zwróciła głowę, żeby popatrzeć na swego brata niedojdę, lecz jej spojrzenie nie wyrażało nic szczególnego, ani nagany, ani przyzwolenia.

\*

Wczesnym rankiem znowu zaczęły wozić pasażerów pociągi, wilgotne i zimne, o szybach zamglonych białawym nalotem, jak oczy zaciągnięte bielmem. Do jednego z nich wsiadły resztki weselników, usta mieli spuchnięte, mózgi miękkie niczym puch. Saturnin i jego pani wracali do swojej portierni; nieoczekiwany angaż wzywał Petera i jego połowicę na walońskie ziemie; dyscyplina, która jest podstawą armii, nieubłaganie naznaczała Temistoklesowi powrót do koszar, a pani Cloche była umówiona na dziewiątą w sprawie pewnego płodu. Niewielka grupka, sina jeszcze po białej nocy, zasiadła na twardych ławkach i pozwoliła się unosić ku miastu bez słowa pożegnania i protestu. Potem, kiedy lokomotywa z potężnym gwizdem od kilku już minut uwoziła ich po szynach gładkich jak łysa czaszka, jedna z obecnych osób – nie była to pani Cloche – spytała: Dlaczego, u licha, ona powiedziała: W chwili kiedy miałam stać się bogata? – wyrażając w ten sposób ogólny niepokój niewtajemniczonych wobec tajemnicy. Jako że w Blagny plotka rozchodziła się już z ust do warg, zaopatrzona w owo trwożliwe pytanie, na które można było odpowiedzieć, jedynie odwołując się do najbardziej nieprawdopodobnych romansów i niedorzecznych zwrotów akcji. I tak umysł pani Pik skręcał się w procesie myślenia jak ścierka wyżymana z wody; Peter, jego żona i brat nie wiedzieli, co myśleć o tym nieoczekiwanym bogactwie; jedynie Saturnin, bardziej przenikliwy, zaczynał dostrzegać ciemne machinacje swojej siostry abortystki.

Nie bez potknięć odtwarzał przebieg intrygi. Ale nie odpowiedział nic. Pani Cloche chrząknęła i wszyscy pogrążyli się w myślach i z powrotem nawiązali kontakt ze światem dopiero na wezwanie człowieka, którego czapka obnosiła galon i który szorstkim głosem żądał kawałków kartonu do przedziurkowania.

Potem się rozstali. Saturnin i jego żona znaleźli i wypowiedzieli słowa kondolencji. Dwaj bracia, wzruszeni do łez na wspomnienie zmarłej siostry, zapomnieli o kłótniach. Bardzo mocno uścisnęli sobie dłonie i natychmiast odwrócili się plecami, by wyruszyć osobno ku innym klimatom, obaj z ciężkim sercem i gruczołem łzowym w gotowości. Obaj znikają, zacierają się, już ich więcej nie zobaczymy, ni Petera Toma Anachorety, subtelnego magika i jego drobnej, szczupłutkiej pani, ni postawnego kaprała, dumy swych przełożonych i postrachu podwładnych. Zagłębiają się każdy w swoim losie niczym krewetka w piasku, oddalają się, znaczy się, umierają.

Brat i siostra zostają sami ze sobą i ze szwagierką. Szwagierka ma już tego dość; i wesela, i nieboszczki, i matki Cloche. Ma tego potąd. Ma tego po uszy. Przelewa jej się. Miarka się przebrała. Póty dzban. Szczypie znacząco małżonka w muskularne ramię, a on odkłada na potem wyjaśnienia, o które zamierza prosić Sydonię. Do ostatecznego rozwiązania weseliska dochodzi na chodniku przed Dworcem Północnym. Pan i pani Saturninowa, zawód dozorca, wsiadają do autobusu. Pani Cloche zostaje na miejscu, sama i opuszczona.



W końcu się obudzili. Ruch uliczny, to właściwe słowo, zaczyna się nasilać. Aut coraz więcej. Wyjeżdżają zewsząd. Tyle ich, że nie można zliczyć. Całe mnóstwo. Jeszcze gorzej z pieszymi. Miotają się na wszystkie strony, deptają sobie po paluchach. Bo strasznie się spieszą. Lecą do pracy, a tam z punktualnością się nie żartuje. Spóźnialskiemu ciach po pensji, jak mówi przysłowie. Pani Cloche, wrośnięta podeszwami w ziemię, pozwala, by fala pracusiów obmywała ją z prawa i z lewa. Pewne wspomnienie skupia jej uwagę i sprawia, że jest twardsza niż skała, na której załamują się fale wyzwisk. Tak, przypomina sobie, to tutaj przed trzema miesiącami, jak ten czas leci, autobus przejechał pewnego mężczyznę, a nazajutrz jeden bandyta o mało nie rozjechał drugiego bandyty. A tutaj, w tej kawiarni, jest ohydny rumianek i bezczelny kelner. Zapomniała o tym zdumiewającym splocie wydarzeń. Bez reszty pochłonął ją skarb starego i też zaraz do niego powróciła, porzucając kopalnię wspomnień.

Język sztywnieje jej od goryczy. Przed bratem trzymała fason. Teraz, wśród tego zaaferowanego tłumu, z dala od trupa otrutej dziewczyny, poczuła się zwyciężona. Tamci triumfowali. Skarb się wymykał. Nie widziała żadnego sposobu odzyskania go. Koniec z długimi obfitymi biesiadami, jakimi miała sobie ubogacić starość; koniec z uroczymi młodzieńcami mającymi ją obtańcowywać w nocnych klubach; koniec z podróżami, autem i wydekoltowanymi toaletami, ochtak, ochtak, ochtak, i z małymi luksusowymi pieskami, potwornie brzydkimi i drogimi, i z prawdziwą biżuterią. Trzeba wracać do eksterminacji nienarodzonych i marnej wegetacji w nędznej zatęchłej dziurze. Zemdliło ją z obrzydzenia. Odkryć skarb, prawdziwy, i dać go sobie sprzątnąć sprzed nosa, toż to obrzydliwość. Pobladła z wściekłości. Pewien pan, który przyszedł dwie minuty za wcześniej, pomyślał, patrząc na nią, że może cierpi na chorobę morską, choć to mało prawdopodobne.

Dobrze jeszcze pamiętała: przedwczoraj wędrowała wolniutko ulicą Saint-Honoré, obiecując sobie to i tamto, i jeszcze to, gdyż sądziła, że nic nie może wyczerpać zasobów majątnego skąpca, jakim był tandeciarz z Blagny. I nic nie było w stanie zaspokoić apetytów położnej w stanie spoczynku. Weźmie sobie lekcje tańca; zatrudni energetycznego faceta do masażu tyłka. Nauczy się pływać; prowadzić samochód; grać w bridża i w pocałuj mnie w pompę, ostatni krzyk mody. Nawiąże bliski kontakt z kosztowną męskością eleganckich próżniaków. Jednym słowem, bez dwóch zdań, użyje sobie po całości, a biesiady będą przechodziły w wesołe kolacyjki, niestrawność w nieprzytomne chłanie.

Pani Cloche tkwiła nieruchomo na chodniku naprzeciwko Dworca Północnego, samotna niczym skała pośród rwącego potoku, wpatrzona w kawałki swego ideału roztrzaskanego przez Tamtych.

Nowa fala mieszkańców przedmieść podmyła ją w końcu, a w fali tej znajdował się pod postacią molekuły Étienne Marcel zdążający do swojego banku, żeby w pocie czoła zarabiać na chleb. Pani Cloche go nie spostrzegła. Uniosła ją kolejna fala mieszkańców przedmieść i zniknęła wraz z nią w zakamarkach miasta.

\*

*Jest sposób śmiania się i jest sposób płakania, szepnął Cygan o zielonych oczach. Co chcecie usłyszeć więcej? Jaką ponurą historię? Moją czy moich przodków? Ongiś płonęły stopy, a na nich moi przodkowie lub przyjaciele. Bo zawsze mieliśmy przyjaciół. Lecz z każdym dniem ich liczba maleje. Tak samo jak nas, zanikamy. Bez trudu zgadniecie, że wszystko, co wam mówię o mych przodkach, to niepotwierdzone anegdoty, a ja sam odgrywam komedię. Oczywiście mam zielone oczy i tygodniowy zarost, ale nie należę do tego gatunku co Cyganie; to tylko pozory. Pozory rozpaczliwe. Towarzyszę wymierającym rasom w drodze nieuchronnego zanikania. Tasmańczy. Dodosy. Epornicy. I Ci. I Tamci. Wybaczcie, jeśli nieraz zawodzi mnie erudycja. Szczerze mówiąc, to wielka przyjemność uchodzić za kogoś ważnego we własnych oczach. Być człowiekiem, co po ziemi się włóczy i wszystkie swe włókna sekretami tuczy. Być człowiekiem, co poci się ze strachu przed swym własnym cieniem, który szarzeje i blednie. Albo ludzie nieraz spotkani w prowincjonalnych hotelach. Nie mają żadnego powodu, żeby tam być. Nie są komiwojażerami ani złodziejami. Nie przyjechali na ślub ani na pogrzeb. Nie ma żadnego powodu, aby tam byli, chyba że ciężkie jarzmo nieszczęścia i nudy. Nieszczęście bywa ogromne, a nuda przepastna. Chodzi o sekrety dotyczące się życia ludów i narodów; jałowe wstrząsy ściskające serca tych nieszczęśliwów; skończone niepowodzeniem próby; budzące lęk wspomnienia; powtarzające się upadki. Należę do tego właśnie gatunku, jak przed chwilą uprzedziłem. Towarzyszę tej rasie pośród ludów Zachodu, przepowiadając przyszłość. Wam jej nie przepowiem, bo w tym względzie wolę w waszej obecności nie zabierać głosu. Tak jak przed chwilą powiedziałem, są zjawy, które znoszą ciężkie milczenie i ta cisza je zabija; trupioblade chodzą w tę i z powrotem, jakby nigdy nic. Ci, co sekretów nie mają, są jednak wobec nich podejrzliwi. Ale oczywiście mówię to tak tylko, bo jak powszechnie wiadomo, wszyscy mają sekrety. I tak jeden ukrywa ziarno jakiejś ułomności, inny kłopot z krewniakiem, trzeci jakąś krzywdę, którą mu wyrządzono i nie przestaje go dręczyć. Oczywiście nikt nie ma sekretów, na jakie zasłużył, bo istnieją wymyślone idiotyzmy. Jest miłość zawiedziona, miłość podeptana, miłość beznadziejna, miłość jałowa. Są zawiedzione ambicje, beznadziejne chęci, podeptana duma, jałowe uczucia. Tacy ludzie trzymają fason, chodzą wyprostowani, ale ugodzeni są śmiertelnie, a sekret draży ich i przeżera na śmierć. Jad pająka mniej truje niż sekretna udreka.*

*Ja również mam swój sekret, swoje sekrety. Mam ich wiele tysięcy. Jeden dziennie. Od urodzenia. Oczywiście trochę przesadzam. Ale powiedzmy, odkąd skończyłem dwa lata, sekret co drugi dzień. Rozumiecie od razu, że mówię o takim zwykłym sekrecie, o takim całkiem małym sekrecie, o którym od biedy można nawet mówić. O sekrecie na użytek konfesjonału, kiedy jeszcze takowe były. Słowem, o całkiem lichym sekrecie. A chodzi o sekrety wielkie. Oczywiście jeden doskonale wystarczy, żeby człowieka powalić na ziemię. Jak widzicie, jestem na ziemi. Zatem mam wielki sekret. Mimo że usiłuję wam to przekazać, jestem zmuszony wyznać, że nie potrafię określić natury tegoż. Całkowita niemoc. Ma to pewien związek z upadkiem ras i rozpadem narodów. Znałem pewną osobistość posiadającą sekret, co się zowie; spotkałem ją w hotelu w Avignonie, w hotelu osobliwie ponurym, w hotelu dla ludzi naszego rodzaju. Od razu się zorientowałem, że leży mu coś na sercu i nie może tego powiedzieć. Nie chciałem pytać, bo wiedziałem, że to nic nie da. Osobnik wyglądał wytwornie – bardzo elegancki, parasol, melonik, dystyngowany w każdym calu. Mało czytał, robił długie przechadzki po mieście, zaglądał za ogrodzenia. No tak! Jak wam przed chwilą mówiłem, osoba ta miała solidny sekret, który w końcu odkryłem. Była martwa. Proszę ja was. A istnieją jeszcze poważniejsze sekrety. Obawiam się, że mój jest bardziej przerażający. Nie bójcie się, nie powiem wam. Nie Powiem Wam. Nie powiem wam. Domyślcie się, że nie jestem ogrem ani wampirem, ani smokiem. To coś o wiele prostszego. Nie wiem, czy macie świadomość, że są ludzie, co potwornie cierpią. Co nie przeszkadza deptać im po nogach w metrze. Ale może nie bardzo nadążacie za moją myślą. Nieważne. Pomyślcie o tym później, kiedy zniknę za zakrętem drogi wraz z moimi żonami, synami, końmi i psami. Słońce się chyli ku zachodowi. Czas na mnie. Etap nocy się kończy. Żegnajcie więc i zachowajcie wasze sekrety, tak jak ja zachowuję swoje. Moi synowie mnie wołają, moje konie rżą. Żegnajcie.*

*Zegar na kominku wybił jedenastą, jedenasta godzina dobra na spanie. Zdjął maskę Cygana i rozplynęła się w jego dłoniach jak chustka w rękach magika. Potem wziął obrazek, przylepił sobie do twarzy i zaczął mówić. Ten umarły to ja. Widzicie, jaki jestem dystyngowany. Jestem dokładnie taki, jak mnie opisał ten Cygan, prawda? Parasol, melonik, wytworne gesty. Pod każdym względem odpowiadam portretowi, jaki wam przedstawił. Mało czytam, robię długie przechadzki po mieście. I zaglądam za ogrodzenia. To prawda. Przyznaję, jestem ciekawski; grzech to niewielki, co nie? Ale mam poważny sekret. Gdyby go wam nie odkryto, nigdy bym go nie wyznał. Jestem martwy. Dokładniej jestem zmarłym. Ale oczywiście nikt się nie domyśla; w przeciwnym razie hotelarze odmówiliby mi pokoju, a ludzie na ulicy mówiliby: Ale on cuchnie, czuć zaduch i zgniliznę. Przyznacie, że bardzo nieprzyjemnie jest słyszeć podobne uwagi. Nie znoszę, jak się mówi na mój temat za moimi plecami. Denerwuje mnie to. Bo mimo że nie żyję, nadal jestem bardzo wrażliwy.*

*Zerwał z obrzydzeniem nową maskę, zmiął i cisnął do klozetu. A to truposz! Do tego niezbyt interesujący. Trzeba by go zagrzebać w ziemi i dobrze podlać; może by z niego wyrosła dorodna wierzba lub krzaczek pomidorów. Jeśli nie miłe, przynajmniej pożyteczne. Dajmy już temu spokój. Ziewnął, przez chwilę myślał o kostiumie profesora białej magii, potem zdecydował się na wygląd zwyczajny. Piotr znowu ziewnął, nakręcił zegarek, dyskretnie wytarł nos, wyciągnął się w pościeli i szybko zasnął.*

Narcense wracał do domu z rękami w kieszeniach.

– No, jest pan z powrotem! – powiedział Saturnin.

– Zrobiłem sobie mały urlop.

– Cieszę się, że znowu pana widzę, panie Narcense – powiedział Saturnin.

– Są jakieś listy?

– Nic.

– Wiedziałem.

– Jeśli ma pan trochę czasu, żeby mnie wysłuchać – rzekł Saturnin – opowiedziałbym panu ciekawe rzeczy.

– W związku z czym?

– W związku z moją siostrą – rzekł Saturnin – i z panem Marcelem i Piotrem Wielkim.

– W takim razie słucham uważnie.

– Dobrze, zaraz wszystko opowiem. Ale wejdzmy, chciałbym, żeby to zostało między nami.

Zasiedli w półmroku portierni.

Saturnin opowiedział więc o ślubie i śmierci Ernestyny i powtórzył jej ostatnie słowa: „W chwili kiedy miałam stać się bogata”.

– Teraz, panie Narcense – powiedział Saturnin – pan rozumie, że rozumiem wszystko. Moja siostra Sydonia odkryła, nie wiem jak, że ojciec Taupe jest bogaty i skąpy, i kazała mu poślubić Ernestynę, żeby zgarnąć jego majątek. Co do pana Marcela i pana Wielkiego, ona podejrzewa, że chcą w jakiś sposób okraść starego. Jak ona się tego wszystkiego dowiedziała? Oto pytanie. Ale fakty mówią same za siebie, nie? Jest jeszcze inna podejrzana sprawa: śmierć Ernestyny. Nie wydaje się to panu dziwne? W każdym razie prawdą jest jedno: że Taupe ukrywa pieniądze, i drugie równie pewne: że Sydonia chce je zwinąć. Co do Marcela i Wielkiego, to myśli pan, że oni nie chcą położyć łapy na tej forsie? Bo niby jak wytłumaczyć te ich spacerunki do Blagny? Co oni mają do roboty w Blagny? No więc?

Ponieważ Narcense nie odpowiadał, Saturnin podjął:

– Uważa pan, że pan Marcel jest zdolny popełnić zbrodnię?

Narcense się uśmiechnął.

– Byłbym pod wrażeniem.

Saturnin podrapał się w głowę.

– I co pan o tym myśli?

– Nic takiego. Ale à propos, wie pan, skąd wracam?

– Z X.? – zapytał Saturnin.

– Ależ nie. Spędziłem właśnie trzy tygodnie u brata Piotra, w Z.

– Aha – powiedział Saturnin.

– Często widywałem Piotra. To uroczy młody człowiek, który chciałby wyświadczyć mi przysługę. Ale tylko wtedy, kiedy go to bawi.

– Aha – powtórzył Saturnin.

– Co by pan zrobił, jakby pan był bogaty?

– Och – powiedział – musiałbym się zastanowić.

– Ale chyba ma pan jakiś pomysł?

– Oczywiście – rzekł Saturnin. – Myślę, że trochę bym podróżował.

– Dobrze.

– I jeszcze – rzekł Saturnin – wydałbym swoje dzieła zebrane.

– Dobrze.

– I kupiłbym sobie fajkę z morskiej piany – rzekł Saturnin.

– Dobrze.

– Na razie wszystko – rzekł Saturnin.

– Myśli pan, że warto się ruszyć?

– Jak to? – zapytał Saturnin.

– Czy bardzo pana korci ta fajka z Morsepamy, podróże dokoła świata i te dzieła zebrane?

– Robi mi to – powiedział Saturnin.

– I byłby pan gotów trochę się ruszyć?

– Och – powiedział Saturnin – już widzę, o co panu chodzi.

– Znudziło mi się zdychać z głodu.

Narcense wybuchnął śmiechem.

– To byłoby zabawniejsze, niż być konsjerżem albo saksofonistą. A do tego mógłbym panu oddać pieniądze, które jestem winien.

Obaj pogrążyli się w poszczególnych rozmyślaniach. Jeden wyrolowałby siostrę, drugi fałszywego przyjaciela.

– W gruncie rzeczy to tylko zwykła kradzież – powiedział Saturnin.

– Można by się posunąć nawet do eutanazji.

– Jak to? – zapytał Saturnin.

– Mówię, że można by się posunąć do morderstwa. Krew starców nie plami tak bardzo.

– Uf – powiedział Saturnin.

I obaj wyruszyli na nowy szlak intelektu, zagłębiając się i radując domeną rozległą i nieoczekiwaną, prawdziwą ziemią dziewiczą oświetloną migotliwie słońcami nadziei. (Kurde).

– Jest Sydonia. I Marcel, i Piotr Wielki. No i my. Tak to wygląda, nie? – powiedział Saturnin.

– Dokładnie.

– Cel: skarb starego Taupe’a. Metody: wszystkie.

– W rzeczy samej.



- Ale nie wiemy, od czego zacząć – powiedział Saturnin.
- Nie, nie wiemy.
- Nie wiemy nawet, gdzie znajduje się skarb – mówi Saturnin.
- Nie, nic nie wiemy.
- Znaczy się, nie możemy nic zrobić.
- Otóż to.

Narcense wstał.

- W takim razie dobranoc, Saturninie.

– Dobranoc, panie Narcense – powiedział Saturnin. – Myślał pan o tym, co panu wtedy powiedziałem?

– Tak. Otóż nadal nęci mnie wielość, a stawanie się nie przestaje nękać.

– Okropna sprzeczność – szepnął konsjerż.

– Dobranoc.

I Narcense wzniosł się do góry windą, zastanawiając się nad nadchodzącą przyszłością, po czym, z lekkim niesmakiem, zauważył, że zapomniał powiedzieć Saturninowi, że Tamci dwaj zostali poinformowani – przez niego osobiście – jakie podejrzenia żywi wobec nich pani Cloche. Lecz w gruncie rzeczy było to bez znaczenia.

\*

Étienne gratulował sobie ogromnego postępu w sferze intelektualnej. Wbity w róg wagonu przez grubasa, któremu cuchnęło z gęby, zagłębił się w rozważaniach dotyczących konieczności wstępnego zwątpienia, które winno poprzedzać wszelkie filozofowanie.

Wszystko, co widzimy, jest pozorem. I tak, na przykład, prawy but faceta siedzącego naprzeciwko mnie. Oczywiście zdaje się obuwać jego nogę; zdaje się. Ale może ma też inne znaczenie. Zasadniczo może to być pojemnik; w obcasie jest ukryta kokaina. Lub też może to być instrument muzyczny do wykonywania jakiegoś numeru w music-hallu; może też być jadalny, może ten pan jest zapobiegliwy i w obawie, że zostanie bez środków, sporządził sobie jadalne kajaki. I wiele innych rzeczy, a z ludźmi jest jeszcze gorzej niż z rzeczami; i ze światem, i w ogóle ze wszystkim, co się dzieje. Myślisz, że dzieje się to, a dzieje się co innego. Myślisz, że robisz to, a robisz tamto. Wszelkie działanie to rozczarowanie, wszelka myśl zakłada błąd. Wszystkiemu winna naiwność: bierzesz pozór za dobrą monetę, a trzeba być podejrzliwym.

Étienne uśmiechnął się do siebie. Spojrzał na sąsiadów i ujrzał same gazety; tylko grubas, najwyraźniej niewyspany, drzemał, posapując cuchnąco. Étienne uśmiechnął się. Za oknem widział przesuwane się maleńkie domki Coquette-sur-Seine, potem pojawiły się rozległe ogrody warzywne zapowiadające Blagny. Następne były puste tereny, potem fabryka produktów chemicznych, potem FRYTKI. Étienne odwrócił wzrok i utkwił go w punkcie na wysokości kolana, gdzie miał zacerowane spodnie.

Zatem pani Cloche wyobraża sobie, że jestem łajdakiem. Bardzo śmieszne. Przecież zupełnie na kogoś takiego nie wyglądam. O cholera.

Étienne pobladł. Poczł lekkie ukłucie w sercu. Dwie lub trzy gazety zwinęły się i gdyby kogoś to ciekawiło, mógłby zobaczyć twarze ich właścicieli. Ale Étienne zupełnie nie miał do tego głowy. Gdyż właśnie pobladł.

Zatem pani Cloche miałyby rację. Ona się nie zadowala pozorami. Wyglądam jak urzędnik bankowy, uczciwy, akuratny, żonaty, ojczym rodziny i tak dalej; słowem, jak prawy but faceta z naprzeciwnka. Ale pani Cloche nie daje się nabrać. Szuka dalej. Odkrywa we mnie bandytę. To znaczy, że w pewnym sensie wyglądam na bandytę. Swoją drogą, dziwne, że można mnie wziąć za bandytę. Zdumiewające. Komiczne. Piotr zwrócił mi na to uwagę: powodem są frytki. Frytki dodały coś do mojego wyglądu, a przecież niczego, ale to niczego nie żądałem!

Étienne znów się uśmiechnął. Pociąg właśnie minął węzeł kolejowy i zapuścił się w gęstwinę szyn przebitych zwrotnicami. Étienne się uśmiechnął.

Zatem można nie ufać pierwszemu wrażeniu, a i tak dać się wykołować, gdyż każda rzecz ma niejedno oblicze, ma oblicz nieskończenie wiele. Ten oto prawy but posiada nieskończenie wiele możliwości. A wszystkie fałszywe. Istnieją możliwości i istnieją maski. Oczywiście wszystko to dla Pana, który patrzy. Bo ten, który siedzi naprzeciwnko mnie i właśnie starannie składa „Petit Journal”, po prostu but nosi; co go obchodzą pozory. Ale nie zauważył, że ten buciur został zrobiony z materiału, który się rozpuszcza w wodzie i że pewnego deszczowego dnia ocknie się w skarpetkach ciężkich od błota! Odczyłyby go to brania wszystkiego za dobrą monetę. Nie ma dobrej monety, są tylko fikcyjne operacje bankowe.

Étienne jak fryga wyskoczył z wagonu. Naprawdę stał się bardzo silny. A do tego jakie to zabawne. Podtrzymywany z jednej i z drugiej strony, pozwolił się nieść tłumowi wprost do czegoś w rodzaju miejscami oświetlonego tunelu, w którym raz po raz sunęły pojazdy szczipione ze sobą po pięć, przemieszczające się z prędkością, której co prawda, nie można porównać z szybkością sroczka uciekającego przed burzą, lecz która jednak przekraczała tę, z jaką beznogi kadłubek pokonuje stromą ulicę. Ściśnięty przez bezimiennych sąsiadów, Étienne kontynuował medytację.

Powinienem się spotkać z tą starą kobietą. Porozmawiam z nią zupełnie szczerze. Może mi powie, co spowodowało jej podejrzenia, a może nawet wyjawi mi cel, jaki chce osiągnąć. A ten jej siostrzeniec, mały szpieg, ale mu napędziliśmy stracha! Wyjechał dwa dni później. Musiało to utwierdzić starą w podejrzeniach. Tak, pojedę do Blagny i porozmawiam z nią albo z jej bratem. Ale czy jej brat jest poinformowany? A gdybym poszedł do jej brata? Jest chyba dozorcą w domu Narcense'a. Może Narcense mógłby mi pomóc. Co się z nim dzieje? A Piotr? Co robi? Już go nie widuję.

Wyglądał teraz na zafrasowanego i niespokojnego; umysł powierzchowny mógłby to przypisać sile kompresji stu siedemdziesięciu dorosłych podróżnych płci obojga. W Saint-Denis prostopadłość nowego kierunku w niczym jednak nie zmieniła intensywności nacisku. Étienne dalej wyglądał na niespokojnego i zafrasowanego.

Sporo rzeczy do zrobienia: primo Blagny, secundo bulwar Nieznanego Oficera. Piotr nigdy mi nie dał swojego adresu. Ciekawe. Właściwie dlaczego? I dlaczego się mną interesuje? A gdyby pani Cloche miała rację – w jego przypadku? Dlaczego podwiózł Narcense'a aż do lasu w Obonne?

Zafrasowany i niespokojny, rozpoczął ośmiogodzinny dzień (pracy).

\*

Tata, mama pracują; chłopczyk ma dom, ogród, meble i wolność. Robi, co mu się podoba. Przyrzekł, że będzie się uczył niemieckiego. Wdrapał się na ruinę pierwszego piętra i uczy się niemieckiego. Wkuwa na pamięć słówka, ale pamięć ma niezbyt sprawną; męczy się i musi powtarzać po sto razy jeden rzeczownik, zanim go sobie wbije do głowy. Nazajutrz i tak zapomniał.

Siedząc na małym murku, ze stopami w grubej warstwie gipsowego pyłu, czyta w kółko listę terminów dotyczących rolnictwa. Siekiera, topór, kąt, sierpak, piła, konewka, koszyk, sito, pług, lemiesz, brona, ościń, jarzmo, kosa, sierp, cep, przyczepa. Prasa to die Kelter. Jak by to zapamiętać? Powtarza prasadiekelter sześćdziesiąt trzy razy, potem konewka, die Giesskanne, również sześćdziesiąt trzy razy. Dobrze. Teraz: prasa? Nigdy tego nie zapamięta? Prasa? Prasa? Prasa?

Jest trzecia godzina jesieni. W obejściu panuje cisza. Z sąsiednich domów nie dobiega żaden dźwięk. Od czasu do czasu szczeka pies pana Excossé; gdaczą kury pani Caumerse; jakieś auto robi brumbrum; rower listonosza ćwicwi i taczki ogrodnika też. Te dźwięki rozmaite i dyskretne nadają zieleni platanów urok, który potrafią docenić tylko subtelne umysły. Théo je docenia.

Dokładnie słyszy rower, który ćwierka jak wróbel. Briefreger zapuszcza żurawia do wielkiej torby pełnej złożonych papierów, wyciąga kopertę i rzuca ją, pociągając za dzwonek. Seria niezbornych czynności żywo interesuje filozofa na grzędzie. Czterdzieści osiem razy powtarza kelterprasa, po czym decyduje się zejść zobaczyć cotam.

Założywszy palcem stronę w książce, żeby mu się nie zamknęła, uważnie ogląda Brief. Francuski znaczek za pięćdziesiąt centymów, nadany na poczcie przy ulicy des Sardines, tegoż dnia o siódmej piętnaście. Adres: P. Étienne Marcel, ulica Moche, Obonne. Z tyłu stempel Obonne. Objętość: cienki. Widoczność: żadna. Konkluzja: cotoje?

Jeśli umiesz powiedzieć prasa po niemiecku, pozwolę sobie otworzyć ten list. Prasa po niemiecku to: die Giesskanne. Bardzo dobrze. Masz prawo otworzyć ten list. Jaka prasa, taka płaca.

Théo stał za siatką ze swoim geszpresztofem w lewej ręce i brifem w prawej. Miał właśnie zrobić półobrót, żeby iść do kuchni zagrzać wodę w garnku i uzyskać parę, dzięki której zostałby poinformowany szybciej niż ojczym, co owa koperta zawiera, kiedy usłyszał jakiś głos; głos mówił:

– Czy mógłbyś mnie poczęstować papierosem?

Théo rozejrzał się. Nie było nikogo. Zbladł. Nie bardzo lubił taki rodzaj żartów. Nastopcent nie było nikogo; bardzo to było niepokojące. Odetchnął głęboko, żeby lepiej dotlenić mózg, a głos rozległ się znowu; głos mówił:

– Papierosa, bardzo proszę.

Z wyschniętym gardłem, ściśniętym żołądkiem Théo rozejrzał się po okolicy. Wynik zwiększył jego dyskomfort: ogród był pusty, ulica też. Z bladego zrobił się trupioblady. Ogarnęła go przemożna chęć znalezienia się gdzieindziej. Głos ciągnął:

– Dziwisz się, że mnie nie widzisz? Nie bój się, chłopczyku. Otwórz po prostu furtkę i daj mi papierosa.

Théo zachwiał się pod naporem alternatywy: wprowadzić w czyn plan ewakuacji czy posłuchać głosu i otworzyć furtkę. Jako że jedno i drugie było na swój sposób korzystne, miał kłopot z podjęciem decyzji; ponieważ jednak trzeba było jakoś wybrnąć z nieznośnej sytuacji, postanowił zdać się na przypadek; na to, co nazywał przypadkiem, a co, jak zaraz zobaczymy, było sprytnym wybiegiem. Postanowił bowiem, że otworzy furtkę, jeśli sobie przypomni, jak się mówi po niemiecku drabina; w przeciwnym razie odwróci się na pięcie. Przypomniał sobie słowo Flug; odetchnął z ulgą. Zatem otworzy furtkę; ale jak otwarcie furtki spowoduje, że tajemniczy petent stanie się widzialny? Tego nie przemyślał.

– No, proszę, miły chłopczyku, nie bój się – zachęcał głos.

Théo podszedł. Położył książkę na brzegu murka. Furtka zaczęła skrzypieć, a kiedy się uchyliła, Théo ujrzał swego rozmówcę.

– Już się nie boisz?

Nie, już się nie bał. Miał raczej ochotę głupio się roześmiać.

– Jak to się dzieje, że mieszkacie w domu w trakcie rozbiórki? – zapytał eksniewidzialny.

– Nie jest w trakcie rozbiórki, tylko w trakcie budowy. Mój ojciec nie ma forsy, żeby dokończyć.

– Aha. A czym się zajmuje twój ojciec?

– Ale z pana ciekawski.

– Nie gniewaj się, moje dziecko. Ten dom bardzo mnie zainteresował.

– Właśnie mówię, bardzo pan ciekawy.

– A ty źle wychowany, moje dziecko. Powinieneś uszanować moją siwą brodę.

– Szanuję ją, ale czego pan ode mnie chce?

– Proszę się niczego nie obawiać, młody człowieku. Chciałbym po prostu zwiedzić tę ciekawą willę.

– Dlaczego prosił mnie pan o papierosa?

– Żeby go dostać, chłopcze. Masz przy sobie?

– Nie palę.

– Nie szkodzi, przede wszystkim chciałem wejść. Mam wielką ochotę zwiedzić to dziwne domostwo.

– Nie ma nic dziwnego w naszym „domostwie”.

Théo znowu zamknął furtkę.

– Bardzoś nieufny, młody człowieku. Czegóż się możesz obawiać z mojej strony? Czyż wyglądam groźnie? Na złego człowieka?

– Napędzasz mi stracha.

Karzeł roześmiał się triumfalnie.

– Otwieraj, cholerny idioto.

– Jak się pan nazywa?

– Bébé Toutout. Otwieraj, głupi cykorze.

– Ale tylko na chwilę, tak?

– No pewnie, pewnie.

Théo lekko uchylił furtkę. Karzeł wślizgnął się do ogrodu niczym kot. Był biednie odziany, ale siwa broda nadawała mu szacowny wygląd. Na dużej głowie miał dziwną czapkę z nausznikami, w ręku niewielką podrózną torbę. Wzrostu nie więcej niż sześćdziesiąt osiem centymetrów. Szybko przemknął przez ogród i wtargnął do domu bez większych ceregieli.

\*

Ojciec Taupe siedział przed swoim barakiem i palił. Miał minę ogłupiałą niczym cap po biesiadzie z blekotu. Od czasu do czasu wyjmował fajkę z ust i splotał. Potem umieszczał przedmiot na dawnym miejscu i dalej głuśniał w aureoli pierścieni dymu i sechł w słońcu.

Okolo czwartej rozległo się pukanie. Taupe zawlókł się do furki i spytał zgaszonym głosem:

– Kto tam?

Odpowiedziano:

– Od księdza Leslaines’a.

– Kim pan jest?

– Ksiądz Rounère – odpowiedziano.

Taupe, zdziwiony, otworzył i ksiądz Rounère wszedł.

– Pan jest panem Taupe’em? – zapytał.

Po uzyskaniu potwierdzenia tożsamości skierował się w stronę baraku; stary, bardzo zdziwiony, poszedł za nim.

Czego może ode mnie chcieć, myślał se.

Ksiądz, bardzo gruby, bardzo zażywny, bardzo czerwony, w czarnych okularach i wytartej sutannie, zasiadł na stosie skrzynek i rozejrzał się uważnie.

– Przysyła mnie ksiądz Leslaines.

Tak się zaczęło i szło dalej tak sobie.

– Czego ode mnie chce ksiądz Leslaines?



– Niczego od pana nie chce – odparł ksiądz.– To ja od pana czegoś chce.

– A niby czego?

– Przychodze po pieniądze na budowę nowego kościoła.

– Że niby co?

– Bedzie sie budować nowy kościół nad rzeką, na tyłach zakładów Kompanii Północnej.

– Niby czego trzeba?

– W tej okolicy jest tyle dusz potrzebujących zbawienia, że jeden kościół więcej bedzie akurat.

– Ale co ja moge?

– Może pan dać obola, panie Taupe. Kościół cały bedzie z żelazobetonu, wewnątrz freski kubiczne i nagłośniki, żeby słuchać papieża. Przy wejściu bedzie święcona woda, zimna i ciepła.

– Dać obola!

– W zakrystii wstawi się telefon, prysznic i lodówkę. A dzwony będą działać na elektryczność. Obok się zrobi gabinety na angielską modłę. To bedzie najpiękniejszy kościół w okolicy, pod wezwaniem Świętej Targówki.

– Ale co ja moge?

– Może pan dać obola, panie Taupe.

– Tosie pan wybrał! Przecie ja jestem goły! Wszyscy to wiedzą. Mogę dać dwadzieścia su, nic więcej nie mogę zrobić!

– Dobrze sobie! Dwadzieścia su! Jednego franka! Ale ja od pana oczekuję co najmniej dwudziestu tysięcy.

– Jakże to?

– Dwudziestu tysiączków, mówie, od pana oczekiwałem.

– Niech no pan powtórzy.

– Ogłuchło sie, ojcie Taupe?

– Chwileczkę. Po pierwsze, zabraniam tak do mnie mówić, świń razem nie paśliśmy. Tyle. Segundo, skąd niby mam wziąć te pańskie dwadzieścia tysiaków?

– Skąpstwo to grzech śmiertelny, panie Taupe.

– Skąpstwo! Skąpstwo! Jak można być skąpym, jak się nie ma grosza.

– Kłamstwo to też grzech śmiertelny.

– Rety, rety, zaczyna mnie ksiądz wnerwiać. Jak mówie, że nie mam grosza, to znaczy, że nie mam grosza, i zastanawiam się, skąd coś takiego mogło przyjść do głowy.

– Znaczy się, pan mówi, że nie jest mylionerem?

– Ja? Milionerem?

– Tak, pan mylionerem.

– Jest pan kopnięty, z całym szacunkiem.

Ksiądz, purpurowy na twarzy, krążył po izbie, wznosząc chmurę kurzu buciorami. Wybełkotał:

– Piekło i szatani! Piekło czeka skąpców! Mówię to ja, specjalista od piekła. Do piekła z liczykrupami! Do piekła kutwy! Do piekła sknery!

– Ale ja nie mam grosza, przecie mówie! – zajęczał zrozpaczony Taupe.

– Do piekła zatwardzialcy, do piekła pijawki!

– Grosza nimam, nimam grosza!

– Chcecie skończyć jak wasza żona, co poszła prosto do diabła, co? Chcecie ją tam spotkać na dole, co? Ojczy Taupe, ojczy Taupe, wyciągaj forse i dawaj na wspaniałą katedre!

– Jejajaja – zawodził stary – grosza nie mam, grosza ni mam, groszanima...

Wtedy ksiądz Rounère wskazał drzwi – nie te, co prowadziły na zewnątrz, lecz te, co wisały naprzeciwko, te pomalowane na niebiesko.

– A te drzwi na co wychodzo?

Ojciec Taupe podskoczył, spojrzął na czarnego ze zdumieniem i nic nie odpowiedział.

– Co ta je za tymi drzwiami, ja się pytam! – ryknął tamten, waląc w nie pięścią.

To pytanie zdało się uspokoić starego. Prawie się uśmiechnął.

– Jeszcze je uszkodzicie – powiedział łagodnie.

Ksiądz Rounère przestał walić.

– No to co tam za nimi je?

– Zaraz coś wam powiem – odparł Taupe. – Nie wasz interes.

Ksiądz zalała krew na policzkach. Wpadł w furję. Strach było patrzeć, jak się pieni i miota.

– Musze wszystko wiedzieć, i już, co tam je i co tam nie je. Do piekła sknery! Ojciec Taupe, będziesz się smażył z Ernestyną. Ci ja to mówię. Wyciągaj forse, stary niedowiarku! Forsa na stół, ale już! W słoikach trzymasz, chiba! Za tymi drzwiami co je, zara chce zobaczyć! Ju! Co je za tymi drzwiami? Dawaj forse, chciwe bydle! Ale ju, alejualeju!

Ojciec Taupe w końcu dostał strasznego cykora. Pomyślał, że najlepiej byłoby dać nogę przed pomyłeńcem. Pomysł wydał mu się tym słuszniejszy i bezpośrednio związany z ochroną jego starych kości, kiedy spostrzegł, że ksiądz sięga po żelazną sztabę, którą zwykł w nocy barykadować drzwi. Już widział kronikę wypadków i swoje zdjęcie na pierwszej stronie, z rozwaloną głową i wypłyniętym mózgiem. Nie było dobrze. Było nawet za późno, żeby uciec. Ksiądz z groźną miną zagradzał mu wyjście. Taupe pozieleniał. Ale bolał go brzuch! Zdechnąc we własnym łóżku, może być, ale dać sobie rozwalić czachę jakiemus świrowi to obciach.

W tej samej chwili słyhać klakson samochodu i ktoś puka do furtki. Ksiądz puszcza żelazną sztabę, a Taupe drepcze otworzyć.

Po wyjściu handlarza starzyzną ksiądz Rounère rzucił się ku tajemniczemu drzwiom i spróbował je otworzyć. Na próżno jednak je szarpał, bez rezultatu. Zajrzał przez dziurkę od klucza, ale oczywiście nic nie zobaczył. Jednakże jego wizyta nie była tak zupełnie bez sensu; po uważnym zbadaniu sprawy mógł wyciągnąć pewien ważny wniosek: bez najmniejszej wątpliwości zagadkowe drzwi wisiały na ścianie, jak obraz. Wstrząsnęło to nim do głębi. Już nic z tego nie rozumiał. Straszne zwątpienie zakradło mu się do duszy. Ale czyż nie były przez to jeszcze bardziej podejrzone? W tej samej chwili obejrzał się i ujrzał – a to już szczyt szczytów – że gościem, któremu Taupe pośrednio zawdzięczał swoje marne życie, był nie kto inny jak Piotr Wielki, któremu towarzyszyła młoda kobieta, zresztą dość wielkiej piękności. Przyjechali, powiedzieli, obejrzyć starocie. Nie ma tu nic szczególnego, szczebiotał Taupe, zachwycony, że jeszcze żyje. Za pierwszym razem nic nie znalazł, ale za drugim, nigdy nic nie wiadomo, mówił Piotr Wielki, jakiś przedmiot pozornie bez wartości może by go zainteresował. Taupe też żywił taką nadzieję.

Cała trójka weszła do baraku. Ksiądz siedział na skrzyni i kartkował zbutwiały katalog Hachette. Wprost zatopiony w lekturze. Taupe miał nadzieję, że sobie pójdzie. Nie wyglądało na to. Piotr natomiast osłupiał na widok dziwnego osobnika i zdumiał się bijącym odeń smrodem. Catherine cofnęła się o krok, odrzucona lepką od brudu sukienką kruka; odporna na malowniczość staroci, wyszła, żeby poczekać w samochodzie.

Piotr udawał, że szuka. Końcem rękawiczek przerzucał zardzewiałe śruby i skórki chleba.

– Nie ma nic ciekawego – powiedział.

Taupe pokazał mu dzbanek do herbaty z obtłuczonym dzióbkiem z epoki Fallières'a i miotełkę z piór z czasów Loubeta. Klient nie był zainteresowany. Ksiądz cuchnął w milczeniu i dalej czytał. Nie ma nic ciekawego, nic ciekawego. Tak czy inaczej, trzeba z tym skończyć.

– Ile za te drzwi? – zapytał Piotr.

Taupe w popłochu próbował coś wybełkotać, ale się nie udało. Ksiądz uniósł głowę i rzucając katalog na stos śmiecia, otworzył usta i mówi:

– Nie są na sprzedaż.

– Przepraszam – odparował Piotr – ale zwracam się nie do pana, tylko do pana Taupe’a.

– Pan Taupe nie sprzedaje drzwi – oświadczył ksiądz.

Taupe nadal wyglądał jak przechodzący przez autostradę ślimak przerażony odgłosem szybko zbliżającego się tira.

– Zatem, panie Taupe, za ile sprzeda mi pan te drzwi? – zapytał znowu Piotr, nie racząc odpowiedzieć przedstawicielowi Boga na ziemi.

– Ojkuojkuoj – wyrzekł Taupe.

– Dają za nie dwieście franków.

– Pan Taupe nie sprzedaje swoich drzwi! – ryknął wieczysty żałobnik, opryskując śliną prawy rękaw Piotra.

– Powiem panu wprost jedną rzecz: nudzi mnie pan. Nie mam sprawy do pana, tylko do pana Taupe.

– A właśnie że do mnie! Nie dostanie pan tych drzwi!

– Pan mi w tym przeszkodzi?

– Bożesz tymój, bożesz ty, nie dostanie ich pan mówie.

– Jakże to, ksiądz bluźni?

– Ojkuojkuoj – mówi Taupe i grube krople potu rosą mu czoło.

Piotr był całkiem zbity z tropu.

Czarny wydawał się zdecydowany na wszystko. Dziwaczny osobnik.

– Dwieście franków gotówką i zaraz je zabieram – zaproponował staremu.

– Nie sprzedawajciez temu – zawył uspođniczniony.

– Onono... – zaczął Taupe – onono...

– Słucham pana? – Piotr pochylił się nad nim, żeby zrozumieć, co bełkoce.

– Onon, onon, chciamezabi!  
– On? – Piotr wskazał palcem klechę.  
– On! To sztabo, chciamezabi! – Tandeciarz rzucił się na swoje wyro do spania.

Książd nie drgnął. Piotr spojrział na niego uważnie.

- Interesują pana te drzwi?
- Tak samo jak pana.
- Ale dlaczego?
- Z tego samego powodu co pana.
- Ma pan dziwny głos.
- Nie twoja sprawa.
- Słucham?
- Spieprzaj stąd, do cholery.
- Nie.

Nie ma co ukrywać, sytuacja stawała się piekielnie trudna. Lub też raczej niebiańsko skomplikowana, bo jedna ze stron nosiła sutannę. Tylko te czarne okulary. Dziwny osobnik. Piotr zwrócił się do tandeciarza:

– Taupe, co właściwie jest z tymi drzwiami?

Taupe, chlapiąc, wyciągnął się na łożku. Był to podstęp. Pod poduszką miał schowany wielki pistolet z czasów Drugiego Cesarstwa; chwycił go i wycelował w swoich gości:

- Zjeżdżajcie stąd! Ale już! – zapiszcział, trzymając ich na muszce.
- Nabity jest ten pistolet? – zapytał Piotr.
- Proszę sprawdzić – odparł Taupe.

Piotr sięgnął po niebezpieczny przedmiot; rzeczywiście, broń była nabita. Zwrócił ją staremu.

- Durniu, trzeba było nie oddawać – zganił go kropidlaniec.
- Nie posługuję się podstępem – odparł Piotr z honorem.
- A trucie ludzi to nie podstęp? – wybuchnął modlitewca.
- Nie rozumiem, co pan ma na myśli.

A Taupe piszczał:

– Spadajcie stąd! Ale już!

– Dobrze, już dobrze, idziemy.

Ksiądz Rounère i Piotr Wielki wyszli, a pan Taupe, wdowiec młodej daty, zabarykadował za nimi bramy i znowu zasiadł przed barakiem, dla uspokojenia pałac pokrytą nagarem glinianą fajkę, która wesoło pykała sobie w powietrzu łagodnym, choć niezdrowym.

\*

Po skończonej kolacji Bébé Toutout starannie złożył serwetkę, beknął bez skrępowania i wyraził wielkie zadowolenie z posiłku. Potem poprosił Étienne'a o papierosa i zapytał, czy nie ma on przypadkiem zwyczaju pić likieru na trawienie; Étienne nie miał i karzeł lekko się zmarszczył. Tymczasem cała rodzina patrzyła na niego w milczeniu. Jak na ślimaka grającego na trąbce. Jak na muchę robiącą sztuczki na trapezie. Jak na słoik musztardy piszący pamiętniki. Jak na żandarma wróżącego sobie z płatków róży. Jak na kostkę cukru przechadzającą się z laseczką w dłoni.

A on, niewzruszony, pozwalał się oglądać i palił sobie spokojnie.

– Co pijamy na śniadanie? Kawę czy czekoladę? – zapytał jakby nigdy nic.

– Kawę – odpowiedziała bez zastanowienia Alberta.

– Wolę czekoladę – poinformował wyskrobek.

Rodzina Marcelów nie wyrzekła słowa; sytuacja robiła się poważna. Trzeba było niezwłocznie wypędzić tego osobliwego pasożyta, który wyraźnie zamierzał na dobre się u nich zagnieździć i który nawet nie próbował tłumaczyć swojego zachowania. Poprzedziwszy pytanie lekkim pokasływaniem, Étienne zapytał:

– Noc zamierza pan spędzić w hotelu?

– A w Obonne jest hotel?

– Tak, niedaleko stąd, u Hipolita.

– Aha. Wolę przespać się tutaj.

– Ale nie ma łóżka.

– Aha.

Étienne wiele nie zyskał.

– Chyba już czas, żeby pan wyszedł, jeśli...

– A mnie tu bardzo dobrze.

Wówczas Théo wybuchnął:

– Jaja sobie z nas robi ten maluch! Myśli pan, że będzie tu nocował? Takiego. Zaraz wezmę za skórę na karku i wywalę za drzwi jak kota, co nasikał w kąciuku.

– Ależ Théo – powiedziała Alberta – jaki ty jesteś ordynarny.

– Słyszysz, co mówi szanowna mamusia – wykrzyknął triumfalnie karzeł.

Théo wstaje, karzeł zaraz dostanie po nosie. Lecz Étienne wspaniałomyślnie powstrzymuje pasierba i radzi, żeby zachował spokój. Karzeł bawi się przednio. Théo znowu siada i fuka.

– Co ma wisieć, nie utonie.

– Sie zobaczy. Zresztą możecie mi wierzyć, że ponad rok mieszkałem tak u pewnej starej damy z wyższych sfer, u baronowej du Poil. Piękne miałem życie: szampan do każdego posiłku, auto na każde żądanie i tak dalej. Wystarczyło, żebym zgrzytnął zębami, o tak (zgrzyta), a już mi dawała wszystko, co chciałem.

– A dlaczego dłużej pan u niej nie został? – pytają.

– Umarła – wzdycha i udaje, że ociera łzę. – Umarła na galopujące hemoroidy. Biedna kochana stara dama! Biedna kochana staruszka! Jakież ona miała dobre serce!

– A co się stało po jej śmierci?

– Spadkobiercy poprosili, żebym sobie poszedł. Byli silniejsi ode mnie, rozumiecie? Wyjechałem. Potem mieszkałem u... Ale nie będę wam opowiadał swojego życia.

– A jednak wydaje się dość interesujące – mówi Étienne.



– Phi – mówi karzeł. – Nic szczególnego. Człowiek radzi sobie, jak może.

– Zatem, jeśli dobrze rozumiem, zamierza pan znaleźć tutaj odpowiednik pani baronowej du Poil!

Théo rety! zuje. Karzeł też.

– Alesztak.

Alberta się uśmiecha. Étienne też. Rozmowa robi się bardzo serdeczna.

– Zatem sądzi pan, że zostanie tutaj i będzie tu jadł i spał?

– Dlaczego nie?

– Ale jak zamierza pan to osiągnąć?

Robi się bardzo zabawnie.

– Strachem i podstępem.

– Strachem?

– Ależ tak, pan Théo nie czuł się zbyt pewnie, kiedy był ze mną sam na sam. Prawda, panie Théo?

Pan Théo nie odpowiada. Étienne ciągnie:

– Nie obawia się pan natychmiastowej eksmisji?

– Trzeba podjąć ryzyko.

– Ma pan jeszcze nadzieję, że spędzi tutaj noc?

– Oczywiście.

– Wie pan, że nie ma łóżka.

– Chyba nie sypiacie na ziemi!

– Chcę powiedzieć, że nie mamy pokoju gościnnego.

– Wystarczy mi fotel.

– A nawet garnek – mówi Théo.

Alberta i Étienne wybuchają śmiechem.

– Teraz jeszcze sobie ze mnie szydzi. Bezczelny gnojek!

– Teraz nas obraża.

– Sądzę – mówi Étienne – że powinien już pan sobie pójść.

– Dla własnego bezpieczeństwa – mruczy Théo.

– No nie, daj spokój – upominają go.

Kadłubek schodzi z krzesła i idzie do pokoju chłopca, najpewniej po swoją czapkę i walizkę. Ale stamtąd nie wychodzi; spokojnie zamyka za sobą drzwi na klucz.

– Dobranoc wszystkim – krzyczy i cała rodzina Marcelów płacze, płacze ze śmiechu.

– Ale śmieszne – mówi rodzina. – Ale tupet – dorzuca cała we łzach, we łzach, we łzach ze śmiechu.

\*

Postanowiono, że Alberta pójdzie na noc do sąsiadki, pani Pigeonnier. Théo uparł się, że będzie matce towarzyszył. Wobec tego Étienne został sam w domu.

W pokoju karła jeszcze się paliło, więc zapukał.

– Coje? – rozległo się z drugiej strony.

– Chce się panu spać?

– Jeszcze nie.

– Będzie pan mógł mi odpowiedzieć na pewne pytanie?

– Jeśli nie jest niedyskretne.

– Nie jest.

– No to śmiało.

– Chciałbym zapytać, co pan sądzi o pozorach.

– A o co chodzi?

– Chciałbym zapytać, czy czasem pan myśli o...

– O życiu?

– Na przykład.

Karzeł odkaszlnął, przeczyścił głos.

– Niech pan chwilkę poczeka, bardzo proszę – krzyknął do niego Étienne. – Przyniosę sobie krzesło.

Tak zrobił. Usiadł i przylepił ucho do drzwi.

– Tak? Słucham – powiedział.

– Kiedy mówię życie – zaczął Bébé Toutout – mówię o życiu, jakim żyją ludzie, jakim żyję ja, nie o życiu w ogóle, włączając w to życie ryb na przykład.

– To też jest interesujące – szepnął Étienne.

– Cholera jasna – powiedział karzeł – jeśli ma pan mnie krytykować, to nie warto, żebym kontynuował wykład.

– Nie chciałem pana urazić. Słucham uważnie.

– Nie zamierzam też mówić o życiu wszystkich ludzi. Więc tak to jest: są życia pełne możliwości i życia pełne niemożności. Człowieka, który widzi, że niemożność zamyka przed nim wszelkie drogi, nazywamy, zdaje się, zrozpaczonym. Jednakże wypadałoby wiedzieć, dlaczego każda droga jest nieprzejezdna, dlaczego okręt tonie i dlaczego dni są czarne. Gdyż jeśli niemożności są spowodowane deficytem wysokości, to mamy do czynienia nie z rozpaczą, tylko śmiesznością. Dla was, istot wysokich, widok zrozpaczonego karła musi być ohydny. Na szczęście ujmujecie to jedynie w kategoriach groteski. Powiem panu, że jeśli chodzi o mnie, widzę wszystkie te relacje na odwrót. Mało mnie obchodzi śmiech ludzi, między których nogami muszę się przemykać, podobnie jak ciamkanie tych, co początkowo biorą mnie za dziecko. Przykre to, ale powtarzam, mało mnie obchodzi. Nie więcej niż te wszystkie możliwości, których mój wzrost nie pozwala mi brać pod uwagę. Nie mogę być arcybiskupem ani generałem, ani grabarzem, ani uczyńnym, ani nauczycielem pływania, ani profesorem. Nigdy też nie będę wielkim człowiekiem. Byłoby to straszne, gdybym był słusznego wzrostu, ale jest zupełnie inaczej, bo ledwo odrosłem od ziemi. Żyrafy wydają mi się komiczne, świnki morskie wzruszające. Zostają tylko dwie drogi: cyrk lub ta, którą wybrałem.

– A polega na?

– Pasożytnictwu za pomocą terroru. Żyję z cykora starych kobiet i żyłbym z cykora niemowląt w kołyskach, gdyby mógł mi się na coś przydać. Jak się panu podoba moja broda?

– Bardzo ładna, ale nie uważa pan, że biały kolor łatwo się brudzi?  
– Nie jest taka zła. Wyglądam z nią jak krasnal, jeden atut więcej w mojej grze.

– Czy zdarza się czasem panu myśleć o czymś innym niż o pańskich sztuczkach?

– Oczywiście. Nie zna pan moich przemyśleń na temat trolizmu?

– Niestety!

– Dlaczego niedostatek?

– Nie chciałbym znowu pana urazić, ale coś panu powiem: te pańskie przemyślenia na temat onanizmu wydają mi się nieco „marginalne”.

– Pf!! (!! znak oburzenia).

– Kupy się nie trzymają te pańskie rozważania na temat tego, co możliwe, niemożliwe i groteskowe. Zresztą nawet nie chodzi o to, że się nie trzymają kupy, tylko że nie bardzo wiadomo, co w nich jest. Przypominają zuppa inglese.

– Ależ się pan rozfilozofował!

– Chyba nieco za duże słowo! Filozofować! Ależ mój biedny Bébé Toutout, to pan filozofuje niczym gwizdek w starej skarpecie.

– A jednak to ja wiem lepiej, o co biega. Opowiadam, czego doświadczyłem.

– Nie. Przeciwnie, to jest czysta abstrakcja. Powiem panu, co ja o tym myślę. Przede wszystkim, jak widzę karła, zaczynam się mieć na baczności.

– Niby dlaczego?

– Zaczynam się mieć na baczności, bo to może wcale nie jest karzeł. Po prostu byłoby za proste, gdyby mały człowieczek z brodą był karzełkiem.

– A jednak karzełki istnieją, na przykład ja.

– Nie. Tak naprawdę wcale ich nie ma. To absurdalne i niemoralne. Zresztą na dodatek nigdy żadnego nie widziałem.

– Och!

Bébé Toutout zeskakuje z łóżka; klucz obraca się w zamku i drzwi się otwierają; ma chyba na sobie piżamę w paski; do spania włożył czapkę z nausznikami.

– Co? Karły nie istnieją? A ja?

W tej samej chwili Étienne rzuca się na niego, chwyta za portki na tyłku, broda zwisa, i wynosi, żeby go wyrzucić z domu.

Postępek jest nieładny i Bébé Toutout bardzo się dziwi. Nigdy by nie pomyślał, że ten młody człowiek, tak łagodny i nieśmiały, może być tak przewrotny. Nie zaskoczyłoby go to ze strony Théo, ale ze strony tego młodego metafizyka jest doprawdy bulwersujące.

Tymczasem przed półwillą hamuje supersportowe auto. Wsiadają z niego Piotr, Catherine i trzecia osoba w spódnicy. Étienne ze zdziwienia upuszcza Bébé Toutout, który toczy się po żwirze, szybko się jednak zbiera i pędzi z powrotem do łóżka, gderając jak złodziej.

\*

Alberta wsiadła do pociągu o ósmej; Étienne już pojechał. Nie odważyła się wrócić do domu. Théo dotrzymał towarzystwa pani Pigeonnier aż do dziesiątej. Zjadł śniadanie, zniósł dzielnie pieszczoty i postanowił iść zobaczyć, co dzieje się w willi.

Karla zastał w kuchni w trakcie pastowania butów.

– Dzień dobry, Théo – kordialnie powitał go Bébé Toutout, nie unosząc głowy.

Na co młody człowiek odparł:

– A pan jeszcze tutaj, szanowny panie!

Bébé Toutout wydawał się w doskonałym humorze; jego świeżo wyszczotkowana broda falowała wesoło; zawzięcie glansował swoje malutkie pantofle.

– Siadaj – polecił chłopcu. – Zaraz coś ci opowiem. – Dodaje: – To dotyczy twojego ojca.

Théo siada, zwabiony.

– Znasz takiego pana, co ma na imię Piotr?

– A jakże, to kumpel mojego ojczyma.

– To ten młody jest twoim ojczymem?

– Chyba widać. Wyglądam tak staro jak on. (Prostuje się).

– Tak. A znasz panią Cloche?

– Nie, nie znam.

– A Catherine?

– Tę tak. To kobietka Piotra. Gdzie pan ich spotkał?

– Przyszli tutaj.

– Dziś w nocy?

– Tak. Dokładnie w chwili, kiedy twój ojciec, twój ojczym już miał mnie wyrzucić za drzwi.

– Serio? Jakim sposobem?

– To inna historia. Wziął mnie podstępem.

Théo się chichra.

– Skończyłeś? Dobrze. Więc dokładnie wtedy jakieś auto zatrzymało się przed naszym domem. Twój ojczym mnie wypuścił i szybko wróciłem zamknąć się w twoim pokoju. Słyszałem, jak wchodzi ci, co przyjechali. Było ich troje: Piotr, Catherine i pani Cloche. Poszli do jadalni i bardzo długo i zawile wyjaśniali sobie historię jakichś drzwi.

– Drzwi?

– Tak. Ten, co ma na imię Piotr, oświadczył, że w tej sprawie już nie będzie żadnego qui pro quo: on nie wie, co jest za tymi drzwiami. Twój ojczym powiedział to samo. Wtedy ta pani Cloche oznajmiła, że wszystkiemu winien Clovis. Znasz go?

– Nie, nie znam.

– W końcu powiedziała, że się co do nich pomyliła, ale że teraz jedno jest pewne, że drzwi są zawieszane na ścianie, jak lustro albo obraz. Tamci uznali, że coś w tym musi być. Potem zaczęli mówić bardzo cicho i nic nie słyszałem, tylko że mówią o jakimś Pote i jakiejś kobiecie imieniem Ernestyna. Znasz?

– Nie, nie znam.

– Nikogo nie znasz, biedaczku.

– Oczywiście, gdybym był tak ciekawski jak pan, też niejedno bym wiedział, ale ja się nie interesuję innymi, mam to gdzieś.

– W każdym razie ta historia z drzwiami powieszonymi na ścianie jest dziwna. Mieli takie rozgorączkowane głosy, kiedy o tym mówili.

– Nawet Étienne?

– Ten twój ojczym?

– Tak, Étienne.

– Étienne też. Aha, i wspomnieli też o jakimś Maxensie.

– Poważnie?

– Znasz go?

– Czy go znam? Raczej tak. Chciał mnie powiesić.

– Coś podobnego. Ktoś chciał cię powiesić, chłopczyku? Tylko jakiś niegodziwiec może chcieć powiesić takiego miłego chłopczyka jak ty! I dlaczegoż to chciano cię powiesić?

– Nawymyślałem mu. I tyle. Ten picuś przez cały czas podwalał się do mojej matki, więc mu powiedziałem: Niech się pan odczepi od mojej matki. A on na to: Jeśli nie jesteś tchórzem, spotkajmy się dziś o północy w lesie, pogadamy sobie. Nie pękłem. Poszedłem całkiem sam. Wyznaczył mi spotkanie na polance. W świetle księżyca. Przychodzę, czekał na mnie. Jak tylko mnie zobaczył, rzuca się na mnie i wiąże. Zaraz cię powieszę, krzyczy. Już miał przygotowaną pętlę. Ale było!

– Mów dalej, interesujesz mnie.

– Kiedy już miał mnie podciągać do góry, nagle zjawił się jakiś rybak i Narcense przed nim uciekł.

- On się nazywa Narcense?
- Tak, Narcense, nie Maxence.
- Rybak w środku nocy?
- Tak, szukał robaczków świętojańskich.
- Aha.

Karzeł zawzięcie glansuje buty; Théo, żeby coś zrobić, z roztargnieniem szuka po kieszeniach. Znajduje list do Étienne'a. Bébé Toutout zerka na niego spod oka.

- O, jakiś list.
- Nie do pana.
- Do kogo?
- Nie pańska sprawa.
- Listy, które dostają inni, interesują mnie bardziej niż te, które sam dostaję. Tym bardziej że nigdy żadnych nie dostaję.
- Ja też nie.
- W takim razie nadarza się okazja, żeby przeczytać jakiś list. To bardzo proste, wystarczy trochę pary.
- Wiem, wiem – mówi urażony Théo i stawia na gazie garnek, żeby zagrzać wodę.

\*



Zdaje się wam, że nie rozumiałem, co tam kombinujecie. A było się z czego pośmiać. Te wasze podchody, te sztuczki, te wasze plany, to wszystko. Skarb ojca Taupe'a, śmiechu warte, i tyle. A wyście w to wierzyli! Mówię o was, matko Cloche, zwłaszcza o was. Zastanawiałem się, jak coś podobnego mogło się wam zagnieździć w głowie. Przecież to się w pale nie mieści. Nagle zrozumiałem w czym rzecz; zrozumiałem też, że od wizyty tamtych panów zacząłem uchodzić za bogatego skąpca. Zrozumiałem, ale nie miałem pojęcia dlaczego. Może ci panowie coś wam wmówili. Nie wiedziałem, słowo daję, nie miałem bladego pojęcia. Ale jedno było pewne na sto procent: że macie mnie za milionera, wy i Ernestyna. Kiedy za pierwszym razem do mnie przyszła, powiedziałem sobie: a to dopiero dziwne. Czego ona może chcieć? Niby dlaczego chce iść ze mną do łóżka? Wtedy zacząłem ruszać mózgowicą, ruszałem i ruszałem, myślałem i patrzałem, słuchałem i wreszcie zacząłem kapować: wy, matko Cloche, przekonaliście ją, że ukrywam gdzieś majątek i że jak za mnie wyjdzie, będzie bogata. Bogata! Bogata! Biedna Ernestyna! Małżeństwo ze mną nie wyciągnęłoby jej z nędzy! Zostałaby... Co? Wydaje wam się, że zachowałem się paskudnie. Paskudnie? No że w to wszedłem. Pozwoliłem, żeby za mnie wyszła, za takiego starego kreta. Sześćdziesiąt lat. Małżeństwo z miłości. Że niby nie chodzi o forszę. Tylko że tych forsiaków nie ma! Biedna Ernestyna, ona w to wierzyła. Myślała, że jak za mnie wyjdzie, wydestanie się z biedy. Dlaczego niby paskudne? Dlaczego? Ja ją kochałem, kochałem tę dziewczynę. Dlaczego nie? Za każdym razem, jak szedłem do Dominika, widziałem ją. Ale była piękna! Kiedy przechodziła obok mnie, czułem jej pot, upajało mnie to; taki dreszcz po kręgosłupie. I jej pośladki, zupełnie jak z marmuru, z ciepłego marmuru. Dobrze wiedziała, że mnie rajcuje. Święta nie była, nigdy nie zapomniała podnieść sukienki, żeby poprawić podwiązkę, jak tam byłem. Robiła to za każdym razem, jak widziała, że patrzę. I odchodziłem z litrem białego wina w brzuchu i obrazem jej uda w głowie. A dla innych jaka była

miła, dla tych młodych. Żartowała z nimi; jak ją macali, nic tylko się śmiała. Ze mną nic. Ot, stary żebrak, tak sobie myślała. A ja myślałem tylko o niej, cały czas tylko o niej. Czułem ją pod ręką, jak byłem sam. Nawet nie mogłem marzyć... I nagle oddaje mi się, żeby zdobyć forszę, która nie istnieje. I to niby paskudne, żem się zgodził? Potem, jasna rzecz, myślałem, co ona powie, jak się dowie, że to wszystko nieprawda, że tak samo nie śmierdzi groszem jak dawniej, ale ma mnie za męża? Co by zrobiła? Chyba by oszalała! Bardzo mnie to dręczyło. Będę ją miał przez całą noc, mówiłem sobie, a co potem? Jaki cios! Jaka rozpacz! Myśleć, że z dnia na dzień będzie się bogatą, a potem znaleźć się w jeszcze większym bagnie niż przedtem. Jakże by cierpiała! Biedna Ernestyna. Ale, jak wiecie, nigdy się nie dowiedziała, a ja jej nigdy nie miałem. Nigdy, nigdy. I stale ją widzę, jak mi przynosi litr białego wina i szklankę, której nigdy nie wytarła, widzę ją ciągle, jej zielone oczy, potargane włosy i szpiczaste piersi, potem się odwracała i szła obierać ziemniaki. I już na mnie nie patrzyła, a ja sobie wypijałem mój literek białego. A teraz nic. Nigdy nie wyszła z nędzy. A ja nigdy jej nie miałem, nigdy. Nigdy! Nigdy!

A te drzwi? Te drzwi to stale ta sama historia. Tak, ta sama. Człowiekowi stale przytrafiają się te same historie. Dziwne, nie? Pewna kobieta, jak miałem dwadzieścia lat. Ale nie będę was przecie zanudzał młodzieńczymi romansami, co? No, i ta kobieta umarła. A drzwi są pamiątką. I tyle. Po czterdziestu latach odnalazłem te drzwi. Były na nich nasze imiona. Kupiłem je. To wszystko. Nie ma forsy, nie ma skarbu, nie ma tajemnicy. Nic. Jeśli to was wkurza, tym gorzej. Albo tym lepiej. Tak, po czterdziestu latach odnalazłem drzwi, na których napisaliśmy nasze imiona. I, dzięki tym drzwiom, Ernestyna, którą kochałem, umarła. Nie takie znowu zwyczajne, co? Jak myślicie? Może nawet myślicie, że to tragiczne? Jak to mówią: Fatalitas! Fatalitas! Walnęło mnie. A ja? Co to dla mnie znaczy? Zostałem z głową, w której buzuje, coś tam w niej czuję, obrazy w niej coraz to bardziej sprośne. Siedzę tak sobie, ślinię się w słońcu, idiotycieję z każdym dniem coraz bardziej. Nie ma Ernestyny! Nie ma!

\*

Miała teraz gdzieś, czy zobaczy te drzwi, czy nie zobaczy. Złapała pociąg z powrotem do miasta, wysiadła na Dworcu Północnym, usiadła w ogródku tej samej kawiarni co zwykle. Była bardzo zmęczona. Zamówiła miętowy likier, na co kelner się uśmiechnął; prawda, miała na sobie jeszcze księżą sutannę. A zatem zadała sobie sporo trudu i wszystko na nic, koniec, kropka.

Koniec, kropka, żadnej nadziei. Żadnej nadziei, nic a nic. Ten nędznik ojciec Taupe był naprawdę biedny. Tyle z niego skarbu, co masła z tyłka. Trudno, musi wracać do swoich skrobanek. Sie skończyło. Trzeba wracać do codziennego życia. Koniec z wielkimi marzeniami. Światowe życie. Wielkie perspektywy. Chłapnęła miętowy likier, uwalala sobie paluchy.

Na początek byłyby sobie fundnęła kilka kiecek, takich super, co by ją odmłodziły o dwadzieścia lat, i by se poszła do salonu piękności, gdzie by ją odmłodziła o dwadzieścia lat. W sumie czterdzieści. To by miała piętnaście! Za pieniądze wszystko można. Potem by poszła do sklepu, gdzie sprzedają bryki. Kazałyby se lymuzynę z taką długą maską i dobrze napchanymi poduchami. Żeby ludziska widziały. Wzięłyby sobie pokojówkę i szofera i fru do Monte Karla. I też by kupiła willę w Neuilly z wodą, gazem, elektrycznością, windą, kuchenką elektryczną, lodówką, centralnym ogrzewaniem, kuminkiem i może z łazienką. A w piwnicy nic tylko szampan. Codziennie, do każdego posiłku szampan, tylko rano, po wstaniu z łóżka, codziennie tak jak zwykle, krwawa kiszka na zimno i kielich czerwonego.

A wszystko zaczęło się właśnie tutaj. Wszystko. Tego dnia, kiedy Marcela stukła taksówka tego jego kumpla. A nawet poprzedniego, bo wróciła do tej kafejki z powodu tamtego pierwszego, co go rozjechało. Ale z niej durna pała! Uwierzyć tak jakiemuś gówniarzowi! Dzieciaki kłamią jak najęte, nigdy nie można wierzyć w to, co mówią. Mały gnojek. To on ma na sumieniu śmierć Ernestyny, nie ona. Zresztą ma gdzieś śmierć Ernestyny. Ale tracić tyle czasu, namieszać sobie tak we łbie, wyobrażać sobie Bóg wi co. Chyba naprawdę ją pogięło! Niech to jasna cholera. Na samą myśl może człowieka pokręcić ze złości. No bo przez dwa miesiące wierzyć, że się będzie starą bogaczką, będzie się utrzymywało stado żigolaków i bawidupków, wierzyć, że mając pięćdziesiąt pięć latek, można sobie fundnąć każdą zachciankę, wierzyć w to wszystko, bo jakiś mały zasraniec opowiedział jakieś bzdury, co się nie trzymają kupy! Wstyd, wstyd, jeszcze raz wstyd. I nie ma się czym chwalić.

A już widziała, jak se jedzie do kasyna, słońeczko świeci, gdzieś w jakiejś dziurze, gdzie zawsze jest cudna pogoda; i wchodzi do tego kasyna, na gębie pudru na dwa palce, cycuszki odpicowane, na grzbiecie kiecka za trzy tysiąki, prowadzą ją dwa faceciki wypindrzone, w smokingach, z włosami na brylantynę, chłopaki jak malowanie. A ludziska by gadali: Kim jest ta z tymi brylantami jak kurze jaja? Czy to księżna Falzar, czy może hrabini Frangipane? Nie, nie, mówiliby ci, co dobrze wszystko wiedzą, to pani Belhôtel, ta od filantropijnego dzieła i przeciwdziałania duszności. Była ożeniona z hinduskim księciem, mówiliby, i dlatego jest taka dziana. Jednego tylko by nie robiła, o nie, nie grałaby w ruletkę. Bo to gupie. Tracisz tyle, ile zechcesz. O nie, nie rzuciłaby tak swojej kochaniutkiej forsy na zielone sukno, żeby zniknęła, i do widzenia na święty nigdy. Nie. Każdy wydatek, dobra, już się robi; każda radocha, już zara, proszę bardzo. Ale swoją własną kasę wsadzić do kasyna, co to, to nie, nigdy w świecie.

A ci, co przechodzą, to wszystko skończeni idioci. Jeszcze na dodatek biorą mnie za księdza. Księża! Tacy się nie przepracowują, a wszyscy się kłaniają. I kwestować można. Bardzo ciekawe. Nie trzeba się specjalnie na niczym znać, żeby sobie pokwestować. A zawsze kilka dodatkowych groszy człowiekowi wpadnie.

I pomyśleć, że się tak dała idiotycznie wpuścić w maliny i jeszcze wrobiła Ernestynę. Płakać się chce, jak se człowiek pomyśli.

Płaci rachunek i wstaje. Idzie do siebie, ulica Paradis dziewięćdziesiąt jeden, mieszkania sześć. Wolno idzie. Z głową ciężką od myśli sunie wśród tłumu ulicą La Fayette. Idzie niom z sercem pełnym goryczy i żalu. Nie do śmiechu jej, o nie. Od czasu do czasu ktoś z tłumu ogląda się, żeby się przyjrzeć dziwnemu księdzu zatopionemu w myślach. Pewnie myśli o bozi, myślą te kretyny. Na wysokości skwerku naprzeciw kościoła Wincentego Apaula zatrzymuje się auto w każdym calu bardzo sportowe. Należy, jak pewnie wszystkie bystrzochy już zgadły, należy ono do Piotra.

– Heloł – zagaja.

Pani Cloche podchodzi.

– Witam księdza – zasuwa najpoważniej w świecie.

– Witaj, synu – odpowiada położna.

– Mam księdzu cosik do powiedzenia, że boki zrywać.

– Acota kiego? – zapytała pani Cloche.

– Ano to, że ojciec Taupe po powrocie do domu nie znalazł już swoich drzwi.

– Że co?

– Że te drzwi, słynne drzwi, ktoś zwinął. To tyle, co chciałem powiedzieć. Naraska.

Samochód zawarczał i zniknął.

A co mnie to niby obchodzi? Wisi mi i powiewa.

A jednak trochę dziwne. Chociaż gdyby tak zamiast mu ukraść te tajemnicze drzwi, ktoś by mu rąbnął jego drzwi wejściowe, toby się ojciec Taupe dopiero miał z pyszna.

\*

*Drogi panie Marcel z kolegą,*

*kiedy otrzymacie ten list, możecie porzucić już wszelką nadzieję zawładnięcia bogactwem ukrytym przez pana Gérarda Taupe'a w jego baraku na terenie Blagny. Ponieważ jutro rano, skoro świt, my je skradniemy i nic nam w tym nie przeszkodzi. Prosimy również, aby pan uprzedził o tym ważnym wydarzeniu pana Wielkiego. Co panom oszczędzi wielu niepotrzebnych działań.*

*Historia topicznego skarbu dobiega w ten sposób kresu i to my właśnie mu go zapewnimy, ten kres, w sposób, który uznamy za właściwy, innymi słowy, powodując zniknięcie, na naszą korzyść, ogromnej fortuny tegoż osobnika, jak to już wyżej zostało wspomniane.*

*Ośmielamy się mieć nadzieję, że nie będziecie panowie żywić do nas urazy z powodu naszej przewagi, gdyż tak jak wy ten skarb odkryliście, tak my z niego skorzystamy; to nasze jedyne usprawiedliwienie. Ponadto rozwijamy twórczo przypowieść o tym, że trzeci korzysta, i sądzimy, że właśnie owo twórcze rozwinięcie bardziej nas skłoniło do kradzieży niż chęć zysku.*

*Tak czy inaczej, wy zrobieni w konia (niech żyją centaury! wiwat!), a my bogaci. Można powiedzieć: tym lepiej.*

*Serdecznie pozdrawiamy*

*Zaczarowany sznurek*

*Falszywy podpis nieczytelny*

*PS Jak widzicie, ślemy ten list anonimowo.*

*Saturnin Belhôtel*

*Narcense*

– A to ci historia! – wykrzykuje Bébé Toutout.

– No, no – Théo z konieczności jest lakoniczny.

– Nie spodziewałeś się tego po swoim ojcu, co?

– No, no – Théo jest taki sam z tego samego powodu.

– Twój ojciec chciał popełnić kradzież? A tak uczciwie wygląda. Do głowy by ci nie wpadło, prawda, chłopczyku?

– Nie ukradł, przecież to Narcense...

– Tak, ale miał taki zamiar. A tego Saturnina Belhôtela znasz?

– Nie.

– Stanowczo niewiele można z ciebie wyciągnąć, moje dziecko.

Teraz zaklej z powrotem kopertę.

Théo, oszołomiony niezwykłą informacją wyczytaną w liście, z powrotem bardzo starannie zakleja kopertę (a to potrafi).

Bébé Toutout nie spuszcza z niego oka.

– Czy twoi rodzice wracają na obiad?

– Nie, coś sobie robię sam.

– Dobrze. W południe przygotuj mi befsztyk i frytki.

– Frytki? Nie umiem robić frytek!

– Głuptas z ciebie! Nauczę cię. Zobaczysz, bardzo zabawne.

– Nie ma ziemniaków.

– To kupisz. Holenderskie po osiemnaście za kilogram. A befsztyk niech ci rzeźnik dobrze dobierze, ma być z polędwicy.

– Nie mam pieniędzy.

– Ja ci ich nie dam. Czy nie rozumiesz, że jestem twoim gościem?

– Pańskim gościem?

Théo zgaszonym wzrokiem patrzy na karła głaszczącego białą bujną brodę.

– Dziś rano robisz wrażenie idioty, biedny mały. To ten list tak cię wytrącił. Nie taki jeszcze w życiu przeczytasz. Tak czy inaczej, twój ojciec dał się wykiwać tamtym dwóm typom, prawda?

– Wcale mnie to nie dziwi! – wybucha Théo. – Taki nieudacznik...

– Sza! Nie obrażaj ojca, nawet jeśli nim nie jest, i idź po zakupy. Jest już piętnaście po jedenastej.

– A pieniądze?

– Dasz sobie radę. Powiedz rzeźnikowi, że się zapłaci jutro. I nie rób takiej głupawej miny.

– Długo pan zamierza tutaj zostać?

– Przez całą zimę.

– Nieźle.

Potem chłopiec i karzeł wpatrują się we wrzącą oliwę, na której smażą się frytki.

– Nie wydaje ci się zabawne takie gotowanie?

– Nie, wkurza mnie.

– A jednak będziesz to musiał robić codziennie o dwunastej. Nie będę przecież jadł gwoździ, co nie?

Théo nie raczy odpowiedzieć.

– Założę się, że pisujesz wiersze.

– Zacząłem tego lata – odpowiada Théo, rumieniąc się. – Ale jak dotąd napisałem tylko jedną linijkę.

– Która brzmi?



- Życie ma tajemnicę, a dusza sekret ma.
- Bébé Toutout liczy na palcach.
- Twój wiersz kuleje, mój mały.
- A co mam zrobić? Będzie miał trzynaście sylab, koniec, kropka. A niby dlaczego zawsze mają mieć dwanaście? Idiotyczne wymagania. Dodałem jedną sylabę, bo to mój wiersz. Mam prawo.
- Teraz odcedź frytki.
- Się robi.
- Następnym razem już będziesz wiedział co i jak?
- No pewnie. Nie jestem taki głupi, żebym z ziemniaków nie umiał zrobić frytek!
- Théo, powiedz, ile ty masz lat?
- Piętnaście.
- Byłeś już zakochany?
- Jeśli cię zapytają, odpowiedz, że nic nie wiesz.
- Nie zapominaj się, Théo. Spójrz na moją białą brodę, trochę szacunku! Zrozumiane? A teraz poważnie. Byłeś już zakochany?
- Théo dla kurazu sapie dwa i pół raza, nadyma się.
- Raz nawet porwałem pewną mężatkę – wypala.

\*

- Clovis, chodź tutaj.
- Mówi Dominik Belhôtel i Clovis tutaj idzie.
- Znaczy się, jesteś małym kłamczuchem?
- Clovis, grzeczne dziecko, poważne i pracowite, co kocha mamusię i tatusia, wybuchu płaczem.
- Tato, tatusiu – chlipie.
- I naprawdę trzeba mieć serce z kamienia, żeby się nie wzruszyć.
- No, nie maź się tak, nie maź. Wytumacz się...
- Nie skłamałem. Naprawdę słyszałem, jak oni...

I Clovis znowu wybucha łkaniem, jak mówią ludzie odcytani. Dominik, do głębi wzruszony, ociera mu łzy; przecież to jego jedyny syn, Cloclo, jego jedyny, Patki.

– Uspokój się, nie becz. Wiesz, że ciotka jest na ciebie bardzo zła. Matka Cloche bardzo, bardzo niezadowolona. Chyba rozumisz. Wmówiłeś jej, że wygra na tej loterii. I tera, jak przegrała, to się wścieka. Ja jo rozumiem. Ty chyba też, co, synku?

– Tak, tatku.

– To ci wybaczam. Niech cię uścisnę.

Ojciec i syn wzajemnie oblewają sobie łzami ramiona; ich piersi wzbierają najszlachetniejszymi uczuciami; jakie to mimo wszystko wzruszające, myślą sobie każdy na wspólny rachunek.

– A teraz, kiedy ci wybaczone, raz na zawsze wytumacz mi wszystko.

– Nie mam nic do tłumaczenia. Wydawało mi się, że mówią to, co potem powtórzyłem ciotce Cloche, może źle usłyszałem. Ale byłem szczery, tatku.

– Ach! Jakasz to piękna rzecz, szczerłość! Zawsze bądź szczery, Clovis!

– Tak, tatku. A ciocia Cloche mi wybaczy?

– Tak, synu.

Nowy potok łez. Belhôtel ma jeszcze jedno pytanie.

– A tam, w X., dlaczego chciałeś wrócić?

– Przestraszyłem się, tatku.

– Nie trzeba było.

– Ale tatku, ja myślałem, że to jakieś podłe obuzy są, podli bandyci, co mnie chco zabić. Ciotka Cloche sama pisała, że są bardzo źli. To się wystraszyłem, tatku.

– To niegodne Belhôtela tak tchórzyc! Zrozumiałeś, Clovis?

– Tak, tatku. Teraz i w każdej okoliczności przyrzekam tu obecnemu mojemu kochanemu tatusiowi, że będę odważny jak lew.

– W porządku, Clovis. Pójdź w me ramiona, wybaczam ci raz na zawsze.

Trzeci, ostatni akt ojcowskiego miłosierdzia. Kiedy Clovis w końcu uwalnia się z parowej łaźni, którą się stała niedzielna kamizelka, on również ma kilka pytań.

– Powiedz, tatusiu – mówi – czy zostanę inżynierem?

– Tak, synu, zostaniesz inżynierem. Obiecałem ci. A ja obietnicę dotrzymuję.

– Och, dziękuję, tatusiu. To znaczy, że w tym roku idę do liceum?

– Tak, Clovis.

– Och, dziękuję, tatusiu.

Clovis, Clovis, przyszłość, jak to się mówi, należy do ciebie. Jesteś poważny, pracowity, niezbyt inteligentny, ale jednak wystarczająco. Twój ojciec zarobił dość pieniędzy, żeby ci opłacić studia najwyższe, jakie istnieją. Zostaniesz inżynierem, to niezwykle szanowany zawód, w którym twój spryt pozwoli ci zabłysnąć. Może nawet zostaniesz wynalazcą, Clovis, i twój ojciec i matka będą z ciebie dumni. Będziesz konsekwentnie kreślił tę wspaniałą trajektorię i nic ci w tym nie przeszkodzi. (Chyba że padnie w drodze, ale lepiej mu tego nie mówić, bo z natury jest strachliwy i może się spłoszyć na śmierć.)

Tylko o jednym nie zapomnij, Clovis, kiedy już zrobisz karierę, kiedy już wszystko osiągniesz, kiedy będziesz miał prawo nosić piękny mundur inżyniera, kiedy będziesz miał prawo poślubić córkę szefa, to wtedy nie gardź swoimi krewniakami, swoim wujem dozorcą, swoją ciotką akuszerką, swoim ojcem i matką, co tyle ofiar ponieśli, żeby cię wychować. To straszne uczucia wywodzące się z najniższych instynktów. Lecz Clovis jest przecież samą szlachetnością i honorem; ma nawet taką dewizę. Szlachetność i honor. Nie, nie będzie się czerwił z powodu wujka Saturnina, chociaż jest on trochę stuknięty, ani z powodu taty czy mamy. Może sobie zostać inżynierem, przemysłowcem, kapitalistą, posłem, przewodniczącym Senatu, a nawet przewodniczącym urzędu najwyższego (najpiękniejszy uniform, jaki sobie można wymarzyć), lecz nigdy nie wyprze się swej rodziny. Nigdy! Przenigdy! Zawsze się dla niej znajdzie jakaś resztką ze stołu. Pytanie ostatnie.

– Powiedz, tatku, a ty już zakupiłeś sobie ten dom uciech?

– Tak, synu. Podpisałem dzisiaj akt kupna i sprzedałem kawiarnię.

– Który kupiłeś? Ten z Rouen czy ten z Epinal?

– Ten z Epinal.

– Myślę, że postąpiłeś słusznie. Marynarze ostatnio cienko przędą, a wojsko to zawsze wojsko.

– Tak, ale jak już nie będzie żołnierzy?

– Niby kiedy, tatku?

– No, nie wiem.

– Nie przejmuj się, tatku, wtedy już będziesz bogaty. A kiedy wyjeżdżamy z Blagny?

– Za miesiąc, na początku października.

– A kto będzie wiceszefową zamiast Ernestyny?

– Musi Camélia.

– Jest za młoda, tatku, na takie stanowisko. Nie będzie miała autorytetu.

- Ma tyle samo lat co Ernestyna.
- Uważałem, że Ernestyna też jest za młoda.
- Wystarczy, Clovis. Nie zajmuj się tym. Zostaw domy publiczne i skup się nad matematyką.

\*

Rozumiecie, filozofia popełniła dwa wielkie błędy; zapomniała o dwóch wielkich sprawach; przede wszystkim zapomniała skupić się nad różnymi sposobami istnienia, po primo; a to nie mało. Ale to jeszcze nic; zapomniała o najważniejszym – o różnych sposobach nieistnienia. I tak, osełka masła, biorę pierwsze coś, co mi wpada do głowy, nie jest ani karawanserajem, ani widelcem, ani falochronem, ani pierzyną. I zauważcie, że jej sposobem istnienia jest właśnie to, że czymś nie jest. Wróć do tego później. Jest jeszcze inny sposób nieistnienia: na przykład osełki masła nie ma na tym stole, nie ma. To stopień wyższy. Między nimi znajduje się etap już-nie-istnienia i jeszcze-nie-zaistnienia. Każda rzecz determinuje w ten sposób mnóstwo nieistnień: osełka masła nie jest wszystkim, czym nie jest, nie ma jej wszędzie tam, gdzie jej nie ma, uniemożliwia każdej rzeczy bycie tam, gdzie jest, nie istniała zawsze i nie będzie zawsze istnieć itede, itepe. Całkiem nieskończona nieskończoność nieistnienia. Tak że można powiedzieć, że ta osełka masła jest zanurzona po czubek głowy w nieskończoności niebytu i w końcu najważniejszy wydaje się nie byt, lecz niebyt. Zatem można podkreślić: mamy to, co istnieć nie może, bo jest sprzeczne, osełka masła jest dachówką. I to, czego nie ma, chociaż sprzeczne nie jest; osełki masła nie ma na tym stole (podczas gdy jest). Ciekawe, zwłaszcza że to, co wyraża zdanie: Osełka masła jest dachówką, należy do niebytu, lecz mimo to w pewien sposób istnieje, gdyż można to wyrazić. I tak w pewien sposób niebyt istnieje, a w inny byt nie istnieje. Co więcej, byt jest zdeterminowany przez niebyt, nie ma własnego istnienia, wychodzi z niebytu i doń powraca. Kiedy osełki masła nie było, nie było jej; kiedy już jej nie będzie, już jej nie będzie. Jasne jak słońce. To, co istnieje, jest tym, co nie istnieje. To, co nie istnieje, tym, co istnieje. Słowem, z jednej strony nie ma niebytu, z drugiej bytu. Istnieje niebyt i to wszystko, bo bytu nie ma. O to właśnie mi chodziło. Rzeczy istnieją nie dlatego, że są pozytywnie determinowane, w tym przypadku nie istnieją, lecz poprzez nieskończoną mnogość determinacji negatywnych. A w tym przypadku nie istnieją. A zatem, powtarzam raz jeszcze, bytu nie ma, a niebyt jest.

*Otóż to. Teraz możemy iść dalej. Nic nie istnieje. Nie ma nic. Mnie też nie ma. Można na to spojrzeć, by tak rzec, kwantytatywnie. Rozumiecie słowo kwantytatywnie? Oczywiście, wy jesteście wykształceni. No więc tak. Mogę powiedzieć: jestem tym, jestem tym, jestem tym itepe. Ale to daleko nie doprowadzi. Z drugiej strony mogę sobie mówić: nie jestem tym, a wtedy to, czym nie jestem, jest całym wszechświatem obecnym, przeszłym i przyszłym, tym wszystkim, co mógłbym był zrobić i czego nie zrobiłem, wszystkim, czym mogłem był być, a nie byłem, wszystkim, czego nie mogłem był zrobić ani czym nie mogłem był być i oczywiście nie zrobiłem i nie byłem. W porównaniu z tym wszystkim czymże jestem? Niczym. Nie ma mnie. Jednakże jako nieistniejący, istnieje. Zatkano was, co? Zdumiewające, nie? Czekaście, jeszcze nie skończyłem. Chciałbym, żebyście mnie dobrze zrozumieli: byt, jako ograniczony, nie istnieje. Z drugiej zaś strony trudno nie przyznać, że to, czego nie ma, w jakiś sposób jednak jest. Czywiście trochę to wykracza poza zwykłą logikę. Jednak, no, jednak, to, co jest, jest, to, czego nie ma, tego nie ma. Ale powiem wam całą prawdę: prawdziwa jest całość, nie formułka. Nawet wszystkie te formułki naraz, które wam powtórzę, żebyście je sobie raz na zawsze wbili do głowy:*

*Byt istnieje, niebyt nie istnieje.*

*Byt nie istnieje, niebyt istnieje.*

*Byt istnieje, niebyt istnieje.*

*Byt nie istnieje, niebyt nie istnieje.*

*które wszystkie ukazują jakiś aspekt prawdy; nawet wszystkie razem, wszystkie cztery nie ukazują całości, bo gdyby przyjąć, że są możliwe tylko cztery formuły, znaczyłyby przyjąć po pierwsze, ograniczenie, a po drugie, uznać, że zasada kontradycji jest uprawniona, co przecież odrzuciliśmy w przypadku, gdy chodzi o wszystko. Co sprawia, że prawda leży jeszcze gdzie indziej.*

*– Czy czasem – powiedział Narcense, ziewając – nie zamierza pan mówić ogoibu?*

*– Za szczwany na to lis jestem, co nie? – odparł Saturnin.*

Narcense smętnie i bez celu szwendał się po wielkich bulwarach. Był potwornie zniechęcony. Przedwczoraj wyczerpał dziewięćdziesiąt jeden sposobów zrobienia czegoś z niebieskimi drzwiami i dziewięćdziesiąty pierwszy okazał się równie bezsensowny co wszystkie poprzednie. Przez cały dzień razem z Saturninem szukał jakiegoś wyjścia, ale żadnego nie znalazł; działo się to u Sophie Isis, w Ça-Hisse-sur-Seine. Kobieta była dziwką na schwał. A do tego przez cały czas łąziła półnaga; oni jednak, pogrążeni w pracy, nie zwracali na nią uwagi. W końcu, kiedy klęska stała się oczywista, byli tak zniechęceni, że minęli jej gołe piersi, nawet ich nie dotykając. Przedziwny dzień doprawdy. Zanieśli drzwi do portierni. Tam Saturnin wziął siekierę i porąbał je na drewnianka, bo nastały pierwsze chłody. Na jednym z kawałków zupełnie przypadkiem odczytał dwa napisy, jeden pod drugim: Gérard Taupe, nazwisko jakiejś kobiety; i data. Zrobili z tego małą paczkę i przesłali handlarzowi starzyzną. I to był koniec. Narcense szwendał się po wielkich bulwarach. W kieszeni miał pięćdziesiąt franków pożyczonych od Saturnina; bez wątpienia ostatnich, bo konsjerż był teraz całkiem splukany. Takie poszukiwania drogo kosztują. Nie ma co więcej o tym myśleć. Narcense nagle, całkiem z bliska, ujrzał we wspomnieniu nagą pierś. Doznał wstrząsu.

Rozejrzał się dokoła i zobaczył same kobiety. Wymieniał spojrzenia z tymi, co go mijaly; podziwiał tyłki tych, co go wyprzedzały, jeśli było co. Kilka razy zarysował mu się plan pójścia za jednym z tych ciał. Krążył między Operą a rogiem ulicy Montmartre. Zatrzymał się przed kinem i zapatrzył w fotosy swojej ulubionej gwiazdy. W kawiarnianych ogródkach kobiety przy stolikach, nad kuflami piwa, którego nie piły, zakładały nogę na nogę. Zapalono braseros, był koniec października, szła zima zła i Narcense widział te nogi w smudze woni wilgotnego węgla.



Uwiedziony pewnym tanecznym krokiem zagłębił się w pasaż; tam porzucił nagle kobietę, za którą podązał, wszedł do sklepiku z kartkami pocztowymi i długo przeglądał nie te noworoczne ani nie te ze zdjęciami polityków, ani bokserów, tylko „akty” i „pozy rozbierane”. W sklepiku było zresztą tłoczno. Z dziesięciu facetów w różnym wieku tłoczyło się przed zdjęciami z wyschniętym gardłem i drżącymi rękami. Od czasu do czasu któryś wsuwał głowę do małego kina, czerwoną lampką przyciągającego uwagę amatorów. W zatłoczonej klitce nad klientelą czuwała sucha bezpłciowa postać właścicielki; najśmielsi odważali się prosić o udostępnienie zbiorów specjalnych i wychodzili stamtąd z błogim uśmiechem. Narcense nic sobie z tego nie robił i wzajemna obojętność panowała między tymi samotnikami. Uważnie przejrział kilka kompletów „aktów” i „póz rozbieranych”, po osiemdziesiąt pięć centymów, po franku i po dwa. Potem poszedł w dół pasażem, na lewo w pustą uliczkę, i zaczepił pierwszą kobietę z brzegu. Była nią dziwka za ludwika, o ładnych oczach, schrypniętym głosie, z wyglądu wyrafinowana i zepsuta, ale tylko z wyglądu, co rozczarowany mężczyzna stwierdził niebawem. Pozbawiona inteligencji i wyobraźni, na swój sposób rozczulająca, kiedy mówiła: Gówniane życie..., i opowiadała o dziecku zostawionym na wsi. Narcense zostawił idiotce paczkę papierosów i poszedł zjeść kanapkę z automatu na bulwarze Haussmanna.

Potem znalazł się znowu na ulicy i ponownie ujrzał tę jedyną, której zwielokrotniony obraz oblegał go zewsząd, tak różny, a jednak zawsze identyczny (naturalnie). Lecz obraz ten już go nie oszołamiał. Nie uprawia się miłości bezkarnie: był po prostu bardzo zmęczony. Za ostatnich kilka franków spędził jakiś czas w kinie. Nie rozumiał nic z ryczącego w ciemności ekranu. Oczywiście zazwyczaj rozumiał. Lecz tego wieczora wszystko było inaczej. Tego wieczora nędma i absurdalna miłość. Tego wieczora bolał go odyt i czubek głowy jednocześnie. I zjawy, co się wydzierały na rozwieszonym prześcieradle, w żaden sposób go nie interesowały.

Kiedy wyszedł, była siódma. Nie miał grosza. Tylko na metro. O najlepszej porze, kiedy jest ścisk i człowiekowi ciepło. Po wyjściu na powierzchnię zrobiło mu się słabo i zadrżał w ciemności.

Chciał minąć portiernię bez słowa, ale Saturnin go zawołał.

– Niech pan spojrzy.

Pokazał mu paczkę, tę do ojca Taupe'a. Ktoś na niej napisał: „Adresat zmarł”. Zwrot do nadawcy. Narcense wzruszył ramionami. Miał to gdzieś, naprawdę, w głębokim poważaniu.

Wtedy Saturnin powiedział:

– Czytał pan wieczorną gazetę?

Nie. Słyszał, jak gazeciarze krzyczą na ulicy. Co się stało?

Podobno będzie wojna.

Miał to gdzieś, naprawdę, w głębokim poważaniu.

\*

Étienne wstawał o szóstej trzydzieści; Alberta również; Théo też. Bébé Toutout natomiast leżał w łóżku prawie do dziesiątej. W pośpiechu wypijali filiżankę kawy i pędzili do pociągu; ojciec jechał do Banku, matka do swojego biura, syn do liceum. Przez cały dzień karzeł miał wolną chatę. Powrót odbywał się w szyku rozproszonym. Théo zjawiał się pierwszy; potem Alberta; potem Étienne i dopiero przy wieczornym posiłku spotykała się cała rodzina. Tak mijał dzień za dniem.

A noce mijały następująco: wszyscy spali. Na ogół nie mieli snów; tylko Bébé Toutout miał straszne koszmary, które dręczyły go po ciemku. Rzucał się na łóżku, ryczał: huhuhu, po brodzie spływał mu pot. Napędzało to straszego stracha chłopcu, raptem wyrwanemu ze snu. Wtedy karzeł wyzywał go od wymoczków, cykorów i maminsynków; Théo z walącym sercem naciągał prześcieradło na głowę. Bébé Toutout wycierał sobie brodę i do świtu panował spokój; wtedy zaczynał dzwonić zębami budzik trupia główka.

Étienne unieszkodliwiał go ciosem w potylicę; potem wstawał z łóżka z gęsią skórką, i tak dalej, i tak dalej.

Zwykle karzeł budzika nie słyszał; kiedy go słyszał, zaczynał gderać i kazał sobie przynosić do łóżka kawę z mlekiem i kanapki, które natychmiast pożerał; potem znowu znikał w pościeli, a w tym czasie pracowita rodzina stawiała czoła straszemu chładowi poranka.

Co robił przez cały dzień, tego pracowita rodzina nie wiedziała i nawet nie podejrzewała mimo nieludzkich wysiłków wyobraźni. Nieraz uważano jego próżniactwo za coś niezwykłego, nieraz za coś obrzydliwego, ale tylko za plecami, bo w oczy byli raczej mili. Gdyby Étienne miał trochę forsy, kupiłby wielkiego psa, żeby zeżarł pasożyta. Próbował się go pozbyć na różne sposoby, lecz tamten zawsze wracał, silny swoim kalectwem, zdolny do najgorszej podłości i niebezpiecznie złośliwy. Zresztą zaprzyjaźnił się z Théo, stał się jego najlepszym kolegą i tyranem. Znał wszystkie jego czyny i wszystkie myśli, bo sam je wywoływał i nimi kierował. Kiedy chciał, Théo był pierwszym lub ostatnim uczniem w klasie (nie przesadzajmy, powiedzmy, drugim lub przedostatnim), skromnym chłopcem lub małym rozpustnikiem; młodzieńcem całkiem inteligentnym lub skończonym bałwanem. Kochaj swego ojczyma, podpowiadał Bébé Toutout, i Théo uważał, że Étienne jest bardzo miły. Nienawidź go, i Théo nabierał ochoty, żeby tak rozbić zepsute jajo o ojczymowską czaszkę.

Sam natomiast karzeł miał swoją tyranię gdzieś; objawiała się ona zupełnie z jego strony nieświadomie. Zależało mu tylko na jednym: na ciepłym domu, gdzie dają jeść i jest gdzie spać; zwłaszcza zaś nie trzeba pracować. Niepoprawny leniwiec znalazł w niedokończonyj willi urzędnika bankowego o zacięciu metafizycznym ciepłe gniazdko. Był równie brudny co leniwy i żarłoczny. W niedzielę stanowiło to wielką rozrywkę. Kąpiel karła. Grzano wanienkę wody i wrzucano do niej karzełka. Wił się, prychał jak kot, a nawet drapał. Zabawa jak każda inna, a na dodatek higieniczna. Nieraz Étienne miał ochotę podgrzać nieco bardziej wodę i karła ugotować. Ale te potworne myśli przelatowały jak błyskawica. Nie zatrzymywał się nad tym. Pierwszy raz podobne wyjście przyszło mu do głowy, kiedy usłyszał gwizd lokomotywy. Tymczasem gwizdek nic sobie nie robił z osobliwego skojarzenia, którego stał się przyczyną; lokomotywa jeszcze mniej i palacz jeszcze mniej i cała trójka codziennie defilowała, z regularnością narzuconą przez akuratnie ustalony rozkład jazdy, codziennie defilowała, powiadam, przed barakiem FRYTKI, który zamknięty przestał być miejscem publicznym po przeprowadzce rodziny Belhôtel do domu zasługującego na to właśnie miano. Étienne dowiedział się o tym w sobotę po południu, kiedy to wybrał się sam na terytorium, gdzie doszło do rozrostu jego osoby. Osobnik równie zamglony jak odbłask ulicznej latarni w kałuży błota poinformował go też o śmierci starego tandeciarza. Przez dwa tygodnie nie pokazywał się w mieście; znaleziono go rozkładającego się na sienniku; z powodu plotek ludzie dobrej woli dokumentnie spłądrowali jego nędzną siedzibę. Zwłaszcza państwo Pik wykazali się przy tym ogromnym zapałem. Lecz niczego, ale to niczego, nie znaleziono. Na polecenie mera i z powodów sanitarnych rupiecie spalono.

Étienne więcej do Blagny nie pojechał. Nie widywał też Piotra Wielkiego, który całkiem zniknął. Wychodząc z Biura Rachunkowego, zawsze miał nadzieję, że znowu go spotka; tamten jednak nigdy się nie pokazywał. Powoli, stopniowo, Étienne czuł, że zanika. Pewnego dnia znalazł w głębi szuflady dziwne urządzenie, w którym rozpoznał przyrząd-do-krojenia-jajek-na-twardo-w-cienkie-plasterki. Zaniósł go do kuchni, żeby się na coś przydał. Odwrócił głowę i zdawało mu się, że widzi z tyłu coś jakby szczęście. Ciąg zdarzeń, jaki od nieprzemakalnego kapelusza doprowadził go do nieprawdziwych drzwi, wydał mu się wspaniałą przygodą, a czas, w którym się odbywał, czasem wielkiej szczęśliwości. Lecz ponieważ przywykł we wszystko wątpić, zwątpił i tym razem i zrozumiał, że nigdy, nigdy nie był tak bardzo nieszczęśliwy. Potem policzył na palcach dni, które jakby nigdy nic dzieliły go od Wszystkich Świętych, dnia wolnego od pracy i święta trupów.

\*

Na plaży w R. dwa ciała brązowały w słońcu; był to Piotr i była to Catherine. Mówiła do niego:

– Cóż za wspaniały klimat! Już listopad, a słońce piecze jak w sierpniu.

– Tak będzie przez całą zimę.

– I przez całą zimę tu zostaniemy?

– Zostaniemy tu przez całą zimę.

– I będziesz mnie kochał jeszcze przez całą zimę?

– Tak. Jeszcze przez całą zimę.

– Opowiedz mi o sobie.

– Nie mam nic do powiedzenia o sobie.

– Opowiedz jakieś wspomnienia. Kiedy byłeś dzieckiem.

– Moja matka była pogromczynią lwów, a ojciec akrobatą.

– Kiedyś mi mówiłeś, że był bankierem.

– To nie ten sam. Mówiłem ci, że mój ojciec był akrobatą. Wieczorem, po kolacji, pomagał matce zbierać ze stołu, chodził na rękach i trzymał talerze stopami.

– Co za pomysł!

– Kiedy był w dobrej formie, chwycił się nogami żyrandola i jadł kolację, dyndając tak nad stołem. Innym razem trzymał się zębami i mieszał sałatę palcami u nóg.

– Obrzydliwe!

– Ale nie zawsze był taki wesoły. Kiedy mu nie szło, wyładowywał zły humor na mamie i dźgał ją widelcem w pośladki. Ale pośladki mamy były bardzo jędrne i dlatego w naszym domu wszystkie widelce miały krzywe zęby.

– Co jeszcze?

– Przez pół roku mieszkaliśmy na drugim piętrze. Ojciec nigdy nie schodził po schodach, zawsze skakał z okna i spadał na nogi, nie czyniąc sobie krzywdy. Nieraz zdarzały się różne wypadki: pewnego dnia rozgniół przy tym psa rzeźnika, foksteriera, bardzo lubianego w naszej dzielnicy. W wyniku czego musieliśmy się przeprowadzić, bo ojca obrzucano obelgami i chciano go zlinczować. Potem zamieszkaliśmy na piątym, ojciec nie mógł skakać z tak wysoka, używał schodów, ale związał się w kulę i staczał na dół. Tam też miał kłopoty, taki sposób schodzenia nie podobał się konsjerżce. Znowu zmieniliśmy lokum. Przenieśliśmy się do czarnego domku na przedmieściu, w Noircy-sur-Marne. Właśnie wtedy zaczęłam się zajmować białą magią. Miałem trzynaście lat.

– Jak długo się uczyłeś na kuglarza?

– Siedem lat.

– Musisz znać sporo sztuczek!

– Trochę owszem.

– Dlaczego nigdy się tym nie popisujesz?

– Bo to prostackie.

Odwrócili się plecami do słońca.

– Catherine, wierzysz we wszystko, co opowiadam, prawda?

– Oczywiście, Piotrze.

W milczeniu rozkoszowali się słońcem. Potem pływali aż do wklęsłej skały, którą tubylcy nazywają Bunte Bi.

Po powrocie właściciel hotelu zatrzymał ich, wymachując rękami, i długo z ożywieniem coś mówił; nic jednak nie zrozumieli. Pokazał im zatem gazetę i Piotr, który trochę liznął język, w jakim była wydrukowana, mógł przeczytać:

*FRANCUZI I ETRUSKOWIE*

*WZAJEMNIE WYPOWIEDZĄ SOBIE WOJNĘ*

*W CZWARTEK JEDENASTEGO LISTOPADA*

*I różne szczegóły:*

*Doszło wreszcie między dwoma plemionami do porozumienia, które wydawało się tak trudne; w celu uniknięcia jakichkolwiek przyszłych dyskusji dotyczących odpowiedzialności za wybuch wojny postanowiono działać wspólnie; data wzajemnych wrogich poczynań została za obopólną zgodą wyznaczona na 11 listopada. Dzień ten zdaje się wyjątkowo szczęśliwie wybrany, gdyż będzie można jednocześnie świętować zawieszenie broni i wypowiedzenie wojny. Jedna i druga strona deklaruje swoje zadowolenie, a dyplomaci francuscy i etruscy mogą sobie pogratulować wspaniałego rezultatu debat.*

*Paryż. Dzisiejsze gazety donoszą o niebezpieczeństwach, na jakie zostanie narażona cywilizacja, jeśli etruscy barbarzyńcy odniosą zwycięstwo. Przy okazji zwraca się uwagę na fakt, iż nie posługują się oni językiem indoeuropejskim, grywają na mandolinie i jedzą makaron.*



*Paryż. Król Francji, Anatol, i królowa Etrusków, Miss Olini, postanawiają przerwać grę w bezika, w którą właśnie grali korespondencyjnie. „Dobro narodu, oświadczyli, każdy w swoim języku, musi przeważyć nad indywidualną przyjemnością, nawet w przypadku króla”. Liczni Francuzi zgłosili się na ochotnika, aby zastąpić Miss Olini i zagrać z Anatolem Numer Jeden.*

*Kapua. Mobilizacja w kraju Etrusków przebiega w atmosferze powszechnego entuzjazmu.*

*Paryż. Dokładnie tak samo.*

*New York. Zatarg między Galią a Etrurią przekształci się zapewne w konflikt o zasięgu międzynarodowym. Ligurowie i Iberowie opowiedzą się niewątpliwie po stronie Galów; Umbrowie, Oskowie i Wenetowie po stronie Etrusków. Naród polski oświadczył, że poprze swojego odwiecznego sojusznika i odda Wisłę do dyspozycji Rzeczypublici franckiej.*

– Coś potwornego! – powiedziała Catherine. – Na szczęście jesteśmy daleko, bardzo daleko od tego wszystkiego.

– Tak – powiedział Piotr. – Nic mnie to nie obchodzi.

\*

– Zabrałeś wszystko, co ci potrzebne? – zapytała Alberta.

Étienne obmacał kieszenie, chlebak z żywnością na dwa dni i grubymi wełnianymi skarpetami na przyszlę zimowe okopy; hełm miał; nie zapomniał gazowej maski. Teraz mógł ruszać w drogę. Zawahał się, odwrócił głowę, żeby jeszcze raz zobaczyć to, co zostawia za sobą. Wyszli. Furtka skrzypnęła. Étienne dał klucze żonie. Potem wszyscy czworo, bo Bébé Toutout też brał udział w wyprawie, wsiedli do pociągu do miasta, gdzie Étienne miał z innego dworca udać się na punkt zborny. Pociąg do miasta był zatłoczony. Rozmaitymi ludźmi. W większości zmobilizowanymi żołnierzami. Na wagonach napisano: „Na Kapuę”. „Na Kapuę”. Kapua była stolicą Etrusków; wyczytali to właśnie w gazetach, podobnie jak informację, że tamtejsi mieszkańcy mają karabiny nabite makaronem i są zupełnie nieszkodliwe, i że ich mandoliny są takiej wielkości, że w żaden sposób nie mogą zagrozić francuskim bombowcom. Słowem, wojna długo nie potrwa i nie ma co się przejmować. A ponadto przyczyni się do rozwoju przemysłu. W pociągu panował harmider. Kobiety, płaczące dzieci. Zmobilizowani zachowywali się rozmaicie. Jedni różnili głupa, wielu było zalanych. Był też cały kontyngent wieśniaków dowiezionych ze strony Guermantes, bardzo wesolutkich. Byli między nimi tacy, co się bili na tamtej wojnie. Śpiewali stare piosenki z epoki, jak Madelon, Rosalie, i że długa droga do Tiperary. Byli też tacy, co znali się na rzeczy i dyskutowali. Bo wiadomo, że, wyjaśniał jeden, cała ta wojna przez tych Etrusków i dopóki będą istnieć, Francja nigdy spokoju nie zazna. Bo wiadomo, że, wyjaśniał drugi, z wrogiem trzeba walczyć w obronie swego skrawka ziemi i żeby ci nie zgwałcił żony. Od czasu do czasu jakiś krzyczał: „Niech żyje Francja”, a inni ryczeli w odpowiedzi: „Śmierć Koszom”. Koszami zaczynano nazywać Etrusków, a w gazecie wyjaśnili, że to skrót od Etruskosz, bo tak w żargonie nazywa się Etrusków.

Byli też tacy, co nic nie mówili, ale mimo to coś tam sobie myśleli. Nic nie mówili, bo był już taki, co myślał na głos, i wieśniacy ze strony Guermantes ciepnęli go za drzwi pociągu prosto na szyny.

Bébé Toutout w obawie przed rozdeptaniem schronił się w siatce na bagaże. I stamtąd sobie używał. „A ty, co? Do pancerniaków?” – pytali go na początku. „Te, a ciebie też można mobilizować?”. Białobrody karzełek nie dał sobie dmuchać w kaszę. „Może człowiek nie jest duży – mówił – może nawet jest mały – delikatnie mówiąc, przerwał mu jeden ze słuchaczy – ale to nie przeszkadza mieć w piersi serce, które bije tylko dla Francji, prawda, chłopaki?”. „Brawo! Brawo!” – krzyczeli. „Ach, gdybym miał to szczęście i mógł być żołnierzem – wzdychał Bébé Toutout, krzyżując ręce i wbijając wzrok w sufit, gdzie jakimś sprytnemu łobuzowi udało się przylepić peta. – Ale niestety! Natura sprawiła, że jestem zbyt mały, żeby iść na front. Ale będę służył ojczyźnie inaczej! Będę skubał szarpie, robił na drutach mitenki dla naszych bohaterów i podnosił morale narodu. Na Kapuę! Na Kapuę!”.

Przemówienie powitano entuzjastycznym hura. Mijano Błagny. Setki strażników strzegły fabryki produktów chemicznych. To tam produkuje się gaz. Uwędzimy tych łajdaków. Wykurzymy Kosza z nory!

A Théo? Biedny chłopiec. Jeszcze za młody, żeby iść na wojnę. Podobnie jak Bébé Toutout nie ma szans. Jeden z powodu wzrostu, drugi z powodu wieku nie mogli być żołnierzami; a wojna nie potrwa wystarczająco długo, żeby mógł chociaż się zaciągnąć, nie będzie tak jak w tamtej wojnie. O nie. Tę załatwi się w trymiga. Najwyżej trzy miesiące. Etruski dostaną za swoje. Tak przecież stoi w gazetach.

Potem zza chmury czarniawego kurzu dojrzeli chmarę gliniarzy, żandarmów, strażników, wojskowych i księży: był to Paryż.

Od Dworca Północnego do Dworca Wschodniego jeden wielki pochód triumfalny. We wszystkich oknach trójkolorowe sztandary. Starsi panowie przy orderach płakali ze wzruszenia na widok defilady tych, co wyjeżdżali. Szczęściarze postrzelają sobie, myśleli starsi panowie z orderami, i – Niech żyje Francja! – dodawali ze łzą w każdym oku. I znowu kultura francuska zostanie ocalona, a nawet solidnie nawieziona krwią i trupami w najlepszym gatunku.

Na rogu ulicy Saint-Denis płonie sklep spożywczy, gdzie sprzedawano makaron. Dalej studenci rozwalają mandoliny u sprzedawcy instrumentów muzycznych. I tak każdy robi, co może, w ramach patriotycznego zrywu. Czujemy się bohaterami. Kilka kobiet, co prawda, płacze, ale to te, co nie grzeszą odwagą. Étienne, podążając na czele rodziny, znajduje w końcu swój pociąg, pokryty kwiatami i napisami zapowiadającymi odwet i inne plugastwa. Uroczę dziewczęta rozdają trójkolorowe kokardy i pozwalają się klepać po pupie. Taka wojna to sama przyjemność i zapowiada się całkiem nieźle. Z Etrusków zrobi się marmoladę. Dzikusów, co jedzą makaron, załatwi się raz-dwa. Za miesiąc, dwa wejdzie się do Kapui. Zatem naprawdę nie ma się czym przejmować; przecież nawet stratedzy, po wnikliwej analizie, mówili, że nie widzieli jeszcze tak prostej, tak łatwej, tak zabawnej wojny. A tym, co krakali, że nigdy nic nie wiadomo, że Etruskowie mogą się parszywie odwinąć i że nie ma się z czego śmiać, wsadzi się parasol w oko, żeby się oduczuli źle mówić o ojczyźnie. Po ponad dwóch godzinach pociąg zaczął się trząść, gwizdać i w końcu ruszył. Étienne w oknie machał ręką (albo chustką, wszystko jedno) i inni też. Théo i Bébé Toutout, bardzo podnieceni, rzucali kapelusze w górę, krzycząc: „Na Kapuę! Na Kapuę!”. Było to fajne, nowe i nadzwyczajne. Alberta płakała; oczywiście; bo to nie była odważna kobieta.

\*

– Co tam dziś piszą nowego? – zapytał marynarz.

– Cześć etruskiej armii dotarła aż do Deuf-Omecourt. Zniszczyli biuro celników i urząd telegraficzny.

– Bydłota! Niczego nie uszanują! Ale z nich barbarzyńcy!

– I uważają, że są cywilizowani!

– Czytaj dalej.

– Etruski oddział kierujący się w stronę lasku, gdzie zamierzał odpocząć, grając na mandolinach, został zmuszony do ucieczki przez pluton uczniów szkoły wojskowej.

– Aj! Aj! Toż to zwycięstwo mamy w kieszeni, Hipolicie!

I wypili aperitif za zwycięstwo.

Następnego dnia:

*Wojska francuskie zajęły etruskie miasto Malaparte.*

*Przedwcześnie byłoby dziś określać konsekwencje tego pierwszego sukcesu. Należy jednak zwrócić uwagę na fakt, że brygada francuska zaatakowała okopy Etrusków i zmusiła ich do odwrotu: słowo „odwrot” jest tu najodpowiedniejsze. Przed naszym atakiem na bagnety Etruskowie zmykali co sił w nogach.*

*Straty francuskie nie są duże, zważywszy na wynik ataku. Nasze wojsko pokazało lwi pazur.*

Następnego dnia:

*Malaparte pozostaje stale w naszych rękach, nasze wojsko stoi wzdłuż linii lasu Madera, terenu dość dobrze, jak się zdaje, przygotowanego do obrony.*

*Podobno Etruskowie się umacniają, ale my nie jesteśmy głupi i robimy to samo.*

*Naród polski wypowiedział wojnę wszystkim wrogom Francji. Król Bugrelas przesłał królowi Anatolowi wyrazy szczerej przyjaźni i pożyczył od niego sporą sumę, żeby nakarmić i umyć swoje wojsko.*

Następnego dnia:

*Ostatni krzyk mody. Patriotyzm naszych francuskich kobiet nie słabnie ani na chwilę. Jak wiadomo, zdobywamy na wrogu tyle armat, że nie wiemy, co z nimi zrobić; jedna z naszych najbardziej błyskotliwych strażniczek domowego ogniska zaproponowała, aby armaty te pociąć w plasterki i zrobić z nich naszyjniki, tyleż proste, co wytworne. Można je również przyozdobić diamentami i perliskami (jak mówią nasze dzielne chłopaki z Afrykańskiego Batalionu); ale to oczywiście zwiększa koszty.*

*Kuzynka Pompon*

Następnego dnia:

*Podczas ostatniej nocy znaczące siły etruskie zgrupowane w lesie Madera zaatakowały nasze siły, wznosząc przy tym bardzo głośne okrzyki.*

*W obliczu podobnej demonstracji dowództwo francuskie nakazało opuszczenie Malaparte i rozmieszczenie wojska nieco dalej na pozycji, gdzie powstrzymano ofensywę przeważających sił wroga.*

*Poszczególne etapy operacji okazały się nad wyraz skuteczne. Doprawdy, bardzo skuteczne. W każdych okolicznościach francuska infanteria, podobnie jak kawaleria, artyleria, czołgeria, awiateria oraz żandarmeria okazały się o wiele bardziej sprawne niż siły nieprzyjacielskie.*

Następnego dnia:

*Polacy o pięć stadni od Kapui.*

Następnego dnia:

*Malaparte stało się przedmiotem najbardziej fantastycznych, a nawet tendencyjnych doniesień. Fakty jednak są następujące: oddział naszej piechoty został wysłany na wysunięty odcinek walki celem zniszczenia w Malaparte znajdującego się tam centrum informacji. Zaatakowany przez dwa oddziały Etrusków, wycofał się nie z własnej woli, lecz na rozkaz dowódcy armii, który uznał sytuację za zbyt niebezpieczną. Ponieważ misja została zakończona, nie było potrzeby utrzymywania wspomnianego terenu; wszystkie siły etruskie udały się w ślad za naszym oddziałem i zatrzymały się na naszej linii obrony, nie przelamując jej wszelako. Nasza sytuacja strategiczna pozostaje niezmiennie w najwyższym stopniu zadowalająca.*

Następnego dnia:

*Etruskowie produkują coraz to nowsze równie fałszywe informacje. Teraz zapewne ogłoszą swoje „zwycięstwo” pod Malaparte.*

*Gazety francuskie winny zatem codziennie dawać odpór kłamstwom propagandy etruskiej. Jeśli pozwolimy rozpowszechniać się fałszywym pogłoskom i nie będziemy ich dementować, gotowe zacząć uchodzić za prawdę.*

– Ależ z tamtych kłamczuchy – mówi marynarz.

– Nie ma co mówić – zgodził się właściciel bistra, poprzestając na takim wyrażeniu swojej myśli.

– No, to mi nalej picona z wodą, tylko żeby się nie spienił, bo lubię czysty.

I wypili aperitif za zwycięstwo.

\*

– Patrzej, idzie Bébé Toutout – mówi marynarz.

– To go zawołaj – poradził Hipolit i kilka sekund później karzeł już wchodził.

– No co, koledzy – zawołał bez wstępów – dostanę kielicha?

– A czego chcesz?

– Może być rum. Jutro ja stawiam.

– Co nam opowiesz nowego, Bébé?

– Ufuf, ciężkie czasy, nielekkie.

– Prawda – zgodził się marynarz. – Co prawda, to prawda, ciężkie czasy, nielekkie.

– A co z twoim gospodarzem, wiesz co? – zapytał Hipolit.

– Dziś rano znowu pisał.

– I co mówi?

Karzeł łyknął swój rum i mrugnął okiem.

– Jeszcze jeden.

– Cholerny Bébé! No, gadaj.

Wyciągnął kawałek papieru od rzeźnika poplamiony krwią.

– To kopia kartki do małego.

– Przeczytaj.

– Niech będzie. „Modane, 15 grudnia”.

– To on jest w Modane?

– Jak widzicie. Czytam dalej. „Kochany Théo. Dawno do ciebie nie pisałem, ale twoja matka pewnie ci mówiła, co u mnie. Myślę o tobie bardzo serdecznie i mam nadzieję, że wkrótce cię zobaczę, bo ta wojna nie powinna długo potrwać”.

– Widzisz, co mówi.

– Nic nie wie.

– W każdym razie musi wiedzieć więcej niż ty za swoim barem. Tak czy inaczej, jest bliżej tego wszystkiego niż ty.

– To prawda.

– Skoro mówi, że ta wojna długo nie potrwa, to długo nie potrwa, co nie?

– No i dobra, tym lepiej.

– Raz-dwa ich załatwimy, tych Koszy.

– Czekaście. Dajcie czytać. „Nie powinna długo potrwać. Tu u nas żadnych działań nie było. Kilka samolotów przyleciało nas bombardować, ale bez większych szkód”.

– Ha, ha! Te ich pociski to niewybuchy. Tak też pisały gazety.

– Umią robić tylko makaron.

– Ha, ha, ha!

– A i tak francuska kiszka jest najlepsza.

– Oj, prawda.

– Nie skończyłem – mówi karzeł.

– No to czytaj dalej.

– „Do zobaczenia więc, kochany Théo, bądź dobry dla mamy i dużo się ucz. Twój ojciec, Étienne”.

– To wszystko?

– Tak, ale...

– Chcesz jeszcze rumu, tak?

– Ja myślę.



- Łobuz z tego naszego Toutout!
- Mały kieliszeczek rumu. Mam w kieszeni list do pani.
- No nie żartuj, czytaj, czytaj.

Nalano rumu.

– No dobra. „Modane, 15 grudnia. Moja ukochana Alberto, siedzę tutaj w paskudnej dziurze. Jest okropnie i sam nie wiem, co mnie powstrzymuje przed odejściem. Ale dokąd? Zostałem schwytany, i to do jakiej pułapki! I jaki straszny kawałek sera dano nam na przynętę. Teraz już uciec się nie da. Jest nieludzko zimno. Śnieg pada i pada; nie ma się gdzie schronić, nie ma gdzie się ogrzać, nie ma się czym przykryć. Szpital pęka w szwach. Codziennie umiera ze dwadzieścia osób. Pogrzeby są bardzo uroczyste. To nasze główne zajęcie. Codziennie też bombardują nas nieprzyjacielskie samoloty. Wczoraj wysadziły składnicę prochu. Dwieście pięćdziesiąt ofiar. Cały dzień zbieraliśmy szczątki porozrzucane na wszystkie strony. I to zimno! Nic nie robimy, tylko grzebiemy zmarłych i liczymy bomby, co nam spadają na głowę. To się szybko nie skończy. Jeszcze jedna rzecz zupełnie idiotyczna. Co ja tutaj robię? Co za absurd. Gdyby to mogło potrwać mniej niż cztery lata...”

– I co jeszcze pisze?

– „Znów zobaczycie ciebie, Alberto, znowu ciebie zobaczycie. Poczucie, jak sutki twoich piersi twardnieją...”

Zaczął padać zimny, lodowaty deszcz. Dachy lśniły, ulica z wolna zamieniała się w błotnisty rynsztok i noc zstępowała wraz z deszczem na pogrążoną w ciszy działkę. Karzeł czytał dalej z nosem przylepionym do papieru, gdyż był krótkowidzem i było bardzo ciemno. Siedząc okrakiem na krześle z głową w dłoniach, marynarz słuchał bez słowa, a Hipolit za swoim kontuarem wycierał stale tę samą szklanekę.

– „Przed chwilą było znowu bombardowanie – ciągnął karzeł. – Przybyło kilku nieboszczyków. Będziemy mieli jakieś zajęcie. Znowu zaczął padać śnieg. Ach, żeby znowu móc ciebie zobaczyć, Alberto, zobaczyć ciebie”.

– To wszystko?

– Mało ci?

Deszcz starannie obmywał szyby bistra. Błoto zalewało chodniki. W panującej ciszy słychać było, jak pociąg wjeżdża na peron. Ten o 16.37; miał półtorej godziny opóźnienia. Yves Le Toltec podniósł głowę.

– Chcecie, żebyśmy wam coś powiedział? Dobra. Ja to tak sobie myślę, że teraz to my, cywile, powinniśmy trzymać fason.

\*

Pięć kieliszków rumu i sześć aperitifów sprawiło, że karzeł zaczynał mieć w czubie. Była ósma. Zapomniał, że pora wtrząchnąć zupę. Zaniepokojony Théo przyszedł po niego. W kawiarni było pełno dymu, śmierdziało, a sześciu, siedmiu zadowolonych z siebie i ze świata facetów przekrzykiwało się, wygadując brednie. Karzeł, czkając, wyśpiewywał patriotyczne pieśni, w których „Etruski” rymowało się z „pluskwy”, a „Francja” z „nasza lanca”.

Mimo protestów Théo wyciągnął go z bistra przy wtórze zaślinionych śmiechów wesołej kompanii. Wziął go pod pachę, bo karzeł nie byłby w stanie sam przebyć licznych kałuż i rowów pełnych błota. Drzwi skrzypnęły, potem się zamknęły. Na stole dymiła zupa. Alberta również czekała.

Théo wszedł, nie wycierając nóg, i posadził karła na krześle. Wyskrobek miał mętny wzrok i coś niewyraźnie bełkotał. Wyglądało na to, że chce wziąć łyżkę. Ale pięć rumów i sześć aperitifów to sporo, nawet dla karła. Upuścił łyżkę prosto w talerz, opryskując paskudnie piękny, czysty obrus, szybko zsunął się z krzesła, pokuśtykał do kuchni i tam wyrzygał się na posadzkę. Po pierwszym rzucie Théo zaprowadził go do ustępu. Kadłubek się pochorował. Opróżniwszy żołądek, runął na łóżko i głęboko zasnął, pochrapując w brodę lepka od wymiotów.

Théo, wróciwszy do jadalni, zastał matkę we łzach. Próbował tłumaczyć karła. Każdemu może się zdarzyć, że się upije.

– Ale ja mam już dosyć, mam dość tego zwierzaka, dość tego domu, dość tej dzielnicy. Zestarzeć się tu, dobrze. Ale w samotności. Chcę być sama. Weź gdzieś to zwierzę, rozgnieć i wyrzuć. Nie chcę więcej widzieć tej paskudy. Niech sobie idzie, niech stąd zniknie.

– ...

– Czekać tutaj na jakieś wiadomości, czekać samej w tym kącie, dobrze. Ale znosić obecność tej pokraki. Nie, dłużej tego nie zniosę. Chcę zostać sama, Théo. Zabierz stąd tego ohydneho stwora. Nie. Nie zabieraj go. Niech tu zostanie. To ja odejdę.

– ...

– Ja się tutaj boję.

– ...

– Przeniosę się do Paryża. Do pani Pigeonnier. Spotkałam ją wczoraj. Zaproponowała mi pokój w swoim nowym mieszkaniu. Tak, tam pójdę. A ty zostaniesz tutaj z tym kundlem.

– ...

– Nie, to wcale nie absurdalne. Tak już jest. Ja tego chcę. Raz w życiu czegoś chcieć. Tylko raz jeden. Opuścić to błoto, to bagno. Nie słyszeć skrzypienia tych drzwi. Zwłaszcza tego. Nigdy więcej skrzypiących drzwi! Och! Niechże się to skończy!

– ...

– Twój ojciec nic nie powie. Zgodzi się ze mną. Możesz być pewien. Zgodzi się ze mną. A tamten, słyszysz, jak chrapie, chrapie i chrapie. Potworne! Dlaczego on tutaj przyszedł, ten wampir? Och, odejść stąd, odejść!

– ...

– Kiedy odejdę? Nie wiem. Nie wiem.

– ...

– Zaraz. Tak, natychmiast. To chrapanie to za dużo. Zaraz, natychmiast odejdę.

– ...

– Dasz sobie radę, Théo, doskonale dasz sobie radę. Co tydzień będę ci przysyłać pieniądze i dasz sobie radę. Prawda, synku? Ja odchodzę. I niech ten karzeł mnie nie szuka. Przyjaźnicie się, prawda? Niech zostanie z tobą. Dbaj o niego! Bardzo o niego dbaj. Oszczędź mu trudów życia i srogiej zimy. Zima to życie, prawda, Théo? Słyszysz, jak ten karzeł chrapie. Słyszysz, jak pada deszcz i ani na chwilę nie przestaje. Odejdę stąd. Tak, do pani Pigeonnier. To urocza kobieta. Nie znasz jej, Théo. Nie możesz jej osądzać. Jest szczerą, miłą, uprzejmą. Tak, zamieszkałam u niej. A ty zostaniesz tutaj ze swoim przyjacielem karłem. Przrzekasz, Théo? Przrzekasz mi?

– ...

– Co za życie, Théo, nie możesz sobie wyobrazić. Ty nic nie wiesz. Nie rozumiesz tej wojny. Nie rozumiesz swojego ojca. Zostań tutaj, Théo, w tej willi. Codziennie chodź do szkoły. Ucz się pilnie. Przykładaj się do greki, łaciny, matematyki, historii, fizyki, gimnastyki i chemii. Przykładaj się do wszystkiego. Ale ja odchodzę.

– ...

– Zaraz, natychmiast, niezwłocznie.

– ...

Furtka skrzypnęła po raz ostatni. Przez siatkę Théo ucałował matkę z całym szacunkiem i uczuciem, na jakie zasługiwała. Zimny, lodowaty deszcz padał im na głowy. Skierowała się w stronę dworca i już nie ma Alberty. Karzeł chrapał na łożku, zmorzony alkoholem. Wtedy Théo znalazł się sam na sam, już naprawdę sam, z wyimaginowaną kobietą, ubraną jedynie w czarne pończochy (czarne pończochy są bardzo fajne). I co uczynił taki samotny? Bardzo się zmęczył tą samotnością. Alkohol i onanizm zapanowały w na w pół zbudowanej willi, a deszcz robił purchle na źle położonym tynku.

A kiedy po schodach na Dworcu Północnym zeszła do metra, spotkała mężczyznę z blizną na czole.

\*

Saturnin, który uczestniczył w poprzedniej wojnie, dochrapał się już (a był w tym naprawdę dobry) stopnia kapitana; zatem bania od śniadania, że hej. Około drugiej nad ranem wrócił na kwaterę, a ponieważ nie miał ochoty się kłaść, postanowił napisać kilka stron dzieła, nad którym pracował już prawie od roku:

Niewykluczone, że niektórzy czytelnicy, szeregowie zupaki lub kaprale, doczołgały się aż tutaj, dysząc żądzą wiedzy i nauki. A zatem niechaj drżą! Albowiem p-o-w-i-a-d-a-m im: Niech zginą w płomieniach i odrodzą się ze swych popiołów! Niech zostaną poćwiartowani i niechaj ich szczątki się zrosną! Niech zgniją i niechaj ich rozkład się cofnie! Niechaj będą porąbani, rozwalcowani, załuczeni, rozkawałkowani, zwęgleni, rozerwani na strzępy i niechaj się zasklepią wszystkie ich rany! Niechaj będą zrozpaczeni i niechaj się wydobędą ze swojej rozpaczki! Niech będą wkurzeni i niech się odrodzą z tego złowieszczonego stanu! Niech będą upodleni i niech ich poniżenie pryśnie! Niech będą pobici, rozbici, rozgromieni, poranieni, otumanieni, oskubani, zrobieni w bambuko, wpuszczeni w maliny, wyprowadzeni w pole na niepewną dolę i niechaj powstaną z upadku!

Ale kto taki? Nie wiem, do cholery, i oni sami też tego nie wiedzą!

Drogi czytelniku, czyś szeregowcem, czy kapralem, mięskiem do armaty czy mąką na pierogi, nie będę już dłużej przed tobą ukrywał, że jestem zalany, w cztery dupy pijany. Ale swoją godność mam. Mam swoją godność. Ktoś oczywiście może mi powiedzieć: Jaki z ciebie mężczyzna, skoro nawet porządnie się wyrzygać nie umiesz? Takiemu zaraz odpowiem: Spójrz na siebie, łajzo z rynsztoka, popatrz się w lusterko! Chyba z kimś ci się pomyliło. Dzięki moim nieodpartym argumentom, przekonującym i trafnym, zachowuję oblicze godne prawdziwego Saturna. A ponadto, żarty na bok, dzięki temu wielkie moje dzieło postępuje. A co, może nie? Spójrzcie na numer strony na dole, po prawej, i porównajcie z numerem strony, na końcu, i co, nie zostało już wiele do czytania, co nie? Niektórzy bardzo się ucieszą. Już ich widzę, tych próżniaków, leniwców, kanapowców, co zacierają rączki, że już niedługo koniec. Nie cieszcicie się tak, moje maleństwa! Jeszcze pożałujecie! Ja wam to mówię. A jeszcze inni powiedzą: Już! Już koniec! Nie do wiary! Na samą myśl o tym płuczę sobie gardło naparem z dumy, nacieram czachę płukanką z pychy, spryskuję boki kolońską wodą próżności, poleruję paluchy u nóg szczoteczką palanterii. Kiedy tylko sobie wyobrażę, że są tacy, co będą czytać dalej, którzy czytają dalej. Nie do wiary. Chodźcie tutaj, moje dziateczki, niech was przycisnę do serca. Chcecie czytać dalej? No, to nie żałujcie sobie! Czytajcie! Dalejże! W drogę! W drogę! Odwagi!

Pewnie, że jestem pijany. Powiem nawet, że alkohol sprawił, że jestem bardziej zamroczony niż najciemniejsza noc. Ale nie myślcie, że mnie zapędziliście w koziego róg. Myśleć tak to tyle, co sobie zaorbitować srajdziurę środkowym palcem, miernoty. I cóż za brak elegancji. A fe, a fe! W każdym bądź razie, szanowny żołnierzu lub nawet kapralu, proszę przyjąć wyrazy najgłębszego szacunku z mojej strony, załączam też najszczerze kondolencje. Podpisano: Saturnin, kapitan w stanie czynnym Belhôtel.

Tam, pod Modane, tak wielki walił śnieg, prało pociskami tak zawzięcie, tyłu było wrogów w okolicy i dokoła, że ludzie przebrani na serio, przez co rozumiem tych, co mają gwiazdy na rękawach i słońca na piersiowych klatach, postanowili dać nogę razem z bronią i bagażem. Odwrót był jak ta lala. Nie, naprawdę, od czasów tego spod Moskwy i króla Karola nie było piękniejszego odwrotu. Prawdziwy koszmar. W czasie gdy waliły armaty, zima była specjalnie sroga, bo zwykle jest bardzo łagodna; widać było, że zna się na swojej robocie. No więc żołnierze zdychali, bo było zimno. Panowały różne choroby, infekcje, epidemie. Żołnierze zdychali, bo byli chorzy. Były też armaty, karabiny maszynowe, pociski i gaz. Żołnierze zdychali, bo ich zabijano. Ach, cóż to był za odwrót. Jeden z tych pięknych odwrotów, o których pisze w gazetach, że strategiczny, na z góry upatrzone pozycje, można powiedzieć wiktoria. I codziennie faciowie, co mieli gwiazdy na piersiowych klatach i słońca na rękawkach, czekali na nieoczekiwane zwycięstwo z powodu modlenia do dobrej bozi, Dziewicy Maryi i d'Arc Joanny. Ale zwycięstwo nie nadchodziło, bo wszystkie te mity się przeterminowały. A Etruskowie zajmowali miasto po mieście i wioskę po wiosce. Étienne włókł się z workiem na plecach, w swoich przeklętych buciorach, po drogach białych od śniegu, drogach sieczonych pociskami, po których gazy od uśmiercania snuły się jak te fumarole, nawet jak się zawsze spało metr dziewięćdziesiąt jeden pod ziemią.

Narcense był dezserterem. Bébé Toutout nie przeszedł nad tym do porządku. Ale się nie czepiajmy. Codziennie nad miasto nadlatywały samoloty i odbywało się małe bombardowanko. W cywilach duch nieco podupadał, ale trzeba przyznać, że też bawiono się na całego. Nie było co siedzieć w piwnicach z powodu gazu, bo Etruskowie znają tylko gazy ciężkie. Bawiono się zatem do upadłego na dachach. Tam też, pod gwiazdami otwarto nocne lokale. Tańczono na śniegu. Pięknie było tańcować w takim zimnie. A do tego bardzo ryzykownie, bo groziło zapaleniem płuc, bronchitem, gruźlicą i grypą. Ale co nie było ryzykowne? Była to piękna zima, piękna zima, w której zdychało się na potęgę. A boże urodzenie, jakże piękne było Boże Urodzenie. Tej nocy tyle par uprawiało miłość, jakby całe miasto się parzyło. A śnieg sobie padał niewzruszony i zimny (trudno, żeby był ciepły), biały (trudno, żeby był czarny), nieskalany i straszny, na pogrążone w rozpacz miasta, gdzie kobiety gorączkowo nadstawiały brzuchy pod nasienie ostatnich samców, co zostali.

Étienne nie miał już ani wora, ani karabinu, bo niby po co? Nie miał też już na nogach swoich kajaków, co bardziej wkurzające. I nie miał nauszników. Kurde, jeszcze sobie zafunduje zapalenie ucha środkowego! Jego pułk (dobre sobie: jego!) w końcu, poszatkowany, dotarł do Epinal. Tutaj śnieg już nie padał, ale był straszny mróz. A wojna miała trwać dwa, trzy miesiące. I ci idioci, Etruskowie, co nie umieli zwyciężyć. Rozpacz po prostu, można się zachlipać na śmierć.



W tym czasie, to znaczy, jak tak padało, WSW dostało informację, że w mieście przebywa dezterter. Donos anonimowy. B  b   Toutout nie przeszedł nad tym do porz  dka. Dezterter? Bardzo interesuj  ce. Wysłano zandarmeri  ,   by si   dowiedziec czego   wi  cej. Okazało si  ,   e to prawda. Facet, kt  ry mieszkał u pani Pigeonnier, okazał si   niesubordynowany. Przyszli po niego pewnego dnia, kiedy kobiety były na targu. Zaprowadzono go przed oficer  w, co si   mianowali s  dziami. Jeste  cie dezterter?, zapytali, a on odpowiedział: Tak. Wtedy orderowcy zmarszczyli brwi. Skoro nie chce,   by zabił go wr  g, no to dobrze, sami go zabijemy. Słowem, skazano faceta na śmi  r  c, postawiono pod ścian   i rozstrzelano z patriotyzmu. Tak wla  nie umarł Narcense.

Alberta nigdy si   nie dowiedziała, co si   z nim stało; podczas wojny poczta strasznie si   opieprza.

\*

  tienne dostał w prezencie śliczny złoty galon i przydział do innego pułku; a okazało si  ,   e jego bezpo  redni przełożony nie jest mu tak całkiem nieznanym; nazywał si   bowiem Saturnin Belh  tel.

Dali sobie grab   i Saturnin m  wi do   tienne'a:

– Zaprowadz   pana do swojego brata.

Jego brat był to najdroższy, najslynniejszy i najbardziej starowny burdel w Epinal, na Thiersa 47. Trzydzieci kobiet, cacka jak z obrazka (z Epinal), sumiennie przykładało si   do pracy. Skarbonka Dominika p  cni  ła od sałaty, a do generał  w Cam  lia fatygowala si   osobi  cie, we wla  nej osobie.

Przy wejściu panował tłok. Dwaj mężczyźni przebili się przez mur mundurowych w rui i z trudem wcisnęli do lokalu. W nozdrza buchnął im odór tytoniu, wina, skóry i potu; przewyciężywszy początkowy wstręt, przebyli wśród potwornego hałasu roztańczony parkiet i dotarli do gerydonu, który właściciel rezerwował dla brata. Kobiety ruszyły na nich ławą. Były wśród nich zezowate, wychudzone, owrzodzone, zaślinione, posiniaczone, łyse, zasmarkane, słoniowate, kulawe i uśmiechnięte kręcidupki.

– Spadać mi, ale już! – przegnął je bez krępacji Saturnin i wrzasnął:

– Camélia, gdzie Tata i Rara?

Ponieważ Saturnin był bratem właściciela, przydzielono mu te właśnie; dwie niebrzydkie kobietki z otwartą gruźlicą przysiadły się do niego, popiskując z podrabianej wesołości. Źle im to robiło na płuca i musiały odcharknąć, żeby dalej chichotać. Z jakiegoś niezwykle tajemniczego powodu wśród tego całego plugastwa w ich oczach lśniło coś na kształt nadziei. Dano im kieliszki, żeby sobie nalały; potem już się nimi nie zajmowano. Pianola mozolnie wydobyła z siebie walca, a galony i nagie piersi zakręciły się w jego rytmie.

Saturnin zapytał:

– No i co?

Étienne w odpowiedzi:

– No i co?

Były to pytania retoryczne. Co odpowiedzieć? Od czego zacząć? Od drzwi? Na samą myśl o drzwiach Étienne’a zemdliło. Mówić teraz o tym? Kiepski żart. Niby co, do cholery, mieli z nimi zrobić? I w ogóle kogo one teraz obchodzą?

– Pamięta pan Mygales? Tam właśnie się poznaliśmy. W dość dziwny sposób, trzeba przyznać. Od tamtej pory nie miałem okazji często pana widywać. A co się stało z tym facetem, co tam wtedy dyndał, może pan wie?

– Zdezerterował.

Étienne przełknął stojący przed nim napój, najprawdopodobniej zrobiony z wody z bidetu, nektaru burdeli i miodu gnojówki. Dezerter. Pochylił się ku Saturninowi.

– Miał więcej odwagi niż ja – szepnął.

– Nie przy kobietach – warknął tamten. – Powtarzają każde słowo.

Otarł się galonami o brzuch Taty.

– Idziemy na górę? – zapytała, ale ekskonsjerż nie raczył odpowiedzieć.

– Te wasze drzwi, to dopiero bzdury – powiedział.

– Wiedziałem – odparł Étienne.

– Napracowaliśmy się, Narcense i ja, żeby znaleźć dla nich godne zastosowanie. Woziliśmy się z nimi od mieszkania do mieszkania, od zamczyska do pałacu, od hotelu do koszar w nadziei, że znajdziemy brakujący zagubiony kawałek.

– Nie znaleźliście?

– Nie. Oczywiście, że nie. Mimo że działaliśmy w sposób metodyczny, podążaliśmy bardzo poważnym tropem. Nic się nie dało zrobić, bujda na resorach. W końcu je spaliliśmy. Kiedy je rąbałem, zauważyłem na jednym z kawałków nazwisko Taupe’a wyryte obok imienia jakiejś kobiety.

– Tak, było napisane: Gérard Taupe. To też wiedziałem. Te drzwi to pamiątka pewnej miłości.

– To musi pan też wiedzieć...

– Że umarł? Tak. Wszystko to historie sprzed wojny. Prawda? A co z pańską siostrą, panią Cloche?

– Trzykrotnie odznaczona za bohaterską postawę.

– Mówi pan serio?

– Tak. Krew podnieca. A jak się miewa pański kolega, Piotr Wielki?

– O nim nie wiem zupełnie nic. Też był z niego niezły aparat.

– A szanowna małżonka?

– W porządku. Dziękuję.

- A syn, duży chłopak?
- Chodzi do liceum. Przygotowuje się do matury.

Kobiety się niecierpliwiły.

- Idziemy na górę? – dopytywały się co pięć minut.

Ale dwaj mężczyźni gadali bez przerwy i opowiadali sobie wspomnienia z dzieciństwa. W końcu przyszła Camélia i przywołała ich do porządku, bo kobiety były potrzebne gdzie indziej. Więc poszli na górę, zrobili swoje i znowu zeszli popijać dalej.

Gęsta atmosfera tłumiała krzyki i śpiewy; pianola ledwo się przebijała, słowa snuły się powolnymi smugami, tracąc skuteczność. Wyrazy wisiały w powietrzu. Na zewnątrz było trzydzieści centymetrów śniegu i mniej niż połowa tego poniżej zera.

Étienne i Saturnin ociągali się z wyjściem.

– Nie sądzi pan, że niebyt pochłania byt? – mówił jeden do drugiego, a ten replikował:

- A może raczej byt jest w pewnym sensie spoiwem niebytu?

Kiedy doszli do siedemnastego kieliszka, zasnęli.

Porucznik Temistokles Troc, kolega z wojska, rozpoznał ich, jak komarowali na swoim gerydonie, podszedł, potrząsnął i ryknął prosto w ucho:

- Co tak, chopy, bez miłości!

Obudzili się, mrugając powiekami, z suchością w gębie.

Na zewnątrz panował ziąb jak cholera.

\*

Około marca pogoda się poprawiła, co znaczy, że zaczęło lać. Ludność cywilna i wojskowa taplała się w błocie w oparach gazu, pod gradem pocisków. Francuzi odnieśli kilka zwycięstw dzięki pewnym zabiegom magicznym, takim jak wymiana ministrów, rozlepianie odezów, odsłanianie pomników i rozstrzeliwanie kobiet szpiegów wielkiej piękności.

W kwietniu wszyscy chodzili zakutani, lecz maj był wspaniały. Wegetacja wegetowała jak szalona; ptaśki śpiewały wesolutko, siedząc na drutach telegraficznych, a niebo nic tylko całe dni niebieszczało. W Obonne życie toczyło się łagodnie i leniwie, z pozoru zupełnie spokojnie. W rzeczywistości działo się niejedno. Przykładowo: Théo pozbawił dziewictwa córkę szewca i córkę nauczyciela gry na pianinie; Bébé Tou tout rozdawał łakocie małym dzieciom za pewne drobne usługi; Hipolit, rozpalony młodym winem, robił propozycje żandarmowi Cleopastorowi, lecz ten odrzucał je z pogardą, bo w jego sercu niepodzielnie panował brygadier Pourleche. Co wieczór pan Exossé i pan Fruit upijali się, studiując plany głównego dowództwa, i sadzili małe żabki na mapie Europy. Kiedy z wysmarowanym wąsem i ciekącym nosem wracali do domu, brali po łbie ściągą od małżonki pogrążonej w myślach o wytwornych oficerach z batalionu chemicznego, co tak sprawnie manipulowali retortami.

Pewnej soboty wieczorem w półwilli rozległ się dzwonek; Théo pobiegł otworzyć. Za siatką czekał chłopak z walizką w ręce.

– To ty jesteś Clovis Belhôtel? – zapytał Théo, uprzedzony przez ojczyma o przyjeździe Clovisa uciekającego z Epinal przed epidemią beri-beri.

Furtka skrzypnęła. Tamten wszedł. Była dziesiąta. Zupełna noc. Już coś przekąsili. Bébé Toutout wycinał gołe kobiety z pisemka zatytułowanego „Le Gaulois”, żeby pokazać, o co w gruncie rzeczy chodzi. Clovis postawił walizkę, nie kryjąc zdumienia na widok osobliwego człowieczka; ten podniósł nos.

– Witaj, chłopaczku – powiedział spokojnie.

– To Bébé Toutout – wyjaśnił Théo. – Mieszka tutaj.

Clovis usiadł. Zaproszono go do jedzenia; miał własne. Chciał się tylko napić. Najlepiej wina.

– Ile masz lat? – zapytał go Théo.

– Piętnaście – odparł Clovis.

- Ja szesnaście. Do której klasy chodzisz?
- Do drugiej.
- Ja jestem w pierwszej. W tym roku robię maturę. Dam ci moje zeszyty z notatkami.
- Dzięki.
- Może palisz?
- Jasne.
- Masz tutaj paczkę papierosów. Nie wykosztowałem się. Takie tam drobne interesy.
- Aha.
- Powiedz, co robi twój stary?
- Ma dom schadzek.
- Że co? – osłupiał Théo.
- Trzymajcie mnie! – Bébé Toutout wybuchnął śmiechem. – Théo nie wie, co to dom schadzek! Ale gupek!
- Théo, nie reagując na drwiny karzełka, pokazał, że zrozumiał:
- Znaczy się, twój jarecki ma burdel?
- Tak. To był najfajniejszy burdel w Epinal, ale z powodu epidemii beri-beri musiał się przenieść gdzie indziej. Jest teraz w Verdun.
- Korzystałeś z niego?
- A jakże.
- To znaczy?
- Clovis parsknął śmiechem, nie racząc wyjaśnić. Potem z poważną miną zapytał:
- O której idziecie jutro rano na mszę?
- Nie odpowiedzieli. Chyba na głowę upadł!

W czerwcu zbudowano pierwsze piętro willi państwa Marcelów i wkrótce rozeszła się wiadomość, że można tam spotkać kilka ładnych panienek. Brodaty karzeł, uzbrojony w rewolwer dla większego porządku, przyjmował klientów i odsyłał ich z pustymi genitaliami i portfelami.

– Znaczą się, pięćdziesiąt patyków, żeby się przespać z piętnastolatką, co ma piersiątką jędrną i świeżą (jakich nigdy w życiu nie dotykałeś), to dla ciebie za drogo, stary rogaczu? – przemawiał Bébé Toutout do proboszcza z Obonne, który przybył na konsumpcję.

Wielebny (od czterdziestu lat dzień w dzień odprawiał dwa razy) odpowiadał:

– Ależ panie Bébé Toutout, pan, osoba szczerze praktykująca, najwierniejszy z wiernych, co nie omija niesporów ani jutrzni, filar kościoła, mistrz naszej świętej wiary, chce ode mnie pięćdziesiąt franków, ode mnie! ode mnie! ode mnie, przedstawiciela Boga na ziemi!

– Nie w tym rzecz, chodzi wyłącznie o dupę – replikował Bébé Toutout. – Dawaj te pięćdziesiąt franiów. Skaranie boskie z takim kutwą. I pomyśleć, że od ostatniej bitwy zakosiłeś tacę co najmniej ze stu pięćdziesięciu mszy.

Na górze Ivoine i Colberte, córka nauczyciela gry na pianinie, robiły na drutach skarpetki dla swoich braci, co się bili z barbarzyńcami; w drugim rogu pokoju Théo i Clovis czytali.

– Widziałeś gazetę? – powiedział Théo do Clovisa. – Pisze, że to rzekome zwycięstwo Etrusków to nic takiego. Polacy ich wezmą od tyłu, rozumiesz, takie posunięcie strategiczne.

– Och – dodał Clovis – nigdy by nie doszło do tego wszystkiego, gdyby nie ten ateistyczny rząd. Cała ta wojna to kara boska.

– Co ty powiesz? – zaniepokoił się Théo.

– Oczywiście oczywistość. Kapelan wojskowy wszystko mi wytłumaczył w Epinal. Francja musi zmyć swoje nieprawości krwią.

Ivoine i Colberte przerwały pracę i z całych sił ucałowały medaliki, jakie im dyndały między cymbalami.

– Tatuś bluźnił i bluźnił. Mówił, że ta cała religia to jedno wielkie kurestwo. Zabili go. Pewnie smaży się w piekle. Dobry Bóg to sprawił – powiedziała jedna.

– A mój – powiedziała druga – stary świntuch, zdradzał mamę i jeszcze się z niej wyśmiewał, że chodzi do kościoła. Deprawował dzieciaczki, co do niego przychodziły. Jego rozpusta została ukarana. Złapał syfa w Peyra-Cave i od tego umarł.

– Od kiedyż to się umiera na syfa? – spytał sceptycznie Théo.

– Ja tam nie wiem – powiedziała Colberte. – W każdym razie na coś umarł.

– Bajdurzycie – podjął Théo. – Mój ojczym nigdy nie był w kościele i jeszcze nie umarł.

– Owszem, ale nic straconego – podsumował roztropnie Clovis.

Dziewczęta zarechotały, w czym Théo zauczestniczył. Śmiech przerwał głos karła, który krzyczał:

– Ivoine! Colberte! Schodźcie na dół! Ktoś przyszedł!

– Idziemy, idziemy – odparły dwie dziewczynki jednym dźwięcznym głosem, odkładając robótki na stół.

Zeszły. Théo powiedział:

– Jak myślisz? Kto przyszedł?

– Nie wiem.

– Słuchaj, Clovis. Widziałeś w gazecie, że...

I obaj zaczęli żartować z nieprawdopodobnej głupoty nieprzyjaciela. Wróciła Ivoine.

– Kto to był?

– Ksiądz.

– Ten się nie obcyndala.

– Ale miał piękne kazanie w ostatnią niedzielę – rozmarzyła się Ivoine.



Znowu sięgnęła po robótkę.

– Zawsze nic tylko chce forsy – warknął Théo.

– No i dobrze – powiedział Clovis. – Co w tym złego, skoro i tak wszystko, co dostanie, przepuści tutaj.

Po czym zaproponował, żeby rozbudować dom, zrobić miejsce na kafejkę, bo lemoniada zawsze przynosi trochę grosza. I zwiększyć liczbę kobiet.

– Trzeba to powiedzieć Bébé Toutout – odpowiedział Théo, nagle bardzo zainteresowany fragmentem czwartego tomu Nędzników.

– Bébé Toutout! Zawsze Bébé Toutout! – wykrzyknął z niesmakiem Clovis.

Potem, po chwili milczenia, zapytał bez związku:

– Słuchaj, a twoja matka mieszka sama w Paryżu?

– Tak.

– A gdzie?

– Mieszka u przyjaciółki.

Wszedł właśnie Bébé Toutout i dorzucił:

– Możesz chyba powiedzieć swojemu kumplowi, że odeszła z facetem.

Théo nie drgnął.

– Tak. I że to był dezerter, co gorsza. Żyła z nim.

– Rozumiem – powiedział Clovis z pogardą. – Twoja matka jest dziwką.

Théo spuścił głowę, a po chwili rozległo się skomlenie Bébé Toutout, który właśnie przytrzasnął sobie brodę drzwiami sejfu, gdzie przed chwilą odłożył sobie na boku pięćdziesiąt patyków otrzymanych od księdza.

Kilkadziesiąt lat później wojna jeszcze trwała. Oczywiście zabrakło trochę ludzi i w końcu Étienne musiał zostać marszałkiem i Saturnin też. Obaj stawiali zacięty opór pod Carentan na czele ośmioosobowej armii przeciwko nacierającej sile trzydziestu zbrojnych Etrusków, w tym królowej, która z wiekiem stała się Misyz Olini. Pewnego wieczora, kiedy armia galijska (bo Francja z czasem znowu stała się Galią) usnęła na leśnej polanie wokół buzującego ogniska, pewien przemyślny Etrusk zakradł się i gwizdnął całą broń pograżonym we śnie wojakom. Nazajutrz rano pozostało im tylko się poddać. Wojna była skończona. Pod wieczór generał etruski przyszedł po dwóch pojmanych marszałków uwięzionych w szałasie; królowa zapraszała ich na obiad – hołd dla zwyciężonych, jak to powiedziała. Przywdziali najlepsze zbroje, wypucowali kozaczki, wydmuchali do czysta nosy i poszli za przewodnikiem.

W lesie, na środku tej samej polany, na której armia galijska dała się oszkapić w wyżej opisany sposób, przygotowano solidną biesiadę złożoną z pieczonego dzika, gotowanych kasztanów, wszystko suto podlane miodem. Zajęto miejsca. Potem herold uderzył w bęben i weszła królowa. Z pewnym zdziwieniem Étienne i Saturnin rozpoznali panią Cloche.

– Co słyszać? – zapytał pierwszy całkiem do rzeczy, jako że klosz to dzwonek.

– Kloszuniu kochana! – wykrzyknął drugi.

– No co, robaczki – powiedziała – troszkę jesteście zdziwieni, co, że to ja? Niespodzianka całą gębą. A do tego kawał czasu się nie widzieliśmy. Lata całe, lata. Szkoda gadać. A panowie marszałkowie przebyli długą drogę. Można powiedzieć, dobra robota.

Dwaj mężczyźni grzecznie się skłonili. Potem zaczęli się dopytywać o krewnych i przyjaciół. Większość z nich rach-ciach! poszła do piachu. Théo był rozplodowcem drugiej klasy w Argentynie.

– Całkiem niezła posadka – powiedziała pani Cloche. – A co z tym, co go chciał wieszać?

– Z kim? – zapytał Étienne.

– Ach, z tamtym – powiedział Saturnin. – Zmieńmy temat. Stara historia.

– Pewnie – przytaknęła jego siostra. – Nic nie pijecie? Jak tak można! – wykrzyknęła zgorziona.

I strugi miodu spłynęły w gardziele.

– Co wy tak właściwie robicie? – zagadnęła kilka butelek później.

– Dawniej zajmowaliśmy się metafizyką – odparł Étienne.

– Wracamy do tego jeszcze od czasu do czasu – dodał Saturnin – ale już coraz rzadziej.

– A to dlaczego?

– Bo pada deszcz.

– Aha! – ry ry ryknęła królowa, powstając w obliczu nocy rozświetlonej okrągłym ogarkiem łożu, furiacko przeinaczonym w ludzką twarz – a zatem deszcz to ja...

– Nieprawda – powiedział Saturnin.

– A co, ty teraz uważasz, że kłamczucha jeźdem?

– Ależ skąd! Skąd!

– No więc tak, jezdem deszczem! Deszczem, który zamazuje konstelacje i rozwała królestwa, deszczem, który zatapia imperia i podmywa republiki, deszczem, który błoci buciska i spływa po szyi, deszczem, co płynie po brudnych szybach i wpada do strumyków, deszczem, który wkurza świat i do niczego nie pasuje. Jestem również, trzymajcie się dobrze, słońcem, które bździ na głowy żniwiarzy, które obdziera ze skóry nagie kobiety, które podpała drzewa, rozbija w pył drogi. I jestem gołodzią, która rozkwasza ludziom mordy, i lodem, który się łamie pod grubasem, i śniegiem, który ziębi pośladki, i gradem, który demoluje czaszki, i mgłą, która wilgocią wypełnia płuca. Yo soy również piękną pogodą, wiosennymi miesiącami, które sprzyjają chorobom wenerycznym, krostom na twarzy i wzdętym brzuchom. Jezdem wiosenką, co za dwadzieścia groszy sprzedaje bukiecik konwalii, i latem, co sprawia, że się chce odwalić kitę od nadmiaru życia. Jezdem jesienią, od której gniją owoce, i zimą, co sprzedaje bukszpan w dzień martwego szczura. Ís bin zawierucha, co wyje jak suka, burza, co się wkurza, wichura, co daje nura, nawałnica, co nadstawia lica, tornado, co se daje radę, cyklon na bicyklu, grzmot, co wali jak młot, błyskawica, ta to jak dziewica. Hajlame...

– Chciałbym złozumieć – wtrącił Saturnin, który zaczął mieć w czubie.

Étienne trącił go łokciem, żeby zamilkł.

– Od dziesięciu lat wkuwam meteorologię – wyjaśniła królowa.

– To bardzo ciekawe – mówi Étienne pojednawczo.

– Dawniej, kiedy byłam stara – ciągnęła pani Cloche – miałam zupełnie inny program. Byłam wtedy królową słoików po musztardzie, cesarzową tego, co się huśta w majtach, boginią pasów przepuklinowych. Wzbudzałam nocne strachy i całodobowe cykory. Stale w złym humorze, rozdzielałam pudełka z rakiem. Pilnowałam kibli w ogrodzie Tuileries. Byłam chałupniczką od skrobanek, pośredniczką od trypra, syfiastą ofiarą. Moim kochankom cuchnęły giry, a po skończonej kopulacji tłukłam ich pogrzebaczem.

– Uro-urocze – zabełkotał Saturnin. – Sydronio, siostró moja, jesteś uro-urocza.

Wzruszyła ramionami.

– Udajesz takiego sprytnego z tym swoim jąkaniem, a się założę, że nawet już nie potrafisz policzyć do dziesięciu.

– Jakaś zagatka? – zapytał brat łat. – Dla mnie za trudne, lepiej se paplać.

– Oj, ta. Zaciśnij pięści, rozczapierz palce zara jak ja i licz: rausz, dna, czy, sery, pięść, sierść, zadem, ośle, dziwić, dziecię. Razem z paluchami u nóg można zajechać od podzielnąście aż do dwawmieścia, ale jesteś na to zbyt zalany.

– Siostró moja Cloche, ale to cupprzedne! – czknął były konsjerż.

– Rzeczywiście jest niezła – przyznał Étienne.

– To nie ja na to wpadłam – mówi królowa. – Stoi napisane w książce.

– W jakiej książce? – zapytali dwaj błędni marszałkowie.

– No, w tej tutaj. W tej, co w niej tera jesteśmy, tej, co powtarza, co mówimy, w miarę, jak mówimy, i co za nami idzie i nas opowiada, taka bibuła, co ją przyłożyli na nasze żytko.

– To ci dopiero historia, nie ma co – mówi Saturnin. – Człowiek tworzy się z czasem, a taka książczyzna zaraz cię chaps swoimi małymi łaszczkami mupki. Tacy właśnie jesteśmy i wszyscy ci, co nas otaczają, o siostró moja, królowo, twoi gówniani generałowie, twoje żołnierzyki z klapkowego drewna i wszystkie rybki w jeziorze tu obok, co nie mogą spać. Podwójne życie, podwójny węzeł. Ju-cha-cha.

– A co se myślisz o tej pisaninie? – zapytała go siostra.

– Fragmenty filozoficzne, te moje, można powiedzieć, takie sobie. Mówię tak, bo jest postęp. Mojej myśli, rzeczna. Staję się, rozumiesz, coraz lepszy. Więc te tam numery sprzed lat, no, sprzed wielu lat, z czasów, kiedy byłem młodym czterdziestolatkiem, zdają mi się takie jakby trochę nijakie, rozumisz.

– A ja, w sumie, jestem całkiem zadowolony – mówi Étienne. – Wyglądam niewinnie i jestem bardzo sympatyczny. A do tego mam ciekawe życie, moja historia jest pouczająca, może nawet posłużyć za przykład.

– Nie bądźcie tacy sprytni – mówi pani Cloche. – Jak się tak dalej będziecie kopać pod stołem, to se połamiecie kulasy. Ja wam powiem zupełnie szczerze. Ja tam sobie nigdy nie wybaczę, że tak robiłam, jak robiłam. Chodzi o tamte drzwi. I wpienia mnie to, że to wszystko jest napisane, o, nawet tutaj tera. Cholera jasna!

– W takim razie – mówi Étienne życzliwie – trzeba wyrzucić ten kawałek, wygumkować go.

– Wytekstować go – dorzucił Saturnin.

– To niemożliwe – mówi pani Cloche. – Stało się i się nie odstanie. Nic się nie da zmienić. Niestety!

– A ja myślę – mówi Saturnin – że nie ma nad czym tak biadolić. Każdemu może się zdarzyć, że go wystawią do wiatru. Ale jeśli naprawdę tak cię to martwi, to po prostu zacznij wszystko od nowa.

– Kretyn z ciebie, braciszku. Widziałeś kiedy, żeby kto mógł wszystko jeszcze raz?

– Nie, ale zobaczę.

– Znaczy, że uważasz, że mogę wymazać czas i zacząć raz jeszcze?

– Spróbuj. W twojej sytuacji. Odmień swoje życie, ścierwo.

– Dobra, dobra. Ale opowiadasz bzdury. Wiadomo, czas to czas. A przeszłość to przeszłość.

– Skoro tak mówisz.

– A jak znowu wpadnę w pułapkę?

– Pewnie, że możesz okazać się znowu równie łatwowierna. Tak czy inaczej, przekonasz się. Zapomnij wszystko, co ci powiedziałem. Będę ci towarzyszył.

– Ja też – mówi Étienne.

– Tak sobie, jakby czas w ogóle nie istniał? Nie ma już historii? – zapytała królowa.

– A co to kogo obchodzi? – odpowiedzieli.

Wzruszyła ramionami.

Opuścili więc polankę niedaleko Carentan i przekroczywszy nieprawdziwe zwały czasu należącego do wieczności, dotarli w czerwcowy wieczór do bram miasta. Rozstali się w milczeniu, bo już się nie znali, gdyż nigdy się nie byli poznali. Konsjerż zasiadł w portierni, akuszerka założyła interes. Jakiś mężczyzna rozpląszczył się na siatce podmiejskiej półwilli, gdzie cierpliwie czekała wieczorna zupa, a chłopczyk zezował na sprośne zdjęcie. Furtka skrzypnęła. Mężczyzna się rozpląszczył.

Maska przebyła powietrze, zręcznie wymięła osoby o rozlicznych i złożonych życiorysach i przybrała kształt ludzki w kawiarnianym ogródku. Zarysowała się sylwetka człowieka: jednocześnie wyroiły się tysiące. Były ich tysiące.

*Ateny, Cyklady, lipiec–listopad 1932*

Przekład: Hanna Igalson-Tygielska

Psia trawka

Redakcja: Jan Koźbiel

Korekta: Małgorzata Kuśnierz, Hanna Jagodzińska

Przedmowa

Korekta: Magdalena Matuszewska, Hanna Jagodzińska

Redakcja techniczna: Tomasz Pichór

Projekt i logo serii: Sylwia Grządzka i Jacek Szewczyk

Opracowanie graficzne okładki: Jacek Szewczyk

Zdjęcie na I stronie okładki: © Arvind Garg/Photographer's Choice/Getty Images

Skład i łamanie: Tomasz Pichór

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.

00-372 Warszawa, ul. Foksal 17

tel./fax (22) 646 05 10, 828 98 08

biuro@gwfoksal.pl

www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-7881-351-4